
R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Inches
Centimetres
DANES-PICTA.COM

DAWID LLOYD GEORGE

WSPOMNIENIA WOJENNE

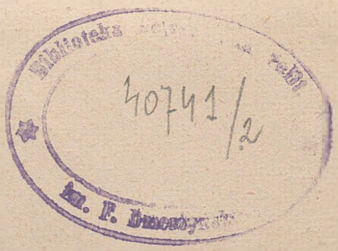
TOM I

WARSZAWA — *1938*

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ"

Tłumaczyli:

MIECZYSŁAW KWIATKOWSKI i ANTONI PAŃSKI



Druk. B-ci Wójcikiewicz, Warszawa.

OD TŁUMACZY

Obszerne, sześciotomowe „Wspomnienia Wojenne" Lloyd George'a zawierają znaczną ilość opisów i dokumentów, które mają niewątpliwie znaczenie dla historyków i specjalistów, ale dla czytelnika polskiego są mniej interesujące, jako zbyt ściśle związane z angielskimi stosunkami lokalnymi. Zadaniem tłumaczów było więc dokonanie w polskim wydaniu „Wspomnień" pewnego wyboru z obfitej zawartości oryginału. Na wybór ten, uwarunkowany również względami techniczno-wydawniczymi, uzyskana została zgoda Autora.

Dokonywając tej selekcji, tłumacze starali się uwzględnić możliwie równomiernie wszystkie poruszane przez Autora dziedziny, a więc zarówno sprawy strategii i dyplomacji jak zagadnienia gospodarstwa wojennego, jak wreszcie charakterystyki poszczególnych osób oraz rozgrywek osobistych między wybitnymi politykami i wojskowymi w Anglii i w państwach Sprzymierzonych.

Dla zachowania ciągłości myśli autora wybieraliśmy do wydania polskiego z reguły całe rozdziały, dokonywając w nich już tylko rzadkich i jak sądzimy — nieistotnych skrótów. Tam gdzie pominięcie pewnych rozdziałów mogło powodować brak ciągłości wykładu, podane zostały krótkie przypisy (petitem) o treści dokonanych opuszczeń.

Tom niniejszy wydania polskiego odpowiada tomom I i II oryginału i obejmuje okres od wybuchu wojny do końca r. 1916, t. j. do mianowania Lloyd George'a premierem brytyjskim.

M. K. i A. P.

PRZEDMOWA.

Prawie wszyscy wybitniejsi uczestnicy Wielkiej Wojny, zarówno politycy jak wojskowi, uważali za konieczne napisać historię swego w niej udziału. Z jednym lub kilku wyjątkami historię tę napisali własnoręcznie, chociaż komponowanie książek było dla nich przedsięwzięciem, równie nowym jak dla mnie. Wyjąwszy tylko Arystydesa Brianda, który nigdy nie parał się piórem, wszystkie kierownicze osobistości okresu wojennego dały swoją opowieść o tym, co i dlaczego uczyniły w czasie wojny. Pisali więc spośród sterników nawy państwowej: kajzer Wilhelm, Poincaré, prez. Wilson (za pośrednictwem p. Bakera). Spośród mężów stanu: Clemenceau, Asquith, lord Grey, Churchill, pułk. House, książe Maks Badeński, von Bülow. Spośród wojskowych: Foch, Hindenburg, Ludendorf, French, Haigh (posługując się innym piórem), Henry Wilson, Pershing i legion innych. Półki mojej biblioteki uginają się pod ciężarem życiorysów wojennych. Nic dziwnego, że przez całe lata wzdragałem się naśladować przykład ludzi, którzy odgrywali taką wybitną rolę na scenie, gdzie również i ja zajmowałem nienajpośledniejsze miejsce. Już prawie zdecydowałem się przekazać to przedsięwzięcie w puściźnie tym, komu pozostawiłbym w ogóle moje papiery, gdy zaszły dwie okoliczności, które skłoniły mnie do chwycenia za pióro i do opowiedzenia własnymi słowami mej własnej historii.

Pierwszą okolicznością była choroba, która uwolniła mnie od przykrego i osobliwie niewdzięcznego obowiązku kierowa-

nia partią polityczną, tak nieszczęśliwie zatrutą i sparaliżowaną przez spory wewnętrzne pomiędzy najbardziej znanymi jej członkami. Okolicznością drugą była wizyta, złożona mi w czasie mej rekonwalescencji przez starego towarzysza z epoki Wielkiej Wojny. Nakłaniał mnie on gorąco, abym skorzystał z tego, że znalazłem się poza nawiasem aktywnej walki politycznej, i abym dał swoją relację o wydarzeniach wojny. Przypomniał mi, że jestem jedyną oficjalną osobistością, która naprawdę przetrwała ją całą, od chwili wypowiedzenia wojny aż do podpisania traktatu pokojowego. Podkreślał, że prawdziwa historia wojny nie będzie napisana przed upływem kilkudziesięciu lat i że właśnie książki, pisane przez ludzi,—polityków i generałów, — którzy uczestniczyli bądź w bitwach bądź w kierownictwie, staną się tym podstawowym materiałem, z którego historyk będzie czerpał fakty i wrażenia. Wszystkie te książki dawały punkt widzenia indywidualnego pisarza, naturalnie wypaczony bądź przez jego ograniczone możliwości, bądź przez niewłaściwą teorię wydarzeń, bądź — zbyt często— przez wymagania apologii osobistej. Mój rozmówca zwrócił mi uwagę, na to, że jestem jedynym członkiem rządu, który znajdował się w położeniu Mr. Britlinga): „widziałem na wskroś" wszystko, od wybuchu sporu aż do zawarcia zgody. Jest mnóstwo ludzi, którzy byli lepiej obznajmieni z pewnymi specjalnymi zagadnieniami wojny; jest i było kilku takich, którzy w pewnym okresie mogli lepiej ujmować całokształt konfliktu; nie ma natomiast nikogo (i często uprzytamniam sobie ten fakt z przerażeniem), kto byłby bliżej niż ja wtajemniczony w kierownicawo wojny przez cały czas jej trwania i któryby bardziej z bliska patrzył na jej pochód, rozdzierający żywe trzewia ludzkości.*

Kreślenie tej historii jest jak gdyby powtarzaniem rzeczy, widzianych w koszmarze sennym, — to też przez lata całe nie mogłem się zdobyć na podanie mojej relacji o tych prze-

*) Z powieści H. Wellsa.

rażających rzeczach. Nie jest przyjemnością przypominanie o tym, jak mężczyźni i kobiety w ciągu czterech i pół lat poświęcali swą energię, swój rozum i zapał dziełu zniszczenia i cierpienia. Ale opowiedzieć to trzeba, jeżeli chcemy uniknąć w przyszłości powtórzenia się takiej okropności. Lepiej, żeby prawdziwe fakty były znane. Nie roszczę sobie pretensji do tego, żebym znał je wszystkie; niektóre jednak z nich znam lepiej niż moi współcześni. Te właśnie fakty pragnę jak najwierniej przedstawić na stronicach mojej książki. Wnosząc swój wkład, uważam się nie za doświadczonego autora, lecz za świadka, zeznającego wszystko co zapamiętał z tych wstrząsających przeżyć.

Pamięć ludzka jest zawodna, mogłem więc pomylić się w pewnych szczegółach. Wzmocniłem swoje wspomnienia, wertując ogromną masę dokumentów, jakie zgromadziłem w czasie wojny. Wybierając niektóre z tych dokumentów do zacytowania lub zużytkowania, czyniłem to z pełnym poczuciem odpowiedzialności, obowiązującej każdego funkcjonariusza publicznego i nakazującej nie ujawniać ani nie ogłaszać niczego, co może zaszkodzić interesom jego ojczyzny. W dokonywaniu tego wyboru wielką pomocą były mi rady jednego z najwybitniejszych i najbieglejszych funkcjonariuszów publicznych swego pokolenia — p. Maurycego Hankey'a. Muszę również złożyć podziękowanie bardzo wielu przyjaciołom, którzy pomagali mi, uzupełniając lub odświeżając moją pamięć o wydarzeniach, w czasie których korzystałem z ich cennej współpracy.

Bron — y — de Churt.
Sierpień r. 1933. *D. Lloyd George.*

BURZA NADCIĄGA

Pierwszy kontakt z polityką zagraniczną

W roku 1904, w dniu, gdy ogłoszone zostało porozumienie anglo-francuskie, przyjechałem do Dalmeny na kilkodniowy pobyt do nieżyjącego dziś lorda Rosebery. Pierwsze słowa powitania z jego strony brzmiały: „No, przypuszczam, że i Pan jest tak samo jak oni wszyscy zadowolony z tego porozumienia z Francją?" Zapewniłem go, że jestem zachwycony, ponieważ nasze naprężone i zaognione stosunki z Francją nareszcie się poprawiły. Odpowiedział: „Myli się Pan najzupełniej. Koniec końców oznacza to wojnę z Niemcami".

Mniej więcej w rok po tym proroczym odezwaniu się zostałem po raz pierwszy członkiem gabinetu ministrów. Gdyby wówczas ktoś powiedział mi, że zanim przestanę być ministrem, nietylko będę świadkiem wojny między W. Brytanią i Rzeszą Niemiecką, ale nawet wezmę czynny, w istocie rzeczy kierowniczy udział w jej prowadzeniu, to potraktowałbym taką przepowiednię jako jedno z wielu fantastycznych dobrych lub złych proroctw, którymi każdy działacz społeczny jest zasypywany przez osoby o niezrównoważonym umyśle.

Przed moją nominacją brałem bardzo słaby udział w omawianiu zagadnień polityki zagranicznej i nie rościłem pretensji do dokładniejszej ich znajomości, niż każdy przeciętny poseł do parlamentu, obznajomiony z historią i uzupełniający ją na podstawie informacyj, dostarczanych przez miarodajne dzienniki i czasopisma różnych stronnictw. Moje za-

interesowania skupiały się wyraźnie na zagadnieniach polityki wewnętrznej. W polityce zagranicznej byłem zawsze, podobnie jak jestem dzisiaj, zapalonym obrońcą praw małych narodów i przywykłem wierzyć w możliwość pokojowego wyrównania nieporozumień, powstających między państwami. Pomimo złowrogiego wzrostu zbrojeń we wszystkich krajach i pomimo gorączkowej troski o ich udoskonalenie, pokój pomiędzy wielkimi mocarstwami Europy Zachodniej trwał nienaruszony w przeciągu więcej niż czterdziestu lat, co zrodziło krzepiącą choć złudną nadzieję, że świat wyrzeknie się w końcu wojny, jako trybunału, regulującego spory międzynarodowe. Ta szczęśliwa ufność w stopniowe i ostateczne uratowanie świata przed groźbą wojny (wyjąwszy tylko wojnę przeciw dzikim ludom) była podsycana, jak to wykażę później, przez tę zupełną nieznajomość naszych rokowań i porozumień z zagranicą, w której byliśmy starannie utrzymywani wszyscy, nawet członkowie gabinetu ministrów.

Zdawałem sobie, rzecz prosta, sprawę z odwiecznego antagonizmu między Francją i Niemcami i wiedziałem, że antagonizm ten został podsycony przez oderwanie od Francji jej dwóch najukochańszych prowincji. Wojna prusko-francuska była wspomnieniem mego dzieciństwa. Po upadku III Cesarstwa ogólne nastroje kół radykalnych były przeważnie profrancuskie, ponieważ koła te sympatyzowały z demokratycznymi instytucjami naszego najbliższego sąsiada, podczas gdy opinia zachowawcza skłaniała się raczej do sympatii pronie-mieckich.

W łonie partji liberalnej — od czasów Karola Jamesa Foxa — tradycją jej najbardziej postępowych żywiołów była zawsze stała przyjaźń dla republiki francuskiej. Natomiast konserwatyzm angielski nie wyrzekł się nigdy całkowicie przesądów i obaw, wywołanych przez Rewolucję Francuską i przez epizod napoleoński, liberalny zaś imperializm skłonny był iść w ślady anty-rewolucyjnych Wigów.

Ogólna postawa Gladstone'a była namiętnie profrancuska. Bismarkowska polityka krwi i żelaza nie pociągała go nigdy. W polityce zagranicznej był przede wszystkim liberałem.

Gdy w r. 1892 przyjechał do Caernervonshire, zostałem zaproszony przez sir Edwarda Watkina na obiad, wydany na jego cześć w Watkin Châlet. Towarzystwo było bardzo nieliczne. Poza członkami rodziny jedynymi gośćmi byli: nieżyjący już Tom Ellis i ja. Całą rozmowę podczas obiadu i potem prowadził właściwie sam tylko Gladstone, podczas gdy my wszyscy, zachwyceni możliwością spotkania i słuchania tej wybitnej osobistości minionej epoki, poprzestawaliśmy, rzecz prosta, na słuchaniu w milczeniu.

Gladstone miał już 83 lata, ale nie zdradzał żadnej z oznak starczego wieku. Był pełen życia, i jego głęboki, wibrujący głos brzmiał jak muzyka, cokolwiek by mówił. Tego wieczoru był nawet chwilami jowialny i rozbawiony.

W rozmowie poruszył mnóstwo rozmaitych tematów. W pewnej chwili wygłosił entuzjastyczny panegiryk na cześć ludu francuskiego. Zdaje się, że było to wywołane wzmianką o projekcie tunelu pod kanałem La Manche, bronionym podówczas przez Sir Edwarda Watkina. Ze słów Gladstone'a wynikało zupełnie jasno, że Francuzi są narodem o wiele bardziej oświeconym, inteligentnym i cywilizowanym, niż naród, którego losami jemu samemu dane było w obecnej chwili kierować. Ówczesne żywioły radykalne mogły nie podzielać jego przesadnych zachwytów nad rzekomą wyższością inteligencji francuskiej, ale poza tym jego panegiryk mniej lub bardziej wiernie wyrażał postawę radykałów wobec republiki francuskiej i jej obywateli w czasach, gdy wchodziłem do czynnej polityki. Z drugiej strony Rzesza Niemiecka z jej militaryzmem, jej autokracją, jej przepisami konstytucji, wzmagającymi siłę wyborczą warstw posiadających a zmniejszającymi i przytłumiającymi wpływy klasy robotniczej, oraz z jej sta-

nowczą wolą utrzymywania w ogóle demokracji w „należytych granicach" — wzbudzała wiele sympatii i uznania w bardziej konserwatywnych kołach angielskich.

Lord Rosebery i jego przyjaciele nie podzielali tych radykalnych sympatii dla demokracji francuskiej. Cechowała ich nieufność względem Francji i źle ukrywane sympatie dla Niemiec. W czasie, gdy lord Rosebery kierował naszą polityką zagraniczną w latach 1892—1894, zaangażował raz czy dwa razy kraj w poważne spory z Francją, omal nie doprowadzając do ostrego zatargu. Jego wiceminister, Sir Edward Grey, nawiązując do groźby jakiegoś posunięcia francuskiego w stronę brytyjskiej sfery wpływów w Sudanie, oświadczył w Izbie Gmin, że jest to „akt nieprzyjazny". Radykalni zwolennicy rządu byli niezadowoleni z groźby, ukrytej w tym zwrocie, i potem również nader podejrzliwie obserwowali postawę Sir Edwarda Greya wobec Francji.

Gdy został utworzony rząd Campbell-Bannermana, podzielił się on na dwa wyraźnie zarysowane skrzydła. Z jednej strony — żywioły radykalne, których wodzem był sam premier, z drugiej — żywioły liberalno-imperialistyczne. Ich wodzami byli: Asquith, Edward Grey i Haldane. W sprawach polityki zagranicznej zachodziła między obu tymi skrzydłami widoczna różnica. Dawniejsi obrońcy Boerów odziedziczyli pacyfistyczne poglądy Gladstone'a. Natomiast ministrowie z Ligi Liberalnej skłaniali się w polityce zagranicznej raczej do postawy Palmerstona. Coprawda, dawniejsza podejrzliwość względem Francji, charakteryzująca ich w czasach z przed powstania Ententy, znikła nawet w upartym umyśle sir Edwarda Grey'a, ale jej miejsce zajęła teraz zdecydowana nieufność wobec Niemiec.

Nie dotyczyło to bynajmniej samego tylko ministra spraw zagranicznych. Zmiana w postawie torysów i liberalnych imperialistów wobec Niemiec została wywołana głównie przez niemiecki program budowy floty wojennej. Kajzer często prze-

chwalał się, że stworzył potężną flotę niemiecką i wciąż urządzał jej rewie i przeglądy, w czasie których przemawiał niby Stwórca — który obejrzał swoje dzieło i orzekł, że wypadło dobrze. Nie widać, co dobrego dała Niemcom ta flota, ale dzieje złego, które sprawiła, pozostaną na zawsze jednym z najbardziej wstrząsających rozdziałów historii nie tylko Niemiec ale i całej ludzkości. Flota ta była jednym z czynników, które wywołały wojnę światową; niewątpliwie przyczyniła się do tego, że imperium Brytyjskie stanęło w szeregu nieprzyjaciół Niemiec, i że później Ameryka przyłączyła się do wojny. Poza tym zaś, przyczyniła się do wyhodowania tego ducha aroganckiej wyższości, który wykreślał drogi dyplomacji niemieckiej' a wskutek tego i do wzmocnienia poczucia niebezpieczeństwa, które pchnęło inne potężne narody do sojuszów wojskowych i morskich. Stworzenie floty niemieckiej było niewątpliwie bodźcem, wzmacniającym fatalną fanfaronadę Kajzera.

Niezmordowany zapał, z jakim Wilhelm budował swą potężną flotę wojenną, był uważany za groźbę nie tylko dla brytyjskiej przewagi na morzach, ale nawet i dla samego bezpieczeństwa Anglii. Niedorzeczne mowy, wygłaszane w Niemczech przez ludzi o niepoślednim autorytecie i wpływach a napomykające o wyzwaniu pod odresem floty brytyjskiej, były cytowane przez prasę angielską i wywoływały niepokój nawet w umysłach, niełatwo poddających się panice. Radykalne skrzydło gabinetu, tak samo jak i liberalno-imperialistyczne, reagowało żywo na groźbę, jaką stanowiły programy budowy floty wojennej rywala dla dobrych sąsiedzkich stosunków, które radykali pragnęli zachować z Niemcami, podobnie jak ze wszystkimi innymi narodami.

Po raz pierwszy zetknąłem się osobiście z tym zagadnieniem, gdy w roku 1908, po śmierci Sir Henryka Campbell-Bannermana i po objęciu premierostwa przez Asquitha porzuciłem urząd ministra pracy, zajmując opróżnione przez Asquitha stanowisko ministra skarbu. W tym charakterze by-

łem obowiązany wyszukiwać środki na realizację programów morskich, a w ten sposób stosunki anglo-niemieckie stały się zagadnieniem, w którym okazałem się resortowo zainteresowany.

Muszę tu powiedzieć słów parę o dwóch przesileniach, które zaszły w gabinecie Asquitha z powodu programu budowy okrętów, przedłożonego przez Admiralicję. Pierwszy kryzys rozegrał się w roku 1908, gdy pierwszym lordem admiralicji był MacKenna, drugi — w r. 1913—1914, gdy urząd ten zajmował p. Winston Churchill.

Jako minister skarbu, nie sprzeciwiałem się nigdy żadnemu wzmocnieniu floty wojennej, pozwalającemu nam utrzymać naszą przewagę wobec wzrostu floty niemieckiej, wykonywującej program budowy swojej admiralicji. Moja opozycja wobec żądań Admiralicji w r. 1908 i 1913 sprowadzała się do czterech tez:

1. Admiralicja domaga się przewagi nadmiernej, co jest uciążliwe i prowokujące.

2. Powinniśmy położyć większy nacisk na budowę małych jednostek dla obrony naszych dróg handlowych a mniejszy — na olbrzymy morskie.

3. Na całym świecie rośnie reakcja przeciwko ciężarowi wzmagających się zbrojeń i powszechna dążność do lepszego porozumienia pomiędzy narodami. Powinniśmy więc skupić nasze wysiłki raczej na szukaniu porozumienia z Niemcami w sprawie budowy okrętów, niż na prowokacyjnych programach.

4. W toku dyskusji w gabinecie w r. 1913—1914 nad postulatami Admiralicji, wskazywałem, że obecnie Niemcy poświęcają swoją uwagę raczej wzmocnieniu armii lądowej niż marynarki.

Nie mam zamiaru rozwodzić się tutaj nad słusznością tych argumentów, ale chciałbym przypomnieć kilka faktów w obronie stanowiska, zajętego wówczas przez radykalne skrzydło gabinetu. Przejrzałem memoriały i kontrmemoriały, złożone w toku dyskusji w r. 1913. Skarb, nie pozbawiony również wiadomości z kompetentnych źródeł morskich, twierdził, że nawet gdyby poprzestano na przyjętym dawniej programie, odrzucając nowe żądania, to w r. 1917 mielibyśmy następującą marżę przewagi:

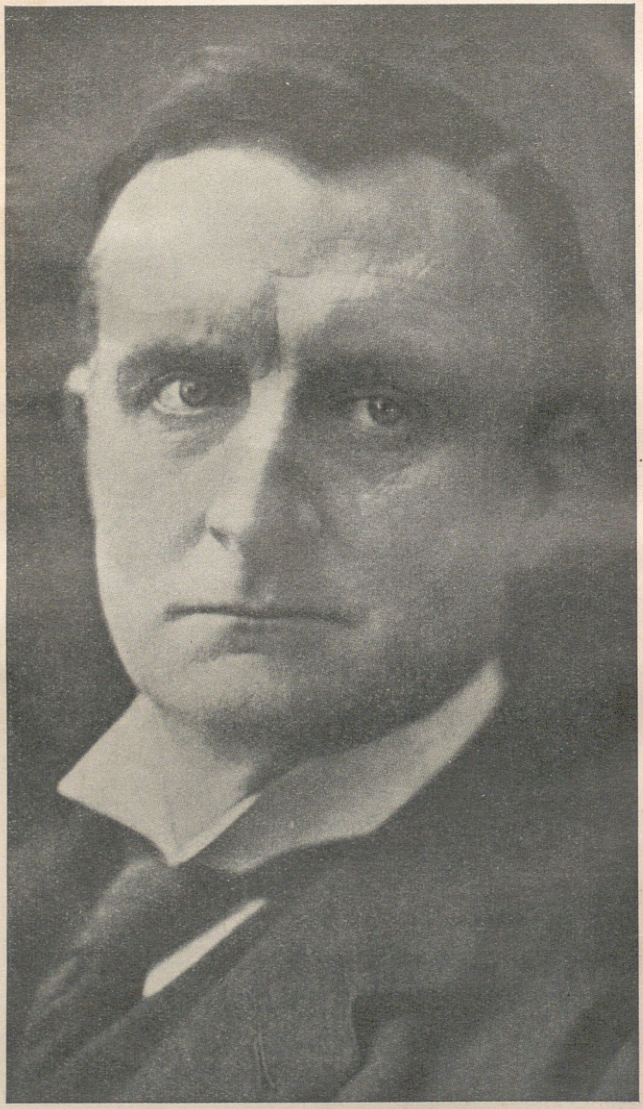
w dreadnoughtach	— ponad	80%
w pancernikach dawnego typu	—	127%
w krążownikach pancernych	—	278%
w krążownikach lekkich	— ponad	70%
w torpedowcach	—	60%

Ocena ta oparta była nie na samych tylko liczbach, lecz i na porównaniu jakościowym, obejmującym szybkość, kaliber dział i wiek okrętu. Dane te zostały zakwestionowane przez Admiralicję. Obliczenie Min. Skarbu przyjmowało jakoby zbyt wielką marżę przewagi w dreadnoughtach — ale również i liczby skorygowane wykazywały marżę bezpieczeństwa. Ministerstwo Skarbu i jego obrońcy wysuwali również i inny argument, a mianowicie, że przez cały czas współzawodnictwa w budowie okrętów między nami i Niemcami w ciągu ostatnich 10 lat, wciąż wzmagaliśmy tempo i powiększaliśmy rozmiary okrętów, kaliber armat oraz szybkość naszych jednostek, zaczynając to fatalne współzawodnictwo przez budowę w r. 1904 pierwszego dreadnoughta, — to jest w chwili kiedy posiadaliśmy przygniatającą przewagę nad każdą możliwą kombinacją flot cudzoziemskich. Budowa pierwszego dreadnoughta wydawała się wielu spośród nas przejawem frywolności i rozrzutnej ostentacji.

Co do drugiej propozycji skarbu, że powinniśmy większy nacisk położyć na małe jednostki a mniejszą — na wielkie



Lloyd George w oficjalnym stroju Kanclerza Skarbu
w r. 1914.



Lord Grey, minister spraw zagranicznych W. Brytanii
w latach 1905 — 1916.

okręty, — doświadczenie wojny było świetnym potwierdzeniem stanowiska, zajętego przez skarb w r. 1913. Drogo zapłaciliśmy za brak krążowników i kontrtorpedowców dla obrony naszych okrętów handlowych i wojennych przed atakami łodzi podwodnych, i Admiralicja pod kierunkiem Sir Johna Fishera musiała z gorączkową energią pracować nad odrobieniem tego poważnego zaniedbania. Brak ten powstał zresztą nie tyle stąd, że mieliśmy zbyt mało kontrtorpedowców, co z powodu nieodporności naszych wielkich jednostek bojowych na ataki torpedowe, wskutek czego najlepszą cząstkę naszych torpedowców musieliśmy wydzielić dla ich obrony.

Z trzecią i czwartą tezą będę miał jeszcze do czynienia w dalszym ciągu książki.

Było, oczywiście, trudno pozbyć się niemiłego wrażenia, że niemiecka flota wojenna stworzona została w celu podważenia brytyjskiej przewagi na morzach. Naczelny admirał von Tirpitz mówi o tym zupełnie wyraźnie w swoich pamiętnikach, a Kajzer również od czasu do czasu robił to samo. Nie twierdzę, że dążyli oni świadomie do wojny z Brytanią w celu zniszczenia naszej floty; byliby radzi, gdyby ich flota urosła do takiej potęgi ,żeby Brytania ze strachu wyrzekła się bez walki swej przewagi na morzach. Ale von Tirpitz, właściwy twórca floty niemieckiej, przyznaje otwarcie, że zadowoliliby się tylko tym.

Jakkolwiek byłem przeciwnikiem nadmiernych zbrojeń, nigdy jednak nie miałem wątpliwości, że Anglia w żadnym razie nie może dopuścić do powstania takiej sytuacji. Nie posiadaliśmy dostatecznie silnej armii, którąby mogła obronić nasz kraj przed atakiem olbrzymich armij kontynentalnych. Nasza flota była tak samo jedynym gwarantem naszej wolności i niepodległości, jak za czasów Napoleona. Musieliśmy wobec tego budować okręt za okręt i nawet po trzy okręty na każde dwa, budowane przez Rzeszę Niemiecką. Nasze środki materialne i poziom techniczny naszego przemysłu bu-

dowy okrętów pozwalały nam w tej rywalizacji morskiej prześcignąć najlepsze osiągnięcia niemieckie. Ale pomimo takiego stanu rzeczy, było jednak rzeczą oczywistą, że nieograniczone współzawodnictwo doprowadzi do zupełnie bezużytecznego wyczerpania finansowego i wzrastającego niezadowolenia w obu krajach, i w końcu okaże się, że pomimo opróżnienia kieszeni i wyczerpania materialnego stosunek sił obu krajów jest zupełnie taki sam jak przed rozpoczęciem wyścigu.

Nauczywszy się wierzyć, że pokój jest jedyną zdrową i normalną podstawą postępu ludzkiego, usiłowałem złagodzić pogłębiający się antagonizm między obu narodami. Jako minister skarbu, nie mogłem być obojętny na koszty bezużytecznego wyścigu zbrojeń morskich. Było to wycieńczające wysuszanie źródeł, tak bardzo brakujących dla dzieła poprawy urządzeń społecznych i postępu narodowego. To też usiłowałem znaleźć jakieś sposoby wyszukania takiego porozumienia z Niemcami, które pozwoliłoby obu stronom obniżyć tempo budowy i tonaż naszego budownictwa okrętowego.

Zdawało się, że sposobność ku temu nastręczyła się sama, gdy wskutek sugestji Sir Edwarda Grey'a w lipcu r. 1908 nawiązałem kontakt z ambasadorem niemieckim, hrabią Metternichem. Po paru latach sporządziłem o tym spotkaniu z pamięci notatkę, którą tu przytaczam:

„W r. 1908, wkrótce potem jak zostałem kanclerzem skarbu, hrabia Metternich, ambasador niemiecki, zaprosił mnie na śniadanie do ambasady. Nigdy przedtem nie nie spotkałem się z ambasadorem i podejrzewałem, że zaproszenie podyktowane zostało jakimiś względami politycznymi. Wkrótce po śniadaniu on sam wyjaśnił, w jakim celu zostałem zaproszony. Wiedział mianowicie, że należę do bardziej pacyfistycznego ugrupowania w gabinecie. Poruszył temat wzrastających podejrzeń wzajemnych między obu naszymi krajami. Uważałem to za do-

brą sposobność, aby mu wytłomaczyć, że prawdziwą przyczyną wzrastającej u nas niechęci wobec Niemiec nie jest zazdrość z powodu ich szybko rozwijającego się handlu, lecz strach przed ich wzrastającą flotą wojenną. Zwróciłem jego uwagę, że nasz chleb powszedni uzależniony jest całkowicie od naszych dostaw zamorskich i że każdy kraj, który wyrwałby nam z rąk naszą przewagę na morzach, byłby w stanie zagłodzić naszą ludność i zmusić nas do haniebnego poddania się w ciągu paru miesięcy. Podkreśliłem również, że gdyby nasza flota została pokonana przez silniejszą flotę nieprzyjacielską, to nasza armia nie mogłaby stawić skutecznego oporu potężnym machinom militaryzmu kontynentalnego. Uważałem za słuszne powiedzieć mu, że w sprawie zapewnienia nietykalności naszych wybrzeży i utrzymania w tym celu odpowiednio przeważającej floty wojennej nie ma żadnych różnic poglądów w gabinecie, a chociaż należałem do przeciwników tych olbrzymich zbrojeń, to jednak w razie najsłabszego zagrożenia naszej społeczności sam pierwszy zaproponowałbym pożyczkę choćby w sumie £ 100,000,000, gdyby to było potrzebne dla zapoczątkowania budowy floty, odpowiadającej wymogom naszego bezpieczeństwa. Powiedziałem mu: „Jeżeli ta rywalizacja w budowie okrętów dojdzie do takich granic, że ludność zostanie poważnie zaniepokojona możliwością najazdu, to będziemy z konieczności zmuszeni wprowadzić system powszechnej służby wojskowej i w ten sposób stworzyć armię, zdolną bronić nasze wybrzeże przed każdym najeźdźcą". Odrzekł mi na to wprost: „Czy Pan sądzi, że będziemy czekali tak długo?".

P. Delcassé otrzymał właśnie dymisję z Quai d'Orsay, na skutek — przede wszystkim — wrogiego doń stosunku Niemiec. Pomimo to jednak został bardzo życzliwie przyjęty w Londynie, dokąd udał się wkrótce po swojej dymisji. Nie pamiętam, w jakich okolicznościach

jego nazwisko zostało wspomniane w rozmowie. Pamiętam tylko jeden ustęp. Gdy powiedziałem: „Utraciliście pana Declassé z jego stanowiska ministra spraw zagranicznych we Francji," — odparował mi cierpko: „Ale najwidoczniej nie w Anglii." Oświadczyłem mu wówczas: „Gdyby Rzesza zażądała dymisji najniepopularniejszego w tym kraju ministra, to właśnie dzięki temu żądaniu zostałby on wyniesiony na najwyższy stopień popularności narodowej".

Obawiam się, że śniadanie nie okazało się sukcesem".

Już po napisaniu tej notatki mogłem dzięki uprzejmości niemieckiego Urzędu do Spraw Zagranicznych zapoznać się z niemiecką korespondencją dyplomatyczną, dotyczącą omawianego okresu. Z korespondecji tej uprzytomniłem sobie, że w rzeczywistości odbyły się dwa spotkania z Metternichem, oddzielone od siebie mniej więcej dwutygodniowym odstępem.

Pierwsze spotkanie odbyło się dnia 14 lipca r. 1908, gdy zostałem zaproszony na śniadanie przez Sir Edwarda Grey'a dla zetknięcia się z hrabią Metternichem, a drugie — wzmiankowane już — nastąpiło w ambasadzie niemieckiej w dniu 28 lipca. O obu rozmowach Metternich sporządził dla Berlina nader szczegółowe raporty, które zostały przedłożone Kajzerowi, a jego uwagi na marginesach są nadzwyczaj znamienne dla ówczesnej postawy niemieckiej. Są one również godne uwagi z powodu światła, jakie rzucają na charakter Kajzera — szybkie przeskoki od zdrowego rozsądku do owej pogardliwej nonszalancji, która potem przyśpieszyła katastrofę światową. Przytaczam tu pełny tekst raportu o śniadaniu, wydanym przez Grey'a i wyciągi z raportu o późniejszej rozmowie ze mną samym:

POUFNE.

Londyn, 16 lipca r. 1908.

Uwagi Kajzera na marginesie.

„Przedwczoraj Sir Edward Grey zaprosił mnie i pana Lloyd George'a na śniadanie do swego mieszkania. Obecny minister skarbu w krótkim czasie wyrósł z ultra-radykalnego prawnika walijskiego na przodującą i szanowaną postać w swej partii oraz w gabinecie. Ponieważ zaś myśli w kategoriach imperialnych, więc jest poważany również przez Unionistów. Jeżeli sobie dobrze przypominam, przed kilku laty, jako przedstawiciel opozycji, pozwalał sobie od czasu do czasu na wybryki w stosunku do Niemiec w stylu Jingo. Na stanowisku odpowiedzialnego ministra dostrzegam w nim pojednawcze nastawienie umysłu.

Gdy poruszyłem podniesioną w parlamencie sprawę szpiegostwa, zgodził się ze mną, że niestety wierzy się tam każdemu głupstwu, o ile tylko ma ono coś wspólnego z Niemcami.

Gdy wyraziłem ubolewanie, że polityka angielska jest zdaje się gotowa opłacić przyjaźń z Francją wrogością Niemiec i że polityka Ententy wywołuje uczucie niepewności w Europie, Sir Edward Grey oświadczył mniej więcej co następuje: W ciągu ostatnich dziesięciu lat Anglia kilka razy omal nie została wciągnięta w komplikacje natury wojen-

nej z Francją i Rosją. Gdyby nie osiągnięto przyjacielskiego porozumienia, to zapewne doszłoby już do wojny. Istnieje porozumienie tylko z Francją. „Jeszcze" nie z Rosją. W przeciwieństwie do tego Niemcy posiadają swoje trójprzymierze. Jest rzeczą niepojętą, jak w tych okolicznościach można mówić o polityce izolowania Niemiec.

Pan Lloyd George dodał w tym miejscu, że przyczyną wzburzenia w Niemczech jest prawdopodobnie dyplomatyczne poparcie Francji przez Anglię (1). Sir Edward Grey odpowiedział, że o ile chodziło o Marokko, to Anglia była zobowiązana udzielić tego poparcia.

(1) *Tak.*

Zauważyłem, że pozycja Francji jest absolutnie bezpieczna, dopóki uznaje ona *status quo* w Europie (2). Sama jedna nie mogłaby ona nas zaatakować. Natomiast w razie poparcia przez Anglię idea rewanżu mogłaby pewnego dnia odżyć na nowo (3). *Avis au lecteur:* artykuł gazety „Temps", zalecający Anglii posiadanie silnej armii, co uczyniłoby ją cennym sojusznikiem.

(2) *Terytorium niemieckie!*

(3) *Dobrze powiedziane!*

Gdy p. Lloyd George wyraził przekonanie, że nie wierzy w wojenne zamiary Francji, chociaż Francuzi nie byli w stanie nagiąć swoich umysłów do uznania traktatu, odpowiedziałem, że i ja również nie wierzę w takie zamiary Francu-

zów. Również nie mam żadnych zastrzeżeń co do tego, że Anglia załatwia swe nieporozumienia z innymi narodami. Z drugiej strony w publicystyce politycznej zwolennicy i obrońcy angielskiej polityki zagranicznej postarali się rozpowszechnić przeświadczenie, że nie chodzi tu tylko o zwykłe wyrównanie różnic lecz równocześnie o stworzenie bariery wobec potęgi niemieckiej. Takie postępowanie nie zgadza się z przyjacielskimi dążnościami i nie może być za takie uważane w Niemczech, lecz musi wywołać niepokój tam i zwłaszcza w Europie (4). Sir Edward Grey zauważył wówczas, że niemiła strona położenia spowodowana została przez fakt, iż po obu stronach pomawiamy się wzajemnie o wrogie zamiary. W Niemczech wierzy się w możliwy atak angielski, tu natomiast panuje przeświadczenie, że flota niemiecka jest budowana po to, by zagrozić pozycji angielskiej.

(4) *Zupełnie słusznie.*

Obaj ministrzy byli tego zdania, że stosunki między Anglią i Niemcami zależą przede wszystkim od uregulowania zagadnień morskich. Wydatki na flotę angielską w następstwie niemieckiego programu morskiego (5) i pośpiechu (6) w budowie okrętów urosłyby do takich rozmiarów, a jednocześnie obawy przed niebezpieczeństwem wzmocniłyby się do takiego natężenia, że stosunki między obu krajami nie mogłyby ulec popra-

(5) *Nieprawda! Rezultat angielskich uroszczeń do imperium światowego i tendencji dopatrywania się rzeczy nieistniejących.*

(6) *Nie było pośpiechu!*

wie, dopóki uprawiają one wymierzoną wzajemnie przeciw sobie rywalizację morską (7). Każdy Anglik wydałby ostatni grosz, byle zachować swoją przewagę morską (8), od czego zależy nie tylko pozycja Anglii w świecie, lecz i jej istnienie jako państwa niepodległego. Rujnujące wydatki, do których prowadzi rywalizacja morska (9), nie mogą pomyślnie wpływać na stosunki między obu narodami. Każdy, ktokolwiek choć trochę zna Anglię, wie, że nie było tu tendecji do grożenia (10) Niemcom flotą wojenną lub wogóle do zaatakowania Niemiec. Biorąc pod uwagę proporcje armii angielskiej, desant wogóle nie może być brany pod uwagę. Pan Lloyd George przypomniał żartobliwie, że książe Bismarck, gdy z jakiegoś powodu poruszona została sprawa desantu angielskiego, odpowiedział, że w podobnym wypadku rozkazałby policji aresztować angielskie korpusy po wylądowaniu. I dzisiaj warunki są jeszcze ściśle takie same, o ile chodzi o angielską groźbę wobec Niemiec. W przeciwieństwie do tego dla Anglii potężna flota niemiecka (11) z jeszcze potężniejszą armią lądową za plecami jest niebezpieczeństwem realnym (12).

Odpowiedziałem, że najazd niemiecki istnieje tylko w wyobraźni Anglików. Nikt rozsądny nie myślał o tym w Niemczech (13). Niestety, budowa floty stała

(7) *NIE BYŁO rywalizacji! U nas istnieją ograniczenia ustawowe.*

(8) *Ob. rocznik „Nauticus", — posiadają już teraz trzykrotną.*

(9) *Takiego bezwstydnego języka nigdy jeszcze od Anglii nie słyszano, — nawet w czasach najostrzejszego naprężenia z ROSJĄ Z POWODU AFGANISTANU! Nigdy nie ośmieliła się ona żądać od Rosji wycofania swych wojsk z nad granicy lub zaprzestania wzmacniania swych garnizonów.*

(10) *?! Robili już to STALE!*

(11) *Nie będzie nigdy potężna w porównaniu z angielską! i znacznie mniej niebezpieczna niż JUŻ TERAZ przeważająca flota angielska jest dla nas.*

(12) *Po moim przemówieniu na ratuszu jest to zuchwalstwo pierwszej klasy!*

(13) *Zupełnie słusznie.*

się kosztowniejsza wobec wynalezienia „Dreadnoughtów" (13), wskutek czego Anglia straciła swoją olbrzymią przewagę, a inne narody zostały zmuszone do przyjęcia takiego samego wielkiego typu okrętów i wobec tego do ponoszenia związanych z tym wielkich wydatków. Ale *à qui la faute?* W ciągu ostatnich dni w Izbie Gmin toczyła się dyskusja nad wprowadzeniem jeszcze większego typu okrętów, pływających fortec. Dopóki angielska polityka obrony narodowej zmierza do stworzenia poczucia niepewności w Niemczech, sądzę, że redukcja zbrojeń na morzu nie może być brana pod uwagę (13). Sir Edward Grey powinien najpierwej doprowadzić do politycznej *détente* między obu państwami i swoją polityką w Europie Środkowej odbudować zaufanie w to, że jego Ententy nie będą pewnego poranku nadużyte przeciwko nam (14), i dopiero wówczas może być oczyszczone pole do możliwej dyskusji nad ograniczeniem zbrojeń morskich (15), a nie wcześniej. Pan Lloyd George, który brał żywy udział w dyskusji, o konstrukcjach morskich, odpowiedział, że zwolnienie tempa budowy naszej floty (16) przyczyniłoby się szybciej do uspokojenia opinii publicznej niż jakakolwiek akcja polityczna. Przekonalibyśmy się, że oni tutaj są jak najbardziej gotowi współdziałać z nami w ustaleniu uzgodnionej podstawy dla ograniczenia budowy floty po obu stro-

(14) *Bardzo dobrze.*

(15) *Błąd! Nie będziemy nad tym dyskutować! Nigdy nie pozwolimy dyktować sobie, do jakich rozmiarów mają być doprowadzone nasze zbrojenia*

(16) *NIE MAMY SZYBKIEGO TEMPA. Nie budujemy również TAJNYCH „DREADNOUGHTÓW" dla innych narodów, — które są potem KUPOWANE PRZEZ ANGLIĘ, — ani zamaskowanych, jako opancerzone krążowniki, które potem nagle okazują się okrętami liniowymi.*

nach (17). Wprowodzenie typu Dreadnoughtów — mówił Lloyd George — było wielkim błędem ze strony angielskiej. Rząd tutejszy dałby wszelkie możliwe gwarancje (18), że dojdziemy do porozumienia, o ile żadne nowe typy nie będą wprowadzone (19). Bardzo żałował, że korespondencja między Waszą Cesarską mością i lordem Tweedmouthem nie była we właściwym czasie ogłoszona. Z korespondencji tej społeczeństwo jasno poznałoby przyjazne uczucia Waszej Cesarskiej Mości dla Anglii Uważałby też list Waszej Cesarskiej mości za upoważnienie do wdrożenia konfidencjonalnej wymiany zdań z nami na temat wydatków morskich (20). Gdyby podówczas ponosił odpowiedzialność za finanse państwowe, to nastawałby w gabinecie na opublikowanie korespondencji (21). Konferencja haska nie jest właściwą drogą (22) do uzyskania redukcji wydatków morskich. Gdyby kiedyś miało do tego dojść, jak tego gorąco się spodziewa, to próba nie może mieć charakteru urzędowego, np. nie może polegać na wymianie not (23). Jeżeli porozumienie między nami i Anglią w tej sprawie jest w ogóle możliwe, to do pożądanego celu doprowadzić by mogła (25) raczej nieoficjalna rozmowa poufna, która w ogóle nie musiałaby być ujawniona (24).

Sir Edward Grey zgodził się ze swym kolegą, wyjąwszy tylko punkt w wywo-

(17) *T'ę niesłychaną propozycję ANGIELSKI minister powinien SKIEROWAĆ NAJPIERW DO ROOSVELTA, CLEMENCEAU'a, MIRABELLI, *) LUB DO JAPONII! ODPOWIEDZI byłyby czarujące! Dlaczego T Y L K O do N A S? Ponieważ przypuszczają, iż moja dyplomacja jest cherlacka i że można na nią oddziałać ich KRZYKAMI o wojnie.*

(18) *Nie potrzebujemy ich.*

(19) *My tak samo.*

(20) *Otrzymałby SLICZNĄ ODPOWIEDŹ ODE MNIE. Odszedłby z kwitkiem.*

(21) *Aha.*

(22) *Słusznie.*

(23) *Odpowiedziałbym im bombami.*

(24) *A N I G A D A N I A! Tak, żeby lud niemiecki nie powstał i nie powybijał cegłami szyb ministrom!*

(25) *Nie.*

*) Włoski minister marynarki.

dach ostatniego, dotyczący opublikowania we właściwym czasie korespondencji.

Powiedziałem panu Lloyd George'owi, że ma słuszność: że ani konferencja w Hadze ani tym mniej oficjalna propozycja w nocie (26) rządu angielskiego do niemieckiego nie rozwiązałaby sprawy ograniczenia wydatków na flotę wojenną (27). Że uważałbym jakiś gest oficjalny (28) w tym kierunku i w danych okolicznościach za nader wątpliwy (29), brzemienny w następstwa i niebezpieczny, ale poza tym nie uważałem za potrzebne zejść z bezpiecznej pozycji, którą zająłem, formułując moje żądanie: najpierwej polityka odbudowy zaufania, a potem — rozmowy o marynarce (30).

Donosząc o tej dyskusji, bardzo wiele rzeczy pominąłem i, chcąc się skracać, wspomniałem tylko o najważniejszych ustępach. Przygodne szczegóły przyczyniają się jednak do właściwego podmalowania całego obrazu. Aby uniknąć nieporozumienia, pozwalam sobie dodać na końcu następującą uwagę uzupełniającą:

Wasza Wysokość wie, że przez długi czas rząd angielski żywił życzenie dojścia z nami do porozumienia w sprawie wydatków morskich (31). Przed i podczas drugiej konferencji haskiej zrobiono w tym kierunku poronioną próbę. Jeżeli jestem dobrze poinformowany, to powstały już u nas obawy, że rząd angielski

(26) *Byłoby to wypowiedzenie wojny.*

(27) *Słusznie*

(28) *Uważalibyśmy to za wypowiedzenie wojny.*

(29) *STANOWCZO wojna.*

(30) *Nie! Nie będzie wcale rozmowy o tym!*

(31) *Ani gadania! Niech najpierw uzyskają to OD INNYCH, wielkich mocarstw!*

mógłby bądź sam bądź wraz z innymi rządami zwrócić się do nas z oficjalną propozycją ograniczenia naszego programu morskiego i że mogłoby stąd wyniknąć bezpośrednie niebezpieczeństwo wojenne (32). Mocno wierzę, że rząd obecny daleki jest (33) od tego, by w drodze jakiegokolwiek ultimatum postawić nas przed wyborem: ustąpić, czy zdecydować się na wojnę? Nie ma on zamiaru stawiać nam tego rodzaju pytań, będących pogróżką (34). Pragnie raczej zapobiec późniejszym możliwościom wojny przez zawarte na czas porozumienie. Jeżeli odrzucam czyjeś życzenie, to jeszcze nie muszę z tego powodu walczyć z nim natychmiast. Zachodzi to tylko wówczas, gdy przybiera on taką postawę, jakgdyby chciał zmusić mnie (36) do przyjęcia jego życzenia (35).

(32) *Tak.*

(33) *? ?*

(34) *W rozmowach ministrów tkwi już ukryta groźba! Niech pierwej zmierzą się z Ameryką! Jest ona znacznie silniejsza od nas!*

(35) *W naszym położeniu jest lepiej, żeby takie życzenie nie było wyrażone!*

(36) *Czyni to.*

Wobec obu ministrów uzależniłem spełnienie ich życzeń od warunku, którego wyjaśnienie leży w naszych rękach. Bez potrzeby zwęziłbym późniejsze możliwości i zaostrzyłbym położenie, gdybym dał im do zrozumienia, że nigdy i pod żadnymi warunkami nie zechcemy zawrzeć z nimi porozumienia w sprawie wydatków morskich.

Sir Edward Grey z pewnością nieprędko gotów będzie zapłacić nam za to taką cenę, o jakiej im wspomniałem.

(podpisano) P. Metternich.

Końcowe uwagi Kajzera:

Brawo Metternich! Wykonał swe zadanie bardzo dobrze, wyjąwszy tylko jeden punkt, bardzo ważny. Ambasador przeoczył, że nie było mu wolno nawet w sposób nieobowiązujący i nawet jako osobie prywatnej [? zgodzić się]*) z zuchwałym stanowiskiem ministrów angielskich, uzależniających swoją pokojowość od zmniejszenia naszych sił na morzu. Dzięki temu znalazł się na bardzo niebezpiecznej pochyłości. Przykro mi za niego z tego powodu. Trzeba mu wyjaśnić, że *nie* życzę sobie porozumienia z Anglią kosztem osłabienia floty niemieckiej.

Jeżeli Anglia pragnie tylko łaskawie wyciągnąć do nas rękę po to, aby nam wskazać, że powinniśmy zredukować naszą flotę, to byłoby to ostatnią bezczelnością, stanowiącą wielką obrazę dla ludu niemieckiego i jego cesarza i powinno być *a limine* odrzucone przez ambasadora! Takim samym prawem Francja i Rosja mogłyby w takim razie żądać od nas redukcji naszych sił lądowych. Z chwilą, gdy się pozwoli jakiemukolwiek obcemu mocarstwu pod jakimkolwiek bądź pozorem mieć coś do powiedzenia o naszych własnych zbrojeniach, trzeba wycofać się jak Portugalia i Hiszpania! Flota niemiecka nie jest budowana *przeciw* komukolwiek i również nie *przeciw* Anglii! Lecz odpowiednio do naszych potrzeb! Zostało to powiedziane zupełnie wyraźnie w Ustawie Morskiej i nie uległo zmianie w ciągu jedenastu lat!

---

*) Brak wyrazu w oryginale.

Ustawa ta jest wykonywana aż do ostatniego paragrafu: czy się to podoba lub nie podoba Brytyjczykom, to nas nie wzrusza. Jeżeli pragną wojny, to niechże *oni* ją *rozpoczną,* my się tego nie lękamy!

(podpisano) Wilhelm R. I.

A oto najważniejsze ustępy z raportu hrabiego Metternicha, wysłanego do Berlina o naszym drugim spotkaniu — z uwagami Kajzera na marginesie:

„...Tego samego dnia miałem długą dyskusję z kanclerzem skarbu p. Lloyd George'm... Wyjaśniłem mu, dlaczego kierunek polityki, uprawianej przez Anglię w ciągu ostatnich sześciu lat, musiał doprowadzić do obecnego niewesołego położenia: poprzednio po stronie trójprzymierza, a obecnie po stronie oponentów Rzeszy Niemieckiej. Marokko rzucone jako jabłko niezgody między Francją i Niemcami. Francja — ośmielona do idei rewanżu nadzieją na pomoc angielską. Polityka Ententy, jako bariera przeciwko rzekomej niemieckiej ekspansji i agresywności . Straszak szpiegostwa i strach przed najazdem. Przekręcanie intencyj niemieckich w publicystyce politycznej, szkalowanie pobudek polityki niemieckiej, przy czym nic się nie robi dla powstrzymania tego (1). Dzięki niczym nie krępowanemu zatruwaniu opinii publicznej, mówiłem, zostaliśmy postawieni mimowoli w niebezpiecznym położeniu i widzimy widmo wojny, wznoszące się na horyzoncie, — widmo, o którym i p. Lloyd George i ja jesteśmy

(1) *Bardzo dobre zestawienie.*

przekonani, że oba nasze rządy, podobnie jak oba nasze kraje, pragną je przepędzić (2).

(2) *Wcale tak nie myślę! Jeżeli Anglia pragnie wojny, niech ją rozpocznie, już my jej za to damy!*

Minister wykazał zrozumienie tego wszystkiego, ale tak samo jak każdy z jego rodaków widzi w zagadnieniu morskim centralny punkt stosunków angloniemieckich, wokół którego wszystko się obraca, a wszystkie inne wydarzenia są jego wynikiem... Anglia, powiedział, ma pieniądze i wytęży wszystkie siły, aby zachować swe panowanie na morzach (3). W miarę postępów wyścigu w budowie floty (4) naprężenie będzie nieodwołalnie wzrastało, a wraz z tym będzie się jednocześnie wzmagało niebezpieczeństwo starcia. W wyniku katastrofalnych zbrojeń(5) rozpiętość między obu marynarkami wciąż pozostanie wielka, i wcale nie zbliżymy się do naszego celu (6). Szlibyśmy tylko na rękę dwu tutejszym tendencjom, z którymi on walczył i które nie leżą wcale w naszym interesie. W miarę wzrostu wydatków na marynarkę w wyścigu między Anglią i Niemcami, trzeba będzie szukać nowych źródeł dochodu, wskutek czego wszystkie spojrzenia skierują się ku partii protekcjonistów, która obiecuje nowe dochody kosztem krajów cudzoziemskich bez dalszego obciążania Anglików... Następnie: im bardziej flota niemiecka pod względem swej siły zbliży się do angielskiej (7), tym bardziej wzmocni się przeświadczenie, że bezpieczeństwo Anglii nie polega już tylko na samej

(3) *NIKT nie chce tego kwestionować!*

(4) *Wcale go nie ma. Istnieje tylko w umysłach brytyjskich!*

(5) *! Nie dla nas!*

(6) *Ale to nie jest naszym celem.*

(7) *Absolutnie poza dyskusją i NIGDY NIE BYŁO zamierzone.*

flocie, lecz że Anglia musi stworzyć własną armię. Aby posiadać prawdziwie silną armię, istnieje tylko jeden sposób: pobór powszechny. Wraz z szybkim rozwojem floty niemieckiej wzrasta i niebezpieczeństwo inwazji, — chociaż on osobiście wcale nie wierzy w taką (8) intencję, — a wówczas Anglia będzie zmuszona wprowadzić powszechną służbę wojskową (9). Partia militarna i znaczna część konserwatystów tęsknią już za tym. W miarę narastania groźby niemieckiej przeważające masy ludności, które dotąd nie chciały wcale mieć do czynienia z poborem, byłyby dla niego zjednane (10)... Odpowiedziałem na to, że Niemcy mają do rozporządzenia dosyć środków, aby oprócz armii stworzyć nakazującą szacunek flotę... Nawet gdyby ciężar tego był wielki, byłoby to niezbędne z uwagi na sytuację międzynarodową. Co najmniej dziesięciu (11) lat usilnej pracy byłoby trzeba dla uzbrojenia kraju i dla stworzenia armii, zbliżonej do typu kontynentalnego. Gdybyśmy widzieli, że Anglia wprowadza system poboru z oczami, skierowanymi na Niemcy, w celu zawarcia sojuszu z Francją, to nie sądzę, żebyśmy cierpliwie czekali na zakończenie tego procesu (12)... Pan Lloyd George wrócił wówczas do swej ulubionej idei zahamowania tempa budowy okrętów wojennych (13) i wzywał mnie uroczyście do tego, aby skorzystać z okresu, gdy u steru stoi miłujący pokój rząd liberalny... Zważywszy,

(8) *! !*

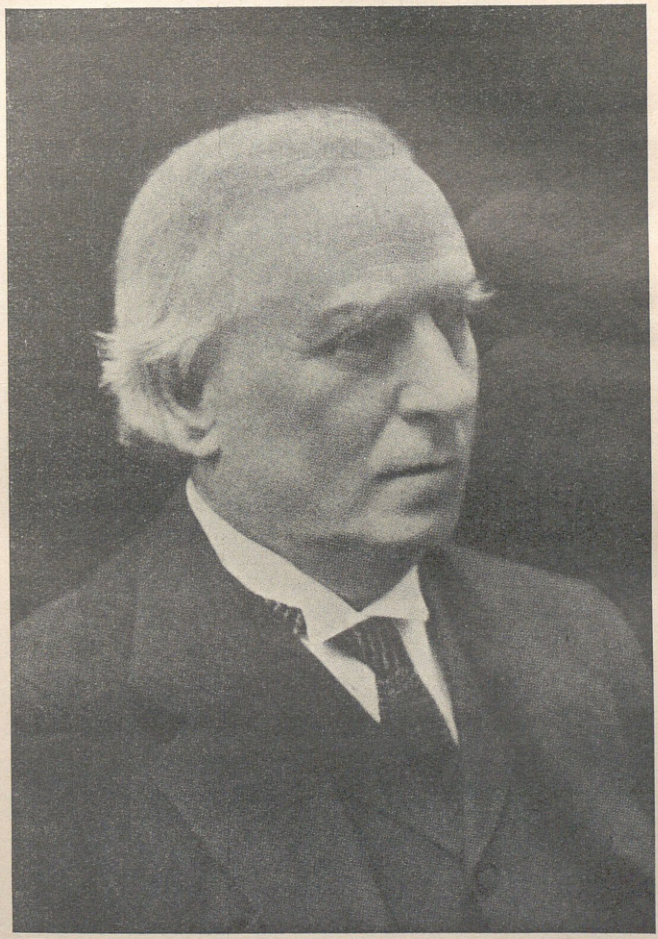
(9) *To by im dobrze zrobiło.*

(10) *Tant mieux.*

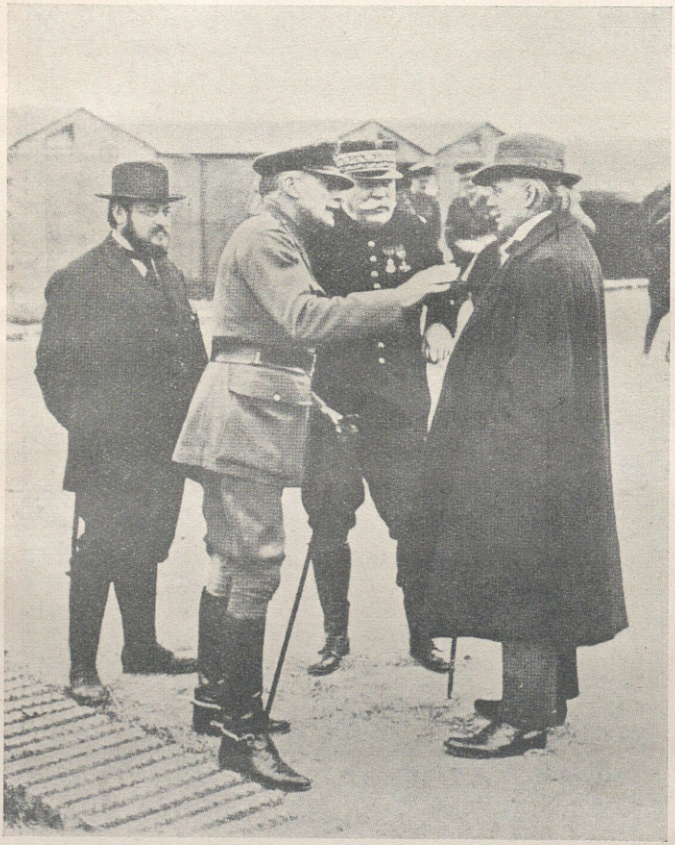
(11) *Sancta simplicitas! 50!*

(12) *Bylibyśmy CAŁKOWICIE obojętni.*

(13) *TO jest niesłychane! i to jest następstwo tego, że Metternich wogóle zgadzał się mówić o tym pomyśle.*



Henry Asquith, premier W. Brytanii w latach 1908—1916.



Albert Thomas, gen. Douglas Haig, gen. Joffre i Lloyd George
w czasie inspekcji frontu nad Sommą.

o ile większe znaczenie posiada flota dla Anglii niż dla Niemiec, flota angielska zawsze musiałaby być znacznie silniejsza od naszej, aby mogła dawać to poczucie bezpieczeństwa, którego wymaga od niej Anglia, i jednocześnie dosyć potężna, aby powściągnąć u nas wszelkie frywolne pomysły napadu na nią (14). Jednakowoż i flota niemiecka musiałaby być dostatecznie silna, aby zapewnić należytą ochronę naszych interesów zamorskich i zarazem, żeby mogła wpoić flocie angielskiej — pomimo jej nieodzownej przewagi — poczucie, że szukanie zaczepki z nami byłoby rzeczą ryzykowną (15). Lloyd George sądzi, że stosunek siły 2:3 ustalałby właściwą równowagę (16) na morzu między nami. Nie mógł się przy tym powołać na autorytet rządu angielskiego i formułował tylko swe własne poglądy. Był jednak pewien, że ze strony liberalnego gabinetu spotkamy się z najprzyjaźniejszą odpowiedzią (17), gdybyśmy byli skłonni poddać dyskusji zahamowanie tempa budowy okrętów (18). Gdybyśmy nawet zgodzili się budować co roku o jeden dreadnought mniej, to już i to spowodowałoby zupełną zmianę w nastrojach angielskich wobec nas (19)..."

(14) *Jest to język, stosowany dotąd TYLKO do typków, jak Chiny albo Włochy! To niesłychane!*

(15) *Tak daleko jeszcze nie jesteśmy.*

(16) *! !*

(17) *Bluff!*

(18) *Nie! Po trzykroć nie. Po tym, co wyżej powiedziano, — NIGDY!*

(19) *Banialuki!*

Powyższe urywki dają zupełnie dobry obraz mojej dyskusji z Metternichem. W jaki sposób oddziałał na Kajzera cały raport, a zwłaszcza moja niesłychana impertynencja, która pozwoliła mi — wszystko jedno w jakim celu i z jakichkolwiek względów — poddać myśl, że możliwa byłaby zgoda na

ograniczenie floty niemieckiej, — to najlepiej widać z jego uwagi końcowej do raportu, którą tłomaczę w całości:

„Tego rodzaju konwersacje, jakie były prowadzone między Lloyd George'm i Metternichem, są całkowicie niegodne i prowokacyjne w stosunku do Niemiec! Muszę go prosić, aby na przyszłość nie miał nic do czynienia z tego rodzaju plwocinami. Znosił ,jako słuchacz, bardzo cierpliwie poglądy i wskazówki angielskiego męża stanu, i zdobywał się tylko na protesty, nie mające żadnego znaczenia. Powinien był odpowiedzieć tym dżentelmenom, *którzy nie chcą widzieć realizacji naszych lekkomyślnych pomysłów zaatakowania ich,* coś w rodzaju: Idźcie do diabła, i t. p. To otrzeźwiłoby tę kompanię. Że Lloyd George ośmielił się nawet dawać wskazówki, określające tempo n a s z e g o budownictwa, to przekracza wszelkie granice, ale jest wynikiem tego, że Metternich zeszedł w pierwszej rozmowie na niebezpieczną ścieżkę, dopuszczając, że *ta możliwość nie jest wykluczona.* Sprytni Brytowie spróbowali złapać go na wędkę i wcześniej albo później szarpną za sznurek i wyciągną go. Pomimo „prywatnej rozmowy", „nieobowiązującego charakteru wyrażanych opinii" i t. p.! Powinien był *ab ovo* odrzucić wszystko, poprzestając na tego rodzaju uwagach, jak np.: „Żaden kraj nie pozwala dyktować sobie ani przyjmować pouczeń od jakiegokolwiek cudzoziemskiego kraju o rozmiarach i jakości swych zbrojeń", „Odmawiam rozmowy na taki temat". Co do reszty, — niech sobie przeczytają Ustawę Morską, znaną już od lat jedenastu, — oraz Nauticusa!

Metternich powinien dać tego rodzaju fanatykom klapsa w —; jest zbyt miękki!"

Incydent ze śniadaniem miał jeszcze ciąg dalszy, o którym podówczas nie byłem powiadomiony i o którym dowie-

działem się dopiero niedawno po przejrzeniu niemieckich aktów dyplomatycznych.

W okresie mych spotkań z Metternichem zamierzałem udać się do Niemiec w sierpniu r. 1908 dla zaznajomienia się na miejscu z niemieckim systemem ubezpieczeń robotniczych, miałem bowiem zamiar opracować mój własny projekt ubezpieczenia od choroby i od bezrobocia u nas w kraju. Donosząc o tym do Berlina, Metternich domagał się przyjęcia mnie tam z najwyższymi względami, gdyż, jak twierdził, jestem „jedną z najwybitniejszych osobistości w Anglii oraz człowiekiem, który według wszelkiego prawdopodobieństwa pewnego dnia będzie upatrzony na szefa rządu liberalnego". Uwzględniając to, Kajzer zarządził, że mam być zaproszony do niego na audiencję. W międzyczasie jednak Metternich został pośpiesznie wezwany przez kanclerza Rzeszy, von Buelowa, który udzielił mu nagany za nieostrożną rozmowę ze mną. Von Buelow został widocznie ostrzeżony, że napewno poruszę na audiencji u Jego Cesarskiej Mości sprawę zbrojeń morskich, a jeżeli Wilhelm zrobi wobec mnie jakąś uwagę w rodzaju tych, jakie wypisał na raporcie Metternicha, to mógłby powstać ciężki wypadek *lèse Majesté*. Dwór został o tym niezwłocznie powiadomiony, i nigdy nie otrzymałem zaproszenia, którego Kajzer sobie życzył.

Udało mi się natomiast uzyskać spotkanie z wicekanclerzem, von Bethmann-Hollwegiem, który był podówczas w Berlinie. Podlegały mu wtedy kasy chorych, i wobec tego był świetnie obznajmiony z ich działalnością. Jego pomoc przy zaznajamianiu się z tą sprawą była mi bardzo użyteczna. Był tak uprzejmy, że zaprosił mnie i całe moje towarzystwo na wielkie przyjęcie, wydane przezeń w Ogrodzie Zoologicznym.

Von Bethmann-Hollweg był osobistością pociągającą, ale nie uderzającą. Wydał mi się inteligentnym, pracowitym i wybitnie rozsądnym urzędnikiem, ale nie pozostawił w moim umyśle wrażenia człowieka potężnego, który pewne-

go dnia mógłby wpłynąć na losy przeznaczenia. Wydał dla nas dobry obiad, a na jego zakończenie zaczęto obnosić dokoła wielkie kufle piwa, po czym von Bethmann-Hollweg stał się rozmowny i zaczepny.

Zapuścił się w dyskusję nad sytuacją europejską i był bardzo rozgoryczony tym, co uważał za „okrążanie Niemiec żelaznym pierścieniem przez Francję, Rosję i Anglię". Zrobiłem co mogłem, aby go upewnić, że o ile chodzi o Anglię, to nie ma tam najsłabszej chęci uczestniczenia w jakichś wrogich względem Niemiec kombinacjach, i że pragniemy tylko żyć w spokoju i dobrym sąsiedztwie z tym wielkim państwem. Oświadczyłem mu jednak, że Anglia odczuwa istotny niepokój z powodu wzrostu marynarki niemieckiej, gdyż uważa, że zwraca się to wprost przeciw jej najżywotniejszym interesom Powtórzyłem mu wszystko, co mówiłem Metternichowi, że samo nasze istnienie, jako wyspiarzy, jest całkowicie uzależnione od morza. Bethmann nie był wielkim entuzjastą floty niemieckiej, i zauważyłem, że nie popierał programu budowy okrętów, który mógłby być uważany za groźbę dla Wielkiej Brytanii. Ale zrobił wszystko, aby mnie przekonać, że naród niemiecki wcale nie pragnie napadać na Anglię. Wrażenie, które pozostawił w moim umyśle, było takie, że Niemcy urzędowe obawiają się naprawdę *rapprochement* między Francją i Anglią oraz Anglią i Rosją. Bardzo wcześnie zapanowało w tych sferach przekonanie ,że król Edward organizuje konferencje z wrogimi wobec Rzeszy Niemieckiej zamiarami. Króla uważano tam za zatwardziałego wroga potęgi niemieckiej.

Doprowadziło to do niezwykłego wybuchu w toku naszej rozmowy, gdy Bethmann wrócił do tematu wzrastającej wrogości Anglii, Francji i Rosji wobec Niemiec i do „żelaznego pierścienia", którym chcą je zadusić. „Żelazny pierścień"! powtarzał gwałtownie, wykrzykując te wyrazy i wymachując ręką wobec całego zebranego towarzystwa. „Anglia

czuli się z Francją. Przyjaźni się z Rosją. Ale nie znaczy to, że się nawzajem kochacie. Znaczy to, że nienawidzicie Niemiec!" Słowo „nienawidzicie" powtarzał i dosłownie wykrzykiwał trzykrotnie. Bardzo się podniecił i z pewnością stracił nad sobą panowanie, gdyż doszedł do tego, że ujawnił nawet wyraźną niechęć do Bawarii, przeciwstawiając flegmatyczną postawę Bawarii przywiązaniu wschodnich prowincji oraz Prus i Berlina do cesarza i ich gotowości — umrzeć na jedno jego skinienie.

Mimochodem Bethmann rzucił snop światła na to, co przeciętny Niemiec myślał o dekadencji Anglii. Był on najwidoczniej przeświadczony, że przestaliśmy już być ciężko pracującym narodem. Sądził, że zbyt cenimy swoją wygodę i że jesteśmy narodem „week-enderów". Opisał rozkład zajęć swojego dnia: jak wstaje o siódmej rano i pracuje do ósmej; potem do dziewiątej zażywa przejażdżki konnej; potem je śniadanie; potem zabiera się znowu do prac bieżących, pracując prawie aż do obiadu — ten tryb życia prowadzi cały tydzień. „Wy w Anglii, mówił, zabieracie się do pracy o jedenastej; potem tracicie długą godzinę na drugie śniadanie; przerywacie pracę o czwartej; we czwartek wyjeżdżacie na wieś i pozostajecie tam aż do wtorku rano i to nazywacie zakończeniem tygodnia!"

Prawda, że było to mówione po obiedzie! Ale wcale nie jestem pewien, czy ta rewelacja przedwojennego poglądu kontynentalnego na zwyrodnienie angielskie nie miała czegoś wspólnego z tym pogardliwym stosunkiem, z jakim militaryzm niemiecki traktował później możliwość naszej interwencji. Przypuszczano powszechnie, że szpik w kościach angielskich uległ rozmiękczeniu i rozkładowi wskutek dobrobytu. Nędzne widowisko, dane przez nas w czasie wojny z Boerami, potwierdzało ten pogląd.

Było to tym znamienniejsze, że osobista postawa Bethmanna wobec Anglii i Anglików była nader przyjazna, a wy-

rażało się to nie tylko w słowach, gdyż syna swego wysłał do Oxfordu. Był przekonany, że pracownik niemiecki jest lepszy od ngielskiego, że uczeni niemieccy pod względem swego poziomu i liczebności stoją znacznie wyżej od nieznacznej garstki uczonych angielskich. Z drugiej strony zdaje się, że stawiał angielskie klasy średnie i wyższe ponad odpowiednie sfery niemieckie. Wyższość robotników niemieckich tłomaczył tym, że za młodu przechodzą surowy wojskowy trening posłuszeństwa, co przyucza ich do dyscypliny i ciągłości pracy.

Wyjechałem z Berlina pod ciężkim wrażeniem nieufności i podejrzliwości, na jaką natknąłem się nawet u tak dostojnych i przyjaznych gospodarzy. Wydawało mi się, że jest to złowieszczo znamienne dla powszechnych poglądów miarodajnych podówczas kół niemieckich.

Równie głębokie choć zupełnie odmienne wrażenie wywarła na mnie scena, której świadkiem byłem podczas tej samej podróży w Sztutgarcie. Po naszym przybyciu dowiedzieliśmy się, że właśnie ma się odbyć pokazowy lot „Zeppelina". Udaliśmy się na plac, gdzie był zakotwiczony olbrzymi okręt powietrzny, tylko po to, aby się dowiedzieć, że z powodu wypadku w ostatniej chwili uległ on rozbiciu. Oczywiście było nam z tego powodu przykro, ale przykrość jest słowem całkowicie nieodpowiednim dla tego śmiertelnego zmartwienia i przygnębienia, jakie ogarnęło zgromadzonych masowo Niemców będących świadkami katastrofy. Ofiar ludzkich nie było, więc przyczyną musiało być co innego. Miało się wrażenie, że katastrofa sterowca dotyczyła zarazem planów i ambicji o wiele rozleglejszych niż te, które wiązały się z sukcesem naukowym i mechanicznym. W pewnej chwili tłum w fanatycznym uniesieniu patriotycznym pogrążył się w śpiewie „Deutschland über alles". Ten statek symbolizował zatem jakąś ekspansję imperialną? Te incydenty były jakby szczelinami na spokojnej powierzchni, przez które można było dojrzeć gorącą aż do wrzenia lawę, kłębiącą się w głębi.

Po tych dorywczych rzutach oka na problemy naszej polityki zagranicznej zagłębiłem się znowu na szereg lat w wytężonych pracach, dotyczących naszych zagadnień domowych. Zrozumiałem jednak, że istnieje rosnąca wciąż groźba dla pokoju na zewnątrz i dla porządku społecznego wewnątrz kraju, i że musimy wytężyć nasze siły, aby zapobiec jej środkami pokojowymi, chociaż zdawałem sobie sprawę, że nie możemy na stałe wykluczać z naszych rachub możliwości bankructwa tych metod.

Rząd, jako całość, nie zajmował się polityką zagraniczną.

W ciągu ośmiu lat, poprzedzających wojnę, gabinet poświęcał śmiesznie małą część swego czasu omawianiu spraw zagranicznych. Częściowo — ale nie całkowicie — było to spowodowane warunkami politycznymi, w jakich pracowaliśmy. Rządy i parlamenty z okresu 1906—1914 pochłonięte były szeregiem spornych spraw wewnętrznych, z których każda budziła silniejsze namiętności, niż jakikolwiek spór pomiędzy rywalizującymi partiami politycznymi w całym zasięgu pamięci obecnego pokolenia. Wychowanie, abstynencja, opodatkowanie własności ziemskiej, grożące najpoważniejszym kryzysem od czasu Ustawy o Reformie Wyborczej, Home Rule dla Irlandii, Ustawa ograniczająca prawa Izby Lordów, sekularyzacja kościoła w Walii: wszystko to poruszało nieskończoną mnogość interesów, uczuć i namiętności ludzkich, a walki pomiędzy zwolennikami i przeciwnikami różnych rozwiązań były tak zaciekłe, że ok. r. 1913 kraj stał niemal w przededniu wojny domowej.

Rozumie się, że niektóre dziedziny polityki zagranicznej były dobrze znane tym ministrom, którzy należeli do Komitetu Obrony Imperialnej, ale poza tym rząd, jako całość, nigdy nie był wzywany do istotnego wypowiadania swego zda-

nia o podstawowych zagadnieniach polityki zagranicznej. Wskutek powściągliwości i tajemniczości Ministerstwa Spraw Zagranicznych trzy czwarte członków gabinetu w praktyce nie miało żadnych szans brania jakiegokolwiek istotnego udziału w rozstrzyganiu bieżących zagadnień, które trawiły podówczas Europę, a wkrótce doprowadzić miały do eksplozji, omal nie druzgocząc całej cywilizacji światowej. W ciągu ośmiu lat, w trakcie których byłem członkiem gabinetu, nie mogę przypomnieć sobie ani jednego przeglądu sytuacji europejskiej, podobnego do tego, co Sir Edward Grey powiedział na Konferencji Kolonialnej w roku 1907 lub na Komitecie Obrony Imperialnej w obecności premierów dominialnych w r. 1911. Nawet i wówczas zresztą informacje przemilczane były ważniejsze od udzielonych. Tak np. nie powiedziano wówczas nic o naszych zobowiązaniach wojskowychł W gabinecie panował nastrój: „cicho, sza" wobec jakiegokolwiek napomknienia o naszych stosunkach z Francją, Rosją i Niemcami. Na bezpośrednie pytania udzielano uprzejmych odpowiedzi, ale nie zachęcano do nich. Dawano nam odczuć, że w tej dziedzinie podnosimy świętokradzką rękę na tajemnicę, i że jesteśmy zbyt niedoświadczonymi nowicjuszami, aby można było myśleć o dopuszczeniu nas do sanktuarium, dostępnego tylko dla wybranych. Ograniczaliśmy więc naszą ciekawość i nasze rady do spraw bardziej jawnych, w których — jako opozycja — braliśmy żywy udział przez cały czas naszej kariery politycznej. Dyskusje nad sprawami zagranicznymi, o ile można to nazwać dyskusjami, toczyły się tylko w kole starszych mężów stanu, którzy mieli za sobą służbę w różnych poprzednich ministerstwach. I, coprawda, nie mieliśmy chyba kwalifikacji do wyrażania jakichkolwiek poglądów w tak ważnych zagadnieniach, gdyż nie korzystaliśmy z przywileju lepszej znajomości podstawowych faktów niż ta, którą zwykły czytelnik gazet mógł wydobyć ze swych dzienników porannych. Przypominam sobie, że lord Northcliffe, zaproszony na obiad przez lorda Birkenheada dla spotkania się z kilku członkami

liberalnego gabinetu, oświadczył nam z całym cynizmem, że wydawca wielkiej gazety londyńskiej jest lepiej poinformowany o tym, co się dzieje w stolicach świata, niż którykolwiek z ministrów. Twierdził, że wszystkie otrzymywane przez nas wiadomości są troskliwie filtrowane. Mógł pójść dalej i powiedzieć, że często wiadomości, niezbędne dla wyrobienia sobie zdrowego sądu, były świadomie ukrywane. Gdy ktoś po raz pierwszy obejmuje urząd ministra, nic nie napawa go takim poczuciem własnego znaczenia, jak pękata teczka skórzana ze specjalnie skonstruowanym kluczykiem, nadsyłana mu co wieczór pod każdym adresem, który wskaże. Możnaby przypuszczać, że teczka ta zawiera niesłychanie poufne i doniosłe informacje o wszystkim, co się dzieje na Dworach i w kancelariach całego świata. W rzeczywistości zaś są to najniewinniejsze depesze od naszych przedstawicieli ze wszystkich małych i wielkich krajów cudzoziemskich. Nie ma tu ani jednej depeszy, zawierającej cokolwiek, czego nie mogliby przeczytać kanceliści ministerialni, którzy te dokumenty kopiowali, maszynistki, które je przepisywały i liczni sekretarze prywatni, posiadający dostęp do tych powielonych odbitek, — i to bez żadnego niebezpieczeństwa że ktokolwiek z nich może popełnić niedyskrecję i w ten sposób zepsuć nasze stosunki z najbłahszym nawet królestwem lub republiką na świecie. Wszystko natomiast, co ma jakieś znaczenie, zawarte jest w prywatnych i poufnych listach naszych przedstawicieli zagranicznych do ministra spraw zagranicznych osobiście, w jego prywatnych i nieogłaszanych odpowiedziach i w rozmowach, prowadzonych z ambasadorami w ministerstwie na Downing Street. Takie samo, lub może nawet jeszcze większe znaczenie miały tajne porozumienia między wojskowymi i morskimi sztabami Anglii, Francji i Rosji co do udziału odnośnych sił zbrojnych na wypadek wojny z Niemcami. Żadna z tych doniosłych wiadomości nie była zakomunikowana gabinetowi, wszystkie były one kierowane do premiera i być może do dwóch lub trzech ministrów. My zaś, pozostali ministrowie,

byliśmy utrzymywani w niewiedzy i nie mogliśmy wyrobić sobie zdania o sytuacji międzynarodowej.

Najjaskrawszym przykładem tego ukrywania najdonioślejszych wiadomości jest zatajenie przed nami w ciągu sześciu lat układów wojskowych, zawartych z Francją. Do mojej wiadomości doszły one dopiero w r. 1911 w związku z zatargiem o Agadir, ale cały rząd dowiedział się o nich dopiero o rok później. Jest wiele dowodów, że zarówno Francuzi jak Rosjanie uważali te układy za równoznaczne z naszym zobowiązaniem do przyjścia Francji z pomocą w razie napaści na nią ze strony Niemiec. Gdy rząd angielski w ostatnich dniach lipca r. 1914 wahał się, czy powinien podtrzymać Francję w razie napaści niemieckiej, — francuscy mężowie stanu omal że powrócili znowu do dawnej koncepcji „perfidnego Albionu". Nawet dobroduszny Paul Cambon powiedział, że chodzi tylko o to, czy słowo „honor" ma być wykreślone ze słownika angielskiego. Na ogół biorąc, pogląd, wyrażony w tej uwadze, streszcza w sobie stanowisko, z którym spotykałem się prawie u wszystkich zwolenników i przeciwników naszego wmieszania się do Wielkiej Wojny. A jednak gabinet nie był nigdy powiadomiony o tych doniosłych umowach — aż póki nie zabrnęliśmy tak głęboko w szczegóły planów wojskowych i morskich, że już było za późno na odrzucanie konsekwencyj Wszelka próba sprostowania wrażenia, wywołanego w umysłach naszych sojuszników, stworzyłaby nową sytuację, doprowadzając powtórnie — i tym razem w zaostrzonej postaci — do niemiłych stosunków z Francją, którym kres położył właśnie układ Landsdowne'a z r. 1904. W roku 1906 zarówno Campbell-Bannerman jak Asquith wyrażali wielkie wątpliwości co do sposobu prowadzenia tych rozmów. Zgodzili się w końcu na kontynuowanie tego kursu pod naciskiem Sir Edwarda Greya i lorda Haldane'a. Gdy w roku 1912 (t. j. w sześć lat po fakcie dokonanym) Grey zakomunikował gabinetowi o tych rokowaniach i porozumieniach, większość ministrów była przerażona. Słowo „wrogość" niedostatecznie od-

daje wrażenie, wywołane przez te rewelacje: było to raczej coś podobnego do konsternacji. Sir Edward Grey do pewnego stopnia uśmierzył obawy swych kolegów, uroczyście zapewniając, że w razie wojny pozostawiają nam one swobodę decyzji co do naszego udziału w konflikcie. Również i premier użył swego wielkiego autorytetu, jaki posiadał w gabinecie, dla osiągnięcia tego samego celu. Pomimo tych zapewnień niektórzy ministrowie nie pogodzili się z akcją, przedsięwziętą przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych, Ministerstwo Wojny i Admiralicję, i zaciągnięte zobowiązania z pewnością przyczyniły się w znacznym stopniu do zrodzenia podejrzeń, które tak bardzo utrudniły Grey'owi osiągnięcie jednomyślności w roku 1914.

Ja osobiście gotów byłem uwierzyć zapewnieniom ministra, że nie jesteśmy związani żadną obietnicą. W przeświadczeniu, że nie udzieliliśmy żadnych określonych przyrzeczeń pomocy wojskowej Francji w jej sporach z Niemcami, umocniły mnie zebrania Komitetu Obrony Imperialnej podczas zatargu o Agadir. Sir Henry Wilson przy pomocy wielkiej mapy przedstawił nam wówczas całokształt naszych układów, zawartych z francuskim Ministerstwem Spraw Zagranicznych; były one uzależnione od niemieckiej napaści na Belgię i od przemarszu niemieckich korpusów przez ten kraj dla zaatakowania Francji. W tym wypadku nasze wojska ekspedycyjne miały być wysłane na granicę Belgii wzdłuż kolei francuskich, aby udzielić wszelkiej pomocy armii, broniącej kraju przed najazdem. Nigdy nie wątpiłem, że jeśli Niemcy zagrożą całości i niepodległości Belgii, nasz honor wymagać będzie wykonania naszych zobowiązań traktatowych wobec tego kraju.

KATASTROFA

Niespodziewane pogrążenie się w odmętach wojny.

Jak to się stało, że świat tak nieoczekiwanie został pogrążony w tym straszliwym konflikcie? Kto był za to odpowiedzialny? Nawet najprzenikliwszy i najbardziej dalekowzroczny mąż stanu nie przewidywał na początku lata r. 1914, że jesień ujrzy narody zaangażowane w najstraszniejszym konflikcie, jaki widziały dzieje ludzkości. Jeżeli zaś zwrócimy się do zwykłych mężczyzn i kobiet, zajętych swą codzienną pracą, to we wszystkich krajach nie było nikogo, ktoby podejrzewał bliskość takiej katastrofy. Narody ześlizgnęły się do wrzącego krateru wojny nagle, bez najmniejszego ostrzeżenia.

Gdy po raz pierwszy usłyszałem o zamordowaniu arcyksięcia Ferdynanda, poczułem że stało się coś, co może pociągnąć poważne konsekwencje, i że tylko przy pomocy bardzo zręcznego i bardzo zdecydowanego postępowania można będzie zapobiec powikłaniom, groźnym dla ludzkości. Ale moje obawy osłabły wkrótce wobec zupełnego spokoju, z jakim szefowie rządów i dyplomaci zdawali się traktować to wydarzenie. Kajzer wyjechał na swą zwykłą wycieczkę wakacyjną na Fiordy norweskie. Jego pierwszy minister udał się na zwykłe polowanie do swoich posiadłości na Śląsku. Urzędujący szef niemieckiego urzędu zagranicznego wyjechał w podróż poślubną. Jeszcze bardziej uspokajające było to, że i wojskowy szef armii niemieckiej, von Moltke, wyjechał na ku-

rację do jednego z uzdrowisk zagranicznych. Prezydent republiki francuskiej wraz ze swym premierem udali się z ceremonialną wizytą do Rosji i wrócili do Paryża dopiero 29 lipca. Nasz urząd zagraniczny zachował swój zwykły spokój i nie uważał za potrzebne alarmować nawet gabinetu ministrów. Przypominam sobie, że jakoś w lipcu odwiedziła mnie na Downing Street pewna dama węgierska, której nazwisko wypadło mi z pamięci, i przestrzegała mnie, że o wiele za spokojnie traktujemy zabójstwo arcyksięcia. Zabójstwo to wywołało prawdziwą burzę w całym cesarstwie austriackim, i jeżeli nie zrobi się natychmiast czegoś w celu zadośćuczynienia i uśmierzenia obrażonych uczuć, to z pewnością wyniknie stąd wojna z Serbią wraz ze wszystkimi nieobliczalnymi następstwami, jakie to może wywołać w Europie. Wszystkie jednak raporty oficjalne, które dochodziły do naszych rąk, nie usprawiedliwiały tego pesymizmu.

Nie mogę sobie przypomnieć ani jednej dyskusji na ten temat w gabinecie ministrów aż do piątku wieczorem, w przededniu samego wypowiedzenia wojny przez Niemcy. Znacznie bardziej byliśmy zajęci grożącym wybuchem wojny domowej w Irlandii Północnej. Wytworzona tam sytuacja pochłaniała nasze umysły i stanowiła główny temat przeważnej części naszych obrad. P. Churchill przypomina, że również i tego piątku, 24 lipca, zeszliśmy się w pokoju premiera w Izbie Gmin, aby jeszcze raz omówić kryzys irlandzki, który z każdym dniem stawał się coraz groźniejszy. Po zakończonych obradach podnieśliśmy się, żeby odejść, lecz minister spraw zagranicznych poprosił nas, żebyśmy zatrzymali się jeszcze na parę minut, gdyż ma nam coś do zakomunikowania o położeniu w Europie. Gdy zajęliśmy znów nasze miejsca, powiedział nam po raz pierwszy, że uważa sytuację za bardzo groźną, ale ma nadzieję, że rozmowy, prowadzone między Austrią i Rosją, mogą doprowadzić do pokojowego załatwienia sporu. Z tym zapewnieniem rozeszliśmy się. W sobotę Sir Edward

Grey pojechał łowić ryby w Hampshire, a wszyscy pozostali ministrowie poszli za jego przykładem i porozjeżdżali się na week-end. W niedzielę nadeszła wiadomość o wylądowaniu zbrojnych oddziałów nacjonalistycznych w Howth pod Dublinem i o starciu z oddziałami wojskowymi. Podniecenie, wywołane przez ten incydent, przesłoniło na jakiś czas sytuację na kontynencie. O tej samej godzinie Izwolski, rosyjski ambasador w Paryżu, przebywający podówczas w Petersburgu, oraz p. Paléologue, francuski ambasador w Rosji, powiedzieli sobie: „Tym razem — to już wojna". Nieco zaś później, tej samej niedzieli, rosyjski minister spraw zagranicznych, Sazonow, złożył takie samo oświadczenie panu Paléologue, dodają: „To zbyt okropne, by móc o tym myśleć". Pan Harold Nicolson w biografii swego ojca, nieboszczyka lorda Carnocka, stałego wiceministra do spraw zagranicznych, opowiada, że jego ojciec był tak zaalarmowany sytuacją europejską w tę niedzielę, że przedsięwziął natychmiast kroki w celu ściągnięcia Sir Edwarda Grey'a z powrotem do Londynu. Austria wypowiedziała Serbii wojnę w dwa dni potem, a Niemcy Rosji — w pięć dni potem.

Nawet i wówczas jeszcze nie spotkałem ani jednego odpowiedzialnego ministra, któryby nie był przekonany, że groźba wielkiej wojny europejskiej będzie w ten czy inny sposób zażegnana.

Nikt nie pragnął wojny.

Spoglądając wstecz na wypadki tych kilku dni, tak bogatych w wydarzenia, odczuwa się to jak wspomnienie jakiegoś koszmaru. Przeczytałem większą część literatury, usiłującej wyjaśnić dlaczego narody poszły na wojnę i kto jest za to odpowiedzialny, — ale w umyśle moim pozostało wrażenie kompletnego chaosu, zamieszania, słabości i małoduszności, prze-

jawiającej się przede wszystkim w niechęci dostrzegania nadciągającego kataklizmu. Dziś jasno już widać, że między mężami stanu i szefami rządów, którzy jedyni mogli dać ostateczny sygnał, powołujący do życia armie, i rzucić je poprzez granice, — nie było nikogo, kto chciałby wojny, przynajmniej wojny w takich rozmiarach. Możliwym wyjątkiem jest niemądry Berchtold, austriacki premier, którego trzeba obciążyć główną odpowiedzialnością osobistą za przeważającą część tego co się stało*) Co do pozostałych — wszyscy oni wzdrygali się przed perspektywą wojny.

Najmniej pragnął wojny europejskiej stary Franciszek-Józef; daleki był również od myśli o niej chełpliwy kajzer. Słaby i prostoduszny ale szczery car rosyjski napewno nie chciał wojny. Jego główny doradca urzędowy, Sazonow, okazywał istny lęk przed wielką wojną, a w najbliższym otoczeniu cara nawet Rasputin przestrzegał dwór przed niebezpieczeństwem dla dynastii, mogącym wyniknąć z uwikłania się Rosji w wielki konflikt z potężnymi sąsiadami.

Miarodajne koła niemieckie i austriackie miały ogromną chętkę na małą wojenkę przeciwko słabemu sąsiadowi, któ-

---

*) Że Berchtold był przygotowany przy forsowaniu swych projektów na rozpętanie w razie potrzeby wojny europejskiej — tego dowodzi jego depesza z d. 25 lipca r. 1914 do austriackiego ambasadora w Petersburgu, gdzie daje mu następujące instrukcje:

„...Gdy Wasza Ekscelencja dojdzie do tego punktu w rozmowie swej z panem Sazonowem, nadejdzie dobra sposobność do stwierdzenia, z powołaniem się na nasze motywy i intencje, że nie dążymy — jak to Wasza Ekscelencja może już teraz wyjaśnić — do zdobyczy terytorialnych i nie zamierzamy naruszyć suwerenności Królestwa (Serbii), ale że z drugiej strony zastosujemy ostateczne środki dla przeprowadzenia naszych żądań *i nie cofniemy się nawet przed możliwością komplikacyj europejskich*".

(Podkreślenia moje).

ry — gdyby pozostał osamotniony — byłby szybko i łatwo pokonany. Wojna skończyłaby się prędko, autorytet Austrii byłby odbudowany przez tę demonstrację niezwyciężonej siły, a Niemcy dowiodłyby jeszcze raz, że są gospodarzem Europy i niewątpliwym arbitrem jej losów. Ale ostatnią rzeczą, której mógł pragnąć którykolwiek z tamtejszych polityków i szefów rządu — byłby wielki pożar, ogarniający cały kontynent. Ci którzy decydowali o losach państw centralnych czuli tylko, że muszą wypalić „gniazdo os", jak nazywali Serbię, ale prawdopodobnie nie zdawali sobie z tego sprawy, że trawa na przestrzeni całej Europy czekała już podówczas tylko na iskrę. Znikąd też nie rozległ się skuteczny głos ostrzegawczy: nie było żadnej wybitnej osobistości, zdolnej narzucić posłuch lub wskazać nadające się do przyjęcia przez wszystkich wyjście z chaosu. Świat okazał się wyjątkowo upośledzony, jeżeli chodzi o kwalifikacje jego doradców w tej straszliwej chwili. Gdyby w Niemczech żył podówczas Bismarck, w Anglii — Palmerston albo Disraeli, gdyby w Ameryce rządził Roosevelt, a w Paryżu Clemenceau — katastrofy możnaby było i sądzę, że dałoby się uniknąć. Ale na posterunkach rządowych w wielkich mocarstwach nie widać było nikogo o takich kwalifikacjach. Bethmann-Hollweg, Viviani, Berchtold, Sazonow i Grey — byli to wszystko sternicy zdolni, doświadczeni, sumienni i czcigodni, ale wyraźnie brakowało im tej siły charakteru, wyobraźni i pomysłowości, które były niezbędne dla uratowania sytuacji. Na swoim miejscu, dopóki morze było spokojne — sternicy ci byli bezradni podczas tajfunu.

W Niemczech, które w tym kryzysie odgrywały największą rolę, prowadzenie okrętu państwowego było utrudnione wskutek dostojnej obecności osobnika, który w krytycznych momentach onieśmielał swych podwładnych i narzucał im swoją decyzję. Ani trochę nie spodziewał się on wielkiej wojny, gdy w początkach lipca dawał instrukcje co do kierunku dyplomacji niemieckiej, a potem zaraz odpłynął na fiordy norweskie, gdzie informacje swoje o rozwoju kryzysu, z którego

wyjście leżało w jego rękach, czerpał z jakiegoś miejscowego dzienniczka*). Gdy wrócił do domu i zrozumiał, że może być wciągnięty do wielkiej wojny europejskiej, stracił widocznie na fantazji, ale nie miał dosyć siły, aby odwołać swe rozkazy. Bał się, że będzie oskarżony o tchórzostwo w obliczu niebezpieczeństwa. Pozwolił więc wplątać się w konflikt, którym nie mógł kierować na skutek braku odpowiednich zdolności, temperamentu i przygotowania.

Krótki przegląd wydarzeń da pojęcie o panującym zamieszaniu i o nieporadności ówczesnej dyplomacji. Grey zaproponował Rosji i Austrii, aby omówiły całą sprawę między sobą. Następnie wysunął projekt pośrednictwa niemieckiego w Austrii, francuskiego w Rosji i rosyjskiego w Serbii. Sazonow skłaniał się do rozmów między Rosją i Austrią. Niemcy później — ale znacznie za późno — przychyliły się do tegoż rozwiązania. Wówczas Grey robi nowy zwrot, proponując zwołanie konferencji ambasadorów w Londynie, pragnie jednak wyłączyć z tego zgromadzenia Austrię i Serbię — fatalny błąd, który niewątpliwie skłonił Niemcy do odrzucenia propozycji. W pojęciu Bethmann-Hollwega tak ukonstytuowana konferencja byłaby zbyt podobna do trybunału, sądzącego sprawę

---

*) „... Moja flota krążyła jak zwykle po fiordach norweskich podczas mej wycieczki wakacyjnej. Podczas postoju w Balholm otrzymywałem nader skąpe wiadomości z urzędu zagranicznego i musiałem polegać głównie na dziennikach norweskich, z których odniosłem wrażenie, że sytuacja się pogorszyła. Kilkakrotnie depeszowałem do kanclerza i do urzędu zagranicznego, że uważam mój powrót za pożądany, lecz za każdym razem proszono mnie, abym nie przerywał przejażdżki...

„...Gdy jednak potem dowiedziałem się z gazet norweskich — *nie z Berlina* — o austriackim ultimatum pod adresem Serbii i zaraz potem o serbskiej nocie do Austrii, skierowałem się bez dalszego ociągania w podróż powrotną..."

(„Moje wspomnienia" 1878——1918, exkajzer Wilhelm II, str. 241-2)

Austrii, przy czym kraj obwiniony nie byłby nawet obecny aby się bronić, a w każdym razie miałby na ławie przysięgłych tylko jednego przyjaciela, podczas gdy wszyscy sędziowie byliby stronni, a większość niewątpliwie wroga. Niemcy wolałyby już kontynuację rozmów rosyjsko-austriackich. Poza tym było rzeczą jasną, że Niemcy niechętne są idei konferencji w Londynie. Anglia, Francja i Rosja byłyby tam reprezentowane przez fachowych i doświadczonych dyplomatów, zażartych przeciwników austriackiej ekspansji na Bałkanach, podczas, gdy ambasador niemiecki z wielu powodów nie cieszył się pełnym zaufaniem Berlina. Między innymi był on podejrzewany o chwiejność i rezerwę wobec pretensji austriackich. Nawet Rosja nie entuzjazmowała się pomysłem konferencji i wolała rokowania bezpośrednie z Austrią. Sazonow przyjmował ten projekt tylko na wypadek rozbicia się rokowań bezpośrednich. W ten sposób konferencja czterech mocarstw została storpedowana. Projekt ten przyczynił się tylko do zmarnowania masy nieocenionego czasu; nie był ani mądrze pomyślany, ani z przekonaniem przeprowadzany. Właściwie upadł już przy pierwszym zastrzeżeniu. Była to nieśmiała i połowiczna próba, i gdy tylko napotkała na pierwsze trudności — została poniechana przez wahającego się Grey'a.

Wówczas nastąpił chaos mobilizacyj i półmobilizacyj armii austriackiej, rosyjskiej i serbskiej; odbywa się wymiana listów między „Willy" a „Nicky", przy czym car proponuje skierowanie sporu do Hagi, a kajzer wysuwa kontrprojekt cofnięcia carskiego dekretu o mobilizacji armii rosyjskiej. Listy były pisane przy akompaniamencie marszu batalionów i szczęku armat, kierowanych ku granicom, i w nastroju nadciągającego nieuchronnego starcia. Sprzeczne wskazówki oficjalnych doradców użyczały teraz pozorów mądrości różnym zawadiakom, którzy od lat już czekali na tę chwilę, a teraz z niecierpliwością stali za drzwiami sali obrad, gotowi dusić swoje ofiary.

Postawa wojska, partyj politycznych i ludności wobec wojny.

Podczas gdy dyplomacja pragnęła pokoju i dążyła do niego niewłaściwymi metodami, jednocześnie w każdym kraju były potężne czynniki, tęskniące do wojny. Wyżsi i niżsi dowódcy wojskowi —— przynajmniej w trzech głównych państwach — nie byli wcale od tego, żeby wypróbować w praktyce swoje teorie, plany i oczekiwania. Wszyscy oni wierzyli w aparat, który doskonalony był z ich udziałem, i wszyscy byli przeświadczeni, że po poddaniu go próbie —— aparat ten okaże się zwycięski. W Anglii pragnienie to nie mogło ani na włos zaważyć na szali. Nadmierne zaufanie, jakie pokładaliśmy w potędze naszej floty, mogło wprawdzie wpłynąć na opinię pewnych kół, ale wpływ tych kół nie był decydujący. Natomiast w Niemczech nastrój sfer wojskowych znaczył bardzo wiele. Po starannym przewertowaniu materiału skłonny jestem przypuszczać, że był to czynnik decydujący. Kajzer, na skutek niektórych swoich posunięć i niedyskrecyj, stracił wiele ze swej popularności; w armii popularność jego spadła niewątpliwie. Zrozumiano tam, że nie ma serca żołnierza i że nie jest to człowiek, któryby ich poprowadził do boju — o ile tylko będzie mógł go uniknąć. Faworytem kół wojskowych stał się kronprinz. Kajzer odczuł mocno ten lekceważący nieco stosunek do siebie armii, którą ubóstwiał. Wiedział, że każdy przejaw wahania lub cofania się wobec perspektywy walnej rozprawy zrujnowałby resztę szacunku do niego w sercach umiłowanych przezeń żołnierzy. Tego nie mógłby znieść. I dlatego ostatnie fatalne dni przed wybuchem wojny dają nam godny litości obraz człowieka, przerzucającego się od strachu i zdrowego rozsądku do pychy, przy czym oba pierwsze uczucia powstrzymywały go przed przepaścią, ostatnie zaś popychało ku niej. Jego list z d. 28 lipca do von Jagowa jest wspaniałym przykładem tego rozdwojenia umysłu, wywołanego przez walkę wewnętrzną. W liście tym pisze Wilhelm:

„Żądania monarchii naddunajskiej zostały w poważnej mierze uwzględnione. Kilka zastrzeżeń serbskich prawdopodobnie możnaby wyjaśnić w rokowaniach. Odpowiedź równa się kapitulacji w najpokorniejszym stylu, a wraz z tym znikają *wszelkie podstawy do wojny*" (Podkreślenie kajzera)*).

Ta część listu bywa często cytowana. Natomiast nie tak często cytuje się zdanie następne z tego samego listu, w którym Wilhelm oświadcza, że uważa za konieczne uzyskanie gwarancji wykonania przez Serbię postawionych jej żądań i że w charakterze „widocznego *satisfaction d'honneur* dla Austrii armia austriacka powinna na jakiś czas zająć Belgrad jako zastaw". List jest dowodem fatalnych wahań woli cesarskiej, podniecanej przeciwstawnymi bodźcami. Uległość jego decyzji wobec żądań armii uwidocznia się również w jego postawie wobec najazdu na Belgię. Gdy zrozumiał, że przemarsz przez Belgię bez zgody jej rządu oznacza przystąpienie do wojny Wielkiej Brytanii, wezwał do siebie von Moltkego i zapytał go, czy nie dałoby się zmienić planów wojennych i skupić się do uderzenia przeciw Rosji. Moltke odpowiedział, że jest na to za późno, gdyż wszystkie przygotowania zostały poczynione z tym założeniem, że armie niemieckie przejdą przez Belgię i w określonym terminie zajmą Paryż. Powiadają, że kajzer odpowiedział na to: „Pański stryj dałby mi inną odpowiedź". Mimo to jednak ustąpił.

„Mała wojna" w celu okupowania Belgradu była dla Sztabu Generalnego pokusą do rozpoczęcia Wielkiej Wojny. Gdy tylko Kajzer połknął ten haczyk, już został pojmany. „Mała wojna" wymagała mobilizacji i wypowiedzenia wojny

---

*) Lutz: „Lord Grey and the World War", str. 257-8.

przez Austrię. To pociągnęło za sobą częściową mobilizację w Rosji, co z kolei doprowadziło do wypowiedzenia jej wojny przez Niemcy, — a z tą chwilą zaczęła się Wojna Światowa.

Koniec końców odpowiedzialne za wojnę były najwyższe dowództwa w Rosji i Austrii. Nastawały one na mobilizacji, pomimo, że toczyły się jeszcze rokowania, mogące doprowadzić do pomyślnego końca. Mobilizacja austriacka skłoniła Rosję do zmobilizowania swojej armii, aby zapobiec niespodziankom nad granicami. Austria przeprowadziła mobilizację, aby uderzyć na Serbię, Rosja dla przeciwuderzenia. Gdy kajzer, przestraszony nadciągającą burzą, interweniował osobiście u cara, aby zapobiec wojnie, to prosił, aby „Nicky" odwołał wydany już ukaz, mobilizujący armię rosyjską. Car gotów był zadośćuczynić tej niepozbawionej rozsądku prośbie, ale szefowie armii zapewnili go, że „techniczne" przeszkody odwołania mobilizacji, lub choćby tylko częściowej demobilizacji, są nie do przezwyciężenia. W taki to sposób szefowie militarni głównych krajów kontynentalnych wciągnęli narody do wojny, podczas gdy nieporadni dyplomaci jeszcze się krzątali nad zachowaniem pokoju. Każda armia wierzyła w swoją niezwyciężoność i pałała chęcią udowodnienia tego.

Wiarę w wyższość armii niemieckiej podzielali nie tylko Niemcy. Przypominam sobie, że dwa albo trzy lata przed wojną lord Kitchener, który był podówczas Sirdarem Egiptu, złożył mi wizytę w Ministerstwie Skarbu w związku z pożyczką inwestycyjną dla Sudanu. Ponieważ było to wkrótce po incydencie agadirskim, więc rozmowa zeszła na ocenę pozycji Francji i Niemiec. Kitchener bardzo krytycznie oceniał armię francuską i sądził, że Niemcy „rozpędzą ich jak kuropatwy". Wkrótce potem byłem na bankiecie w pałacu Buckingham, wydanym na cześć jakiegoś potentata cudzoziemskiego; siedziałem obok jednego z książąt cudzoziemskich, nie Niemca. I on również uważał armię niemiecką za niezwyciężoną i użył dokładnie tego samego porównania co i Kitchener, mówiąc,

że przepłoszy ona wszystkich swych przeciwników jak kuropatwy.

Z drugiej strony armia francuska tak samo silnie wierzyła w swoją potęgę. Wojskowi francuscy uważali, że mają najlepsze w świecie armaty polowe — słynne *soixante - quinze* — i bodaj zbytnio się nie mylili. Nie jest to pierwszy wypadek, gdy posiadanie jakiegoś wynalazku wojskowego zmniejszyło awersję danego narodu wobec wojny. Poza tym Francuzi wiele liczyli na wyszkolenie swego korpusu oficerskiego i na wielkie zalety swych żołnierzy. Wiedzieli, że ich organizacja jest doskonała, no i posiadali oczywiście również swój „plan". Nigdy jeszcze od czasu 1870 roku armia francuska nie obawiała się tak mało swego wielkiego rywala. Rosjanie po porażce mandżurskiej ulepszyli organizację i zaopatrzenie swej armii. Uważali się za znacznie silniejszych niż Austriacy i czuli się na siłach do obrony przed tą częścią armii niemieckiej, która pozostanie po wysłaniu najlepszych oddziałów na front zachodni. Wobec takich nastrojów generałowie rwali się do wojny i z łatwością potrafili postawić dyplomatów, którzy sami nie wiedzieli czego chcą, w takie położenie, że wojna okazała się nieunikniona. W ten sposób olbrzymie zbrojenia spowodowały wojnę.

Ale armia nie była jedynym czynnikiem, pragnącym wojny. Szerokie koła ludności ogarnięte zostały gorączką wojenną. W każdej stolicy gardłowały za wojną. Propagowana dzisiaj przez bardziej przekornych niż przekonywujących pacyfistów teoria, głosząca że wojnę wywołali starzy lub dojrzali politycy, którzy kazali młodzieży znosić jej okropności, jest czystym wymysłem. Starsi mężowie stanu robili niedołężnie wszystko co mogli, aby zapobiedz wojnie, podczas gdy młodzież w rywalizujących ze sobą państwach niecierpliwie hałasowała przed ich drzwiami, domagając się wojny natychmiastowej. Sam widziałem to w pierwszych dniach sierpnia r. 1914. Nigdy nie zapomnę wojowniczych tłumów, wypełniających White-

hall i zalewających Downing - Street, w chwlii gdy gabinet omawiał szanse pokoju i wojny. W niedzielę zgromadziły się wielkie tłumy. W poniedziałek było święto, i mnóstwo młodych ludzi stało przed Westminsterem, demonstrując za wojną z Niemcami; słyszeliśmy pomruki tego tłumu z sali posiedzeń gabinetu. W poniedziałek po południu szedłem z Asquithem do parlamentu, aby wysłuchać słynnej mowy Grey'a. Tłumy były tak gęste, że żaden wehikuł nie mógł się między nimi przecicisnąć, i gdyby nie pomoc policji, nie moglibyśmy posunąć się ani o krok Była to niewątpliwie demonstracja za wojną. Pamiętam, że powiedziałem wówczas: „Tym ludziom bardzo jest pilno wysłać naszych biednych żołnierzy na śmierć. Ilu spośród nich pójdzie samemu na pole bitwy?" Było to z mojej strony niegodne zwątpienie w odwagę i patriotyzm demonstrantów. W kilka dni potem biura werbunkowe zostały zainstalowane na placach publicznych i były również zalane tłumami młodych ludzi, oblegających stoliki i przepychających się, aby wnieść swoje nazwiska na listy żołnierzy Kitchenera. Przez całe dnie z okien na Downing-Street słyszałem tupot miljonów nóg i głosy sierżantów werbunkowych, wykrzykujące nazwiska gorliwych ochotników. Między sobotą i poniedziałkiem wojna stała się popularna. W sobotę gubernator Banku Angielskiego odbył ze mną — jako kanclerzem skarbu — konferencję, aby poinformować mnie z ramienia City londyńskiego, że interesy przemysłowe i finansowe City sprzeciwiają się stanowczo naszemu udziałowi w wojnie. W poniedziałek — zupełna przemiana. Groźba najazdu na Belgię rozpłomieniła cały naród. Sir Edward Grey mógł się teraz z łatwością przekonać, że jego warunek, postawiony Paul Cambonowi, iż możemy przyjść Francji z pomocą tylko wówczas, gdy będzie się tego domagała nasza opinia publiczna, został całkowicie spełniony. Przełom spowodowała Belgia. Przedtem zdania w gabinecie były beznadziejnie podzielone, gdyż trzecia część — jeżeli nie połowa jego członków — była przeciwna przyłączeniu się do wojny. Po wypowiedzeniu woj-

ny Belgii przez Niemcy w gabinecie zapanowała niemal zupełna jednomyślność. Gdyby Niemcy napadli bez prowokacji na Francję, to nie wątpię, że opinia publiczna naszego kraju domagałaby się od rządu pomocy dla ofiar takiej brutalnej napaści. Ale dla wszystkich było rzeczą jasną, że tym razem Francja została wciągnięta do wojny dzięki traktatowym zobowiązaniom wobec Rosji, i że gdyby tylko Francja zechciała trzymać się zdala od sporu, to Niemcy z tym większą rozkoszą zostawiłyby ją w spokoju. Alians francusko-rosyjski miał charakter zaczepno-odporny Wobec tego Francja była zobowiązana do pomocy, niezależnie od stopnia swego zainteresowania w *casus belli*. Ale Brytania nie była w tym położeniu. My nie mieliśmy obowiązku pomagania Rosji w żadnym sporze — na wschodzie ani na zachodzie. Rosyjska autokracja była u nas tak samo prawie niepopularna wówczas, jak bolszewizm obecnie. Utożsamiano ją z syberyjskimi turmami dla więźniów politycznych, z hurtowymi pogromami Bogu ducha winnych Żydów i z masakrami robotników, których jedyną winą było przedkładanie petycji w sprawie usunięcia ich niewątpliwych krzywd. Dopóki więc wojna miała być tylko czymś w rodzaju walki między autokracją niemiecką i austriacką z jednej a Rosją i jej sojusznikami z drugiej strony, opinia angielska była stanowczo przeciw interwencji. Jest rzeczą godną ubolewania, że Grey wcześniej i śmielej nie ujawnił swego atutu — naszych zobowiązań traktatowych wobec Belgii. Mogło to w ogóle zażegnać wojnę.

Londyńskie demonstracje miały swój odpowiednik w Petersburgu, Berlinie, Wiedniu, Paryżu. Nareszcie ludność i militaryści chcieli tego samego, a to wyrywało decyzję z rąk drżących i chwiejnych dyplomatów, którzy chcieli pokoju ale nie posiadali ani stanowczości, ani odwagi narzucenia tych prostych rzeczy, które jedynie mogły pokój zapewnić. Opisywane przez p. Ludwiga olbrzymie demonstracje w Londynie, domagające się pokoju, podczas gdy rzekomo mała garstka rezydentów francuskich w Londynie zbierała się, aby wołać

o wojnę — to nonsens i to szkodliwy nonsens, gdyż taki fałszywy obraz wprowadza w błąd i dezorientuje mężów stanu przyszłości co do prawdziwych niebezpieczeństw, przed którymi należy ich przestrzec.

Czwarty sierpnia r. 1914.

4 sierpnia r. 1914 jest jedną z najdonioślejszych dat w dziejach świata. Decyzja, powzięta tego dnia w imieniu i dla dobra Wielkiej Brytanii, zmieniła losy Europy. Nie będzie przesadą twierdzenie, że zmieniła też kierunek rozwoju rodu ludzkiego. Fanfary wojenne brzmiały już na Wschodzie i na Zachodzie, a kolosalne armie podążały na rzeź.

Czy była nadzieja, że można jeszcze uniknąć wielkiej katastrofy? W piątek, sobotę i niedzielę odbywały się nieustające posiedzenia gabinetu. Miałem wiele trudności w uczestczeniu na nich z powodu konferencji w skarbie nad zaradzeniem trudnej sytuacji finansowej, w jakiej znaleźliśmy się po wybuchu wojny. Przysłuchiwałem się jednak i brałem udział prawie we wszystkich dyskusjach. Ujawniły one znaczną rozbieżność zdań co do interwencji brytyjskiej w wojnie rosyjsko-niemieckiej, nawet gdyby Francja musiała się do niej przyłączyć na podstawie sojuszu swego z Rosją. Grey nigdy nie wystąpił wyraźnie z propozycją, że w tym wypadku musimy wypowiedzieć wojnę. Nigdy nie wyraził w żadnej formie swego jasnego i niedwuznacznego poglądu w tej kwestii i wskutek tego nie można było w tej sprawie powziąć żadnej decyzji. Ale z toku rozpraw w łonie gabinetu i z rozmów informacyjnych poza gabinetem, w czasie krótkich przerw w posiedzeniach, wyłaniał się nieszczęśliwy fakt, że byliśmy beznadziejnie poróżnieni w zdaniach co do przyłączenia się Brytanii do wojny w sytuacji, jaka się w danej chwili wytworzyła. Gdyby została podniesiona sprawa obrony neutralności i ca-

łości Belgii, to na ten temat nie byłoby ani jednego głosu sprzeciwu.

Jedynym widocznym jeszcze przebłyskiem światła na coraz bardziej zachmurzonym niebie była Belgia.

Chmury gęstniały coraz bardziej, ale tu widać jeszcze było wąski pasek błękitu. Niemcy podpisały traktat, który obowiązywał je nie tylko szanować, ale nawet bronić neutralności Belgii. Czy uszanują swe zobowiązanie? Wielka Brytania była również uczestnikiem tego porozumienia. Gdyby ktokolwiek je naruszył, Brytania była obowiązana wystąpić w całej swej potędze przeciwko napastnikowi. Czy przeważy lojalność pruska, wzmocniona strachem przed Anglią? Jeżeli traktat będzie zachowany, sytuację da się jeszcze może uratować.

Polityka, której domagałem się od moich kolegów, nie polegała tylko na pasywnym niemieszaniu się do walki Niemiec i Austrii z jednej, a Rosji i Francji z drugiej strony. Francja była traktatowo obowiązana pośpieszyć Rosji z pomocą w jej sporach z Niemcami. My obowiązku nie mieliśmy. Wobec tego proponowałem, abyśmy przedsięwzięli natychmiastowe kroki w celu wzmocnienia naszej armii pod względem liczebności i zaopatrzenia, tak aby w chwili, w której uznamy naszą interwencję za konieczną, żadna ze stron wojujących nie mogła sobie zlekceważyć naszego apelu. Gdyby Niemcy uszanowały granice belgijskie, polityka ta byłaby najrozumniejszą z możliwych. Byłoby wtedy dosyć czasu na uspokojenie namiętności i na ulotnienie się sangwinicznych nadziei wojskowych entuzjastów. Problem francuski wyglądałby wówczas inaczej; bieg wydarzeń byłby powolniejszy. Zamiast bronić granicy o długości ponad 500 mil, pozbawionej fortec i sztucznych umocnień, mogłaby ześrodkować wszystkie siły na odcinku 250 mil, bronionym przez potężne warownie. Armia, licząca (wraz z rezerwami) ponad 3.000.000 żołnierzy, okopanych na takim wąskim odcinku, byłaby nie do zwy -

ciężenia. Niemcy mogłyby doskonale poprzestać na obronie swych granic zachodnich i pchnąć swoje armie do Polski. Tam trudności transportowe, zły stan dróg i nieodpowiedniość kolei żelaznych oraz olbrzymie przestrzenie mogłyby opóźnić rozstrzygnięcie o całe tygodnie, jeśli nie o miesiące. Na zajęcie Polski zużyły Niemcy 12 miesięcy zażartych bojów. Nawet i wówczas armia rosyjska istniała jeszcze i była gotowa podjąć na nowo rozstrzygającą walkę w roku 1916. Interwencja brytyjska mogłaby więc łatwo przyczynić się wówczas do odbudowania pokoju. Anglia była jedynym państwem w Europie, które nigdy jeszcze nie zostało pobite w wojnie europejskiej. Korzystając ze swej niedostępności dla atakującego, posiadając potężną flotę, prowadzoną przez najlepszych na świecie marynarzy, i przy swoich olbrzymich możliwościach Anglia mogła uchodzić za siłę, zdolną pogrążyć każdego przeciwnika. Gdyby Anglia była zdolna wystawić za plecami swej floty armię, złożoną z miliona żołnierzy, to Niemcy zawahałyby się przed odrzuceniem warunków pokojowych i zepchnięciem w ten sposób Imperium Brytyjskiego do szeregów swych wrogów. To były argumenty, które wytaczałem w obronie niemieszania się do walki, jeżeli neutralność Belgii będzie uszanowana.

Najazd na Belgię położył kres tym wszystkim możliwościom. Z tą chwilą wchodziły w życie nasze zobowiązania traktatowe. W sobotę, 2-go sierpnia, wróżby nie były pomyślne. Istniały dokładne wskazówki, że wojska niemieckie gromadzą się wzdłuż granic belgijskich. Niemcy zażądały od Belgii pozwolenia na przemarsz przez jej terytorium dla zaatakowania Francji. Belgijscy ministrowie wahali się, lecz odpowiedź, dana przez bohaterskiego króla Belgów, jest jedną z najwspanialszych kart w historii. Rząd brytyjski, słysząc te nowiny, skierował pod adresem Niemiec ultimatum, ostrzegając, że jeżeli do południa 4-go sierpnia nie nadejdą z Niemiec zapewnienia, że neutralność Belgii będzie uważana za nietykalną — przed W. Brytanią pozostanie tylko alternatywa wy-

muszenia poszanowania traktatu siłą. Czy Niemcy zrozumieją, co znaczy wojna z Anglią, wstrzymają postępy swoich wojsk, zmienią swą strategię i ewentualnie zgodzą się nawet na rokowania? Jakże wiele zależało od odpowiedzi na te pytania! Wówczas mogliśmy tylko domyślać się tego — dziś już wiemy napewno. Było między nami wielu takich, którzy nie mogli uwierzyć, ażeby ludzie odpowiedzialni za losy Niemiec byli tak szaleni, i świadomie sprowokowali Imperium Brytyjskie z jego niewyczerpanymi rezerwami i z jego zawziętym uporem w osiąganiu celu, skoro już raz zaangażowało się w walce.

Wśród tych, którzy krytykują interwencję brytyjską, są dwa obozy. Jedni twierdzą, że wojnę wywołali swymi intrygami, zorganizowali i narzucili finansiści we własnych swoich interesach. W Niemczech natomiast i wśród przyjaciół niemieckich w innych krajach są tacy, którzy przypisują nasze wystąpienie irytacji, wywołanej przez szybki wzrost potęgi i dobrobytu Niemiec i uważają, że politycy brytyjscy chciwie czyhali na sposobność, aby zniszczyć tak groźnego rywala. Przebieg wypadków w ciągu tych paru dni jest najlepszą odpowiedzią na obydwie wersje. Byłem kanclerzem skarbu, i dlatego znałem dobrze sfery finansowe przed wojną; widziałem je nazajutrz po wybuchu wojny; żyłem z nimi w zażyłości przez długie dni i robiłem co mogłem, aby wzmocnić ich samopoczucie, gdyż wiedziałem, jak wiele zależy od odzyskania przez nie pewności siebie; i oświadczam, że sfery finansowe drżały z przerażenia. „Pieniądz" nie posiadał się ze strachu! Szaleństwem albo ignorancją jest nazywanie tej wojny „wojną finansistów". Co się tyczy drugiej teorii, atakującej akcję brytyjską, to poważne „sfery gospodarcze" chciały wszędzie trzymać się z daleka od wojny; co do innych warstw — odpowiedzią będzie dalszy ciąg mojej książki. Nie było u nas gorliwców, którzy modliliby się o nadejście takiej godziny, w której zdołamy powalić potężnego spółzawodnika handlowego.

Był to dzień, pełen pogłosek i doniesień, które wibrowały niepokojem. Mijała godzina za godziną, a z Niemiec nie nadchodziło nic. Kursowały tylko pogłoski o dalszych ruchach wojsk niemieckich w stronę granicy belgijskiej. Nadszedł wieczór. Odpowiedzi wciąż nie było. Wkrótce po dziewiątej zostałem wezwany do pokoju, gdzie odbywały się posiedzenia gabinetu, na ważną naradę. Zastałem tam: Asquitha, Grey'a i Haldane'a, mających bardzo poważne miny. Mac Kenna przybył niebawem. Została przejęta depesza z niemieckiego urzędu zagranicznego do niemieckiej ambasady w Londynie. Nie była ona szyfrowana. Powiadamiała ambasadora niemieckiego, że angielski ambasador w Berlinie zażądał wydania mu paszportu o godz. 7 p.p. i wypowiedział wojnę. Kopia tej depeszy dostała się w moje ręce, i posiadam ją do tej pory.

„Czas: 9,5 p. p.

Data: 4 sierpnia r. 1914.

Następujące pismo zostało przejęte przez Cenzora U(rzędu) W(ojskowego):

Do: Ambasadora Niemieckiego

Z.... Berlina

Ambasador angielski zaraz po siódmej wieczorem zażądał wydania mu paszportu, wypowiadając wojnę".

(podpisano) Jagow.

Od sir Edwarda Goschena wciąż nie było wiadomości*).

---

*) Dowiedzieliśmy się potem, że jego depesza, zawiadamiająca o przedsięwziętych krokach, została zatrzymana przez władze niemieckie. Nigdy też do nas nie doszła, i dopiero po przyjeździe Goschena do kraju dowiedzieliśmy się o jego depeszy i dostaliśmy kopię jej tekstu.

Nie wiedzieliśmy, co ta depesza ma znaczyć. Wyglądała na próbę ze strony Niemiec uprzedzenia godziny wypowiedzenia wojny w celu dokonania jakiegoś *coup* bądź przeciw okrętom brytyjskim, bądź przeciw brytyjskim wybrzeżom. Czy przejętą depeszę należało traktować, jako rozpoczęcie kroków nieprzyjacielskich, czy też powinniśmy raczej czekać, aż dowiemy się oficjalnie od Niemiec, że nasze warunki zostały odrzucone, albo czekać, aż upłynie termin naszego ultimatum? Siedzieliśmy za zielonym stołem w sławnym pokoju, gdzie w przeszłości powzięto już tyle historycznych decyzyj. Był to pokój niezbyt dobrze oświetlony, i pamiętam że nie wszystkie światła były zapalone, więc w półmroku można było sobie wyobrażać, że cienie wielkich angielskich mężów stanu z przeszłości — Chathama, Pitta, Foxa, Castlereagha, Cunninga, Peela, Palmerstona, Disrali'ego, Gladstone'a — brały udział w konferencji, posiadającej takie znaczenie dla imperium, którego wzniesieniu poświęcili swe życie. W tym prostym, pozbawionym ozdób, niemal zaniedbanym pokoju oni również głowili się nad problemami, pasjonującymi ówczesne pokolenia. Nigdy jednak nie stali wobec tak wstrząsającej decyzji, jak ta, którą brytyjscy ministrowie musieli powziąć w owych pierwszych dniach sierpnia 1914 roku.

Miała oto zapaść straszliwa decyzja: czy mamy spuścić z łańcucha wściekłą bestię wojny natychmiast, czy czekać na termin naszego ultimatum i spróbować wyzyskać dla uratowania pokoju nawet tak wątpliwą szansę, jaką stanowiły ostatnie wyznaczone dwie godziny. Bez wahania uznaliśmy, że admiralicja powinna przestrzec flotę i posterunki na wybrzeżu przed możliwym nagłym atakiem flotylli niemieckiej. Ale czy powinniśmy wypowiedzieć wojnę zaraz, czy czekać do północy? Ultimatum upływało o północy w Berlinie, — to znaczy o godzinie jedenastej według południka Greenwich. Postanowiliśmy czekać do jedenastej. Czy przed tą godziną nadejdzie z Berlina jakaś wiadomość o zamiarach uszanowa-

nia przez Niemcy neutralności Belgii? Gdyby nadeszła, to istniała jeszcze słaba nadzieja, że coś uda się przedsięwziąć, zanim maszerujące armie zetrą się ze sobą.

W miarę zbliżania się godziny jedenastej zapanowywał w pokoju nastrój głęboki i uroczysty. Nikt nic nie mówił. Było to jakby wyczekiwanie na sygnał do poruszenia dźwigni, która milionom ludzi przyniesie wyrok śmierci — przy czym istniała jeszcze tylko wątła możliwość, że w ostatniej chwili nadejdzie ułaskawienie. Nasze oczy błądziły z natężeniem od zegara do drzwi i ode drzwi znowu do zegara. Mówiono bardzo mało.

„Bum!" Głębokie dźwięki „Big Bena"*) wydzwoniły w nocy pierwsze uderzenia najbardziej doniosłej godziny, jaką przeżyła Brytania od czasu, gdy podźwignęła się z otchłani dziejów. W pokoju zapadło naprężone milczenie. Każda twarz zakrzepła nagle w męczącym natężeniu. Wielki zegar walił w nasze uszy, jak młot przeznaczenia. Jakiego przeznaczenia? Któż mógł powiedzieć? Wyzwaliśmy największą potęgę militarną, jaką świat dotąd wydał. Francja sama jedna była zbyt słaba, by się z nią mierzyć, a Rosja była źle zorganizowana, źle zaopatrzona, skorumpowana. Wiedzieliśmy, na jakie ciosy będzie wystawiona Anglia. Czy je wytrzyma? W niczyim sercu nie było wahania ani wątpliwości. Lecz przyznajmy bez wstydu, że powiew grozy przyśpieszał puls każdego z nas. Czy wiedzieliśmy, że zanim pokój zostanie odbudowany, Europa będzie musiała przeżyć cztery lata najbardziej straszliwej rzezi, kalectwa, cierpień, zniszczenia i dzikości, jakich kiedykolwiek zaznała ludzkość? Że dwadzieścia milionów walecznej młodzieży będzie zamordowane, a drugie dwadzieścia milionów okaleczone? Że Europa ugnie się pod

---

*)Big Ben — słynny zegar na wieży pałacu Westminsterskiego w Londynie

ciężarem olbrzymich długów wojennych? Że tylko jedno imperium ostoi się przed ciosem? Że trzy inne cesarstwa światowe rozlecą się raz na zawsze? Że połowa Europy pogrąży się w głodzie, anarchii i rewolucji, a podobna groźba zawiśnie i nad pozostałą częścią tego nieszczęsnego kontynentu?

Czy zresztą ludzkość wypiła już swą czarę do końca? Któż może wiedzieć? Ale nawet, gdybyśmy przewidzieli to wszystko dnia 4 sierpnia 1914 roku, to nie mogliśmy byli postąpić inaczej.

W dwadzieścia minut po jedenastej wszedł do pokoju Winston Churchill z wiadomością, że do wszystkich okrętów wojennych na wszystkich morzach zostały już wysłane depesze, zawiadamiające je, że wojna została wypowiedziana i że mają zachowywać się w odpowiedni sposób. Wkrótce potem rozeszliśmy się. Tego dnia nie było już nic do powiedzenia. Dzień następny miał nam przynieść nowe zadania i nowe troski. Wychodząc, czułem się jak człowiek na planecie, nagle wytrąconej ze swej orbity ręką jakiegoś demona i obłędnie pędzącej w nieznane.

Rankiem ministrowie obudzili się w nowej i niezwykłej dla siebie sytuacji. Dotąd mieliśmy do czynienia z Anglią i światem w stanie pokoju. Teraz stanęliśmy wobec problemów Europy, pogrążonej wraz z Anglią w odmęty wojny.

Zarządzenia, nadające władzy wykonawczej niesłychane pełnomocnictwa, zostały przyjęte przez obie izby parlamentu po kilku godzinach rozpraw. Większa część odnośnych zarządzeń była zawczasu przemyślana w czasie pokoju przez liczne podkomisje Komitetu Obrony Imperium. Nic jeszcze dotąd nie napisano o pracy, dokonanej przed wojną przez tę zasłużoną instytucję, ani o jej dalekowzroczności. Założyciel Komitetu — Earl Balfour, — powołując do życia K. O. I., jako istotną część organizacji obrony, zasłużył sobie na nieśmiertelną pamięć za wyświadczoną krajowi korzyść. Potem, pod przewodnictwem Asquitha, komitet ten nie sprzeniewierzył

się tradycji i kontynuował swą pracę z niemniejszą energią i uporem. Temu należy zawdzięczać, że — gdy wojna wybuchła — plany, które odegrały decydującą rolę w osiągnięciu zwycięstwa, leżały pod ręką w szufladach K. O. I., przygotowane we wszystkich szczegółach i gotowe do wykonania.

Udoskonalone pod kierunkiem Asquitha plany wojenne, organizacja wojsk terytorialnych — dzieło lorda Haldane'a w Ministerstwie Wojny, — stworzenie Sztabu Głównego, będącego mózgiem armii, powołanie do życia Korpusu Wyszkolenia oficerów — wszystko to stanowi wymowną odpowiedź tym, którzy oskarżają rząd liberalny o brak wszelkich przygotowań na wypadek wojny.

Ale K. O. I. z pewnością nie zakończył jeszcze swych wyczerpujących badań nad ewentualnościami i potrzebami wojny, gdy już burza wybuchła nad naszymi głowami. To prawdopodobnie spowodowało, że dwa zagadnienia, których znaczenie miało się okazać rozstrzygające, nie były jeszcze zbadane. Pierwsze — to groźba chaosu finansowego, który niewątpliwie nastąpiłby, zwłaszcza w kraju, który dokonywał większości tranzakcyj, związanych z handlem międzynarodowym.

Drugą sprawą były olbrzymie wydatki na sprzęt wojenny, jakich wymaga wojna nowoczesna. Nikt nie brał pod uwagę budowy fortyfikacyj ziemnych na tak olbrzymią skalę, jaka rozwinęła się podczas Wielkiej Wojny. Linie pod Torres Vedras liczyły tylko parę mil; tak samo szańce Todlebena pod Sewastopolem. Kolosalne roboty ziemne z lat 1914—1918 ciągnęły się na setki mil. Nieskończone ilości ciężkich dział, moździerzy okopowych, karabinów maszynowych i pocisków, które stały się istotną częścią składową zaopatrzenia wojsk w operacjach na tak wielką skalę, przekraczały przewidywania wszystkich teoretyków wojny. Losy sprawiły, że przypadło mi w udziale rozwiązywanie tych dwóch nieprzewidzianych problemów.

Nieświadomość gabinetu angielskiego co do francuskich planów strategicznych.

Nie jest moim zadaniem splecenie wszystkich wydarzeń wojennych w jedną spójną całość; to zadanie zostało już wykonane przez inne pióra, bardziej od mojego powołane. Pragnę po prostu dać przyczynki do historii wojny, opisując pewne mniej lub bardziej luźne incydenty i epizody, w których brałem osobiście udział.

Gabinetowi mówiono bardzo niewiele o działaniach wojennych na lądzie i na morzu. O ile urządzano jakieś konferencje z cywilami, brali w nich udział tylko premier i Winston Churchill, czasem — Edward Grey i lord Haldane. Gabinet nie wiedział np., że na Radzie Wojennej, zwołanej natychmiast po wypowiedzeniu wojny, Sir John French wystąpił przeciw wysłaniu naszych wojsk ekspedycyjnych na granicę belgijską. French mówił wówczas:

„Uzgodniony uprzednio plan zaradzenia sytuacji obecnej polegał na tym, że armia ekspedycyjna będzie zmobilizowana równocześnie z francuską i skoncentruje się za armią francuską pod Maubeuge piętnastego dnia mobilizacji. Przewidywano wówczas, że armia angielska skieruje się na wschód i będzie działać na lewym skrzydle armii francuskiej przeciwko prawemu skrzydłu niemieckiemu. W każdym jednak razie rozumiano zawsze, że jeżeli opóźnimy się z rozpoczęciem mobilizacji — jak to się stało w rzeczywistości — to będziemy musieli zmienić nasz plan. Maubeuge — sądził French — nie jest już bezpiecznym miejscem dla koncentracji; bezpieczniejsze byłoby Amiens. Na ogół skłaniał się ku temu, że armia ekspedycyjna powinna być wysłana do Francji, przy czym trzeba wybrać odpowiednie miejsce koncentracji

i oczekiwać, co nastąpi. Dodawał, że licząc się z istniejącymi warunkami, skłania się do alternatywy lądowania w Antwerpii dla współdziałania z Belgami i Holendrami. Te siły utworzyłyby pokaźną armię i związałyby z konieczności znaczne siły niemieckie; mogłyby być też zdolne do posuwania się na południe. Wykonalność tego planu jest jednak w znacznym stopniu zagadnieniem morskim. Jako alternatywę lądowania w Antwerpii proponował lądowanie we Francji i marsz na Antwerpię wzdłuż wybrzeża".

Wydaje się, że French nie znalazł żadnego poparcia dla swego projektu i chyba nie domagał się więcej jego przyjęcia. Ogólnym wynikiem konsultacji, które miały miejsce tego i następnego dnia, było że musimy uzgodnić naszą strategię z francuską.

Gdyby któryś z obu tych planów został przyjęty, to jest rzeczą jasną, że cały bieg wypadków byłby inny, zwłaszcza gdyby pięć dywizji brytyjskich zajęło Antwerpię. Na flance niemieckiej znalazłoby się wówczas pięć znakomitych dywizyj dobrego wojska. Pozwoliłoby to wzmocnić opór milicji belgijskiej. Niemcy nie uważaliby za bezpieczne zapuszczać się tak głęboko we Francji, jak to zrobili potem, bez osłonięcia swego skrzydła od tej poważnej groźby. W ten sposób straciliby dużo cennego czasu, a czas był istotą ich planu.

Ta rada, dana przez wodza naczelnego naszych sił ekspedycyjnych, została ukryta przed rządem i dlatego nie była nigdy omawiana przez ministrów. W ciągu trzech lub czterech tygodni po rozpoczęciu wojny uwaga rządu była skierowana na sprawę rekrutacji, na ucieczkę niemieckiego pancernika „Goeben", na perspektywy wystąpienia Turcji, na wiadomości z Grecji. Okolicznościowe i mętne sprawozdania

z frontu dawał nam na początku każdego posiedzenia lord Kitchener. Mówił swoim donośnym głosem i patrzał na nas swym roztargnionym wzrokiem, nie skierowanym do nikogo bezpośrednio, który wyraźnie oznaczał, że Kitchener źle się czuje w obcym sobie otoczeniu. Zasiadał wszak z ludźmi, należącymi do profesji z którą nie mógł się pogodzić przez całe swoje życie, z ludźmi których w głębi serca traktował ze zwykłym w takich razach połączeniem wojskowej pogardy i obawy. Jego główną troską na posiedzeniach było, żeby tym politykom powiedzieć możliwie najmniej i wrócić do swego biurka w Ministerstwie Wojny możliwie najszybciej, — skoro tylko przyzwoitość pozwoli mu się wymknąć. Od czasu do czasu rzucił mimochodem jakiś pouczający szczegół informacyjny. Bezpośrednio przed pierwszym uderzeniem niemieckim przypominam sobie, że lord Kitchener wyszedł z ram swej zwykłej tajemniczości i powiedział nam, jakie są zamiary generała Joffre'a. Głównodowodzący francuski nie wierzył — według niego — żeby Niemcy chcieli maszerować przez środkowe i zachodnie prowincje belgijskie, gdyż jest to obszar przemysłowy, gdzie drogi nie są zbyt dobre i nie nadają się do ruchu wielkich mas ludzkich i do transportu artylerii. Joffre sądził, że armia niemiecka rzuci się w stronę południowo-wschodniego kąta Belgii i spróbuje przerwać linię obronną sprzymierzonych w kierunku na Namur. Kitchener powiedział, że strategia francuska w ujęciu Joffre'a była podobna do taktyki boksera, który lewą ręką zasłania się od swego przeciwnika, podczas gdy prawą ręką szykuje niespodziewany cios w jego najsłabszy punkt. Lord Kitchener oświadczył nam, że według niego domysły generała Joffre'a co do niemieckiego planu operacyjnego są zupełnie błędne. On sam jest mocno przekonany, że Niemcy będą się posuwać wzdłuż wszystkich jedenastu dróg, prowadzących do granicy i będą usiłowali oskrzydlić siły sprzymierzone w miejscu, położonym znacznie powyżej tego, które wskazywał generał Joffre. Pomimo to, mówił, Joffre uparcie trzyma się swoich poglą-

dów. Wkrótce mieliśmy zobaczyć wyniki tej błędnej kalkulacji.

Pewnego poranku, gdy byłem zajęty w Ministerstwie jakimiś nie cierpiącymi zwłoki problemami finansowymi, przed posiedzeniem gabinetu wpadł do mego pokoju Winston Churchill z niezwykle ponurą miną. Miał mi do zakomunikowania jakieś bardzo poważne wiadomości, a ponieważ otoczony byłem urzędnikami, namówił mnie do wyjścia z nim. Przeszliśmy do innego pokoju, i wówczas powiedział mi, co przed chwilą usłyszał od Kitchenera: że Niemcy posunęli się olbrzymimi siłami wzdłuż dróg w północnej Belgii, zepchnęli nasze wojska spod Mons, i że teraz cała armia brytyjska znajduje się w pełnym odwrocie, ścigana przez siły niemieckie, posiadające przygniatającą przewagę. Churchill pisze o tej rozmowie, że „moja odpowiedź ożywiła go i przywróciła mu humor", ale ja z pewnością bardziej niż kiedykolwiek czułem, że nie możemy nic na to poradzić i że tylko mobilizacja wszystkich naszych sił może uratować Europę i cały świat od nieobliczalnej klęski.

Przez szereg dni nie mieliśmy raportów o tym, co się dzieje. Nic nie słyszeliśmy o wielkich bojach w Lotaryngii, gdzie wojska francuskie wtargnęły początkowo, lecz zostały następnie wyparte z powrotem po zaciętej bitwie, w której Niemcy odnieśli stanowcze zwycięstwo dzięki przewadze nie tyle liczby, co artylerii. Nie słyszeliśmy o porażce francuskiej nad Mozą ani o posuwaniu się Niemców z tego rejonu w kierunku Paryża. Ruchy i plany naszej własnej małej armii były zasłonięte przed nami nieprzeniknioną mgłą. Wiedzieliśmy tylko tyle, że porzuciła ona swe stanowiska nad granicą belgijską i jest spychana — jeśli nie ścigana — na południe przez przeważające siły niemieckie. Pomimo to zapewniano nas codziennie, że cofająca się armia zajęła na koniec pozycje, na których jest w stanie zatrzymać się z wszelką nadzieją na skuteczne odparcie atakujących. Potem zaś następnego

poranka, dowiadywaliśmy się że porzuciła ona te pozycje i kontynuuje odwrót, ale gotowa jest do walki na linii, lepiej nadającej się do obrony, przy czym mogliśmy zauważyć, że linia ta leży o kilka mil bliżej Paryża.

Nie słyszeliśmy nic o pośpiesznej przeprawie przez Sommę, Aisnę, Marnę i Oisę, i przez długie dni nie mówiono nam nic o odwrocie za Sekwanę, na południe od Paryża. Gabinet był przykro zdziwiony urywkowymi nie wiążącymi się ze sobą raportami, jakie przedstawiał mu co rano Kitchener. Zażądano od niego, by dawał nam bardziej zadowalający przegląd tego co się dzieje. Protestował jednak mówiąc, że powtarza kolegom wszystkie wiadomości, jakich udziela mu naczelne dowództwo we Francji. Pierwszą wskazówkę o wadze i rozmiarach klęski, poniesionej przez armie sprzymierzone, znaleźliśmy w sprawozdaniu *„Timesów"*, opublikowanym bez pozwolenia cenzora. Gazeta podała ilustrację przemarszu wojsk niemieckich przez opustoszałe ulice Amiens ze śpiewem „Wacht am Rhein" na ustach.

Rząd postanowił wreszcie wysłać lorda Kitchenera do Francji aby zorientował się na miejscu. Sprzeczne sprawozdania o tym, co zaszło wówczas między naszymi wielkimi generałami, zostały już ogłoszone; nie sądzę, aby do mnie należało uzgodnienie tych sprawozdań. Było to moje pierwsze zetknięcie z błędami naszych szefów wojskowych, z ich upieraniem się przy fałszywych obliczeniach, nieudolnością i brakiem koordynacji; — zapłaciliśmy za te błędy kwiatem najwspanialszych armij, wysłanych kiedykolwiek w pole przez Francję i Anglię.

Nie potrzebuję mówić, jak byliśmy zdziwieni i rozczarowani wobec niepowodzeń, nie przewidywanych ani przez nas ani przez naszych doradców wojskowych. Paniki jednak nie było. Przyśpieszyliśmy wysyłkę posiłków do Francji. Wkrótce potem zwycięstwo nad Marną — jedna z wielkich

historycznych bitew świata — powstrzymało posuwanie się Niemców. Na razie najgorsze niebezpieczeństwo zostało uchylone i uzyskaliśmy czas, by opracować nowe plany na przyszłość.

SIR EDWARD GREY.

Nie mógłbym dać właściwego obrazu wypadków, które doprowadziły do wybuchu wojny, przedłużyły jej trwanie oraz pogorszyły i zaostrzyły jej dolegliwości, nie podając mojej szczerej opinii o tych, którzy kierowali tymi wypadkami. Właściwości ich umysłu i charakteru wywarły wielki wpływ — dodatni lub ujemny — na bieg wydarzeń. Wypaczaniem historii byłoby przypuszczenie, że jej epizody są bez reszty następstwem tych podstawowych przyczyn, których nie można było uniknąć, i że epizody te nie były przyśpieszone albo opóźnione na skutek interwencji osób. Pojawienie się w decydującej i krytycznej chwili wybitnej jednostki zmieniało często bieg wydarzeń na całe lata lub nawet na pokolenia. Zdolne i zdecydowane jednostki odsuwały nieraz na stulecia katastrofy, które wydawały się już nieuniknione i które bez nich nastąpiłyby niezwłocznie. Z drugiej zaś strony ludzie słabi i chwiejni sprowadzali nieraz kataklizmy, które bez ich przyczynienia się mogły nigdy nie nadejść, lub co najmniej mogły być przez długi jeszcze czas odsuwane. Nie mogę więc podać mojej opowieści o Wielkiej Wojnie, nie dając jakiego takiego pojęcia o ludziach, których właściwości bądź ułatwiały ,bądź utrudniały jej uniknięcie, bądź też przedłużały jej niszczycielski bieg, gdy już raz wybuchła.

Jest to dla mnie zadanie nader trudne, a często i niemiłe gdy muszę ściśle referować postępki czołowych osobistości wojennych. Wielu bowiem spośród tych ludzi było moimi kolegami, z którymi łączyły mnie jaknajmilsze stosunki

osobiste: było śród nich wielu takich, z którymi w zupełnej przyjaźni współpracowałem więcej niż dziesięć lat; wielu takich, od których zaznałem dużo względów i uprzejmości; wielu takich, którzy udzielali mi pomocy przeciw napaściom, grożącym od czasu do czasu każdemu, kto odgrywa aktywną rolę w sprawach życia politycznego.

Ponieważ lord Grey (który był wówczas Sir Edwardem Grey'em) należał do tych, którzy odgrywali decydującą rolę w posunięciach i wypadkach, poprzedzających wojnę — muszę dać szczerą ocenę jego charakteru, jeśli moja narracja ma być zrozumiała. Piastowanie przez Grey'a kluczowej pozycji ministra spraw zagranicznych było istotnym składnikiem tego, co się wydarzyło, a jego cechy osobiste były najwidoczniej jednym z czynników, które przyczyniły się do nadejścia wielkiej katastrofy. Toteż w mojej relacji wydarzeń nie mogę pominąć oceny jego charakteru. Nie byłoby to rzetelne wobec czytelników, gdybym nie poddał analizie pobudek człowieka, który uczciwie chciał uniknąć wojny, chociaż mu się to nie udało, i gdybym nie powiedział paru słów o właściwościach i niedociągnięciach, które bardzo wydatnie przyczyniły się do tego niepowodzenia. Zdaję sobie sprawę, że mam kategoryczny obowiązek niedopuszczenia do tego, by na sąd mój mogły wywrzeć wpływ jakiekolwiek względy uboczne. Dlatego przy kreśleniu sylwetek osobistości politycznych surowo wzbroniłem sobie wszelkiej tendencji do stronniczego uprzedzenia.

Społeczeństwo wie o Edwardzie Grey'u mniej niż o którymkolwiek wybitnym polityku owych czasów; toteż jego reputacja opiera się wyłącznie na przypuszczeniach. Stanowisko Grey'a w życiu publicznym zawsze było zupełnie inne niż np. Asquitha, który nie mógł oprzeć się w swej karierze ani na swej pozycji socjalnej ani na majątku; drogę do premierostwa utorował sobie tylko swym wspaniałym talentem i swymi osiągnięciami parlamentarnymi. Ani jeden premier w

przeszłości — z zaszczytnym wyjątkiem Gladstone'a i Disraeli'ego — nie miał lepszego od Asquitha ekwipunku umysłowego do kariery politycznej. Edward Grey posiadał wielką inteligencję, ale typu bardziej przeciętnego. Przebija to w jego przemówieniach, które były zawsze jasne, poprawne i metodyczne, ale nie odznaczały się szczególną dystynkcją stylu ani myśli. Jego podejście do zagadnień polityki zagranicznej miało ten sam konwencjonalny charakter. Stanowisko swoje osiągnął jednak Grey dzięki czemu innemu. Zaletą jego była przede wszystkim prezencja oraz opanowanie manier, co dawało mu pozory „silnego a zamkniętego w sobie człowieka", za którym pokolenie, wychowane na Carlyle'u, wciąż się oglądało, a gdy zdawało mu się, że go znalazło,—darzyło go entuzjastycznym uwielbieniem. W czasach wojennych i powojennych, w czasach Clemenceau, Focha, Lenina, Mussoliniego, Roosevelta i Hitlera, — wszystko bez wyjątku mówców, — ta legenda zaczęła trochę trącić myszką. Najsilniejsi ludzie w przeszłości nie byli nigdy milczkami. Jeden z najsilniejszych — Napoleon — potrafił przy sposobności być nawet gadułą. Jednak bezpośrednio przed rokiem 1914 moda na milczków przeważała jeszcze, a nikt nie skorzystał na niej więcej niż Grey. Jego wyrazista twarz o wąskich wargach, silnie zaciśniętych ustach i wyrzeźbionych rysach sprawiała wrażenie kutej stali. Dodajcie do tego powściągliwość słowa i chłodną, miarową wymowę w rzadkich okazjach,gdy zabierał głos, — a mimo woli odniesiecie wrażenie niezachwianej siły w każdej potrzebie. Grey nie był obdarzony płomienną wymową, która rozjaśnia mroki, ale czasem także i pali i pozostawia po sobie bolesne oparzenia. Zato doprowadził do doskonałości tę poprawność wysławiania się i zachowania, która uchodzi za dyplomację, a czasem bywa nią istotnie, oraz tę potoczystość nienagannej dykcji, która łatwo mogłaby być uznana za zewnętrzną cechę rozumu stanu, dopóki nie nadciągnie kryzys, który całą tę salonowość wystawi na próbę.

Poza tymi zaś atrybutami Grey zawdzięczał swe wyjątko-

we stanowisko temu, że prawie nigdy nie brał udziału w zgiełku walk partyjnych i nigdy nie zmierzył swoich sił z żadnym z potężnych gladiatorów, którzy za jego czasów królowali na arenie. Nie znaczy to, żeby był mniej swarliwy niż np. Asquith: bowiem Asquith był spośród wszystkich polityków najdalszy od wszelkiej swarliwości. Uchylał się on od walki, do chwili kiedy wymagał tego obowiązek. Wówczas jednak szerzył zawsze na froncie walki straszliwe spustoszenia, nie dbając nigdy o żadne ryzyko. To też i sam bywał przedmiotem wszelkiego rodzaju lojalnych lub tchórzliwych napaści, które zawsze grożą każdemu aktywnemu politykowi ze strony nieprzejednanych przeciwników. Natomiast Edward Grey, chociaż jego niewyraźna pozycja wobec licznych kolejnych szefów świadczyła o dość żółciowym usposobieniu, był w ciągu całej swej kariery politycznej na tyle szczęśliwy, że nie potrzebował wypróbowywać swej siły i sztuki dialektycznej w starciu z żadnym z zabójczych zapaśników, którzy królowali wówczas na arenie. Nawet wtedy, gdy krzątał się koło podsycania waśni frakcyjnych w szeregach własnej partii, wolał trzymać się za kulisami, pozostawiając rzeczywistą walkę lordowi Rosebery, Asquith'owi, Halbane'owi i in. W ten sposób udało mu się dojść do wysokich godności w rządach partyjnych bez ponoszenia jakiegokolwiek ryzyka, związanego z udziałem w partyjnych walkach. Jedyny urząd, piastowany przez niego, był zawsze — zgodnie z tradycją — wolny od strzał i pocisków wojny międzypartyjnej. Gdy partia była w opozycji, ograniczał swe wystąpienia do bezstronnych uwag o polityce zagranicznej. To też i jego czynności urzędowe nie były przedmiotem tych groźnych ataków, które są próbą wartości przywódców politycznych. Twarzy jego nie zaszpeciły nigdy ciosy, otrzymywane w walce, gdyż wytrwale unikał pola walki politycznej. Nadawał się specjalnie do piastowania urzędu, pracującego w takiej spokojnej atmosferze, z godnością i wdziękiem, jednakowo miłym dla wszystkich partyj.

W polityce, która doprowadziła do naszego udziału w

wojnie, Sir Edward Grey grał pierwsze skrzypce wśród wszystkich polityków angielskich. W swym żaglowaniu po fluktach polityki zagranicznej nie miał poważnych współzawodników. Czy mógł uchronić nawę europejską od rozbicia się o skały — to zagadnienie musi pozostać w sferze przypuszczeń i komentarzy. Ludzie, zainteresowani tą stroną zagadnienia, będą przez czas pewien dochodzili do sprzecznych wyników. Osobiście skłonny jestem wierzyć, że wyrok potomności będzie nieprzychylny dla stosowanych przez niego metod.

Jedna rzecz nie może ulegać wątpliwości: że jego starania, aby uniknąć Wielkiej Wojny, doznały katastrofalnej porażki. Usiłowałem już powyżej wiernie przedstawić fakty, świadczące o wahaniach Grey'a w ciągu tych przełomowych dni, gdy ciężkie chmury zaczynały się coraz groźniej zagęszczać i coraz szybciej zaciemniać horyzont. Fakty te dają same obraz sternika, którego ręka drżała i nie była zdolna pod paraliżującym wpływem strachu chwycić mocno za ster i manipulować nim stanowczo i celowo. Uprawiał, jak sam mówił, politykę wyczekiwania, aż opinia publiczna zdecyduje za niego o jej kierunku. Grey przypomina mi zastępcę speakera w gorących czasach parlamentu z r. 1892—95. Był to właśnie parlament, wymagający od kierownika obrad tyleż stanowczości co taktu. P. Mellor był człowiekiem zdolnym, kulturalnym i lojalnym, posiadającym dżentelmeńską powierzchowność i maniery. W czasach spokojnych wszystkie partie uważały go za idealnego przewodniczącego. Ale parlament z lat 1892—95, rozpatrujący sprawę Home Rulu, był najburzliwszym parlamentem, jaki kiedykolwiek widziałem, a delikatność i wyszukana grzeczność Mellora sprawiała tylko żałosne wrażenie. Widzę go jeszcze, jak podniósłszy się ze swego fotelu i nie patrząc w żadną stronę, aby go nie posądzono o stronniczość, woła dramatycznym, ale nie rozkazującym głosem: „Spokój, panowie, spokój!" Bezstronne lecz słabe i pozbawione autorytetu apele Edwarda Grey'a do rozszalałych

narodów europejskich, aby uszanowały pokój, zawsze przypominają mi ten incydent parlamentarny. W powszechnej zawierusze ledwie go było słychać, a na pewno nikt się z nim nie liczył. Gdyby w porę ostrzegł Niemcy, w jakim momencie W. Brytania byłaby zmuszona wypowiedzieć wojnę, a wypowiedziawszy, prowadzić ją będzie ze wszystkich sił, —wynik jego apelów mógłby być inny. Mówi się wprawdzie, że położenie Grey'a było utrudnione na skutek niezgody w samym rządzie. Ale co do jednej sprawy nie było w każdym razie żadnej różnicy zdań, — co do najazdu na Belgię. We wszystkich stadiach swych rokowań mógł przekonać się o zupełnej zgodzie kolegów z gabinetu co do tego punktu. Zgoda przywódców opozycji była również zapewniona, — w ten sposób Grey mógł oświadczyć rządowi niemieckiemu w imieniu całego zjednoczonego narodu, że jeżeli plan przemarszu przez terytorium belgijskie zostanie urzeczywistniony, to Niemcy będą musiały liczyć się z czynną interwencją imperium brytyjskiego. I ostrzeżenie to mógł był rzucić na szalę dosyć wcześnie, aby niemieckim władzom wojskowym nie pozostawić wymówki, że nie mają już czasu zmieniać swych pokrytych pyłem planów. Gdy ultimatum zostało doręczone i wojna między Niemcami i ich sąsiadami już wybuchła, sztab niemiecki z pewną dozą słuszności mógł powoływać się wobec Kajzera na to, że jest już za późno zmieniać wydane zarządzenia, nie zaprzepaszczając zarazem niemieckich widoków na zwycięstwo. I nawet jeszcze wówczas Kajzer bardzo pragnął wycofać swe wojska z nad granicy belgijskiej i skierować je na wschód, aby uniknąć zatargu z nami. Moltke dał mu wówczas cytowaną już przeze mnie odpowiedź.

Zawinił tu temperament Greya. Umysł jego nie był zdolny do powzięcia szybkiej decyzji. Opowiadają, że nieboszczyk Hugh Bell, wielki magnat przemysłowy i w ciągu szeregu lat kolega Edwarda Grey'a w zarządzie Kolei Półn.-Wschodniej, miał się kiedyś o nim wyrazić: „Grey jest dobrym kolegą, gdyż nigdy nie chce nic zaryzykować: i jest bardzo złym ko-

legą z tego samego powodu". Powiedzenie to wyjaśnia, dlaczego Grey nie wystąpił w obronie Belgii dosyć wcześnie na to, aby tym, którzy w Niemczech lękali się wojny, dać szansę przemyślenia swych planów na nowo. Nie chciał brać na siebie ryzyka, zawartego w takim śmiałym oświadczeniu. Wciąż miał nadzieję, że wojny uda się uniknąć spokojniejszymi i bardziej konwencjonalnymi metodami. Brak mu było najzupełniej tej odwagi, która decyduje o wielkości ministrów.

Traktat arbitrażowy z Ameryką był godnym pochwały dziełem Grey'a. Wszystkie inne jego wielkie plany doznały rozbicia. Jego układ bałkański z r. 1913 rozleciał się w strzępy, jak tylko opuścił nasze wybrzeża. Jego konwencja londyńska została na szczęście odrzucona, bo gdyby miała być stosowana podczas wojny, to pozbawiłaby nas naszego najskuteczniejszego oręża przeciw Niemcom. Nie udało mu się powstrzymać Turcji — a potem i Bułgarii — od wystąpienia po stronie przeciwnej. Jego oschłe i formalistyczne namowy, aby przeszły na naszą stronę, mogły tylko narażać go na śmieszność. Było bardzo wiele zupełnie widocznych sposobów, — włączając tu wysłanie do Turcji i Bułgarii specjalnej misji, upoważnionej do przyobiecania poparcia finansowego, — które mógł zastosować, aby zapobiec przystąpieniu obu tych państw, lub przynajmniej jednego z nich do wojny. Nie uciekł się jednak do żadnego z tych sposobów. Te dwa ostatnie niepowodzenia, zamiast których bardziej energiczny i pomysłowy minister spraw zagranicznych mógł był osiągnąć dwa wielkie sukcesy, przedłużyły wojnę o lata i omal nie doprowadziły do klęski Sprzymierzonych. Rada, udzielona przezeń w roku 1914 Grecji, aby nie przyłączała się do Koalicji, była fatalna, i zapłaciliśmy za nią utratą półwyspu Gallipoli oraz rozbiciem Serbii. W rokowaniach z Włochami o ich przyłączenie się do wojny wciąż wahał się i popełniał niezręczności. Luigi Villari w swym pouczającym dziele p. t. „Wojna na froncie włoskim" powiada: „Rokowania utykały

w miejscu na całe miesiące". Gdyby nie to, że Grey wziął kilkutygodniowy urlop, a podczas jego nieobecności kierownictwo spraw zagranicznych przejął Asquith, który był najzupełniej zdolny do pobierania śmiałych decyzji — Włochy mogły były obrazić się z powodu oziębłego i krytycznego stosunku do swych propozycyj. Asquith w ciągu kilku dni odrzucił na bok wszystkie drobiazgi i poprowadził rokowania w taki sposób, że decyzja mogła być już powzięta bardzo szybko. Cóż stałoby się ze sprzymierzonymi, gdyby tak nie był uczynił? Armie austriackie mogłyby skupić wszystkie swoje siły przeciw Rosji, a pod połączonym naciskiem Austrii i Niemiec ten wielki kraj załamałby się już w roku 1915. Grey zawsze uważał za prawość to, co było tylko oschłą formalistyką.

Sir Edward Grey należał do klasy społecznej, która na mocy tradycji i pochodzenia, uważa się za uprawnioną do zajmowania stanowisk naczelnych i do rządzenia losami współobywateli których traktują z góry —— zanim jesze mieli sposobność zaznajomić się z zadaniami i bolączkami rodzaju ludzkiego; przy czym niektórzy spośród nich zachowują przez całe życie ową postawę, pełną wyższości. Są oni dalecy od ciężkiej pracy, będącej udziałem całego społeczeństwa. Ludzie nie należący do tej klasy, o ile osiągnęli czołowe stanowiska jak Palmerston, Randolph, Churchill, Salisbury i Balfour, wybili się w gorących walkach politycznych i wywalczyli sobie drogę na szczyty,rozdając i otrzymując po drodze ciosy, które hartują charakter. Edward Grey jednak doszedł do szlif generalskich, nie zaznawszy twardej służby żołnierskiej; nie przeszedł zatem ćwiczeń, które zaprawiają człowieka do patrzenia w oczy rzeczywistemu niebezpieczeństwu. Był na swoim miejscu, dopóki wszystko szło gładko i dopóki wystarczało zachować postawę żołnierza na paradzie. Co innego jednak, gdy doszło nagle do największej i najgroźniejszej walki dyplomatycznej, jaką kiedykolwiek toczyły ze sobą narody. Zatargi polityczne są taką samą dyscypliną, uodporniają-

cą na przygody kariery urzędowej, jak wojna dla dowódców wojskowych. Weteran, który nigdy nie stawał do bitwy, mógł uniknąć niebezpieczeństwa kuli albo granatu, na które narażali się jego koledzy; ale za to nie posiada też ich doświadczenia, które mogłoby mu się przydać, gdy w końcu okaże się sam wciągnięty do boju.

Grey był najzatwardzialszym wyspiarzem pośród wszystkich naszych mężów stanu; z osobistego kontaktu mniej wiedział o cudzoziemcach, niż którykolkiek inny minister w rządzie. Jeżeli wogóle przepływał morze, to chyba nader rzadko. Wystarczało mu zupełnie hrabstwo Northumberland; a gdy już nie mógł tam wytrzymać i szukał zmiany, miał swoją willę rybacką w Hampshire. Była to wielka wada, zwłaszcza jeśli dotknięty nią był minister spraw zagranicznych, i to minister pozbawiony wogóle wyobraźni, — co spowodowało nie jedną z jego największych porażek. Grey nie rozumiał cudzoziemców, — a nie jestem wcale pewien, czy pod tym względem do krajów cudzoziemskich nie zaliczyłby również Szkocji, Irlandii i Walii. Co więcej, nawet wówczas gdy jakaś konferencja w jednej ze stolic zagranicznych mogłaby uratować sytuację, — na przeszkodzie temu stawała niechęć Grey'a do opuszczania Anglii. Gdy na kilka dni przed wybuchem wojny zaproponował zwołanie konferencji ambasadorów czterech mocarstw, to na miejsce zebrania upatrzył sobie Londyn. Wskażę później, w jaki sposób ten egoizm wyspiarski przeszkodził odbyciu się konferencji, która na tym stadium mogłaby przeciągnąć i prawdopodobnie przeciągnęłaby Bułgarię na stronę sprzymierzonych. Idealnym ministrem spraw zagranicznych byłby ktoś pośredni między pustelnikiem i trampem, t. j. np. między Edwardem Grey'em i Ramsay Mac Donaldem.

Rząd, który wskutek sytuacji politycznej i gospodarczej musiał skupić swoją uwagę i energię na zagadnieniach wewnętrznych, pozostawił całą dziedzinę spraw zagranicznych Edwardowi Grey'owi. Ktokolwiek starannie i bez uprzedzenia

zapozna się z historią utraconych przez niego możliwości — musi dojść do wniosku, że brak mu było znajomości krajów cudzoziemskich, siły widzenia, wyobraźni, szerokości umysłu i wysokiej odwagi, graniczącej z zuchwalstwem — a tych właśnie cech wymagały stojące przed nim olbrzymie zadania.

WALKA O SPRZĘT WOJENNY

Uwagi wstępne.

Wybuch wojny zastał nasz kraj zupełnie nieprzygotowanym do działań wojennych na lądzie w tak olbrzymiej skali. Tradycyjnym środkiem naszej obrony była zawsze flota, i ta broń utrzymywana była zawsze w gotowości wojennej. Armia natomiast, używana przez nas głównie dla funkcyj policyjnych w rozrzuconych po świecie posiadłościach imperium i złożona ze świetnie wyszkolonych, ale nielicznych żołnierzy zawodowych, była doskonała do wykonywania swych zadań codziennych, ale ani pod względem liczby, ani zaopatrzenia nie nadawała się do walki na wielką skalę z armiami europejskimi.

Poza tym, niestety, Ministerstwo Wojny przeniknięte było również tradycyjnym reakcjonizmem. W swoich przygotowaniach orientowało się jak gdyby nie na wojnę nadchodzącą, lecz według ostatniej, lub nawet przedostatniej wojny minionej. Do wojny boerskiej przystąpiliśmy z poglądami z czasów wyprawy krymskiej; przed wielką wojną zaś nasi teoretycy wojskowi w najlepsze planowali przyszłe działania wojenne według wzorów Almy, zmienionych jedynie na zasadzie specjalnych doświadczeń „veldtu" afrykańskiego — choć te właśnie doświadczenia nie nadawały się wcale do wyciągania ogólnych wniosków na przyszłość. Niestety, teoretycy pamiętali tylko te lekcje, które lepiej było zapomnieć, ponieważ nie można ich było zastosować; zapominali natomiast

wszystkie doświadczenia, z których powinni byli skorzystać, jako z zapowiedzi przyszłych metod wojowania. Słynne roboty ziemne Todlebena nie miały dla nich znaczenia, podobnie jak okopy pod Magersfontein i Tugelą, gdzie skupione masy naszego wojska zostały wystrzelane przez niewidocznych zupełnie przeciwników. Ale nad umysłowością naszych wojskowych panowały wciąż wspomnienia o wspaniałej szarży, która wyrąbała artylerzystów pod Balaclavą, i o ataku konnicy boerskiej na obóz Methuena pod Klip's Drift.

Na szczęście, rekrutacja ochotników do naszej armii nie zależała od stanu organizacji Ministerstwa Wojny. Sława i autorytet imienia lorda Kitchenera były wielkim magnesem, który został z fachową umiejętnością wyzyskany przez agentów obu wielkich partii politycznych. Na jego apel setki tysięcy młodych ludzi — z miast, wsi i zapadłych ferm — zalało biura werbunkowe. Pierwsze pół miliona ochotników potrafiło przecisnąć się przez biura werbunkowe już w ciągu pierwszego miesiąca; wkrótce liczba ta wzrosła do miliona, potem do dwu i trzech milionów. Ta nieśmiertelna historia była po wielekroć opowiadana i znów powtarzana, nie jest więc moją rzeczą opowiadać ją raz jeszcze. Rozmiarami swymi i wspaniałością ta odpowiedź na apel Kitchenera przewyższa wszystko, co znała dotąd historia. Ponieważ nie było wolnych karabinów ręcznych ani maszynowych, armat ani moździerzy, przy których pomocy możnaby było szkolić tę masę ludzi — oficerowie i podoficerowie dokazywali cudów, przerabiając ten materiał ludzki na armię.

Wyekwipowanie tej armii jednak — to była już inna sprawa. Wyekwipowanie to, o ile wchodziło doń dostarczanie amunicji i sprzętu wojennego, stało się później moim obowiązkiem, i dlatego do mnie należy opowiedzenie tej historii.

Z początku całą tę dziedzinę zagarnęło zazdrośnie w swoje ręce Ministerstwo Wojny, — aż do zawierania kontraktów

z krawcami włącznie. Wynikiem był brak wszystkiego, zwłoka, dezorganizacja i zamieszanie.

Szczęście to dla świata, że nowoczesna broń mordercza nie rośnie sama; trzeba ją zaprojektować i wytworzyć. I chociaż Anglia jest przodującym krajem przemysłowym świata, to jednak jej przemysł był niemal całkowicie nastawiony na produkcję artykułów pokojowych. Brak było w kraju maszyn do wytwarzania karabinów ręcznych i maszynowych oraz dział, zwłaszcza gdy chodziło o cięższe kalibry. Fabryki broni były nieliczne, a metody, stosowane w arsenałach narodowych, były przestarzałe i dość prymitywne. Z naszych dowódców wojennych lord French i Sir Douglas Haig byli kawalerzystami i zyskali sobie reputację, jako generałowie kawalerii; Kitchener był saperem. W każdym razie wszystkie jego własne doświadczenia wojenne mogły tylko umocnić w nim wrażenie, że ruchliwość żołnierzy znaczy więcej niż waga i ilość pocisków.

Pociski o wielkiej sile wybuchowej, używane przez Niemców z taką zabójczą skutecznością, były w chwili wybuchu wojny uważane przez nasz wydział zaopatrzenia za środek raczej eksperymentalny, za przedmiot doświadczeń dopiero, przy czym sprawa ich ładowania i zapłonu nie została jeszcze należycie rozwiązana; nie przeprowadzono wcale poważnych i systematycznych badań. W Ministerstwie Wojny panowała obsesja na punkcie doniosłości szrapneli. Była to jedyna zapamiętana przez nich lekcja wojny boerskiej, i dlatego we wrześniu roku 1914 nasze władze wojskowe wciąż jeszcze szykowały się do zdobywania wzgórz afrykańskich z Boerami, schowanymi w zaroślach lub za skałami. Szrapnel był najpożyteczniejszym pociskiem w Afryce. Dlaczegóż nie miałby być nim w Europie? W roku 1900 krytykowano naszych wojskowych z powodu niedostatecznego zaopatrzenia w te pociski, tym razem więc nie chcieli „wpaść" po raz drugi. Ich arsenał umysłowy miał pomieszczenia tylko dla szrapneli.

Co do artylerii ciężkiej, to w chwili wybuchu wojny normalne wyposażenie armii nie przewidywało nic prócz działa 60-funtowego. Działo 4,7-calowe uważane już było za broń zbyt ociężałą dla operacyj polowych. Istniało tylko kilka okazów haubic sześciocalowych przestarzałego typu i pewna ilość armat sześciocalowych, które można było zebrać ze wszystkich kątów, częściowo z fortów nadbrzeżnych. Istniała tylko jedna zupełnie wykończona haubica 9,2-calowa! Dla wszystkich tych armat amunicji było bardzo niewiele. Nasze stare działa oblężnicze były nabijane od przodu! Urzędowa opinia sztabu głównego głosiła, że tendencja upodobnienia się wojny polowej do działań typu oblężniczego, — tendencja, ujawniona w walkach rosyjsko-japońskich, tym najświeższym przykładzie wojny nowoczesnej — nie powinna być uważana za powszechną. Dlatego sztab nie opracował planów ani nie poczynił przygotowań, mających na widoku taką sytuację. Armie japońskie obchodziły linie rosyjskie, nie próbując ich zniszczyć ani zdobyć, i tak samo postąpiła kawaleria Frencha pod Magersfontein. Czemuż nie miałoby się to powtórzyć we Francji? Okopy na setki mil, ciągnące się od Szwajcarii aż do morza północnego, okopy których nie można oskrzydlić, ani z prawej ani z lewej strony — nie mieściły się w ich wyobraźni.

Niektóre z naszych staroświeckich haubic sześciocalowych przybyły do Francji w porę, aby uczestniczyć w bitwie nad Aisną, ale nawet jeszcze w końcu stycznia r. 1915 Anglicy mieli w polu tylko 24 takich armat, to jest po jednej baterii na korpus, — czyli szesnastą część tego, czym przeciw nam operowali Niemcy. Przy tym Niemcy mieli do swoich haubic dość pocisków, a my do naszych mieliśmy nader skąpe racje. Oficjalną normą naszą, jeśli chodzi o karabiny maszynowe, było po dwa na batalion i nawet tej nędznej normy nie można było osiągnąć dla nowych oddziałów wojskowych w ciągu pierwszych miesięcy ich służby, mimo że miały wal-

czyć z wojownikami niemieckimi, zaopatrzonymi w 16 karabinów maszynowych na batalion. Co do pocisków, to produkcja gilz pociskowych była śmiesznie mała, ale pomimo to była jeszcze o wiele nadmierna w stosunku do produkcji środków wybuchowych, potrzebnych do ich naładowania oraz w stosunku do produkcji zapłonów. Gdy w kilka miesięcy po wybuchu wojny zwiedzałem arsenał w Woolwich, znalazłem stosy próżnych pocisków, napełnianych pojedyńczo z pomocą ręcznych czerpaków wrzącym płynem z wielkich kotłów. Produkcja zapłonów, powodujących detonację pocisku, odznaczała się takim samym brakiem pomysłowości, a wskutek tego i urobek był tak samo niedostateczny.

W chwili wybuchu wojny nie była to nawet sprawa niedostatecznego naszego przygotowania. Przed wojną nikt spośród nas nie brał pod uwagę możliwości tworzenia armii, liczącej setki tysięcy ludzi, dla jakiejkolwiek wojny, w której moglibyśmy być zaangażowani. Nasze porozumienia wojskowe z Francją nie szły nigdy po za wysłanie armii ekspedycyjnej w sile sześciu dywizyj dla poparcia lewego skrzydła wojsk francuskich. Gdy rząd postanowił wezwać ochotników, to określił liczbę rekrutów na 100,000; ale rezultaty tego wezwania przewyższyły najbardziej optymistyczne nadzieje. Gdy armie niemieckie zalały Belgię i złamały front francuski, podsuwając się aż pod bramy Paryża, młodzież angielska zaczęła zaciągać się w takich ilościach, że dzięki temu porywowi oburzenia moralnego cała koncepcja naszego udziału w wojnie uległa zmianie. Rząd, ośmielony tym widokiem, podniósł — w porywie zuchwalstwa — granicę zaciągu do 500,000. Ale po niedługim czasie napływ przekroczył tę granicę.

Nie można więc oskarżać władz wojskowych o to, że w chwili wybuchu wojny nie miały na składzie zapasu zaopatrzenia i amunicji dla niespodziewanie wielkiej liczby ludzi którą trzeba było zorganizować i wysłać w pole. Nie można natomiast zwolnić ich od odpowiedzialności ani za nieu-

dolność, z jaką doprowadziły do naszego zacofania w dziedzinie amunicji i maszyn do wytwarzania amunicji, ani tym bardziej za żałosny brak inicjatywy w obliczu nowych zadań, polegających na szybkim podniesieniu produkcji odpowiednio do wymagań wojny, ujawnionych już w początkach kampanii 1914 roku.

Zrozumieliśmy wówczas, że nowoczesna sztuka wojskowa jest w znacznie większym stopniu niż dawniej wojną chemików i przemysłowców. Co prawda, czynnik ludzki był po dawnemu niezbędny, co się zaś tyczy sztuki dowodzenia — rola jej będzie zawsze ogromna, niezależnie od warunków wojny. Ale nawet najmężniejsze i najlepiej prowadzone wojska okazały się w nowoczesnych warunkach bezsilne, o ile nie były zaopatrzone w odpowiednią, postawioną na właściwym poziomie, artylerię (wraz z olbrzymimi ilościami pocisków wybuchowych), w karabiny maszynowe, w służbę lotniczą i inne pomoce techniczne. W obliczu nieprzyjacielskich gniazd karabinów maszynowych i zasieków drucianych nawet najodważniejsi i najlepiej dowodzeni żołnierze mogli tylko ginąć bezpłodnie w nieustannych porywach heroicznego męczeństwa. Ich poświęcenie nie mogło ani trochę zaważyć na szalach zwycięstwa.

W ten sposób kwestia zaopatrzenia w sprzęt wojenny stawała się kamieniem węgielnym wojny. Stało się niebawem jasne, że jeżeli nie potrafimy jej rozwiązać, — i to rozwiązać szybko — będziemy z pewnością skazani w wojnie na bezsilność.

Biurokratyzm w Ministerstwie Wojny.

Chociaż odpowiedzialne władze wojskowe miały sobie udzieloną zupełną *carte blanche* finansową dla wzmożenia produkcji sprzętu wojennego, i chociaż braki naszych wojsk

na froncie były straszliwe, a sprawa nie cierpiała zwłoki, — braki te wciąż trwały i nawet wzmagały się,a władze wojskowe nie wyzyskiwały wcale posiadanych środków do ostatecznych granic, aby usunąć ten stan rzeczy, powodujący ciągłe straty naszych armii.

Nie ulega wątpliwości, że władze znalazły się w obliczu sytuacji niezwykłej i nie mającej dotąd precedensu. Aby sobie z nią poradzić, trzeba było zastosować również niezwykłe środki. Zarzut polega właśnie na tym, że władze nie wykazały w żadnym stopniu owej pomysłowości i elastyczności, potrzebnej do opanowania sytuacji i do zaimprowizowania środków wyjątkowych. Jedyną obroną,, na którą mogłyby się powołać, jest to, że stawiane im wymagania przewyższały wszelkie normy, oparte na dotychczasowym doświadczeniu, że usiłowano je zaspokoić z pomocą tradycyjnych metod, i że metody te okazały się nie wystarczające dla zaspokojenia istniejących potrzeb. To jednak było rzeczą oczywistą od początku. Zadanie władz wojskowych polegało na wzmożeniu tych źródeł zaopatrzenia sposobami, na jakie mogliśmy sobie pozwolić, jako jedno z trzech największych państw przemysłowych świata, posiadających największe możliwości i największą zdolność przystosowawczą. Wszelkie potrzebne w tym celu pełnomocnictwa zostałyby natychmiast udzielone władzom wojskowym przez parlament. Ale wojskowość nie tylko nie uczyniła tego, lecz stawiała i z początku i później wszekiego rodzaju przeszkody tym, którzy w ten czy inny sposób chcieli jej ulżyć dźwiganego przez nie ciężaru.

Aż do początku wojny ustalona procedura polegała na tym, że minister wojny, jako przedstawiciel rządu, decydował, jakie zamówienia mają być sankcjonowane. Wódz naczelny informował go o swych żądaniach. Na podstawie tych informacji Szef Zaopatrzenia decydował, jakie zapasy mają być nabyte, i z kolei informował dyrektora dostaw wojskowych.

który zwracał się do uznanych oficjalnie firm i przekazywał ich oferty sekretarzowi Ministerstwa Wojny. Po przedyskutowaniu ofert dokonywano ostatecznie zamówień.

Natychmiast po rozpoczęciu wojny departament finansowy na wniosek Ministerstwa Skarbu — powiadomił dyrektora dostaw wojskowych, że nie potrzebuje odtąd przedkładać warunków dostawy przed zawarciem umowy, a tylko komunikować o wszystkich zaciągniętych wskutek tego zobowiązaniach rządu. Powinno to było znacznie przyśpieszyć procedurę; ale skłonny jestem przypuszczać, że w praktyce przedłużyło to ją. Okazało się, że popełniono błąd psychologiczny, którego wytłumaczenie rzuca ciekawe światło na funkcjonowanie maszyny biurokratycznej. Dopóki mianowicie oficer, zarządzający dostawami, miał za sobą sankcję i aprobatę oficera z innego departamentu, póty śmiało bronił swego stanowiska; jego odpowiedzialność bowiem w razie podniesienia zarzutu rozrzutności, była wówczas zmniejszona, o ile nie uchylona zupełnie. Teraz jednak cały ciężar powzięcia decyzji został przerzucony na niego samego. Odpowiedzialność jest bodźcem dla ludzi silnych, działa jednak paraliżująco na słabych. W pamięci oficerów tkwiło wiele niemiłych wspomnień, związanych ze specjalnymi komitetami i komisjami, wyłanianymi podczas wojen poprzednich dla zbadania nadmiernych i niecelowych wydatków. To też wydział zaopatrzenia czuł się skrępowany poczuciem niezwykłej odpowiedzialności i umiał zawsze znaleźć dostateczne wymówki, aby w sprawie dostaw amunicyjnych działać powoli, aby wahać się i namyślać.

Władze wojskowe miały dotąd bezpośrednio do czynienia tylko z arsenałami rządowymi i z bardzo ciasnym kołem dostawców prywatnych i nie mogły się zdobyć na ryzyko tranzakcji z szerszymi kołami. Ujęcie w swe ręce całej sieci nowych i pozbawionych doświadczenia firm i zorganizowanie

ich dla produkcji amunicji pociągało za sobą ponad wszelką wątpliwość poważną i nie posiadającą precedensów odpowiedzialność. Wydział zaopatrzenia cofał się przed tym ryzykiem.

Kiedy jednak wybitni przemysłowcy w całym kraju zgłaszali swe usługi i proponowali dostawy artykułów wojskowych i amunicji, władze wojskowe robiły co mogły, aby się ich pozbyć. Dochodziły mnie skargi, że traktowano ich jak chciwych petentów, polujących na zyskowne dostawy wojenne. Władze wojskowe zazwyczaj dawały takim pomocnikom—ochotnikom spisy przedsiębiorstw, tradycyjnie związanych z Ministerstwem Wojny, i proponowały zwrócenie się do tych przedsiębiorstw w celu zawarcia z nimi umów pomocniczych. Ale trzeba pamiętać, że firmy wybrane już i tak pracowały całą parą, zawalone zamówieniami wojskowymi w rozmiarach, przekraczających maksymalne granice ich zdolności wytwórczej, tak że nie mogły mieć żadnej nadziei na sprostanie tym zamówieniom. Było oczywiste, że ich przepracowane dyrekcje nie będą miały nigdy ani czasu na zorganizowanie obszernego systemu firm pomocniczych, ani ochoty pozbywania się części swych najbardziej wykwalifikowanych pracowników dla wyszkolenia personelu innych koncernów w różnych działach produkcji amunicji. Poza tym jest rzeczą zrozumiałą, że żadna z tych firm nie kwapiłaby się zbytnio do tego, by uczyć inne przedsiębiorstwa, które potem mogły się stać jej niebezpiecznymi rywalami i współzawodnikami. W czasach pokojowych zamówienia władz wojskowych i Admiralicji ledwo wystarczały na to, żeby wiązać koniec z końcem, a któż mógł przewidzieć, jak prędko pokój będzie przywrócony?

Okazało się potem, że niektóre firmy nie tylko podejmowały się zamówień brytyjskich władz wojskowych, przekraczających znacznie ich zdolność wytwórczą, ale ponadto

jeszcze podejmowały się wykonania olbrzymich zamówień dla rządu rosyjskiego. Przyjmując te zamówienia rosyjskie, firmy te nie miały najsłabszej możności ich wykonania, jeżeli chciały lojalnie wywiązać się z dostaw brytyjskich. Niewykonanie tych obstalunków było jedną z najważniejszych przyczyn klęsk, poniesionych przez armie rosyjskie podczas kampanii r. 1914—15. Wojna jest wspaniałym żniwem dla fabryk zbrojeniowych. Ale we wszystkich krajach miały one skłonność do przeceniania wydajności swych pól i pojemności swych gumien.

Polityka, uprawiana przez władze wojskowe, zwolniła je wprawdzie od odpowiedzialności za kontrolę działania tych firm postronnych, ale tylko za cenę odgrodzenia gwałtownych potrzeb naszego frontu od rozległych możliwości fabrykacyjnych Wielkiej Brytanii wąskim kanalikiem w postaci garści przeciążonych pracą przedsiębiorstw, które były zbyt zajęte swymi własnymi troskami, aby podjąć się przerzucanego na nie przez Ministerstwo Wojny gigantycznego zadania organizacji całej potencjonalnej zdolności produkcyjnej kraju na potrzeby przemysłu amunicyjnego.

Pierwsze oznaki braku pocisków.

Po pierwszych fluktuacjach wojny, od odwrotu spod Mons do posunięcia się z nad Marny do Aisny front bojowy zaczął krzepnąć we wrześniu i październiku r. 1914 w postaci tej długiej linii głębokich okopów, która stała się cechą charakterystyczną frontu zachodniego aż do końca wojny.

Użycie przez Niemców 5,9-calowych haubic, jako artylerii polowej, zaskoczyło nie tylko Anglików, ale i Francuzów. Ich działanie wstrząsnęło „morale" oddziałów wojskowych i w znacznym stopniu przyczyniło się do złamania opo-

ru sprzymierzonych oddziałów we wcześniejszych stadiach wojny. Wojska sprzymierzone doświadczyły w ten sposób na sobie siły artylerii niemieckiej i niszczącego działania moralnego ciężkich pocisków artyleryjskich, którymi ona swobodnie szafowała. Zdolność Niemców do posługiwania się nawet w wojnie manewrowej ciężkimi armatami o kalibrze znacznie większym niż ten, który nam wydawał się w ogóle dopuszczalny w polu, oraz spustoszenia, szerzone przez ich „kuferki" i „Jack-Johnsony", jak pogardliwie zaczęto nazywać ich olbrzymie granaty — były objawieniem dla naszych dowódców wojskowych, brytyjskich tak samo jak francuskich. Pośpiesznie improwizowane środki obrony okazały się zgoła nie wystarczające i nie mogły osłonić cofających się wojsk przed tymi potężnymi działami. Nie przygotowano żadnych okopów, te zaś płytkie rowy, które tu i ówdzie naprędce ryto w ziemi podczas odwrotu, nie chroniły wcale przed ulewą pocisków ciężkiej artylerii niemieckiej. Z drugiej strony, gdy z kolei Niemcy rozpoczęli odwrót, to ich inżynierowie zaszyli się głęboko w ziemię, i bombardowanie lekkiej artylerii okazało się wobec takiej osłony bezskuteczne. Gdy więc wojna weszła w stadium walk pozycyjnych, okazało się, że szrapnele naszych armat polowych nie są w stanie nie tylko zburzyć okopów i zmusić do milczenia gniazd karabinów maszynowych ,ale że nie mogą nawet niszczyć zasieków z drutu kolczastego, i że jedyny sposób ratowania życia żołnierzy brytyjskich polega na zasypywaniu nieprzyjaciela ulewą potężnych granatów, zdolnych zmieść karabiny maszynowe. zrównać z ziemią rowy strzeleckie i porobić wyrwy w zasiekach drucianych, zanim rozpocznie się atak.

W tym czasie Ministerstwo Wojny dostarczało artylerii polowej tylko szrapneli, a nawet i pośród pocisków dla haubic i dział 60-funtowych było 70% szrapneli. Nieliczne haubice sześciocalowe i jedna jedyna haubica 9,2-calowa, która nadeszła w październiku, strzelały ciężkimi granatami, ale miały bardzo ograniczoną ilość amunicji.

W pierwszych dniach września r. 1914 Dowództwo Naczelne we Francji zwróciło się do Szefa Zaopatrywania, domagając się dostawy granatów. Żądanie to zostało z wielkim naciskiem powtórzone 15-go, zaś 21-go września nadeszło żądanie stanowcze, aby wśród pocisków dla lekkiej artylerii było 15% granatów. Proporcja ta została następnie podniesiona do 25%, a w dniu 6 listopada — do 50%. W tydzień później obniżono to żądanie do 25%, ale 31 grudnia podniesiono znowu do 50%. Ministerstwo Wojny żądanie to odrzuciło, motywując odmowę tym, że „rodzaj operacji może się znowu zmienić, jak to już było w przeszłości". Tak uparcie władze wojskowe odrzucały fakt, udowodniony już przed dziesięciu laty podczas wojny rosyjsko-japońskiej w Mandżurii, że nowoczesne działania wojenne mają tendencję do przekształcania się w walki pozycyjne typu oblężniczego. Mógłbym dodać, że dnia 22 października francuski generał Deville poinformował nasze Ministerstwo Wojny, że Francuzi w ogóle wyrzekli się szrapneli i używają tylko granatów.

Ale poważniejszy jeszcze od braku granatów był brak pocisków w ogóle. W dniu 17 września French telegrafował o zwiększenie dostawy pocisków dla swoich haubic, podkreślając, że rezerwy amunicji na liniach komunikacyjnych stają się zatrważająco małe, i że „zważywszy na wielkie obecne i spodziewane wydatkowanie amunicji jest to sprawa poważna. Nie trzeba szczędzić wysiłków, żeby natychmiast wysłać dalsze dostawy".

Ministerstwo Wojny odpowiedziało, że wysyła wszystko, co może — przy ówczesnym tempie zużycia amunicji przez Frencha oznaczało to dlań posiadanie mniej więcej dziesięciodniowej rezerwy — i ostrzegło, że takie tempo wysyłek „obniżyłoby bardzo znacznie nasze zapasy, i nie możemy nadal wysyłać w tym tempie, aż dopóki fabrykanci nie osiągną maksymalnej swej produkcji". Brak amunicji dla artylerii

cięższej przybrał takie rozmiary, że staje się tematem codziennych niemal telegramów Frencha. 28 września zwraca on również uwagę na grożący brak amunicji dla artylerii polowej, pisząc: „Co do dział 18-funtowych, Ministerstwo chce przysyłać 15.000 pocisków tygodniowo, czyli mniej niż 7 pocisków na działo dziennie. Jest to ilość bezwzględnie o wiele za mała. W ciągu ostatnich dwóch tygodni przeciętne dzienne zużycie wynosiło po 14 pocisków na działo, pomimo, że działa te, biorąc ogólnie, były w porównaniu z innymi słabo tylko zaangażowane w akcji nad Aisną. Nie potrzebuję mówić, że niedostateczna ilość amunicji dla artylerii polowej mogłaby doprowadzić do poważnych następstw. Możnaby sądzić, że charakter ostatnich walk był nienormalny, ale według mego zdania operacje w ciągu tej kampanii będą przeważnie tego samego rodzaju, i dlatego w celu zachowania armii w stanie gotowości bojowej zmuszony jestem podkreślić, że proponowane normy zaopatrywania w amunicję nie mogą w żaden sposób sprostać wymaganiom". W swej odpowiedzi w dniu 7 października Ministerstwo tłomaczyło się następującymi słowami: „Co się tyczy listu Pana z dn. 28 września, zwracam Pańską uwagę z polecenia Rady Wojennej, że zaaprowidowała ona.... i wysyłała ilości uzupełniające prawie we wszystkich wypadkach całkowicie *według norm amunicji artyleryjskiej, ustalonych przed wojną*". (Kursywa moja). I ten list zawierał obietnicę zwiększenia zaopatrzenia, na co sir John French w odpowiedzi swej z dnia 10 października powtarzał znowu, że nawet te zwiększone normy zaopatrzenia dadzą armii tylko po 9 pocisków dziennie na każde działo 60-funtowe i po 11 pocisków na każdą haubicę 4½-calową, a jeżeli uwzględnić wszystkie dywizje, to nawet tylko po 6 pocisków na każdą 18-funtową armatę polową. Również i potem z Francji nadchodziły telegramy, natarczywie domagające się większej ilości granatów. Rozpoczął się właśnie olbrzymi atak niemiecki, zmierzający ku temu, aby wrzucić armię brytyjską do kanału La Manche i zdobyć porty nadbrzeż-

ne. Rozgorzała pierwsza bitwa pod Ypres, ostatnia bitwa na tym froncie, rozgrywana w otwartym polu. Podczas tej walki feldmarszałek telegrafował do lorda Kitchenera: „Jeżeli rezerwy amunicji na liniach komunikacyjnych nie będą natychmiast podniesione przynajmniej do ustalonej normy i nie będą utrzymane na tym poziomie, to może się stać, że wojska będą wkrótce musiały walczyć bez poparcia artylerii. Wielka bitwa, tocząca się od kilku dni, trwa nadal, i w razie braku amunicji artyleryjskiej następstwa będą poważne." Na to Minister Wojny odpowiedział co następuje: „Z chwilą, gdy tylko wykalkuluję, jakie normy amunicji zużywacie, odpowiem na punkt ostatni... Zwróci Pan oczywiście uwagę, że stosujemy oszczędność..." W trzy dni potem Szef Zaopatrywania pisał do Dowództwa Naczelnego, oświadczając: „Nie mogę powiedzieć, jakie będą nasze dostawy w przyszłości, gdyż zależy to całkowicie od tego, czy obietnice firm, którym powierzyliśmy wielkie zamówienia, będą punktualnie wykonane". Dodawał przy tym, że nie może zwiększyć dostawy 4,7-calowych granatów bez uszczerbku dla nowych dywizji, teraz właśnie formowanych. French odpowiada, że musiał zredukować ogień haubic do 10 pocisków na działo dziennie, a wkrótce będzie musiał ograniczyć i 18-funtowe armaty polowe do tej samej normy. Upraszał o amunicję, zatrzymywaną przez Szefa Zaopatrywania jako ekwipunek dla baterii, nie wysłanych jeszcze za morze: „Przypuszczam, że ważniejszą rzeczą jest dostateczne zaopatrywanie w amunicję będących już tutaj baterii, niż przetrzymywanie amunicji w Anglii dla baterii, które zostaną wysłane później", — a w naglącym post scriptum dodawał:

„*Muszę z naciskiem podkreślić* ten punkt: *ofensywa w najbliższych dwu tygodniach mniej więcej będzie miała wyjątkowe znaczenie!* Chciałbym zwrócić szczególną uwagę na trzeci paragraf mego listu. J. F." (Jego własna kursywa).

W dwa dni później, 31 października, French depeszuje znowu, powtarzając swe żądanie, które zostaje przez Ministerstwo Wojny przyjęte. Oprócz tego Kitchener sugeruje mu, że Joffre powinienby nadesłać więcej francuskich armat wraz z obfitą amunicją. W konsekwencji jednak, gdy w dwa dni później sir John French zażądał jeszcze jednej dywizji piechoty, zaproponowano mu wybór pomiędzy terytorialną dywizją Stuarta Wortleya „bez artylerii, dla której nie posiadamy amunicji" a niezupełnie wyćwiczoną 8-mą dywizją z artylerią, zdekompletowaną przez dostawy już uskutecznione.

W ciągu listopada i grudnia brak amunicji wzrastał coraz bardziej. Dnia 12 listopada Dowództwo Naczelne telegrafuje o więcej pocisków dla armat 4,7-calowych, a Ministerstwo wylicza w swej odpowiedzi wszystko, co zostało wysłane w tygodniu ubiegłym i dodaje: — „Nie jesteśmy w stanie wysyłać nadal w tym samym tempie". Dnia 12 grudnia French telegrafuje do lorda Kitchenera: „Jestem bardzo niespokojny o nasze zaopatrzenie w amunicję". Kitchener odpowiada, że produkcja nie wystarcza nawet dla armat, będących już w polu, wobec czego ma wątpliwości, czy rozsądne jest wysyłanie do Francji nowych baterii, skoro „jest oczywiście nieekonomiczne trzymać we Francji baterie, które nie mogą być użyte z powodu braku amunicji". Dnia 31 grudnia French pisał do Ministerstwa: „Obecne dostawy amunicji artyleryjskiej okazały się tak niedostateczne, że przedsiębranie operacji ofensywnych, nawet na małą skalę, nie może wchodzić w rachubę. Niedawne doświadczenie dowiodło, że amunicji, jaką dysponujemy, ledwie wystarcza na jednogodzinne bombardowanie małych odcinków linii nieprzyjacielskich, i że nawet te operacje nie pozostawiają już amunicji dla odparcia kontrataku albo dla skutecznego poparcia oddziałów atakujących. Wobec rodzaju działań, w jakich jesteśmy i będziemy nadal zaangażowani, *zaopatrzenie w amunicję artyleryjską będzie czynnikiem górującym.... Przyszłe operacje armii*

brytyjskiej będą zależały od dostaw amunicji dla artylerii." (Kursywa moja).

Członkowie rządu nie widzieli wówczas ani jednego z tych listów Frencha i nie wiedzieli w ogóle o ich istnieniu.

WALKA O SPRZĘT WOJSKOWY.

(ciąg dalszy)

Wielki skandal z granatami.

Na wiosnę r. 1915 stanęliśmy wobec braku sprzętu wojennego prawie we wszystkich dziedzinach zaopatrzenia, ale najbardziej palący na froncie był brak pocisków dla naszej artylerii.

Dnia 31 grudnia r. 1914 French na podstawie swego doświadczenia z pierwszych pięciu miesięcy wojny powiadomił Ministerstwo Wojny, jakie są jego żądania co do zaopatrzenia w niezbędne dla normalnej obrony frontu i dla sprostania wyjątkowemu wydatkowaniu amunicji, jakiego wymagają ataki specjalne. Jeżeli chodzi o podstawową artylerię jego oddziałów, t.j. o armaty 18-funtowe, o haubice 4½-calowe i armaty polowe 4,7-calowe, to domagał się:

50 pocisków dziennie na działo dla armat 18-funt.
40 „ „ „ „ „ „ 4½-cal.
25 „ „ „ „ „ „ 4.7-cal.

Dotychczasowe zaś zaopatrzenie tych broni z miesiąca na miesiąc wynosiło na działo dziennie pocisków:

	miesiąc	18-funt.	4½-cal.	4.7-cal.
r. 1914	listopad	9.9	6.8	10.8
	grudzień	6.0	4.6	7.6
r. 1915	styczeń	4.9	4.2	7.6
	luty	5.3	6.5	5.3
	marzec	8.6	6.5	5.3
	kwiecień	10.6	8.2	4.2
	maj	11.0	6.1	4.3

Liczby te nie wymagają komentarzy. Mówią same za siebie. Następstwa takich braków były tragiczne dla wojsk, które musiały bronić frontu w ciągu tych miesięcy. Przez cały ten czas nasi żołnierze znosili ciosy Niemców bez żadnej możności odwzajemnienia się. Odpłata byłaby zarazem obroną. Niemcy zawahaliby się przed otwieraniem ognia na nasze okopy, gdyby wiedzieli, że na każdy granat odpowiemy granatem. Ale wiedzieli doskonale, że mogą zasypywać nasze linie pociskami nemal bezkarnie. Gdy zaś atakowaliśmy, to nasze natarcie nie było podtrzymywane odpowiednim przygotowaniem artyleryjskim ani ogniem zaporowym, i nasi żołnierze stawali przed nietkniętymi zasiekami drucianymi, gdzie dziesiątkowały ich karabiny maszynowe. Ten katastrofalny stan rzeczy był spowodowany zupełną niedostatecznością poprzedzającego atak bombardowania. Nie była to wina naszej artylerii, która nie miała dział dostatecznie wielkiego kalibru, amunicja zaś zarówno dla dział lekkich jak cięższych była nie tylko zbyt skąpa, ale i nieodpowiednia, gdyż składała się przeważnie ze szrapneli.

Dnia 21 grudnia r. 1914 stwierdziłem w Izbie Gmin:

„Co poskąpimy na materiale, to przepłacimy życiem ludzkim, na tym polega wielki sens zaopatrzenia technicznego". Prawdziwość tego twierdzenia została nam zademonstrowana w ciągu miesięcy następnych, gdy nasi żołnierze zostali

pozbawieni wszelkich środków skutecznej odpowiedzi na ogień niemiecki.

Wskazałem już, jak sir John French nieustannie domagał się większych dostaw amunicji w końcu r. 1914. I potem również słał naglące wezwania o lepsze zaopatrzenie. Gdy bitwa pod Neuve Chapelle rozwijała się już od trzech dni, French musiał depeszować do Kitchenera w dniu 13 marca r. 1915:

„Przerwa w posuwaniu się naprzód konieczna jest dzisiaj, z powodu zmęczenia wojsk i przede wszystkim wskutek braku amunicji. Jeżeli mamy osiągnąć poważniejsze wyniki, to musimy mieć z kraju wszelką możliwą pomoc w ludziach i w amunicji."

16-go zaś marca telegrafował:

„Dostawy okazały się mniejsze niż mogłem oczekiwać, zwłaszcza w stosunku do dział 18-funtowych i 4½-calowych, a wobec tego zmuszony jestem poniechać dalszych działań ofensywnych, zanim nie nagromadzimy dostatecznych rezerw."

A następnie tego samego dnia wysłał drugą depeszę dla wzmocnienia pierwszej:

„Zwłoka jest rzeczą naprawdę fatalną. Teraz jest chwila do uderzenia. Czyż nie można nic zrobić, aby przyśpieszyć możliwość operacji?"

Po tych depeszach wysyła jeszcze do ministra list, datowany z dn. 18 marca, w którym oświadcza, że wysiłki Rady Wojennej dla zaopatrzenia go w amunicję dały rezultaty „całkowicie niezadowalające".

„Jeżeli zaopatrzenie w amunicję nie może być utrzymane na znacznie wyższym poziomie, w takim razie ofen-

zywne wysiłki armii mogą być jedynie sporadyczne i oddzielone od siebie znacznymi odstępami czasu. Nie mogą więc prowadzić do rozstrzygających wyników...

Aż dotąd błoto i brak amunicji artyleryjskiej były najpotężniejszymi z czynników, skazujących nas na defensywę. Ale teraz już ani pogoda ani stan terenu nie mogą być uważane za czynnik, ograniczający zasięg naszych działań....

Chcę stwierdzić z całym poczuciem mego autorytetu, jako naczelny wódz armii brytyjskiej we Francji, że cele rządu Jego Królewskiej Mości nie będą mogły być osiągnięte, dopóki dostawy amunicji artyleryjskiej nie zostaną zwiększone tak, aby umożliwić armii zaangażowanie się w dłuższą akcję ofensywną i pragnąłbym wpoić Rządowi przekonanie o konieczności bardzo poważnego wysiłku dla osiągnięcia tego celu."

Odpowiedź Ministerstwa Wojny na ten list użalała się na to, że w ciągu pierwszych 16 dni marca artyleria zużyła po 200 do 220 pocisków na działo, — czyli ok. 13 pocisków na działo dziennie! Wliczone były już tu granaty, wystrzelone w bitwie pod Neuve Chapelle. Pociski dla tej operacji były oszczędzane przez całe tygodnie. Ministerstwo żądało, aby: — *„wobec osiągniętych wyników, które zdaje się wyprowadziły z równowagi i zdemoralizowały obronę* (kursywa moja), zastosować najsurowszą oszczędność w wydatkowaniu amunicji i prosiło ,aby mniej używać amunicji cięższego kalibru.

Ciekawą ilustracją dróg, jakimi kroczyło rozumowanie lorda Kitchenera w tych sprawach, było jego zachowanie się bezpośrednio po bitwie pod Neuve Chapelle. Kitchener wkroczył na posiedzenie gabinetu swym najbardziej wojskowym krokiem, obrzucił nas złowieszczym spojrzeniem, przesadnym i uroczystym, które było u niego niezawodną oznaką irytacji ,i jak tylko usiadł, zawołał zachrypniętym głosem,

wibrującym od hamowanego wzburzenia: „O, to straszne, straszne!"

„Czyż straty były takie wielkie?" — zapytaliśmy zaniepokojeni.

„Nie myślę na razie o stratach — odpowiedział Kitchener — ale o tych wszystkich granatach które zostały zmarnowane!" Właśnie otrzymał liczby, dotyczące zużycia amunicji w czasie bitwy.

French odpowiedział na cytowane wyżej skargi Ministerstwa Wojny, że nie wspominał ani słowa o tym, jakoby obrona linii niemieckich została „wytrącona z równowagi i zdemoralizowana"; ten zaś efekt, który został osiągnięty, wywołany był przez ogień naszej naszej ciężkiej artylerii. „Z danych ,którymi rozporządzam — dodawał, — nie wynika, aby uprzednie bombardowanie Neuve-Chapelle było zbyt silne. W rzeczywistości w dwóch miejscach było ono niedostateczne, i wynikły stąd ciężkie straty... Nasze straty oraz rozmiary zdobytych przez nas terenów są najlepszą wskazówką, czy wydatkowanie amunicji artyleryjskiej było istotnie zbyt duże"

(Łączna powierzchnia zdobytego przez nas terenu wyniosła około jednej mili kwadratowej, a nasze straty wyniosły 12.892 ludzi, w tym 583 oficerów i 12.309 żołnierzy).

Przemawiając w Izbie Lordów w sprawie noweli do Ustawy o obronie kraju, Kitchener o tyle porzucił swą zwykłą wstrzemięźliwość, że przyznał co następuje:

> „Zaopatrzenie i wykwalifikowanie nowych armij zależy w znacznym stopniu od naszej zdolności uzyskania potrzebnych materiałów wojennych... Pomimo wysiłków, przekonaliśmy się niestety, że produkcja nie tylko nie zaspakaja naszych niezbędnych potrzeb, ale nie daje nawet tego co dać miała, gdyż bardzo znaczna część naszych zamówień nie została wykonana na obiecany termin.

Postępy w wyekwipowaniu naszych nowych armij, jak również w dostarczeniu niezbędnego materiału wojennego naszym oddziałom na froncie, są poważnie hamowane wskutek braku odpowiednich rąk roboczych oraz wskutek opóźnień w instalacji odpowiednich urządzeń produkcyjnych.."

Takie otwarte przyznanie się Kitchenera do poważnej sytuacji w dziedzinie sprzętu wojennego wywarło przykre wrażenie w opinii publicznej i znacznie pomogło mi w rokowaniach, które wkrótce potem prowadziłem z przedstawicielami Związków Zawodowych w celu niedopuszczenia do strajków i lokautów w przedsiębiorstwach, pracujących dla wojny.

W ciągu paru następnych tygodni w raportach, donoszących o braku amunicji, nastąpiła pewna przerwa. Na froncie angielskim we Francji nie przedsiębrano żadnych poważniejszych działań; być może również fakt, że w tym właśnie czasie toczyły się rokowania z Włochami dla spowodowania ich interwencji po naszej stronie, sprawił, że władzom wojskowym zależało bardzo, aby nie ujawnić na zewnątrz żadnych nowych szczegółów naszych trudności amunicyjnych.

Panujące w kraju złudzenie, że w tej dziedzinie wszystko jest w porządku, wzmocniło się jeszcze wskutek listu, napisanego przez lorda Kitchenera do Asquitha w dniu 14 kwietnia. List brzmiał jak następuje:

„Ministerstwo Wojny, 14 kwietnia r. 1915.

Szanowny Panie Premierze!

Rozmawiałem z Frenchem. Powiedział, że mogę Panu zakomunikować, iż przy obecnych normach zaopatrzenia w amunicję będzie miał jej tyle, ile jego oddziały zdołają zużyć w najbliższej ofenzywie".

Na mocy tego zapewnienia premier w dniu 20 kwietnia wygłosił swą znaną mowę w Newcastle, w której oświadczył, że nie jest prawdą, jakoby nasze wojska i wojska sprzymierzone były paraliżowane lub hamowane niemożnością dostarczenia im niezbędnej amunicji, oraz, że nie jest ani słuszne, ani sprawiedliwe przypuszczenie, jakoby przemysł zbrojeniowy cierpiał z powodu ospałości bądź przemysłowców bądź robotników.

Następnego dnia miałem brać udział w debacie amunicyjnej w Izbie Gmin i w przemówieniu moim przyjąłem z całym zaufaniem zapewnienia władz wojskowych o ich obecnych osiągnięciach i podkreśliłem ogrom zadań, przed którymi zostały one postawione. Depesze z frontu, uskarżające się na brak pocisków, nie były komunikowane gabinetowi. Nie wiem, czy znał je premier. Lord Kitchener zapewnił mnie, że wyekwipowanie armii jest dostateczne, i na mocy tej informacji, udzielonej mi przez Ministerstwo, broniłem go przed zarzutami. Zależało mi bardzo na pogodzeniu się z Ministerstwem Wojny i na doprowadzeniu do zgodnej współpracy między nami nad podniesieniem produkcji amunicji. Wiedziałem, że nie da się tego zrobić, zanim się nie przekona najbardziej decydujących czynników o konieczności poniechania tradycyjnych poglądów i praktyk — i robiłem wszystko co mogłem, aby ich przekonać. Podkreślałem więc w moim przemówieniu raczej ich osiągnięcia niż niedociągnięcia. Wskazałem na fakt, że choć przyrzekliśmy Francuzom pomóc tylko sześciu dywizjami, to już do tej pory wysłaliśmy w pole sześć razy więcej. „Takie było zagadnienie, przed którym stanęły władze wojskowe, i z którym musiały sobie poradzić. Nie chcę powiedzieć, że nie mogły zrobić więcej, ale chcę, aby Izba Gmin wiedziała, czego Ministerstwo Wojny naprawdę dokonało".

Zakończyłem nutą optymistyczną, opartą na mym przeświadczeniu, że w problemach, które przed nami stanęły, nie

ma nic takiego ,czegoby naród nasz nie był zdolny rozwiązać i przezwyciężyć. W rzeczywistości daleki byłem od optymizmu, jeżeli chodziło o poczynione przez nas podówczas postępy; ale publiczne wyjawienie moich poglądów mogłoby w danej chwili przynieść więcej szkody niż pożytku ze względu na nasze zabiegi dyplomatyczne we Włoszech.

Opozycja zwróciła uwagę na rozbieżność pomiędzy tym, co poprzedniego dnia powiedział Asquith w Newcastle i złożonym przed kilku tygodniami w Izbie Gmin oświadczeniem Kitchenera, że produkcja amunicji nie odpowiada ani naszym oczekiwaniom ani niezbędnym potrzebom. Wyrażono życzenie uzyskania lepszych informacji o rzeczywistym położeniu i większej koordynacji wysiłków nad wzmożeniem wyrobu amunicji i sprzętu wojennego, przy czym na ostatnie życzenie wyraziłem moją zupełną zgodę.

Trzeba jak sądzę przypuścić, że lord Kitchener coś źle zrozumiał w tym co mu French mówił o ilości pocisków, dostarczanych do Francji. Jest w każdym razie rzeczą pewną, że uroczyste oświadczenia ,złożone przez Asquitha w Newcastle, zostały szybko i w sposób dramatyczny obalone już po upływie dwóch dni, gdy Niemcy rozpoczęli nową ofensywę pod Ypres, dodając do dawnych okropności nową — w postaci pierwszego ataku gazowego. Nasza armia bowiem okazała się pozbawiona amunicji artyleryjskiej, przy której pomocy mogłaby uratować naszą ginącą piechotę z otaczającej ją śmiertelnej chmury.

Wprowadzenie gazu było dla nas nową lekcją, wskazującą, że techniczna strona wojny ma najdonioślejsze znaczenie. Była to metoda walki, do której stosowania nie byliśmy przygotowani — i wobec tego nie byliśmy w stanie należycie odeprzeć tego ataku. Cały naród ogarnęło uczucie zgrozy i oburzenia. Główny zarzut, jaki można było postawić, polegał na tym, że chociaż ze źródeł francuskich otrzymaliśmy nie jedno ostrzeżenie — np. 30 marca i 15 kwietnia — że wed-

ług nadchodzących raportów Niemcy przygotowują się do tej nowej formy ataku, nie uczyniono jednak żadnych przygotowań dla obrony naszych żołnierzy przed tą śmiertelną bronią. W dniu 17 kwietnia, na pięć dni przed użyciem przez siebie gazów, Niemcy wystąpili z fałszywymi oskarżeniami, że Anglicy stosują rzekomo bomby i granaty z gazami trującymi. Była to oczywiście chęć usprawiedliwienia zawczasu tego użytku, jaki oni sami chcieli wkrótce zrobić z tego okrutnego środka walki. Mógłbym dodać, że Francuzi, chociaż uprzedzeni wcześniej od nas, również nie przygotowali żadnych środków obrony.

Prymitywne sposoby obrony wojsk przed gazami chlorowymi zostały zaimprowizowane przez oficerów na froncie; w kraju lord Kitchener przejawił wielką energię osobistą w zorganizowaniu dostawy artykułów obrony przeciwgazowej, a Ministerstwo Wojny szybko pchnęło tę sprawę naprzód. Ale epizod ten przyczynił się do zaniepokojenia opinii, ujawnił bowiem naszą nieporadność wobec przeciwnika, mającego do dyspozycji cały aparat nauki i świetnie zorganizowany system przemysłowy, i zdecydowanego na to, aby z posiadanej przez siebie przewagi zrobić najbardziej bezlitosny użytek.

Poważna wyrwa w naszym froncie, uczyniona przy pomocy tej nowej broni, skłoniła dowództwo armii do przedsięwzięcia kontrataku pod Festubert w dniu 9 maja, w celu odciążenia naszych wojsk pod Ypres. W książce swej: „Rok 1914" French pisze o tej bitwie:

> „Pomimo naszych próśb mniej niż 8 proc. naszych pocisków składało się z granatów o wielkiej sile wybuchowej, i amunicji starczyło nam zaledwie na 40-minutowe przygotowanie artyleryjskie. Spędziłem kilka godzin na obserwowaniu zbliska tych operacji z jakiejś wieży kościelnej. Od czasów bitwy nad Aisną nic tak głęboko nie podziałało na mnie, jak ten okropny brak

artylerii i amunicji. Gdy obserwowałem wzgórza Aubers, widziałem jasno ogromną nierówność sił artylerii, a po załamaniu się jednego natarcia za drugim mogłem stwierdzić, że brak dostatecznego poparcia artyleryjskiego podwajał i potrajał nasze straty w ludziach".

Nasze straty w tej bitwie były bardzo ciężkie, zysków — nie było żadnych.

W trzy dni po rozpoczęciu tej bitwy miałem niespodziewaną wizytę dwóch panów. Jednym z nich był sekretarz Frencha, Brinsley Fitzgerald, a drugim — jeden z jego adiutantów — kapitan F. Guest. Zostali oni wydelegowani przez Wodza Naczelnego w celu zakomunikowania Balfourowi, Bonar Lawowi i mnie pewnych faktów i dokumentów, dotyczących braku amunicji. Mieli przy sobie odpisy korespondencji oraz memoriału Frencha, podkreślającego niezbędną potrzebę ciężkich pocisków i wyliczającego, jaka miesięczna ilość tych pocisków potrzebna będzie w ciągu najbliższych trzech miesięcy. Wódz naczelny miał już dosyć swych memoriałów pod adresem Ministerstwa Wojny, gdyż nie prowadziły one do niczego poza kontrmemoriałami, i postanowił odwołać się — z pominięciem Ministerstwa — wprost do polityków i do prasy. Były to pierwsze wiadomości o zagadnieniu amunicyjnym, uzyskane przeze mnie od Wodza Naczelnego

Sir John przyznał potem, że zwrócił się ze swoją skargą do mnie, ponieważ okazywałem zawsze szczególne zainteresowanie tym przedmiotem. Kontynuując swą kampanię, zmierzającą do zwrócenia uwagi na to co uważał on za groźne w istniejącej sytuacji, French udzielił również wiadomości i wyłożył swe poglądy wojennemu sprawozdawcy gazety „*Times*", i w dniu 14 maja ukazał się tu jego raport pod wielkim tytułem: „Brak pocisków. Ataki bry-

tyjskie uniemożliwione. Przyczyną — niedostateczne zaopatrzenie".

Ponieważ artykuł ten był mniej więcej streszczeniem wiadomości, które przynieśli mi emisariusze Frencha, cytuję tu następujące urywki:

„Wyniki naszego niedzielnego ataku w rejonie Fromelles i Richeburg były niezadowalające. Okazało się, że pozycje przeciwnika są znacznie silniejsze niż przypuszczaliśmy. Nie mieliśmy dosyć ciężkich pocisków, aby — zgodnie z praktyką francuską — zrównać z ziemią ich okopy, a kiedy nasza piechota mężnie zdobyła rowy strzeleckie, — tak było w obu atakach, — to okazało się, że załoga nieprzyjacielska nie jest wcale zdemoralizowana, niektóre zasieki są nawet w ogóle nietknięte, a Maksymy ze wszystkich stron zasypują naszą piechotę gradem kul. Nie mogliśmy się utrzymać w zdobytych okopach, a nasze rezerwy nie zostały rzucone do akcji, gdyż dalszy atak nie rokował powodzenia.

Natarcie było dobrze uplanowane i prowadzone z wielkim męstwem. Piechota pracowała wspaniale, ale warunki były zbyt ciężkie. *Niemożność nieograniczonego poparcia ciężkimi pociskami była fatalną przeszkodą w osiągnięciu powodzenia....*

Wartość wojsk niemieckich w natarciu bardzo osłabła, i łatwo dajemy sobie z nimi radę w otwartym polu. Ale póki nie będziemy należycie uzbrojeni do wojny okopowej, póty będziemy atakować w warunkach niekorzystnych...

Aby złamać ten twardy pancerz, musimy mieć więcej ciężkich pocisków, więcej ciężkich haubic i więcej

ludzi. Ta szczególna forma wojowania nie ma precedensu w historii.

Jest rzeczą pewną, że możemy zgnieść pancerz niemiecki, jeżeli będziemy posiadali ku temu środki. A więc, środki te muszą się znaleźć, i to jak można najszybciej."

Artykuł ten wywołał ogromne zaniepokojenie i konsternację opinii publicznej. Po raz to pierwszy mówiono społeczeństwu tak otwarcie o tym, jak poważna jest na froncie sprawa braku amunicji. Mogę dodać, że wizyta przedstawicieli sir Johna Frencha dała i mnie pierwsze jasne i autorytatywne wiadomości o całej powadze położenia. Jak już wspomniałem, gabinetowi nie pokazywano wcale licznych telegramów Dowództwa Naczelnego w tej materii, i byliśmy zmuszeni urabiać sobie opinię na podstawie ogólnych wiadomości, pogłosek i komentowania przy pomocy zdrowego rozsądku znanych nam faktów. Chociaż osobiście przejawiłem szczególne zainteresowanie sprawą wzmożenia produkcji pocisków i chociaż pomagałem władzom wojskowym osiągnąć ten cel wszelkimi dostępnymi mi środkami, wszystkie tak doniosłe depesze z frontu na temat braku amunicji były przede mną ukrywane nawet wówczas, gdy byłem przewodniczącym specjalnej komisji, wyznaczonej przez premiera dla rozpatrzenia problemu amunicyjnego.

Teraz jednak stało się rzeczą jasną, że po ośmiu miesiącach działań wojennych amunicji — w stosunku do potrzeb tej wojny — mamy wciąż jeszcze o wiele za mało. Jeszcze gorsze było to, że — o ile mogłem ocenić — przy zachowaniu dotychczasowych metod organizacji — nie było żadnych widoków na uzyskanie dostatecznych dostaw. A więc — jeżeli ktoś nie ujmie tej sprawy w swoje ręce, bezużyteczne hekatomby żołnierskie trwać będą nadal, wojna przeciągnie się, i grozi nam przegrana!

Odczuwałem te rzeczy tak silnie, że skierowałem do Asquitha list następujący:

„19 maja r. 1915.

Szanowny Panie Premierze,

Doszły do mojej wiadomości pewne fakty, dotyczące zaopatrzenia technicznego armii, na które uważam za swój obowiązek zwrócić Pana uwagę. Zwracam się do Pana, ponieważ moja nominacja na przewodniczącego Komisji Amunicyjnej wyszła bezpośrednio od Pana.

Aby komisja mogła w sposób właściwy wykonać swoje zadania, było rzeczą istotną, by zostały nam dostarczone wszelkie informacje, dotyczące najpilniej potrzebnych pocisków oraz obecnego faktycznego zaopatrzenia. Dowiaduję się teraz ze źródła najwidoczniej godnego zaufania:

1. Że przy atakowaniu silnie umocnionych okopów, osłoniętych zasiekami z drutu kolczastego, szrapnele są bezużyteczne, a niezbędne są pociski o wielkiej sile wybuchowej;

2. Że ci, którzy ponoszą odpowiedzialność za prowadzenie operacji na froncie, już od miesięcy podkreślali ten fakt wobec Ministerstwa Wojny, domagając się najprzód, aby 25 proc. wysyłanych do Francji pocisków stanowiły granaty, a następnie — aby odsetek ten był podniesiony do 50 proc.;

3. Że pomimo tych naglących żądań procent ciężkich granatów ,dostarczonych dla dział 18-funtowych, nie przewyższył nigdy 8 proc.; że gdy armie francuskie i brytyjskie przedsięwzięły w ubiegłą sobotę wielkie skombinowane natarcie w celu przerwania linii niemieckich, to Francuzi przygotowali atak potężnym bombardowaniem z pomocą ciężkich pocisków, które całko-

wicie zdemolowały niemieckie rowy i zasieki druciane, pozwalając w ten sposób Francuzom przeniknąć na cztery mile w głąb linii niemieckich bez nadmiernych strat ludzkich. Niezależnie od faktu, że Francuzi rozrzutnie szafowali amunicją, mieli ponadto w rezerwie setki tysięcy granatów w celu kontynuowania swych operacji. Jeśli chodzi o nasze wojska—miały one w ogóle niespełna 45.000 ciężkich pocisków. Z tego 18.000 było granatów 18-funtowych. W ten sposób wojska nasze musiały polegać na szrapnelach, a gdy wyruszyły do ataku, to fortyfikacje niemieckie były zaledwie muśnięte. Niemcy podnieśli się w swych okopach i drwili sobie z naszych nacierających wojsk, a potem na chłodno kosili je całymi tysiącami. Sami Niemcy stracili najwyżej 200 ludzi.

Dowiaduję się również, że nasz atak z ubiegłej niedzieli musiał być przedsięwzięty nocą — co jest operacją ryzykowną — z powodu braku granatów, i że po bitwie nie mieliśmy więcej niż 2000 granatów dla wszystkich naszych armat.

4. Że Dowództwo Naczelne we Francji wysłało już dawno do Ministerstwa Wojny memoriał w sprawie amunicji, a potem inny memoriał w sprawie armat. Żaden z tych memoriałów nie był nigdy pokazany Komisji Amunicyjnej, a dochodzę do wniosku, że również i Pan ich nie widział.

Jeżeli te fakty są w przybliżeniu prawdziwe, to nie wiem, jakiej akcji domagałaby się w tej sprawie opinia publiczna, gdyby się o nich dowiedziała. Ale jest zupełnie jasne, że działalność Komisji Amunicyjnej, przed którą ukrywane są doniosłe wiadomości tego rodzaju, musi być farsą. W takich warunkach nie mogę nadal być jej przewodniczącym. *Upłynęło już osiem miesięcy od czasu, gdy odważyłem się zwrócić uwagę gabinetu na znaczenie mobilizacji naszych wszystkich sił produkcyj-*

nych do wytwarzania amunicji i sprzętu wojennego. W październiku roku ubiegłego przedstawiłem szczegółowy raport z Francji, wskazując, w jaki sposób francuskie Ministerstwo Wojny radziło sobie z trudnościami. Gabinet postanowił wówczas ,że i tutaj powinniśmy pójść w tym samym kierunku, a w tym celu powołana została komisja rządowa. Zebraliśmy się w Ministerstwie Wojny i zostało tam uzgodnione z urzędującym sekretarzem stanu, że tego rodzaju kroki będą przedsięwzięte i w naszym kraju. *Z żalem muszę stwierdzić po przeprowadzeniu pewnych dochodzeń, że żadna akcja w tym kierunku nie została wdrożona z wyjątkiem jednego tylko Leeds.*

Komisja rządowa nie może posiadać władzy wykonawczej. Może tylko zalecać i doradzać. Działać może tylko odnośny resort. Nie zdziałano jednak nic, a wszystkie straszliwe ofiary z życia ludzkiego, wynikłe na skutek braku ciężkich pocisków, są tego rezultatem.

Firmy prywatne nie mogą wyrabiać szrapneli z powodu skomplikowanej budowy powłoki. Ale istnieje jednomyślność co do tego, że granaty są pociskami prostymi, i że każdy koncern przemysłowy mógłby je z łatwością wytwarzać. Zostało to udowodnione na doświadczeniu francuskim.

Z poważaniem

D. Lloyd George."

List ten odegrał swoją rolę — i to wydatną rolę — w dalszych wypadkach, które doprowadziły do rekonstrukcji gabinetu przez powołanie pierwszego rządu koalicyjnego, — o czym będę mówił bardziej szczegółowo w dalszym ciągu niniejszej opowieści.

Lord Northcliffe (który był podówczas właścicielem zarówno *Times'a* jak i *Daily Mail)* był osobiście odpowiedzial-

ny za wydrukowanie w *Times'ie* artykułu swego sprawozdawcy wojennego, pułk. Repingtona. Northcliffe od dłuższego już czasu otrzymywał nieskończoną ilość listów i oświadczeń z frontu w sprawie braku amunicji, lecz wszelkie próby nadania rozgłosu tym skargom były troskliwie usuwane z łamów pism przez cenzora. Pogłoski, że Ministerstwo ma ulec rekonstrukcji, nie uspokoiły Northcliffa. Winę za brak amunicji przypisywał lordowi Kitchenerowi i postanowił, o ile tylko potrafi, usunąć go z Ministerstwa. Słysząc, że Kitchener ma pozostać w zrekonstruowanym gabinecie, Northcliffe w dniu 21 maja wystąpił w *Daily Mail* z artykułem p.t. „S k a n d a l z p o c i s k a m i. T r a g i c z n y b ł ą d l o r d a K i t c h e n e r a".

Daily Mail i *Times* zostały tego dnia uroczyście spalone na giełdzie, ale kampania o zwiększenie ilości pocisków toczyła się nadal. W dniu 25 maja *Times* opublikował list biskupa Furse'a, podówczas biskupa Pretorii. Poniższe urywki dają pojęcie o sytuacji, jaką biskup zastał na froncie:

„... Gdy batalion po batalionie piechoty albo — jak tego jaskrawe wypadki zachodziły pod Ypres — pułk po pułku kawalerii musi dzień po dniu i noc po nocy siedzieć w okopach pod ciężkim ogniem armat nieprzyjaciela, nie mając własnych armat, mogących powstrzymać kanonadę nieprzyjacielską — wówczas żołnierze wyciągają z tego oczywisty wniosek, mianowicie, że naród zaniedbał zaopatrzyć ich w taką ilość armat i pocisków, która pozwoliłaby im sprostać siłom przeciwnika.

Gdy dzień po dniu i noc po nocy żołnierze w okopach wiedzą, że na każdy granat ręczny, na każdy pocisk armatni, na każdą bombę z moździerza okopowego, posłaną ku nieprzyjacielowi, otrzymują sami w odpowiedzi od pięciu do dziesięciu takich samych pocisków, to

wniosek, do jakiego dochodzą, jest również oczywisty, a mianowicie, że naród chyba nie zdaje sobie sprawy z położenia, jeżeli zaś zdaje sobie zeń sprawę, — to nie uważa widocznie za swój obowiązek zaopatrzyć ich w to, co jest niezbędne... Żołnierze wiedzą, że naród popełnia niemal morderstwo, gdy żąda od ludzi — choćby pełnych najlepszych uczuć — aby potykali się z nieprzyjacielem, obficie zaopatrzonym w ciężkie działa i we właściwy rodzaj amunicji, i gdy jednocześnie nie wyekwipował tych ludzi w sprzęt wojenny, conajmniej tak samo skuteczny..."

Pewien oficer na urlopie z frontu stwierdził w *„Northwich Chronicle"* z dn. 22 maja r. 1915:

„... Zdaje się, że ludzie w kraju nie zdają sobie sprawy, jak krytyczna jest sytuacja tu na froncie... Niemcy posiadają nieograniczone wprost ilości amunicji...

.... Muszę z przykrością stwierdzić, że w ciągu 10-dniowej bitwy pod Ypres nasi ludzie drogo zapłacili za brak amunicji. Niemcy zasypywali nasze linie pociskami. ...Były to straszne chwile dla naszych ludzi, gdy Niemcy bombardowali nas ciężkimi pociskami, a my — wskutek braku amunicji — nie mogliśmy skutecznie odpowiadać. Pora już, aby wszyscy w kraju zrozumieli co znaczy taka sytuacja i aby społeczeństwo zdało sobie sprawę, że nie można prowadzić z powodzeniem wojny, nie mając na składzie olbrzymich zapasów."

Oba poprzednie urywki dają nam punkt widzenia niezależnego obserwatora i żołnierza okopowego. Teraz przytoczę, jako punkt widzenia człowieka osługującego armaty, urywek z przejmującego listu, nadesłanego mi przez ówczesnego kapitana H. Fitz-Herberta Wrighta, posła do parlamentu, który służył na froncie zachodnim jako oficer artylerii. Adres na jego liście głosił: „Belgia, 29.5.15". Pisze on:

„... Zostałem zaliczony do 4-tej północnej Mitlandzkiej brygady (haubice) zaraz po wybuchu wojny i przesłużyłem tutaj ok. 13 tygodni jako kapitan i oficer komenderujący kolumną amunicyjną... Wszystkie więc pociski, wystrzelone przez moją brygadę, przechodzą przez moje ręce. Byliśmy przydzieleni do dwóch dywizji — 4-ej i 46-ej, obu wchodzących w skład 2-ej armii. Gdy po raz pierwszy przybyliśmy na linię ognia w pierwszych tygodniach marca, pozwalano nam zużywać po 20 pocisków dziennie na działo, to jest *80 pocisków na baterię*. Byliśmy w akcji przez cały czas. Dziś wolno nam zużywać po dwa pociski dziennie na działo, *czyli po osiem pocisków dziennie na baterię*. Nie znaczy to, żeby nasi chłopcy nie znali się na swym rzemiośle, albo żeby brakowało odpowiednich celów dla naszych 50-funtowych pocisków lydditowych. Gen. Smith-Dorrien publicznie i prywatnie wyrażał się z najwyższym uznaniem o celności i precyzyjności naszego ognia, a nasi żołnierze zyskali sobie sympatie całej piechoty, nad której głowami strzelali. Co zaś do celów, to codziennie oglądamy okopy niemieckie i umocnienia wciąż rosnące i rosnące, poprostu dopraszające się o wymłócenie. Dziś właśnie wróciłem po spędzeniu tygodnia z naszą 1-szą baterią. Czas ten spędziłem głównie na posterunku obserwacyjnym i mówię o tym, co sam widziałem. Komendantom bateryj, zarówno szybkostrzelnych, jak konnych i ciężkich, nie wolno bez pozwolenia generała wystrzelić nawet jednego pocisku.

Jeden z adiutantów artylerii konnej mówił mi, że musiał wysłać do I-ej armii na południe 1500 pocisków przed ostatnią bitwą, i teraz ma pusty park amunicyjny. Jeden z oficerów artylerii ciężkiej mówił mi, że jego park i kolumna są w tej chwili puste (4,7-calowe granaty) i że nawet w razie ataku nie mógłby strzelać bez

specjalnego rozkazu. Moje baterie oddawały przeciętnie trochę więcej niż po 60 wystrzałów tygodniowo na baterię. Nie mam rozumie się dowodów, ale podejrzewam, i wszyscy podejrzewają, że nie ma dla nas pocisków. W każdym razie jest to zachęta do ataku, na nas, gdy my patrzymy bezczynnie, jak nieprzyjaciel strzela do naszych linii po 20 albo 30 razy na jeden nasz wystrzał w jego kierunku. Nie wiemy i nie obchodzi nas, kogo należy za to winić. Wiemy tylko, że śmiertelnie brak jest nam pocisków, a naszą piechotę czeka coraz fatalniejszy i fatalniejszy los, jeżeli nasz albo niemiecki atak nastąpi na naszym odcinku. Nie wiem nic o innych odcinkach, chyba tylko ze słyszenia. Chcemy, by nas nakarmiono: a żołnierze żyją nie tylko chlebem.

Ale to nie wszystko. Stoimy o klasę niżej pod względem liczby i jakości armat. Jesteśmy zupełnie zdystansowani. Nie mówię teraz o naszej brygadzie, lecz w ogóle. Jeżeli chodzi o naszą brygadę, to nasze armaty były dość stare jeszcze w Afryce Południowej, więc teraz są już w wieku sędziwym. 5-calowe haubice nie powinny były wogóle tu trafić. Podniosłem tę sprawę ubiegłego roku we wrześniu za pośrednictwem Talbota i usiłowałem otrzymać haubice 4½-calowe, t. j. normalne armaty, ale dostałem odpowiedź bezpośrednio z Ministerstwa, że to jest niemożliwe, gdyż nie ma ich wcale, a produkcja armat wystarcza tylko na pokrycie strat. Mimo to robimy co możemy, a mając dobre i dobrze osłonięte pozycje, pracowaliśmy na krótkie dystanse z powodzeniem, jak to już wspomniałem. Gdybyśmy znaleźli się w otwartym polu, albo gdyby nam kazano strzelać dalej niż na 3.500 jardów, to po pięciu minutach byłoby po nas. Dajemy jeden strzał na minutę, a pocisk zużywa 20 sekund na dojście do celu. Ogień szybkostrzelny przy 10 do 15 strzałach na minutę załatwiłby się z nami bez trudu.

Ale i to nie wszystko: gorsze działa i mało lub wcale amunicji, — oto kwintesencja tego, co da się powiedzieć o artylerii, do tego trzeba dodać, że wiele posiadanych przez nas pocisków — to szrapnele (nie dotyczy to mojej brygady, która używa wyłącznie lydditu), a szrapnele wobec okopów niemieckich są mniej użyteczne niż deszcz, bo nie są mokre.

A teraz co się tyczy piechoty, — a wspanialszej piechoty nie zobaczy się nigdy. W naszej dywizji było po dwa karabiny maszynowe na batalion. Niemcy mają po 16. Nasze wojska regularne mają po sześć lub osiem. W naszej dywizji mamy dwa moździerze okopowe na froncie dłuższym niż trzy mile. Niemcy mają je wzdłuż całego frontu z niewielkimi odstępami. Nasze granaty ręczne są w wielu wypadkach wyrabiane „ręcznie" i — są to prawdziwe „ręczne" granaty. Rzucamy ich bardzo niewiele, a Niemcy zaraz odpowiadają bombami 50-funtowymi. Nazywamy to okazywaniem naszej wyższości. Myślę, że odwagi, — ale nie ekwipuku. Nasze lekkie armaty są śmieszne wobec niemieckich.... Gazów nie używamy. Osobiście mam nadzieję, że i nie będziemy potrzebowali używać, choć jeżeli prawdą jest, co nasz wywiad lotniczy donosi, że to co braliśmy za szyny kolejowe, dochodzące do linij frontu, to w rzeczywistości są 18-calowe rury, przeznaczone do stosowania gazu na wielką skalę, — to nie będziemy mieli wogóle okazji użycia gazu, nawet gdybyśmy zechcieli.

Otóż czy Anglia, najbogatszy lub jeden z najbogatszych krajów świata, może być w najmniejszym stopniu dumna z tych faktów? Czy też raczej nie powinno to nas skłonić do włosienicy i popiołu?

Jeżeli otrzymamy amunicję, to możemy wytrzymać, chociaż biedna piechota zostanie podarta na strzępy. Je-

żeli otrzymamy amunicji w bród, to będziemy mogli pójść naprzód.

...Mam nadzieję, że ani wskutek jakiegoś defektu stylu, ani wskutek nadmiaru patosu nie wywołałem w Panu wrażenia, że przesadzam...“

Mam w posiadaniu cały zbiór listów, pokreślonych niebieskim ołówkiem cenzora albo zaopatrzonych w pieczątkę: „nie nadaje się do publikacji“. Listy te dostarczył mi w tym czasie lord Northcliffe, aby mi pokazać jakie informacje otrzymuje z Francji, — bo nie wolno mu ich drukować. Okoliczności, w jakich listy te zostały mi przez niego dostarczone, opisane są w następujący sposób przez Toma Clarke'a w jego interesującej książce „My Northcliffe Diary“.

„25 maja r. 1915: Wiele relacyj oficerów z frontu, przemawiających za tezą Northcliffe'a w sprawie braku amunicji nie mogło być ogłoszonych wobec zakazu cenzorów w biurze prasowym. Szef wydał wówczas polecenie, żeby nie przedstawiać ich cenzorowi. Gdy mu wskazano, że może to być uważane za wykroczenie, odpowiedział: grożono mi w ostatnich tygodniach tak często, że nie dbam już o to. Poślijcie te wszystkie pokreślone korekty Lloyd - George'owi i Curzonowi. Oni znają prawdę, a to wskaże im, jak biuro prasowe ukrywa ją pod korcem.“

Oto kilka przykładów, wybranych z pośród tych apelów i skarg:

„Mieliśmy dziś w kasynie kilku oficerów artylerii, byli bardzo zmartwieni. Otrzymali z Nacz. Dowództwa rozkaz zużywania tylko określonej liczby pocisków dziennie, a ich żądania, aby zwiększono dostawy, były zawsze pod jakimś pozorem uchylane... Mamy tylko siedzieć cicho w okopach, podczas gdy ciężkie granaty

niemieckie rozwalają je na kawałki. Większa część strat podczas 16-godzinnego bombardowania, które opisałem w ostatnim liście, stąd właśnie pochodziła... W naszej kompanii z pośród 150 do 200 ludzi zaledwie 13 uszło z życiem z okopów po ostatnim ataku...

„...Serce pęka, gdy się patrzy na tych ludzi, idących naprzód, a potem zatrzymywanych, bijących się i walczących, aż póki wyczerpani nie padają jak zmokłe szmaty. A dlaczego? Ponieważ nie ma potrzebnej ilości ciężkich pocisków, aby zniszczyć zasieki i pozwolić naszym ludziom dotrzeć do nieprzyjaciela."

Chociaż tego rodzaju oświadczenia były przez cenzora wygnane z łamów prasy, jednakże zawarte w nich fakty stały się powszechnie znane we wszystkich redakcjach pism i w nieskończonej ilości rodzin w całym kraju. To uświadomienie powszechne odegrało niewątpliwie ważną rolę, gdyż przygotowało opinię publiczną do zmiany gabinetu; zmiana ta nastąpiła w dniu 19 maja, gdy Asquith, — wezwawszy swych kolegów z rządu liberalnego do zbiorowego ustąpienia, zrekonstruował następnie swój gabinet, jako rząd koalicyjny, do którego weszli przywódcy partii konserwatywnej.

STRATEGIA WOJNY.

Koncepcja „wschodnia" i „zachodnia"

Na stronicach poprzedzających podałem pewne informacje o zagadnieniu amunicyjnym i o powołaniu do życia Ministerstwa Zaopatrzenia. Zanim opiszę jego osiągnięcia praktyczne, muszę jeszcze wrócić do bitew, dla których amunicja ta była przeznaczona, oraz do strategii, której miała służyć.

Jeżeli bowiem dla złamania rutyny wojskowej, hamującej zaopatrzenie naszych oddziałów, trzeba było uciążliwych i nieustannych wysiłków, to równoległe zadanie — polegające na najbardziej racjonalnym wyzyskaniu naszych zasobów ludzkich i amunicyjnych — było jeszcze uciążliwsze i w gruncie rzeczy aż do końca wojny nie zostało nigdy zadawalająco rozwiązane. Podaję tutaj krótki zarys tego zagadnienia oraz wysiłków, podejmowanych dla rozwiązania go w sposób, który w danej chwili uważałem za rozumny.

W pierwszych miesiącach wojny kraj nie posiadał właściwie organu, któryby stale czuwał nad całokształtem sytuacji, kierując naszymi wysiłkami i uzgadniając je. W naszych poczynaniach był pewien pierwiastek opieszałości, jeśli nie przypadkowości.

Po wielkich bitwach nad Marną i pod Ypres zdawało się, że wojna staje się jak gdyby zjawiskiem normalnym. Zaczęto przyjmować ją jako coś należącego do zwykłej egzystencji

narodów. Ludność przystosowała się wszędzie do warunków wojennych. Również ludność Whithallu — jej wyższe i niższe sfery nie stanowiły pod tym względem wyjątku. Mogło to być spowodowane tym, że w naszej działalności na frontach zapanowała atmosfera, którą scharktearyzować można słowami: „nie ma gwałtu". Niemcom nie udało się zająć Paryża. Prawda, że ich wojska trzymały się w Belgii i w niektórych najbogatszych departamentach francuskich, ale utrzymywane były w granicach ich zdobyczy jesiennych i nie mogły ruszyć naprzód. Bitwa pod Ypres zapewniła bezpieczeństwo portów nad kanałem La Manche. W Polsce toczyły się bitwy, a rosyjski walec parowy został odepchnięty przez Niemców, ale powetował to sobie, posunąwszy się naprzód w Galicji. Państwa centralne zostały zatrzymane w swym pochodzie. Zyskaliśmy czas na to, by przeprowadzić werbunek i uzupełnić zaopatrzenie. Taki był nastrój sfer urzędowych, a może i całego społeczeństwa pod koniec roku 1914.

Fakt, że każdy dzień przedłużającej się wojny oznaczał marnotrawienie życia ludzkiego i bogactwa; że Rosja wykazała złowróżbną słabość w dziedzinie ekwipunku swojej ogromnej armii, i że wobec tego następna kampania może doprowadzić do jej załamania się i do przerzucenia całego ciężaru walki na Francję i Anglię; że położenie Serbii było bardzo trudne i że państwa centralne mogły ją zmiażdżyć w każdej chwili i otworzyć sobie drogę na Wschód; że bez wytężenia natychmiast wszystkich naszych sił nie będziemy zapewne mogli wystawić należycie wyekwipowanej armii na froncie przed trzecim rokiem wojny, — te wszystkie momenty jak gdyby w ogóle nie były brane pod uwagę i nie zakłócały powszechnej pogody ducha.

Jeżeli chodzi o szerokie koła społeczeństwa, to taka postawa tłomaczyła się niezachwianym zaufaniem, jakim cieszyli się nasi wodzowie sił lądowych i morskich. To jednak, co już przed tym widziałem — postawa naszych urzędowych kół

wojskowych w sprawie zaopatrzenia naszych oddziałów, oraz niezdolność opanowania przez nie nowych warunków wojny, przekonało mnie, że nie ma bynajmniej podstaw do takiej zastanawiającej pobłażliwości.

Skłoniło to mnie do napisania następującego listu do premiera:

„11, Downing Street, W.
31 grudnia r. 1914

Szanowny Panie Premierze,

Jestem niespokojny o dalsze koleje wojny, jeżeli rząd nie przedsięweźmie jakichś stanowczych kroków dla opanowania sytuacji. Nie widzę żadnych oznak, by nasi wodzowie i dowódcy wojskowi rozważali jakiekolwiek plany, mogące wydobyć nas z obecnego niezadowalającego położenia. Gdybym sam nie był świadkiem ich żałosnego braku przewidywania, to nie uważałbym za możliwe, aby ludzie, postawieni na odpowiedzialnych stanowiskach, byli tak niezdolni do wybiegania myślą naprzód. Przypomina Pan sobie incydent z armatami i z amunicją. W chwili gdy podniosłem tę sprawę w gabinecie, Min. Wojny miało zamówionych ogółem tylko 600 armat, które miały być dostarczone przed wrześniem 1915 r. Olbrzymie możliwości przemysłowe kraju nie zostały wyzyskane dla produkcji armat, karabinów i pocisków, a Ameryką nie interesowaliśmy się nawet. W wyniku działalności i zaleceń Komisji Rządowej, teraz mamy już obiecane na wrzesień 1915 r. 4.000 armat. Również i amunicję dla tych armat mamy zapewnioną. Z karabinami położenie jest jeszcze niezadowalające...

Aż do tego tygodnia nie zrobiono żadnego istotnego wysiłku, aby wyjaśnić sytuację Rosji. Teraz K. zaprosił do siebie pewnego oficera rosyjskiego, aby omó-

wić z nim sprawę udzielenia Rosji pomocy technicznej. Dwa miesiące temu żądałem tego od Min. Wojny. Gdyby to zostało wówczas zrobione, mogliśmy byli przyjść Rosji z pomocą, zanim port w Archangielsku nie zamarzł, i uchronilibyśmy ją od widma pustych skrzynek amunicyjnych.

Czy nie moglibyśmy zwołać w niedługim czasie szeregu posiedzeń Rady Wojennej przy Komitecie Obrony Imperialnej? Przygodne spotkania z tygodniowymi lub dwutygodniowymi przerwami skończą się na niczym.

Proszę mi wybaczyć naruszenie Pana dobrze zasłużonego wypoczynku, ale mam poczucie, że musimy wyjść z obecnego ślepego zaułka.

Szczerze oddany
D. Lloyd George."

List ten sprawił, że wkrótce potem został powołany Komitet Wojenny dla rozpatrzenia sytuacji. Aby móc ocenić dyskusje i decyzje tego komitetu, trzeba sobie uprzytomnić ówczesne położenie na frontach.

Gdy kampania roku 1914 skończyła się na wszystkich frontach z powodu warunków klimatycznych, kierownictwa polityczne, wojskowe i morskie wszystkich krajów wojujących miały czas, aby ponownie rozpatrzyć sytuację i określić metody działania na przyszłość. Każda armia przekonała się, że jej pierwotny plan został wypaczony i unicestwiony w rezultacie walk, które miały miejsce. Żaden ze szczegółowych schematów, tak starannie przygotowywanych i polerowanych w ciągu lat przez rzeczoznawców i spoczywających w ich biurkach w oczekiwaniu na „wielki dzień" — a wszyscy ci rzeczoznawcy niecierpliwie owego „dnia" wyglądali — żaden z tych planów nie wytrzymał próby prawdziwej walki.

Istniał z dawna przygotowany i przechowywany w szufladach niemiecki plan zgniecenia w ciągu kilku tygodni

Francji przy pomocy oskrzydlającego przemarszu przeważających sił przez Belgię, a następnie skierowania zwycięskich oddziałów na wschód, aby zgnieść z kolei armie rosyjskie. Nie przeoczono niczego prócz rozmiarów i skuteczności interwencji brytyjskiej oraz — być może — tej ważnej okoliczności, że wykonanie planu przypadło w udziale nie tym ludziom, którzy go układali. Schemat ten zawiódł teraz ostatecznie, a jego fragmenty leżały rozsypane wzdłuż wybrzeży Marny i Izery. Szuflady berlińskie były próżne. Niewykonalność niezwyciężonego planu nie została przewidziana. Trzeba było wobec tego opracowywać plan nowy.

Francuski plan uderzenia pierwszej i drugiej armii na południe od Metzu, a czwartej i piątej — na północ od tego punktu, nie miał nigdy szans powodzenia, oparty był bowiem na przypuszczeniu, które okazało się fałszywe. Angielska koncepcja zatrzymania sił niemieckich, działających na froncie belgijskim, podczas gdy Francuzi mieli się rozprawić z siłami, działającymi bardziej na południe, była oparta na takim samym błędzie w ocenie strategii niemieckiej, jak ten, który przekreślił rachuby generałów francuskich; koncepcja angielska była po prostu konsekwencją francuskiej. Gdyby została przyjęta propozycja Frencha zajęcia Antwerpii, powstałaby sytuacja zupełnie inna.

Austriackie marzenia o łatwym przemarszu z Belgradu do Niszu zakończyły się przykrym przebudzeniem, gdyż chłopi serbscy zadali pewnym siebie najeźdźcom dwie sromotne klęski. Rosjanie odnieśli pewne sukcesy wobec Austrii; wobec Niemiec jednak, jeżeli mieli kiedykolwiek jakiś plan, to w każdym razie nigdy go nie ujawnili. Wtargnięcie do Prus Wschodnich było raczej rycerską improwizacją, przedsięwziętą, aby uratować Francję, która płaciła za błędy swoich generałów. Improwizacja ta źle się skończyła pod Tannenbergiem.

W ten sposób wielkie bitwy roku 1914 rozwiały wszy-

stkie marzenia kół wojskowych i przekreśliły wszystkie ich nadzieje w obu walczących obozach. Wodzowie okazali się pozbawieni jakiejkolwiek jasnej koncepcji zwycięstwa. Każda armia miała za sobą porażki. Każda miała też i sukcesy. Pod koniec roku 1914 wszystkie cieszyły się ze zwycięstw, a nie pamiętały o porażkach. Był to powszechny stan umysłów na frontach i poza nimi. Nikt jednak nie umiał jasno powiedzieć, co trzeba zrobić w najbliższej przyszłości. Kampania roku 1915 wymagała więc nowych planów.

Byłem tak zuchwały, że wyrobiłem sobie opinię o położeniu ogólnym, a zarazem tak nieopatrzny, że tę opinię wypowiedziałem. Ponieważ w pewnych kołach fachowych surowo mnie krytykowano za te impertynenckie wystąpienia, uważam za swój obowiązek przedstawić pobudki, które w tym wypadku mnie skłoniły do wystąpienia z krytyką polityki, lub raczej braku polityki, co w danym wypadku prowadziło do przedłużenia wojny, kolosalnie powiększało liczbę ofiar ludzkich, utrudniało zadanie żołnierzy i doprowadziło sprawę sprzymierzonych na samą krawędź klęski.

Dlaczego cywil, który nigdy nie zajmował się wiedzą wojenną, zajął się w ogóle problemami strategicznymi? Dlaczego nie można było pozostawić troski o dalszą fazę wojny ludziom, którzy całe życie poświęcili sprawom tego rodzaju? Ludziom, oskarżającym mnie, że wmięszałem się do rzeczy, o których nie wiedziałem nic prócz tego, co czytałem o wojnach poprzednich i czego dowiedziałem się w rozmowach z żołnierzami, spotykanymi tutaj i we Francji, — odpowiadam, że w miarę rozwoju wypadków nawet dla największego profana stawało się rzeczą coraz jaśniejszą, iż wojskowi pokpili zupełnie sprawę. Strategia Sprzymierzonych we Francji była krwawą pomyłką, która omal nie doprowadziła nas do niepowetowanej klęski. Gdy ta strategia zawiodła, dowództwa naczelne nie mogły nam zaproponować żadnej rozumnej alternatywy. Generałowie koalicyjni byli najzupełniej zaskoczeni niemiec-

ką decyzją zarycia się głęboko w ziemię. Nie mogli wymyśleć nic, poza poświęcaniem milionów żołnierzy w beznadziejnych próbach przerwania frontu. W dodatku nie zadali sobie trudu stwierdzenia, jakie środki mechaniczne potrzebne są dla przeprowadzenia tego rodzaju operacji, ani nie zdobyli się na systematyczne przemyślenie metod, przy których pomocy wojska mogłyby te środki otrzymać, jeśli miały w ogóle próbować realizacji ich mętnych i nieodpowiedzialnych planów.

Jak fałszywe były w tym stadium poglądy wojskowe — można się przekonać, gdy się czyta bolesną historię kolejnych szaleńczych ofensyw, które w ciągu kilku lat skosiły kwiat młodzieży angielskiej i francuskiej, ginącej masami w daremnych atakach na karabiny maszynowe, fachowo zamaskowane i skutecznie bronione.

Ostateczną odpowiedzialność za powodzenie lub niepowodzenie ponosiły rządy; nie mogą one zmniejszyć tej ciążącej na nich odpowiedzialności powoływaniem się na rzeczoznawców, którzy w sposób widoczny nie dorośli do swego zadania.

Do końca roku przeszło milion młodych ludzi zgłosiło się do biur werbunkowych na ochotnika i zostało formalnie włączonych bądź do armii Kitchenera bądź do oddziałów terytorialnych, — a wciąż jeszcze napływały dalsze tysiące. Do wojska szło wszystko, co pośród młodzieży angielskiej było najtęższego pod względem fizycznym, umysłowym i moralnym. Nie można wprawdzie powiedzieć ,że przyodziali oni mundur Jego Król. Mości, gdyż w kraju, najlepiej ze wszystkich przygotowanym do wytwarzania ekwipunku, władze wojskowe nie potrafiły nawet dostarczyć dostatecznej ilości mundurów dla rekrutów. Ale było już rzeczą jasną, że ten materiał ludzki. przeszkolony na wojsko, przewyższał swym poziomem to wszystko, do czego sierżanci zawodowi byli dotąd przyzwyczajeni. Z uniwersytetów odeszli wszyscy, zdrowi

fizycznie — i to samo można było powiedzieć o wszystkich zawodach wyzwolonych. Rzemieślnicy, górnicy, robotnicy rolni, — wszyscy wysłali najlepszych z pośród siebie na front.

W niektórych sferach trzymały się jeszcze przesądy przeciw służbie wojskowej. Biura werbunkowe w pewnych rejonach musiały walczyć z tradycją, według której żołnierz — to był młody człowiek, który z jakichś niezbyt zaszczytnych powodów „uciekł z domu do wojska". Trzeba było pewnego czasu i pracy, aby tę tradycję przełamać. W pracy tej brałem udział, prowadząc propagandę werbunkową zwłaszcza wśród nonkonformistów, którzy zawsze skłonni byli patrzeć niezbyt chętnym okiem na armię, oraz wśród moich współplemieńców — Walijczyków wszelkich wyznań.

Z tych powodów, niezależnie od mojej odpowiedzialności, jako członka rządu, który wypowiedział wojnę, uważałem za swój szczególny obowiązek dbać o to, aby ludzie, którzy poszli dobrowolnie na spotkanie śmierci, by bronić honoru swej ojczyzny, byli przygotowani i zaopatrzeni do walki we wszystko najlepsze, czego tylko kraj może im dostarczyć, i żeby z ich męstwa na polach bitew czyniono najlepszy użytek. Wypadki poprzedzających miesięcy poderwały jednak we mnie wszelkie zaufanie do rozumu elity wojskowej, i byłem pełen obawy o to, że kwiat młodzieży angielskiej może być bezlitośnie skoszony wskutek uporu i braku inwencji oraz zawodowej ograniczoności władz wojskowych.

Nie miałem żadnej pretensji do znajomości strategii; były jednak pewne oczywiste fakty, widoczne nawet dla niewtajemniczonych w misteria wojny.

Pierwszym z nich był fakt, że gdyby oszacować zasoby stron wojujących w ludziach, materiałach i pieniądzach, to okazałoby się, że państwa sprzymierzone muszą posiadać przygniatającą przewagę nad swymi wrogami — jeżeli tylko zasoby te będą skutecznie i mądrze zużytkowane.

Ale tę wyższość sprzymierzonych całkowicie równoważył

fakt inny, — że z pośród trzech mocarstw, które związały się przymierzem przeciwko Niemcom i Austrii, dwa (Wielka Brytania i Rosja) nie dorównywały swym wrogom pod względem ekwipunku. O ile zaś chodzi o artylerię ciężką, również i Francja nie dorównywała im. A więc najpilniejszą sprawą był dla sprzymierzonych ekwipunek. Bez natężenia wszystkich sił i bez wyrównania niedoborów w tej dziedzinie zwycięstwo było nie do osiągnięcia. Dwa z pośród tych trzech państw (Anglia i Francja) posiadały wielki potencjał przemysłowy, a oprócz tego mogły rozporządzać na swe potrzeby niewyczerpanymi zasobami Ameryki. Trzecie państwo, Rosja, było bardzo zacofane pod względem potencjału przemysłowego i nie rozporządzało kredytem dla zakupów za granicą, ale posiadało niewyczerpane rezerwy najlepszego materiału ludzkiego. A więc w dziedzinie ekwipunku zadanie polegało po pierwsze na tym, aby zużytkować wszystkie rozporządzalne zasoby w kraju i za oceanem dla wzmożenia skuteczności i liczebności naszego sprzętu wojennego, i żeby uczynić to zaraz, bez straty czasu, a po wtóre na tym, ażeby lojalnie scentralizować cały wyprodukowany materiał i kierować go tam, gdzie mógłby być użyty najskuteczniej dla sprawy sprzymierzonych.

Drugą zasadniczą okolicznością było to, że Niemcy w znacznym stopniu zneutralizowali przewagę liczebną sprzymierzonych na froncie zachodnim nie tylko przez lepsze wyposażenie techniczne swych wojsk, lecz i przez wzniesienie najrozleglejszych i najpotężniejszych linii obronnych, jakie znała w ogóle historia wojen.

Na obejście linii niemieckich we Francji i Flandrii nie było żadnego sposobu, każda zaś próba sforsowania ich atakiem frontalnym prowadziłaby do tak olbrzymich strat, że nikt zdrowy na umyśle nie zdecydowałby się na takie ofiary z życia ludzkiego, gdyby istniały jakiekolwiek szanse przebicia się na słabiej bronionych frontach. W każdym razie sprzy-



Admirał Jellicoe, dowódca floty brytyjskiej, żegna lorda Kitchenera, odjeżdżającego na „H a m p s h i r e“ do Rosji. W pół godziny po dokonaniu tego zdjęcia „H a m p s h i r e“ natknął się na minę i Kitchener zatonął.



Feldmarszałek sir Wiliam Robertson,
Szef Sztabu Imperium w latach 1915—1917.

mierzeni nie posiadali dostatecznej siły ognia, żeby pokusić się o przełamanie frontu zachodniego, a wyposażenie wojsk w artylerię ,dostatecznie liczną i potężną do tego celu, wymagałoby całych lat.

Trzecim faktem było to, że jeżeli na zachodzie Państwa Centralne miały do obrony ogółem tylko 600 mil frontu, który ani pod względem rozciągłości ani pod względem właściwości terenu nie nastręczał żadnych fizycznych przeszkód dla budowy okopów, to na froncie wschodnim i południowowschodnim musiały one bronić linii, ciągnących się na tysiące mil, przy czym były to częściowo błota, zbyt grząskie latem a zbyt przemarznięte zimą, aby można tu było budować umocnienia przy pomocy normalnych narzędzi. Co więcej, ich zasoby ludzkie nie wystarczyłyby do należytego obsadzenia takiej rozległej fortecy.

Czwarty fakt polegał na tym, że na frontach wschodnich i południowo-wschodnich Niemcy i Austriacy mieli do czynienia z nieprzyjaciółmi, którzy mogli wystawić miliony tradycyjnie odważnych i zaprawionych do wojowania żołnierzy. Liczba i męstwo tych żołnierzy musiały po krótkim czasie osiągnąć przewagę, gdyby tylko zostali należycie wyekwipowani.

Na południowo-wschodnich i południowych odcinkach tego drugiego frontu państwa centralne musiały bronić swych pozycji przy pomocy oddziałów, złożonych w trzech piątych z żołnierzy, którzy odnosili się wrogo do Niemców i Węgrów, panujących w państwach centralnych, — natomiast sympatyzowali z narodami sprzymierzonymi, mieszkającymi tuż nad ich granicą. Słowianie, Rumuni i Włosi, stanowiący większość ludności w państwie Franciszka Józefa, dążyli do wyzwolenia się z pod jarzma uprzywilejowanej kasty zaborców, a widoki uzyskania tej wolności wzrosłyby w razie klęski reżymu niemieckiego, uległyby zaś nieograniczonemu opóźnieniu — w razie jego zwycięstwa.

Na 50 milionów ludności Austro-Węgier tylko 12 milionów stanowili Niemcy, a 10 milionów Węgrzy. Prawie 30 milionów stanowiła ludność pokrewna narodom, z którymi Austria bądź prowadziła wojnę, bądź była bliska wojny. Nawet Węgrzy niechętnie szli za lekkomyślnym Wiedniem. Wiadomo było, że hr. Tisza, najzdolniejszy i najbardziej zrównoważony polityk węgierski, sprzeciwiał się kategorycznie szaleńczej wyprawie przeciwko Serbii. Pozycja Austrii była szczególnie słaba wskutek tego, że prowincje, graniczące z jej rzeczywistymi lub możliwymi wrogami, były zamieszkiwane przez ludność, blisko spowinowaconą z nieprzyjaciółmi cesarstwa. Okazało się to źródłem słabości armii austriackiej i niebezpieczeństwem, na które nie było obrony. Ilekroć Rosjanie odnosili znaczne sukcesy, okazywało się, że pułki słowiańskie bardzo łatwo, a nawet z prawie nie ukrywaną radością ustępowały wobec ataków źle uzbrojonej armii rosyjskiej. Pewien pułk czeski poddał się, przechodząc na stronę rosyjską przy akompaniamencie orkiestry pułkowej.

Było również całkiem widoczne dla każdego, kto obserwował możliwości bałkańskie z pewną znajomością nastrojów i charakteru tutejszej ludności, że gdyby państwa sprzymierzone podjęły we właściwym czasie zdecydowaną akcję, to mogłyby z wojowniczych ludów, zamieszkujących ów niespokojny półwysep od Dunaju aż do Cheronezu i dalej ku południowi aż do Peloponezu, utworzyć potężną konfederację z armią wyćwiczonych i już zaprawionych do wojny żołnierzy. Serbowie mieli podówczas do dyspozycji 300.000 ludzi. Rumuni mogliby wystawić co najmniej pół miliona. Władze wojskowe oceniały liczbę ludzi, zdolnych do broni w Rumunii, na 900.000. Grecy posiadali 400.000 wyćwiczonych żołnierzy. Bułgarzy mieli niewątpliwy dług wdzięczności wobec Rosji za jej udział w bułgarskich walkach o wyzwolenie, a pamięć o krucjacie Gladstone'a na rzecz Bułgarii przeciwko uciskowi tureckiemu skłaniała ich serca ku Anglii.

Gdyby związali się ze sprawą Sprzymierzonych, mogliby oddać im do rozporządzenia jeszcze 400.000 ludzi. Wszystkie te kontyngenty składały się z najdzielniejszego materiału żołnierskiego, mającego za sobą doświadczenie niedawnej wojny. Stworzenie takiej konfederacji wymagałoby udzielenia pożyczek, które w sumie stanowiłyby dla francuskich i angielskich płatników koszt jednego tygodnia wojny. Wynikłyby też pewne trudności przy ustalaniu przewidywanego podziału zdobyczy. Ale to nie byłoby w żadnym razie nieprzezwyciężoną przeszkodą dla osiągnięcia porozumienia. Napastników oczekiwała pewna i uczciwa zdobycz; zawładnięcie nią nie zagrażało poza tym naruszeniem jakiejkolwiek zasady wolności lub samookreślenia. Słowiańskie prowincje Austrii Południowej zaspokoiłyby dążenia Serbii. Rumuni byliby aż nadto zadowoleni perspektywą przyłączenia Siedmiogrodu z jego trzema milionami ludności tej samej co oni krwi. Bułgarię możnaby było pozyskać perspektywą odzyskania Adrianopola i jakiegoś portu nad morzem Egejskim. Grecy zaś mieli na oku wybrzeże Azji Mniejszej, gdzie ich rodacy wznieśli bogate miasta i rozwinęli w dolinach urodzajne uprawy. Rzecz prosta, trzebaby było niezwłocznie ująć w swoje ręce zaopatrzenie tych wszystkich armii, należących do konfederacji. Byłby to proces stopniowy. Na początek w tych warowniach górskich wystarczyłaby artyleria lekka i pewna ilość karabinów maszynowych. Obecność 100.000-ej armii angielskiej lub anglo-francuskiej — t. j. połowa tych sił, które potem wysłane zostały do Dardaneli, a jedna trzecia tych które wiosną r. 1915 stopniały w daremnych atakach na niezdobyte reduty niemieckie we Francji i we Flandrii, — dałaby armiom bałkańskim niezbędną siłę moralną, opartą na obecności sztandarów i żołnierzy wielkich mocarstw zachodnich. Kontyngent ten miałby nieobliczalne skutki dla spojenia, inspiracji i podtrzymania wszystkich pozostałych składników tej potężnej kombinacji.

Państwa centralne były znacznie lepiej od państw sprzy-

mierzonych zaopatrzone w ciężką artylerię. Przełamanie frontu we Francji wymagało przewagi armat najcięższego kalibru oraz obfitych dostaw amunicji; Sprzymierzeni nie mogli spodziewać się osiągnięcia tej przewagi przed upływem dwóch lat. Natomiast na froncie wschodnim i południowo-wschodnim gorsze wyekwipowanie w cięższe kalibry dział nie nastręczało takich olbrzymich przeszkód przy wielkich operacjach, jak na zachodzie. Front wschodni nie był tak silnie ufortyfikowany, i wobec tego Sprzymierzeni mogliby przy pomocy lżejszej artylerii i mniejszej ilości amunicji znacznie skuteczniej wyzyskać swoją przewagę liczebną. Faktu tego dowodziły niejednokrotnie rezultaty ataków rosyjskich przeciw Austriakom. Rosjanie nie mogli tylko wyzyskać swych zwycięstw z powodu braku pocisków dla artylerii polowej i z powodu braku karabinów. Braki te mogli wyrównać ich sojusznicy, gdyby tylko zechcieli powstrzymać się od swych bezcelowych i kosztownych ofenzyw na Zachodzie.

Niezależnie od różnolitości armii austriackiej, również jej organizacja, wyćwiczenie, wyekwipowanie i kierownictwo pozostawały daleko w tyle za tym, co widzieliśmy u jej wielkiego sąsiada i sojusznika. Dlatego też Austria bywała często źródłem słabości, a zawsze — źródłem niepokoju niemieckiej Kwatery Głównej, która musiała wielokrotnie wysyłać swoje oddziały, odrywając je od ich zadań specjalnych albo ogołacając swe granice, aby ratować Austrię od klęski, lub też zapobiec jakiemuś niebezpieczeństwu, grożącemu jej granicom. Słabości tej, tak boleśnie oczywistej dla sztabu niemieckiego, nie wyzyskiwały zupełnie kierownictwa wojskowe we Francji i w Anglii. To też do dowództwa francuskiego i brytyjskiego zwracali się mężowie stanu oraz poważni i doświadczeni wojskowi z wezwaniem, aby nie marnowali swych wojsk w ciągłych bezpłodnych atakach na wspaniale wyposażone technicznie, niezdobyte pozycje, — gdy jednocześnie lekceważy się słabe fronty, które możnaby przerwać z pomocą

trzeciej części tych sił, którymi tak hojnie szafuje się w koszmarnych jatkach na zachodnich polach bitew.

Zanim doszedłem do tych wniosków, zbadałem starannie najważniejsze momenty naszego położenia wojskowego na podstawie dostępnych mi informacji.

Co do kwestii zaopatrzenia — to mówiłem już powyżej o poczynionych przeze mnie w końcu roku 1914 wysiłkach, mających na celu przyśpieszenie produkcji wojennej u nas i w Ameryce. Zwróciłem także uwagę na palącą potrzebę udzielenia pomocy Rosji. Co zaś do ogólnej strategii wojennej, to w końcu grudnia r. 1914 napisałem następujący memoriał, rozesłany członkom Rady Wojennej:

2, Whitehall Gardens, S. W.

1 stycznia r. 1915.

Uwagi o ogólnym położeniu wojennym

Teraz, gdy odbywa się szkolenie nowych armii, których liczebność w końcu marca wyniesie wraz z wojskami terytorialnymi co najmniej pół miliona żołnierzy, uważam, że nadszedł czas, aby rząd naradził się z ekspertami wojennymi, jak użyć te wspaniałe siły. Jest to armia zupełnie innego rodzaju niż te, które kiedykolwiek opuszczały nasze wybrzeża. Została ona utworzona prawie wyłącznie z wykwalifikowanych rzemieślników oraz z wyższych i średnich sfer mieszczańskich. Pod względem inteligencji, wykształcenia i poziomu moralnego stoi ona znacznie wyżej niż jakakolwiek armia, wystawiona dotąd w tym kraju; nie rekrutuje się przy tym — jak armie dotychczasowe — z szeregów tych, którzy na ogół zerwali związki z krajem ojczystym i o których losy kraj wobec tego mniej się troszczy. Losy tych żołnierzy będą

dla naszej ludności sprawą nadzwyczaj bliską; kraj interesować się będzie tą ekspedycją tak, jak nie interesował się dotąd żadną naszą wyprawą wojenną. Jeżeli więc ta wspaniała armia zostanie zmarnowana w operacjach podobnie bezpłodnych, jak te, których świadkami byliśmy w ciągu ostatnich kilku tygodni, to kraj będzie ponad wszelką miarę oburzony brakiem przewidywania i inteligencji w naszych planach. Mógłbym dodać, że operacje podobne do tych, których świadkami byliśmy w ciągu ostatnich kilku miesięcy, zniszczą niezawodnie *morale* najlepszych nawet oddziałów. Dobry żołnierz sprosta każdemu niebezpieczeństwu i wytrzyma wszelkie próby, dające pewną nadzieję powodzenia, ale to ciągłe atakowanie pozycji nie do zdobycia złamie w końcu nawet najdzielniejsze serca.

Chciałbym wobec tego poddać rozwadze parę uwag, dotyczących naszego położenia militarnego.

1. Zastój na froncie zachodnim.

Nie mogę rościć sobie pretensji do posiadania jakichś dokładnych wiadomości wojskowych, ale już to co widziałem i czego dowiedziałem się we Francji o sytuacji militarnej, w połączeniu z lekturą o tych sprawach, na jaką mogłem sobie pozwolić, przekonało mnie, że wszelka próba sforsowania staranie umocnionych linii obronnych niemieckich na zachodzie skończyłaby się niepowodzeniem i straszliwymi ofiarami, i to moje przekonanie zakomunikowałem moim kolegom. Generał Foch powiedział mi, że po stronie francuskiej nie będzie juz więcej odwrotu, i zrozumiałem jego pewność siebie, gdy potem zwiedziłem okopy za okopami od Paryża bez przerwy aż po Aisnę. Generałowie francuscy ufają, że

nawet gdyby cała armia niemiecka, zaangażowana dziś w Polsce, została przerzucona na front zachodni, to wojska francuskie i brytyjskie byłyby jeszcze zdolne stawić Niemcom czoło. Oczywiście, że to samo da się powiedzieć również i o sytuacji militarnej Niemiec. Słyszeliśmy w tych dniach, że Niemcy przygotowali w ciągu ostatnich miesięcy po swojej stronie cały jednolity system okopów, ciągnących się aż do Renu. Po trzech czy czterech miesiącach najuporczywszych bojów, które okupione zostały bardzo ciężkimi stratami, Francuzi na żadnym odcinku frontu nie posunęli się nawet o kilka mil. Czy wobec tego rzucenie na front zachodni jeszcze pół miliona ludzi będzie miało jakieś istotne znaczenie? Aby móc sforsować te pozycje trzeba mieć co najmniej trzech atakujących na jednego obrońcę, nasze zaś posiłki nie zagwarantują nam nawet w przybliżeniu stosunku dwóch do jednego. Czyż wobec tego nie lepiej byłoby uznać to konkretne zadanie za niewykonalne i obmyśleć jakąś inną metodę postępowania, przy której wyraźna przewaga liczebna, jaką Sprzymierzeni osiągną za parę miesięcy, mogłaby się okazać skuteczna?

2. *Rozciągnięcie i — w konsekwencji — osłabienie frontu nieprzyjacielskiego.*

Drugi ważny moment, który powinniśmy uwzględnić, — to problem osłabienia linii nieprzyjaciela przez zmuszenie go do ich rozciągnięcia. Niemcy bronią teraz frontu 600-mil. Żadne przewidywane straty nie zmniejszą ich liczby do takiego stopnia, żeby jakaś część linii stała się dla nich nie do utrzymania. Francuskie doświadczenie dowodzi, że 79 proc. rannych wraca na front: 54 proc. rannych francuskich już wróciło, a 25 proc. — to rekonwalescenci, którzy powrócą niedługo.

Podstawowym błędem, stale powtarzanym w prasie, jest przesada w podawaniu strat nieprzyjacielskich. Stale przeocza się lekki i uleczalny charakter znacznej większości ran. Jeśliby jednak długość linii niemieckich została podwojona, to nawet przy dzisiejszych normach strat linie te mogłyby się okazać wkrótce tak słabo obsadzone, że byłyby łatwe do przełamania.

3. *Zmuszenie nieprzyjaciela do walki na niedogodnym dlań terenie.*

Nieprzyjaciel walczy dzisiaj w terenie, świetnie przystosowanym do jego obecnej taktyki okopowej. Znalazłby się natomiast w niedogodnej pozycji, gdyby był zmuszony walczyć w otwartym polu.

4. *Konieczność osiągnięcia gdziekolwiek decydującego zwycięstwa.*

Jest jeszcze jeden wzgląd natury zarówno politycznej jak wojskowej, którego jednak przeoczyć nie można w wojnie tak uciążliwej jak ta, gdy stale musimy domagać się od ludności wyrzeczeń i ofiar, i gdy musimy również myśleć o chwiejnych państwach neutralnych, posiadających liczne armie i jeszcze niezdecydowanych, za którą stroną mają się opowiedzieć. Istnieje realne niebezpieczeństwo, że ludność Wielkiej Brytanii i Francji wcześniej lub później znuży się długimi listami strat, których uzasadnieniem są monotonne i nieco banalne telegramy z Kwatery Głównej o „gwałtownej kanonadzie", o osiągnięciu „nieznacznych korzyści" na niektórych odcinkach, o „odzyskaniu okopów", których utra-

ta nie była nigdy ogłoszona i t. d. — z tym wynikiem ostatecznym, że po tygodniach ciężkich walk nie posunęliśmy się ani o metr. Anglicy nie przejmują się już komunikatami, które przesadzają drobne sukcesy, a przemilczają niepowodzenia. Państwa neutralne nigdy nie dawały się wprowadzić w błąd przez te komunikaty. Opinia publiczna zorientuje się wkrótce, że Niemcy okupują dziś faktycznie większą część terytorium państw Sprzymierzonych, niż w dniu bitwy nad Aisną. Dotyczy to Belgii, Francji i Polski. Te obszary okupowane zawierają niektóre największe zagłębia węglowe i ośrodki przemysłowe w Europie, i nawet najkrwawsze ataki nie zdołały w ostatecznym rachunku uszczuplić stanu posiadania Niemców na tych terytoriach choćby o jeden metr. Tylko oczywiste i niewątpliwe zwycięstwo, uwidocznione w zdobytych armatach, w pojmanych jeńcach, w wyraźnym odwrocie armii nieprzyjaciela oraz w okupacji znacznych obszarów jego kraju, upewni społeczeństwo, że wzamian za ponoszone przez nie ofiary osiągnięte zostały jakieś namacalne wyniki, i tylko to skłoni nareszcie państwa neutralne do opowiedzenia się za nami.

5. *Możliwa alternatywa.*

Skoro zamierzenia te nie mogą być osiągnięte natarciami na froncie zachodnim, musi być obmyślona inna alternatywa. Ośmielam się poddać parę sugestii. Słyszałem o projekcie natarcia w okolicach Danii przeciwko północnym wybrzeżom niemieckim. Projekt ten łączą z nazwiskiem lorda Fishera. Na razie nie wypowiadam opinii w tej sprawie, gdyż wolałbym dowiedzieć się czegoś więcej o wojskowych i morskich możliwościach takiego przedsięwzięcia. Pomysł ten uderza mnie w każ-

dym razie swą ryzykownością i tym, że żadną miarą nie wydaje się pewne, aby mógł osiągnąć zamierzone cele. Szlezwig-Holsztyn ze swym wąskim przesmykiem mógłby być łatwo broniony przeciwko armii nieprzyjacielskiej, usiłującej przedostać się na terytorium Prus, przez stosunkowo nie wielkie lecz silnie okopane oddziały niemieckie; na operacje flankujące nie ma tam miejsca. W danej chwili jednak wolałbym raczej nie krytykować tego planu. Celem moim jest raczej wysunięcie innej alternatywy i poddanie pod rozwagę pana Premiera i jego doradców bardziej, jak sądzę, obiecującego schematu. Obejmowałby on *dwie niezależne operacje*, których wspólnym zadaniem byłoby wytrącenie Niemcom z pod nóg podpór, na których się opierają, i zmuszenie ich w następstwie do takiego osłabienia swych linii, że stałyby się one łatwiejsze do przełamania. Objaśnię moje propozycje nieco bardziej szczegółowo.

6. *Operacja pierwsza.*

Proponuję, aby nasze nowe wojska zostały użyte do natarcia na Austrię w sojuszu z Serbami, Rumunami i Grekami. Pomoc tych dwóch ostatnich państw byłaby zapewniona, gdyby wiedziały, że uzyskują poparcie znaczniejszych sił angielskich. Rumunia mogłaby wystawić 300.000 żołnierza, rozporządzając ponadto siłami wystarczającymi do utrzymania w szachu Bułgarii. Ponieważ zaś taki rozwój wypadków mógłby skłonić Bułgarię do zachowania uczciwej neutralności, przeto Rumuni mogliby zaoszczędzać jeszcze 200.000 ludzi. Grecy i Czarnogórcy mają do dyspozycji armię w sile 200.000 ludzi. Ilu ludzi my moglibyśmy wydzielić? W początkach kwietnia będziemy posiadali w kraju 700.000 żołnierzy, którzy przeszli 6-miesięczne wyszkolenie. Z tej liczby 400

tysięcy przypadać będzie na wojska terytorialne (z których 200.000 mieć będzie za sobą wyszkolenie 8-miesięczne). We Francji będziemy mieli 300.000 ludzi pod warunkiem, że nie zmarnujemy ich na zasiekach z drutu kolczastego. Francuzi zdołają łatwo obronić swe linie przeciwko tym wojskom, które Niemcy pozostawią na froncie zachodnim, po wysłaniu części wojsk dla obrony Śląska, gdy część armii austriackiej będzie przerzucona dla obrony południowych granic Austrii. Mielibyśmy więc do rozporządzenia ok. 1.000.000 żołnierzy. Czterysta tysięcy trzebaby zostawić tutaj jako rezerwę, którąbyśmy mogli przerzucić do Francji na wypadek, gdyby Francuzi znaleźli się w opałach, zanim jeszcze rozwinęłaby się południowa dywersja przeciw Austrii. Część tych rezerw mogłaby być wysłana do Boulogne, żeby w potrzebie były zawsze pod ręką; reszta mogłaby być używana dla wzmacniania od czasu do czasu nowej armii ekspedycyjnej. Na ekspedycję austriacką mielibyśmy 600.000 ludzi. Siła ta mogłaby stopniowo wzrastać w miarę ekwipowania nowych oddziałów.

Dawałoby to w sumie 1.400.000 do 1.600.000 ludzi dla zaatakowania Austrii na najwrażliwszym jej froncie. Ludność jest tam niemal całkowicie przyjazna wobec nas, gdyż składa się, jak wiadomo, z plemion słowiańskich, które nienawidzą zarówno Niemców, jak Węgrów. Wojska nasze moglibyśmy wysłać bądź przez Saloniki, bądź też, jak sądzę, organizując desant na wybrzeżu Dalmackim. Moglibyśmy tam okupować wyspy, nadające się świetnie na bazę zaopatrzenia, niezbyt odległą od kolei, która prowadzi przez Bośnię do Austrii. Operacja ta zmusiłaby Austriaków do wycofania znacznych sił z pod Krakowa i do pozostawienia w ten sposób Śląska bez obrony. Austriacy nie mogliby dla odparcia tego nowego ataku wycofać całej swej armii, gdyż

w takim razie Rosjanie mogliby sforsować Karpaty i zająć Wiedeń albo Budapeszt. Front, któryby się w ten sposób utworzył, byłby dla sił austriackich zbyt długi, aby można go było obwarować i utrzymać. Niemcy byliby zmuszeni bądź wysłać znaczne siły na pomoc swemu sojusznikowi, bądź pozostawić go bez pomocy. W pierwszym wypadku Niemcy musieliby bronić olbrzymiego frontu o długości ok. 1.200 mil, a Sprzymierzeni skorzystaliby po raz pierwszy w pełni z przewagi liczebnej, jaką w międzyczasie osiągną.*)

Jeżeli zaś Niemcy nie zechcą ogołacać swych granic i pozostawią Austriaków ich własnemu losowi, to Austro-Węgry, jako siła wojenna przestaną istnieć, a wobec tego ok. 2.500.000 żołnierzy (włączając Rosjan), zaangażowanych na froncie austriackim, byłoby zwolnionych do natarcia na Niemcy.

7. *Dwie dodatkowe korzyści takiej strategii.*

1. W ten sposób leżałoby w naszej mocy osiągnięcie czegoś, co możnaby nazwać zwycięstwem, a społeczeństwo zgodziłoby się popierać bez szemrania dalsze prowadzenie wojny wszelkimi rozporządzalnymi środkami jeszcze przez czas znacznie dłuższy.

2. Włochy nie tylko zostałyby zachęcone taką potężną demonstracją, ale nawet musiałyby przyłączyć się do nas w swym własnym interesie, gdyż operacje byłyby

*) Niemcy naraziliby się prócz tego na niebezpieczne ataki z tyłu, ze strony olbrzymich armii, które do tej pory uruchomi Rosja.

prowadzone w znacznym stopniu wzdłuż wybrzeży, które Włochy pragnęłyby zaanektować, gdyż są zaludnione przeważnie przez ludność włoską. Włosi patrzyliby bardzo zazdrośnie na okupację tych obszarów przez wojska serbskie ,a włoska opinia publiczna nie udzieliłaby poparcia żadnej propozycji przyjścia z pomocą Austrii, gdybyśmy dali jasno do zrozumienia, że całe to wybrzeże będzie włoskie, o ile Włochy dopomogą do jego zdobycia.

8. Operacja druga.

Chodzi w niej o zaatakowanie Turcji. Istnieją według mego zdania cztery niezbędne warunki takiego ataku:

1. Atak nie powinien pochłonąć sił tak znacznych, aby mógł osłabić naszą ofensywę na głównym teatrze wojny.

2. Powinniśmy rozwijać nasze operacje w terenie niezbyt odległym od morza, aby nie marnować naszych wojsk na obronę zanadto wydłużonych linii komunikacyjnych i aby na wszelki wypadek mieć zapewnioną pomoc floty wojennej.

3. Operacje muszą zmierzać do tego, aby zmusić Turcję do walki w znacznej odległości od jej baz zaopatrzenia i na obszarach, niedogodnych dla niej.

4. Operacje te powinny dać nam szansę osiągnięcia efektownego zwycięstwa, które dodałoby otuchy naszej ludności w kraju, a wywołałoby odpowiednie przygnębienie w krajach nieprzyjacielskich.

Być może, powinienbym dodać jeszcze warunek

piąty: byłoby z tego punktu widzenia bardzo korzystne, gdyby operacje odbywały się na terytorium, przemawiającym w ogóle do wyobraźni ludzkiej.

Jakież operacje odpowiadałyby tym warunkom? Istnieją przypuszczenia, że Turcja gromadzi wielkie siły, aby uderzyć na Egipt. Informacje wskazują, że skupiła ona ok. 80.000 ludzi w Syrii i że przesuwa je powoli ku granicom egipskim. Pozwoliłbym im zabrnąć w to przedsięwzięcie, a podczas gdy te siły zaczęłyby walkę z naszą obroną kanału Suezkiego, doradziłbym wysadzenie 100.000 ludzi w Syrii, aby ich odciąć. Gdyby ich połączenia kolejowe zostały przerwane, to nie utrzymaliby się długo w tamtych okolicach. Musieliby wobec tego podjąć walkę albo się poddać. Odległość między Syrią i Konstantynopolem nie pozwoliłaby im sprowadzić przeciw nam takich posiłków, które mogłyby zaważyć na szalach. 80-tysięczna armia turecka byłaby rozbita, a cała Syria wpadłaby w nasze ręce. Zelżałby nacisk na Rosję w okolicach Kaukazu. Armia turecka w Europie nie mogłaby skutecznie atakować naszych linii komunikacyjnych, gdyż musiałaby przedsięwziąć kroki ku naprawie sytuacji w Syrii, a w miarę możności — ku odzyskaniu tego kraju.

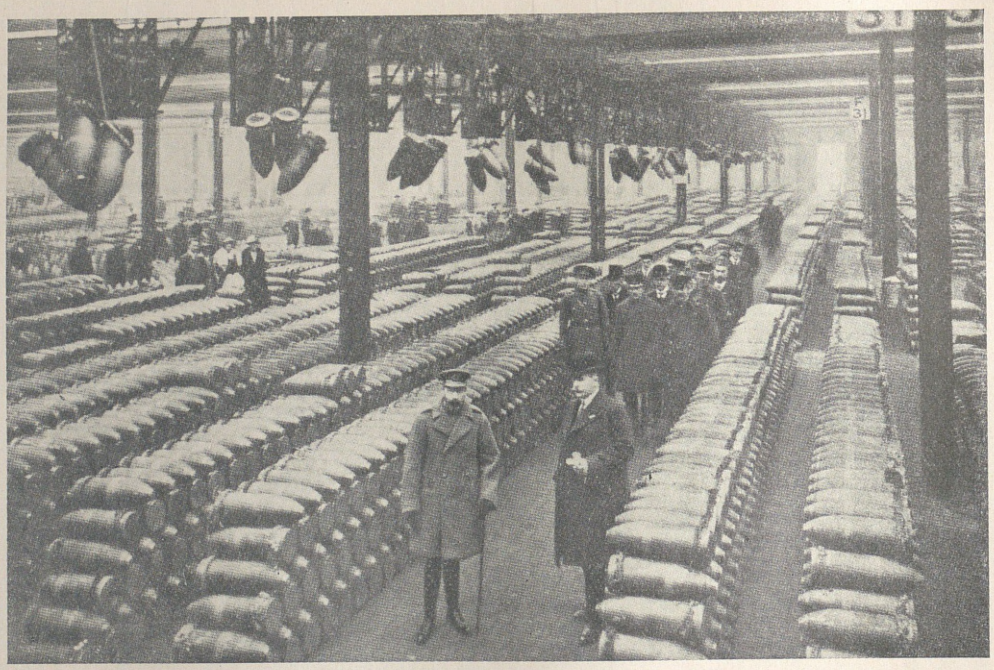
Jeżeli nie jesteśmy gotowi wykonać jakiegoś projektu w tym rodzaju, to oświadczam szczerze, że wątpię w osiągnięcie jakiegokolwiek sukcesu w tej wojnie. Nie widzę nic poza wieczną nierozegraną na wszystkich frontach. Sam proces wyczerpania gospodarczego nie może przynieść nam zwycięskiego pokoju, dopóki Niemcy znajdują się w posiadaniu najbogatszych terytoriów, należących do państw sprzymierzonych. Żaden kraj nie skapitulował nigdy pod takim naciskiem, o ile nie nastąpiła klęska na polu bitwy. Burke wciąż roztaczał per-

spektywy zwycięstwa nad Francją w wyniku jej wyczerpania; ale wojna z Francją toczyła się 20 lat po momencie, w którym zaczął głosić swoje lekkomyślne proroctwa. Niemcy i Austria mają jeszcze 3.000.000 młodych ludzi, nie mniej wyćwiczonych niż żołnierze z armii Kitchenera i gotowych zająć miejsca tych, którzy dzisiaj siedzą w okopach, gdyby polegli. W ten sposób proces wyczerpania potrwa jeszcze co najmniej z dziesięć lat. Jeżeli chodzi o glebę, o minerały, o wyposażenie techniczne i naukowe, Niemcy są krajem olbrzymich zasobów. Pod względem ilości wykształconych fachowców, jest to kraj najbogatszy na świecie. Nie można tego pomijać w rachunku, jeżeli się mówi o procesie wyczerpania. Nie ulega wątpliwości, że Niemcy ucierpią dotkliwie z powodu braku miedzi, ale nie możemy nadmiernie na tym polegać. Ucierpią gałęzie przemysłu, zależne od miedzi, ale miedź do wyrobu amunicji znajdzie się zawsze w ten lub inny sposób. W niewielkich ilościach da się ją otrzymać za pośrednictwem państw neutralnych, dla których pokusa ofiarowywanych przez Niemcy cen będzie nieodparta. Poza tym istnieje pewna ilość miedzi w Niemczech. Niektóre z kopalń niemieckich pracowały z zyskiem w chwili wybuchu wojny; musi być jeszcze wiele innych szybów z mniejszą zawartością miedzi, które nie opłacały się w warunkach normalnych, podobnie jak kopalnia miedzi w Walii północnej, ale które staną się natychmiast opłacalne, gdy cena miedzi podwoi się i potroi. Co więcej, Niemcy mają niewyczerpane zasoby węgla i żelaza, a dopóki są w posiadaniu równin węgierskich, mogą się skromnie wyżywić. Wszelkie dane świadczą o tym, że panuje tam entuzjazm i duch, którego nie uda się złamać dwoma czy trzema latami walk pozycyjnych, prowadzonych na terytorium

nieprzyjacielskim. Ducha niemieckiego nie złamie się bombardowaniem Dixmude albo Roulers.

Nie możemy sobie pozwolić na bierność. Powinniśmy patrzeć daleko naprzód i omówić każdy możliwy projekt doprowadzenia wojny do zwycięskiego końca. Trudności zaopatrzenia, brak amunicji, ciężka sytuacja gospodarcza, kłopoty pieniężne, nawet prywacje i nędza — wszystko to będzie chętnie znoszone przez naród, którego armia nie została pobita i znajduje się w posiadaniu terytoriów nieprzyjacielskich. Z chwilą jednak, gdy nadchodzi wyraźna porażka, nawet umiarkowane trudności gospodarcze zaczynają wywierać głęboki wpływ na opinię. Takiej porażki nieprzyjaciela nie osiągniemy strategią dotychczasową i musimy poszukać innej.

Gdyby zapadła decyzja na korzyść jakiegoś planu kampanii, podobnego do wyżej przeze mnie naszkicowanego, to niezbędne przygotowania wymagałyby tygodnia czasu. Nie mogę przypomnieć sobie, by w rozprawach naszego Kom. Obr. Imp. tego rodzaju operacje były kiedykolwiek brane pod uwagę; grunt do nich nie jest przygotowany. Sporo czasu zajęłoby zebranie wiadomości o danym kraju, aby ustalić miejsce desantu i kierunek natarcia. Należałoby starannie i w tajemnicy zgromadzić środki transportowe. Znaczne siły trzebaby było skupić na Morzu Śródziemnym, rzekomo dla obrony Egiptu. Mogłoby się również okazać rzeczą pożądaną wysłać zawczasu pewne siły przez Saloniki na pomoc Serbii. Trzebaby zawrzeć porozumienia wojskowe z Serbią, Rumunią, Grecją, a może i z Włochami. Wszystko to wymaga czasu. Wyprawy, nierozważnie decydowane i nie dość starannie organizowane, kończą się naogół katastrofalnie. A ponieważ te same uwagi dotyczą zapewne i każdej in-



Król Jerzy V zwiedza fabrykę pocisków w Chilwell.



Słynny afisz werbunkowy Kitchenera z napisem:
„Kraj potrzebuje Ciebie!"

nej możliwej kampanii, więc podkreślam ważne znaczenie tego, byśmy się naradzili i niezwłocznie powzięli decyzję.

D. L. G.

Pisząc ten memoriał, miałem za sobą pięciomiesięczne doświadczenie wojny w warunkach nowoczesnych. Po czterech i pół latach najdokładniejszego zaznajamiania się z tymi zagadnieniami podtrzymuję główne tezy tego dokumentu.

Obie walczące armie próbowały przerwać linie obronne przeciwnika na zachodzie i obie nie osiągnęły tego wyniku, mimo najbardziej morderczych bitew. Niemcy uznali niepraktyczność prób forsowania bariery zachodniej i postanowili uderzyć na wschodzie. Po wzmocnieniu swych pozycyj doszli do wniosku, że są w stanie bronić ich przed połączonymi siłami Sprzymierzonych przy zachowaniu stosunku: dwuch żołnierzy niemieckich na każdych trzech żołnierzy francuskich i brytyjskich. Gdy w roku 1916 zmienili swą strategię i zaatakowali potężnie umocnione pozycje francuskie pod Verdun, próba ta skończyła się fiaskiem i niepowetowaną stratą czasu i okazji. Jeśli zaś chodzi o Sprzymierzonych—panowała wśród nich silna różnica zdań co do celowości „drogi okrężnej" poprzez wschód.

Spór, jaki wynikł na ten temat, przedstawiano jako walkę amatora z żołnierzem zawodowym, polityka-ignoranta z wykwalifikowanym wojownikiem. Jest to dowolne i dość niemądre zniekształcenie genezy owej różnicy poglądów, która istniała w odpowiedzialnych i kierowniczych sferach koalicji, począwszy od roku 1915 aż do końca wojny. Wśród uczestników sporu było w jednym i drugim obozie wielu odpowiedzialnych polityków. Ale było również wielu bardzo wybitnych wojskowych, którzy różnili się w poglądach na tę sprawę. Miałem z powodu mego memoriału rozmowę z lordem Kitchenerem: Jego postawa wobec mego memoriału z pewnością nie była

postawą wojskowego, urażonego wtrącaniem się amatora. Wręcz przeciwnie. Zgodził się w znacznym stopniu z moją ogólną tezą. Z głębokim przeświadczeniem mówił o niemożności przedarcia się przez linie niemieckie na froncie zachodnim oraz wyparcia wojsk niemieckich z Francji i Flandrii bez ofiar, które słusznie uważał za niedopuszczalne, jeśli tylko możnaby było znaleźć inny sposób pobicia państw centralnych, wymagający mniejszego haraczu z życia ludzkiego.

Nazajutrz po rozesłaniu przeze mnie mego memoriału lord Kitchener w jednym ze swych periodycznych przebłysków intuicji napisał do sir Johna Frencha do Kwatery Głównej we Francji następujący godny uwagi list*):

„2 stycznia r. 1915.

Nie widać zbyt wiele oznak zapowiadanego nacisku ze strony armii francuskiej. Prawdopodobnie Francuzi czują się bezsilni na całym swoim froncie wobec tego samego problemu co i wy na waszym odcinku, t. j. wobec okopów, które sprawiają, że atak jest tylko marnowaniem ludzi dla zyskania kilku metrów zupełnie bezwartościowego terenu. Zyskuje sobie grunt poczucie, że chociaż jest rzeczą istotną bronić linij, które zajmujemy, to jednak wojska poza tymi, które są do tej obrony niezbędne, mogłyby być lepiej użyte gdzieindziej .

Musimy jak sądzę uznać, że armia francuska nie może zrobić dostatecznego wyłomu w liniach obrony niemieckiej, aby spowodować zupełną zmianę położenia i doprowadzić do odwrotu sił niemieckich z Belgii Północnej. Jeżeli zaś tak, to linie niemieckie we Francji trzeba uważać za fortecę, której nie można zdobyć szturmem i nie można również oblegać ze wszystkich stron — skąd

*) Sir George Arthur: „Life of lord Kitchener", t. II, s. 35.

wniosek, że na liniach tych trzeba tylko pozostawić siłę, powstrzymującą napór nieprzyjaciela, podczas gdy właściwe operacje trzeba przedsiębrać gdzieindziej.

Pytanie, *gdzie* można osiągnąć coś istotnego, otwiera szerokie pole do dyskusji i wymaga głębszego zbadania. Jakie są poglądy Pana sztabu? Rosja ma duże trudności na Kaukazie i ledwo się trzyma w Polsce. Aby uwolnić się z tego impasu, potrzebujemy świeżych sił. Wydaje się, że najodpowiedniejszym źródłem tych sił byłyby Włochy i Rumunia. Dlatego, pomimo mnóstwa trudności, jakaś akcja, mogąca przyczynić się do ich wystąpienia, wydaje się wskazana".

W tym momencie Kitchener był zdecydowanym przeciwnikiem przesądnej wiary w front zachodni i skłaniał się do koncepcji „drogi okrężnej".

W kilka dni potem French, wezwany z Francji na posiedzenie Komisji, powołanej w celu rozpatrzenia sytuacji strategicznej, wyraził zdanie, że „całkowite zwycięstwo nad Niemcami na zachodnim teatrze wojny, jakkolwiek możliwe, jest jednak mało prawdopodobne. Gdyby przełamanie frontu okazało się tu niemożliwe, to byłoby pożądane poszukać innych terenów operacyjnych, naprzykład w Austrii".

Jest rzeczą dość znamienną, że propozycję prawie identyczną z moją wysunął w dniu 1 stycznia r. 1915 gen. Gallieni wobec Brianda i francuskiego premiera, Viviani'ego. Gallieni był człowiekiem niewątpliwie utalentowanym, i uważano go za jeden z najbardziej twórczych umysłów wśród generałów koalicji. Poincaré w swych pamiętnikach mówi z uznaniem o jego planie i wspomina, że gen. Franchet d'Esperay, jeden z najtęższych i mogących poszczycić się największymi sukcesami generałów francuskich, przedłożył mu już tę samą propozycję w czasie spotkania w dowództwie jego armii na froncie francuskim. Poglądy gen. Gallieni na tę sprawę są

przedstawione przez jego sekretarzy w bardzo ciekawej książce p. t. „Gallieni parle“:

„Udział Francji w wojnie na Wschodzie, interwencja jednej z naszych armii na teatrze bałkańskim, — to było zagadnienie, które interesowało go może najgłębiej od czasu, gdy został ministrem. Spodziewał się po takiej akcji konsekwencyj, jakich nikt wówczas nie przewidywał.

Już począwszy od roku 1914, ekspedycja francuska na Bałkany byłaby dla nas szczęśliwym rozwiązaniem — w gruncie rzeczy jedynym rozwiązaniem, które pozwoliłoby zakończyć wojnę szybkim zwycięstwem. Gallieni twierdził, że *nie można przedrzeć się przez front zachodni*. Dowodzi tego ofenzywa niemiecka nad Izerą, przedsięwzięta w nadzwyczaj pomyślnych warunkach, a mimo to nie udana. To też musimy znaleźć inne wyjście. — Gdzie? Na Wschodzie! Zająć Konstantynopol. W jaki sposób? Musimy mieć port dla wysadzenia wojska i kolej dla jego przewiezienia. A więc — Saloniki, a z Salonik — marsz na Konstantynopol. Stamtąd pochód w górę Dunaju wraz z narodami bałkańskimi, które się do nas przyłączą. *Rozwiązałoby to również ważne zagadnienie zbożowe:* Rumuni i nawet Rosjanie, których porty zostałyby otwarte, nie byliby zmuszeni sprzedawać zboża za marne pieniądze Niemcom i w ten sposób aprowidować ich.

Taki był mój plan. Postarałem się zobaczyć z Briandem. Briand poszedł poradzić się Joffre'a, który odpowiedział: „Jest to ambicja osobista Gallieni'ego, który chce dowodzić jakąś armią. Nie dam ani jednego żołnierza. Poco daleko szukać tego, co i tak osiągnę tutaj w marcu (r. 1915). Jestem pewien, że przedrzemy się i odepchniemy Niemców“.

Mówiliśmy o tym planie z Anglikami, którzy zgodzili się. Sprawa ta była starannie badana przez nas i przez sprzymierzonych. Wobec opozycji Joffre'a Anglicy postanowili — pomysł pochodził z kół admiralicji — zdobyć Konstantynopol od strony morza, przez sforsowanie Dardaneli. Francuzi przyłączyli się do tego planu".

Zapewniano mnie z bezwarunkowo miarodajnego źródła, że również i gen. Castelnau był tego samego zdania.

Pewien historyk spółczesny, inspirowany widocznie przez Ministerstwo Wojny, pisze o koncepcji salonickiej dość lekceważąco, jako o „koniku p. Lloyd George'a". Fakt, że niektórzy najzdolniejsi mężowie stanu i wojskowi we Francji również dosiedli tego „konika", pozwala mi potraktować pogodnie ten uszczypliwy i niesłuszny komentarz.

Zacytowałem dostateczną ilość poglądów niewątpliwych autorytetów wojskowych, aby stało się rzeczą jasną, że moja koncepcja ataku na państwa centralne poprzez Bałkany nie była jakimś dzikim pomysłem niekompetentnego cywila, zapuszczającego się w nieznane sobie dziedziny.

Gdy ci wielcy żołnierze wysuwali zastrzeżenia co do możliwości utorowania sobie drogi skroś zapory, wzniesione na zachodzie przez Niemców — nie chcieli przez to wcale powiedzieć, że nie da się tego zrobić nigdy i za żadną cenę. Uważali tylko, że nie da się tego osiągnąć bez takiej straty czasu i takich ofiar z życia ludzkiego i zasobów materialnych, na które nie zgodzi się żaden normalny człowiek. Zwolennicy „orientacji zachodniej" nigdy nie zdawali sobie sprawy z tego, że ich plan oznacza masakrę milionów najlepszej młodzieży francuskiej i angielskiej. Z początku wierzyli w szybkie zwycięstwo. Potem jednak front zachodni przekształcił się w żądnego krwi molocha, domagającego się tylu ofiar, że nawet jego najbardziej zajadli kapłani nie myśleliby o ich poświęceniu, gdyby wiedzieli w roku 1915, do czego ich kult prowadzi.

Polityka hekatomb ludzkich na zachodzie była przez opinię publiczną w Anglii, Francji i we Włoszech tolerowana tylko dzięki skomplikowanemu systemowi maskowania niepowodzeń i ukrywania strat.

Nie „przełamaliśmy" frontu aż do roku 1918, chociaż próbowaliśmy tego wielokrotnie w r. 1915, 1916 i 1917, przyczym wszystkie ataki kończyły się straszliwą rzezią. Za każdym razem poniesione przez nas istotnie straty były wyraźnie większe, niż te, które zadawaliśmy Niemcom, chociaż oficjalnie podawaliśmy je jako mniejsze. Dopóki Niemcy nie zostali osłabieni przez złe i skąpe odżywianie i dopóki nie spotkali się z przygniatającą przewagą sił,napływających z Ameryki, dopóty naszym ofenzywom na froncie zachodnim nie udawało się nigdy spełnić pokładanych w nich nadziei. Nawet jeszcze i wówczas — do zawarcia zawieszenia broni — nie udało się nam wyprzeć Niemców z Francji i Belgii; wyrzekli się oporu dopiero w chwili, gdy Turcy i Bułgarzy zostali złamani na południowym wschodzie, i gdy w następstwie tego również i Austria postanowiła zaprzestać walki. Anglicy i Francuzi stracili ponad 5,000.000 zabitych i rannych w ciągłych atakach na wspaniałe technicznie pozycje niemieckie na zachodzie. Sir Wiliam Robertson w jednym ze swych licznych memoriałów, pisanych dla pouczenia członków gabinetu o prawdziwych podstawach zdrowej strategii, stwierdził kiedyś: „każdy głupiec wie, że nie można być zbyt silnym w punkcie rozstrzygającym". Jest to spostrzeżenie, które nie przestaje być słuszne, mimo że jest banalne. Ale każdy człowiek rozumny wie również, że punkt rozstrzygający jest tam, gdzie ma się największe szanse pobicia przeciwnika z najmniejszym ryzykiem i za najmniejszą cenę oraz że tylko „głupiec" wybrałby umyślnie do walki punkt, który nastręcza dlań największe trudności i daje przeciwnikowi najlepszą sposobność odparcia ataków i zadania najcięższych strat atakującym. „Każdy głupiec" powinien również wiedzieć, że dla ataku w decydującym punkcie

trzeba wybrać także decydujący moment. W roku 1915 z pewnością nie nadeszła jeszcze chwila, która czyniłaby z frontu zachodniego punkt decydujący. Nieszczęśliwi głupcy, o których mówił Robertson w swym memoriale, wiedzą teraz jak drogo kosztowała świat strategia, atakująca nieprzyjaciela w jego najmocniejszym punkcie. Niestety jednak, nie mogli przewidzieć tego wówczas — poza kilku „wścibskimi" wojskowymi i cywilami.

Jeżeli chodzi o Francuzów, tłumaczy ich przynajmniej do pewnego stopnia to, że ociągali się z wysyłaniem wojsk z własnego kraju. Clemenceau niemal codziennie przypominał opinii francuskiej: „Niemcy są pod Noyon" — to znaczy o 40 mil od ubóstwianej stolicy, którą już raz mieliby nieledwie w garści, gdyby tylko lepiej zacisnęli palce, zanim cofnęli rękę. Część najpiękniejszych prowincyj francuskich była zajęta przez nieprzyjaciela. Tylko mąż stanu, posiadający nieograniczone zaufanie rodaków, mógł w tych warunkach posiadać dostateczny autorytet, żeby skłonić ich do zgody na odciągnięcie francuskich żołnierzy i francuskich armat od obrony ojczyzny — *„patrie"* — i na przewiezienie ich gdzieś o setki mil na wschód, do walki śród obcych plemion, mającej na celu uwolnienie obszarów, w których Francuzi nie byli bezpośrednio zainteresowani.

Ale dowództwo brytyjskie nie ma nawet tego usprawiedliwienia. Wellington był wysłany do Hiszpanii nie dlatego, że Castelreagh wolał Hiszpanów od Prusaków, ale dlatego, że ktoś w sferach decydujących miał dość rozumu by spostrzec, że półwysep Pirenejski jest tą flanką, skąd wojska brytyjskie mogą zadać najgroźniejszy cios swym wielkim przeciwnikom. Tą samą zasadą kierował się i Sherman w swym słynnym pochodzie poprzez Georgię.

Te właśnie rozważania doprowadziły jednocześnie — choć

nie porozumiewaliśmy się ze sobą — Churchilla i mnie do wniosku, że największą przysługę, jaką Anglia ze swym panowaniem na morzu może wyświadczyć sprzymierzonym, jest zorganizowanie, wyekwipowanie i wzmocnienie ataku na najsłabszy punkt wielkiej fortecy, w jakiej okopały się państwa centralne.

RADA WOJENNA I BAŁKANY.

W ciągu pierwszych dwóch miesięcy wojny nie było żadnej stałej rady wojennej. Odbywały się tylko od czasu do czasu sporadyczne i nieregularne narady między najwybitniejszymi dostojnikami państwowymi i wojskowymi. Ja nie byłem na te konferencje wzywany, chyba że rozpatrywano jakieś sprawy, bezpośrednio obchodzące skarb. W końcu listopada premier postanowił powołać do życia Radę Wojenną, a w początkach stycznia zwołał jej posiedzenie dla rozpatrzenia wniosków, wysuniętych przez Winstona Churchilla, Maurice Hankeya i przeze mnie. Churchill z niezachwianą siłą przekonania i uporem, oraz z tym opanowaniem szczegółów, jakie cechuje go zawsze, gdy jest czymś naprawdę zainteresowany, bronił zalet swego planu dardanelskiego. Ja wyłuszczyłem powody, dla których wolę desant w Salonikach. Projekt sforsowania cieśniny Dardanelskiej od strony morza był już niejednokrotnie dawniej badany przez władze morskie, ilekroć rozpatrywano możliwość wywarcia nacisku na rząd turecki w Konstantynopolu. Za każdym razem plan ten odrzucano, gdyż bez okupacji nie tylko półwyspu Gallipoli, ale również i pobrzeża azjatyckiego uważano go za operację zbyt ryzykowną. Za każdym też razem przewidywano niebezpieczeństwa, które nastąpiły w rzeczywistości, gdy projekt został zrealizowany przez sprzymierzonych. Trudności były oczywiste; operacja miała polegać na forsowaniu przez flotę przejścia przez wąskie cieśniny, nad którymi z obu stron panują dogodne dla obrony wzgórza. Obawiano się zawsze ,że nawet gdyby przejście zostało sforsowane pomimo min i for-

tyfikacji, to dopóki choć jedno wybrzeże pozostawałoby w ręku nieprzyjacielskim, cieśnina mogłaby być zawsze z powrotem zamknięta przed powracającą flotą. Gdy w początkach wojny Grecy zaproponowali przyłączenie się do sprzymierzonych, byli gotowi wysłać desant, któryby wystarczał do okupacji półwyspu Gallipoli. Gdyby byli to uczynili, historia wyprawy dardanelskiej potoczyłaby się inaczej; inaczej również wyglądałaby historia całej wojny. Ale dla jakichś niedocieczonych przyczyn Grey odrzucił ofertę grecką. Jego wieczne wahania przyczyniły się do wciągnięcia nas w wir wojny, ale przeszkadzały nam wydobyć się z niego.

Gdyby lord Kitchener miał do rozporządzenia dość sił do obezwładnienia załogi broniącej Gallipoli oraz do obsadzenia azjatyckiego brzegu cieśniny i odparcia ewentualnych ataków armii tureckiej na lądzie — plan dardanelski miałby wiele zalet. Ale Kitchener uparcie twierdził, że w danej chwili nie może wydzielić więcej niż jedną brygadę. Byłem już wówczas przeświadczony, że wynikało to z niedoceniania rezerw ludzkich, będących w jego dyspozycji; teraz wiem już, że tak było. Stanowisko Kitchenera wypływało po pierwsze z obawy, że armia rosyjska może się załamać, a wówczas Niemcy będą w stanie nagromadzić wielkie siły na froncie zachodnim. Poza tym zaś lord Kitchener miał od czasu do czasu jakieś napady nieuzasadnionego strachu przed ogołoceniem kraju z wojsk regularnych i bał się rzeczy niemożliwej — najazdu ze strony nieprzyjaciela, który nie śmiał wypuszczać swych okrętów nawet na Morze Niemieckie, z wyjątkiem odbywanych w wielkim pośpiechu kilkogodzinnych rejsów w pobliżu wybrzeży.

Był jeszcze inny czynnik, który odegrał wielką rolę w ocenie przez Kitchenera naszej sytuacji wojskowej w tym stadium wojny. Traktował on zawsze wojska terytorialne z pogardą starego generała armii czynnej. Miał zawsze w pamięci

oddziały ochotnicze z czasów swej młodości — źle zorganizowane, niedostatecznie uzbrojone i prawie wcale niewyćwiczone. Oddziały ochotnicze były w czasach pokoju kopciuszkiem Ministerstwa Wojny, zdobywającym sobie fundusze przy pomocy lokalnych koncertów i zbiórek. Gdy Kitchener wrócił do Anglii ,aby objąć kierownictwo działań wojennych i zastał tu wielką siłę, złożoną z 270.000 ludzi i noszącą nazwę armii terytorialnej — myślał o niej wciąż, jako o wolontariuszach, którzy byli niegdyś pośmiewiskiem wojsk regularnych; — myślał, że ma do czynienia z paru set tysiącami młodych ludzi, dowodzonych przez cywilów w średnim wieku, którym pozwolono włożyć mundur, i bawić się w żołnierzy. Nie oceniał rewolucji, jakiej w tych formacjach dokonał geniusz Haldane'a. Przy pierwszej okazji, gdy po wybuchu wojny odbyłem z Kitchenerem dłuższą i poufniejszą rozmowę na tematy wojenne, przez cały prawie czas wykpiwał armię terytorialną. Ta błędna ocena miała zupełnie poważne następstwa w ciągu pierwszych miesięcy wojny .Są kompetentni wojskowi którzy twierdzą, że Kitchener w decydujących dniach bitwy o Ypres mógł rzucić do boju co najmniej 10 dywizyj doskonałego żołnierza, gdyby miał większe zaufanie do będących pod ręką wojsk terytorialnych. A nie ma wątpliwości, że gdyby znał ich pełną wartość, to na wiosnę r. 1915 wysłałby kilka dywizyj do Salonik. Był to doskonały materiał żołnierski, który w tym czasie przeszedł już sześciomiesięczne przeszkolenie w obozach. Bałkańska armia ekspedycyjna nie musiała być zresztą bynajmniej złożona z samych oddziałów terytorialnych: część dywizyj terytorialnych można było wysłać do Francji dla zluzowania dywizyj regularnych ,zajmujących błotniste okopy, a ci świetnie wyćwiczeni żołnierze mogliby być przerzuceni na Bałkany dla scementowania armii ekspedycyjnej. Pogoda nie sprzyjała walkom we Flandrii. Istniały też pokaźne siły Australczyków i Nowozelandczyków, wymusztrowanych w Egipcie. I oni mogli być wysłani do

Salonik. Teraz wiemy już wszyscy ,jakim byli pierwszorzędnym materiałem bojowym.

Jeżeli jednak nie brało się wogóle pod uwagę wojsk terytorialnych i dominialnych, to nawet gdyby można było wydzielić jedną lub dwie dywizje regularne i dołączyć do nich także kontyngent francuski, — jest rzeczą jasną, że Kitchener nie był wówczas w stanie wysłać dostatecznej liczby wojska dla podwójnej operacji: wyparcia Turków z Gallipoli i obrony Czanaku przed głównymi siłami tureckimi. Natomiast okupacja Salonik nie była wielką operacją wojskową. Grecy nie protestowaliby na serio przeciw lądowaniu, a w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby temu przeszkodzić. Pierwsze dwa lub trzy miesiące roku byłyby wypełnione koniecznymi czynnościami naprawy połączeń kolejowych. Niektóre odcinki musiałyby otrzymać drugie tory. Trzebaby wyładować na ląd lokomotywy, wagony i platformy dla przewozu wojsk i materiałów, zbudować bocznice, naprawić drogi. Przed stopnieniem śniegów i opadnięciem wód w rzekach Kitchener mógł nagromadzić znaczne siły, a przy pomocy wojsk francuskich, które w tym czasie byłyby do dyspozycji, armia salonicka stałaby się tak potężna, że Bułgarzy zawahaliby się interweniować po stronie naszych wrogów. Oficjalna historia wojny podkreśla to z wielkim naciskiem*). Znacznie wcześniej, niż siły niemieckie operujące w Rosji zostały zwolnione, skombinowana armia sprzymierzona, ściągnięta z Serbii, Anglii i Francji i prawdopodobnie wzmocniona przez przyłączenie się do niej przeszło pół milionowych sił greckich i rumuńskich, urosłaby na taką potęgę, że dla Austrii, nawet wspomaganej przez Niemcy, rozpoczęcie ataku w takim trudnym terenie stałoby się przedsięwzięciem beznadziejnym. Bastion bałkański stałby się niezdobytą twierdzą za naszymi plecami,

*) Str. 48, „Military Operations": Macedonia.

a nie niedostępną dla nas i energicznie bronioną warownią, z jaką mieliśmy do czynienia pomiędzy rokiem 1916 i 1918.

Nawet posiadane przez nas podówczas zaopatrzenie byłoby dostateczne, aby umożliwić nam obronę tego rodzaju pozycji przeciw dowolnemu przeciwnikowi.

Szrapnele, których mieliśmy w bród, byłyby skuteczną bronią przeciw nieprzyjacielowi, posuwającemu się w otwartym polu po zboczach, widocznych z wyżyn, które zajmowałyby wojska sprzymierzone. Mielibyśmy dużo czasu na ulepszanie ekwipunku i na organizację naszych sojuszników bałkańskich, a gdy wszystko byłoby gotowe, moglibyśmy rozpocząć atak na Austrię w porozumieniu z Włochami i z Rosją. Włochy przeszły na stronę sprzymierzonych w maju, a uczyniłyby to wcześniej, gdybyśmy rozpoczęli zdecydowaną akcję na szerszą skalę na Bałkanach.

Na Radzie Wojennej toczyły się długie dyskusje nad różnymi propozycjami. Trwało to kilka dni. Sir John French został wezwany z Francji dla wzięcia udziału w jednej z tych dyskusyj. Wypowiedział się, jak już o tym wspomniałem, za natarciem na froncie południowo-wschodnim.

Przedstawiłem Radzie Wojennej mój projekt desantu w Salonikach, ale — jeśli chodzi o wpływ na moich kolegów— byłem w sytuacji niekorzystnej. Winston Churchill był w stałym kontakcie z Kitchenerem, a wiadomo powszechnie, że jeżeli jego potężny mózg zaprzątnięty jest jakimś pomysłem, to jest on niezmordowany w przekonywaniu o słuszności tego pomysłu każdego, kto tylko ma wpływ na decyzję. Ja natomiast miałem zrzadka tylko sposobność spotykania się z Kitchenerem. Wszyscy kierownicy armii i floty byli wówczas bardzo ekskluzywni i komunikowali się głównie między sobą; byli oczywiście bardzo zajęci i nie mieli czasu na rozmowy z amatorami-cywilami.

Pierwszy lord admiralicji, forsując swą propozycję, miał

jeszcze jedną decydującą przewagę nade mną: był mianowicie gotów działać odrazu, nie czekając na transporty wojskowe. Jego plan w swych stadiach początkowych był operacją wyłącznie morską. Wojska miały być wezwane dopiero po sforsowaniu cieśnin, a więc — gdy wszystkie forty będą już zdemolowane. A nawet i wtedy ich rola miała być bardzo skromna. Kitchener wiedział, że wykonanie takiego planu przez flotę zabierze sporo czasu, a przez ten czas armia nie będzie nagabywana o ludzi ani o amunicję. Natomiast operacja salonicka oznaczałaby niezwłoczne lądowanie pewnej ilości wojsk wraz z armatami, amunicją, składami, transportem lądowym i morskim. Idea więc operacji wyłącznie morskiej była ponętnym wytchnieniem dla zaambarasowanego Ministra Wojny, od którego stale domagano się wysłania większej ilości wojsk i amunicji na wszystkie możliwe teatry wojny. Kłopoty Kitchenera w tej dziedzinie spadłyby na przeciąg dwóch lub trzech miesięcy na admirałów. Dlatego lord Kitchener przychylił się do planu wyprawy dardanelskiej, a to przesądziło jego przyjęcie. Wszyscy ministrowie obecni na tej naradzie, włączając premiera, p. Grey'a, Balfoura i in., poszli w tej sprawie za lordem Kitchenerem. Pozostałem osamotniony ze swoją postawą krytyczną. Lord Fisher milczał, jak zaklęty. Nie wiedziałem wówczas, że on i inni admirałowie byli przeciwnikami tego przedsięwzięcia ,jako operacji czysto morskiej, nie popartej przez siły lądowe.

Plan dardanelski został więc przyjęty, i natychmiast zaczęto przygotowania do wprowadzenia go w życie. Churchill włożył w wykonanie projektu całą swoją impulsywność i płomienną energię. Na jednym z późniejszych posiedzeń komisji wywarłem nacisk, aby na wypadek niepowodzenia ataku na Dardanele podjąć jakąś akcję, któraby ułatwiła ekspedycję salonicką. Zgodnie z tym, po rozstrzygnięciu sprawy dardanelskiej zapadła jednomyślna uchwała, po-

lecająca Kitchenerowi przedsięwzięcie kroków w celu niezwłocznej naprawy urządzeń komunikacyjnych z Salonik do Niszu, mianowicie dodania, — gdzie to jest wykonalne — drugiego toru kolejowego, zwiększenia liczby parowozów, bocznic, wagonów towarowych i innych urządzeń transportowych na linii salonickiej. Kitchener zobowiązał się wziąć tę sprawę w swoje ręce. Nie uczyniono nic dla wykonania tej uchwały, i więcej nie było już o tym mowy. Gdy potem, pod koniec roku, byliśmy zmuszeni wysłać armię ekspedycyjną dla zapobieżenia zwycięskiemu pochodowi państw centralnych i Bułgarii ku Morzu Śródziemnemu, nie była położona ani jedna dodatkowa szyna, nie okazało się ani jednej bocznicy, i nie dostarczono ani jednego dodatkowego wagonu. Ani jedna droga nie została poszerzona czy naprawiona. Nie zatroszczono się nawet o sporządzenie inwentarza istniejących środków ani o obmyślenie sposobów ich ulepszenia. Rezultat był taki, że gdy na jesieni Serbia została zaatakowana przez państwa centralne ,to Sztab Główny, jako jeden z argumentów przeciwko wysłaniu armii ekspedycyjnej na pomoc walczącej z największym wysiłkiem Serbii, powoływał się na to, że nie ma możności przetransportowania tych oddziałów na front. Nawet jeszcze w końcu r. 1916, gdy gen. Joffre był już kompletnie przekonany o doniosłości Salonik, i gdy terytorium to było już od dwunastu miesięcy w rękach sprzymierzonych, liczba wojsk, które można było wysłać i faktycznie użyć na tym obszarze, była bardzo ograniczona, ponieważ aż do owej chwili nie poczyniono kroków w celu naprawy środków transportu. Z tych względów nie można tam było wysłać sił, jakie były potrzebne.

Skoro tylko Komisja rządowa przesądziła, że ma być podjęty atak na Dardanele, przestałem krytykować celowość tego przedsiędzięcia, uważając że lepiej popierać energicznie tę czy innę operację flankową, niż porzucić zupełnie myśl o takiej operacji. Domagałem się nadal wysłania na Gallipoli

wojsk we właściwym czasie i w dostatecznej ilości, a zwłaszcza z dostatecznym ekwipunkiem armat i amunicji. Jeszcze podczas trwania dyskusji i przygotowań nadeszły z Bałkanów raporty, podkreślające, że zwłoka oznaczałaby nowe niebezpieczeństwo. Wśród innych członków gabinetu otrzymałem i ja bardzo zastanawiający list znakomitego historyka, Jerzego Trevelyana, pisany do jednego z przyjaciół. W tym czasie podróżował on właśnie po Bałkanach w towarzystwie Setona Watsona, wielkiego autorytetu w sprawach bałkańskich. List ten zawiera nader bezstronny i pouczający opis sytuacji i postawy różnych państw bałkańskich w tym czasie.

„Sofia, 15 stycznia r. 1915.

Drogi Panie!

Przyjechaliśmy*) tutaj wczoraj z Niszu i udajemy się jutro do Bukaresztu. Mieliśmy długą rozmowę z Sir Henry Bax Ironsid'em, który tak samo jak p. Des Graz**) jest pod wrażeniem niebezpieczeństwa w jakim znajdzie się Serbia, jeżeli wielka armia austriacka, wzmocniona przez korpus niemiecki, przejdzie do ataku. Ponieważ wszystko, cośmy widzieli i słyszeli w Serbii, skłania nas do przypuszczenia, że Serbia bez pomocy nie jest w stanie bronić się z powodzeniem przeciwko takiemu atakowi, więc dzisiaj depeszowaliśmy do Grey'a, alarmując, iż trzeba dokonać wszelkiego możliwego wysiłku, dyplomatycznego i wojskowego, aby uratować Serbię i zapobiec zaprzepaszczeniu naszego wpływu na Bliskim Wschodzie, co niewątpliwie byłoby następstwem zagłady Serbii.

Pisałem już do Pana w tym samym sensie z Niszu,

*) T. j. Trevelyan wraz z Seton Watsonem.

**) Poseł angielski w Serbii.

— nastając, że trzeba wysłać wojska brytyjskie z Egiptu lub skądkolwiek, o ile Niemcy albo Austriacy ruszą na Serbię ze świeżymi i przeważającymi siłami. Wpływ moralny na taki nastrojowy naród, jak Serbowie, byłby bardzo wielki, podobnie jak w grudniu bardzo wielki był wpływ moralny nadejścia transportu amunicji. Równie wielki wpływ wywarłoby to i na Austriaków — byli oni wszak w grudniu bardzo wytrąceni z równowagi przez fałszywe wiadomości, że w ówczesnej kontrofenzywie serbskiej wojska serbskie połączyły się z rosyjskimi,—ponieważ widziano 10 rosyjskich podoficerów. Nawet obecność naszych marynarzy w Belgradzie spowodowała wielkie zamieszanie w umysłach austriackich.

Nie depeszowaliśmy z Niszu nie dlatego, żeby p. Des Graz był przeciwny temu poglądowi. Omawiałem z nim tę sprawę; jest jak najgłębiej przejęty grożącym Serbii niebezpieczeństwem i uważa, że o ile nastąpi oczekiwana ofensywa, zwłaszcza z udziałem Niemców — pomoc wojskowa jest niezbędna. Odłożyłem depeszowanie, aż znajdę się tutaj, gdyż chciałem wiedzieć, czy istnieje niebezpieczeństwo, że Bułgaria ruszy przeciw Grecji, gdyby Grecja przyszła przez dolinę Wardaru na pomoc Serbii. Bax Ironside jest pewien, że tego niebezpieczeństwa już nie ma, gdyż Bułgaria zdecydowała się na neutralność, przynajmniej o ile Serbia nie zostanie zgnieciona, a Ententa nie przegra na tym teatrze wojny całej swej stawki. Jeżeli tak, to moglibyśmy skorzystać z okolicy Wardaru, dla przetransportowania wojsk brytyjskich do Serbii, a Grecja powinna wystąpić. Watson podkreśla, że wojska brytyjskie mogłyby być również — choćby częściowo — wysłane przez Antivari i Dalmację, ale tu zahaczamy już o zagadnienia wojskowe, gdzie nie czuję gruntu pod nogami. *Zasadniczą* rzeczą jest, że musimy uratować Serbię, albo stracić cały Bliski Wschód —

z jakimi następstwami dla całej wojny, to sobie Pan łatwo wyobrazi.

Nie byliśmy jeszcze w Bukareszcie, i może się okazać, że nie będziemy wiele mądrzejsi po odbytej tam wizycie. Choć wszyscy mają nadzieję na wystąpienie Rumunii, nikt jednak ze spotkanych przezemnie Serbów lub Anglików nie miał pewności, że Rumunia wystąpi, zanim wynik wojny stanie się oczywisty. To też w razie zaatakowania Serbii wielkimi siłami trzeba — poza wysiłkami nad pozyskaniem Rumunii — zastosować inne środki ratunku dla Serbii.

Należy pamiętać, że Serbowie choć twardzi, są jednak narodem nastrojowym, zniechęceni, mogą rozpocząć odwrót, nawet w niełądzie, a potem jeżeli coś się dla nich zrobi, albo jeżeli stanie się coś co podniesie ich na duchu, mogą dokonać cudów.

Z punktu widzenia dyplomatycznego, jeżeli chodzi o działania lub o bezczynność Rumunii i Bułgarii, — a może i Grecji — wszystko wygląda niepewnie i waży się z godziny na godzinę. Nie będzie chyba gołosłownym domysłem przypuszczenie, że ostateczny wybór Rumunii i Bułgarii będzie zależał w każdym z tych krajów, a może i w obu łącznie od wyniku zamierzonej próby zawojowania Serbii, o ile taka próba zostanie podjęta. Oczywiście, Rumunia powinnaby pomóc uratować ją od tej inwazji, i *może* to uczyni; trzeba więc zdobyć się na wszelkie możliwe wysiłki, aby ją do tego skłonić. Ale trzeba opracować inne plany uratowania Serbii na wypadek, gdy Rumunia nie wystąpi, zanim nie przekona się, kto zwyciężył, — gdyż jest to jedyne założenie ostrożne. Nie chcemy wywoływać wrażenia, że Serbia goni już resztkami sił. Duch jest w niej wspaniały, a armia, choć zredukowana o połowę wskutek strat, jest w dobrym stanie. Jeżeli jednak, jak się przewiduje, Niemcy i Austria zdo-

łają zmobilizować przeciwko niej siły, którym nie będzie ona w stanie się oprzeć,— to wyjątkowy wysiłek, podjęty dla przyjścia jej z pomocą, może wpłynąć na wynik całej wojny.

Jerzy Trevelyan."

Mogliśmy bardzo szybko przekonać się, jak słuszne były przepowiednie panów Trevelyana i Watsona co do Bułgarii i Serbii. Mieliśmy również i inne doniesienia, potwierdzające ich wnioski. Na Bałkanach panował stan chaosu, i było rzeczą jasną, że rozstrzygnięcie może wypaść na korzyść strony, która zdobędzie się tam na najśmielsze kroki, zanim nie będzie za późno.

W końcu stycznia otrzymaliśmy raport naszego przedstawiciela w Sofii, który informował nas, że rosyjski minister spraw zagranicznych wyraża wielkie obawy co do stanowiska Bułgarii. Nasz przedstawiciel uważał, że obawy te są zupełnie uzasadnione, gdyż w Sofii umacnia się wrażenie, że rosyjskie operacje wojskowe zakończyły się niepowodzeniem i że jak tylko pogoda pozwoli Niemcom na posuwanie się naprzód, Warszawa wpadnie w ich ręce. Taka była opinia generałów bułgarskich, i minister przestrzegał nas, że o ile nie uda się przekonać Bułgarii, że stroną wygrywającą będziemy my, to żadne obietnice terytorialne nie przeciągną jej na stronę koalicji. Bułgarów interesują w tej chwili nie tyle nadzieje zdobyczy terytorialnych, ile ogólny bieg wojny, którą obserwują w naprężeniu, zanim postanowią, do której strony się przyłączyć. Zwróciłem na ten telegram uwagę Kitchenera, z czego wynikła poniższa wymiana listów:

„29 stycznia r. 1915.

Drogi lordzie Kitchenerze,

Widział Pan już napewno depeszę z Sofii l. 14 we wczorajszych komunikatach. Interes Niemiec w

zgnieceniu Serbii w celu oderwania Bułgarii od trójporozumienia i utorowania sobie drogi do Konstantynopola jest tak oczywisty, że byłoby rzeczą ryzykowną wątpić o ścisłości tej depeszy. Francuzi odkładali pomoc dla Antwerpii, aż okazało się że jest już za późno. Tym razem odpowiedzialność spada na nas, i nie będziemy uznani za wytłumaczonych, jeżeli nastąpi katastrofa.

Zawsze oddany
D. Lloyd George".

„Ministerstwo Spraw Wojskowych

29 stycznia r. 1915.

Drogi Panie Lloyd George,

Sądzę że wszyscy widzimy niebezpieczeństwo. Trudność polega na tym, że nasze siły są zaangażowane we Francji, sytuacja zaś wymaga sił zbrojnych w Serbii. Udawać się tam z niewielkimi siłami, jak np. z jedną brygadą, byłoby rzeczą bezużyteczną, o ile nie podążyliby za nami inni, gdyż zostalibyśmy wyśmiani, z chwilą gdyby się okazało, że jesteśmy tam tylko armią *pour rire*. Moglibyśmy pozyskać Grecję, jako stronę wojującą, ale dopóki Bułgaria zachowa obecną postawę, nie wielu żołnierzy greckich dotarłoby do Serbii.

Nie mogę się oprzeć myśli, że Bułgaria chce zguby Serbii i w tym celu nie dopuszcza do udzielenia jej jakiejkolwiek pomocy przez Rumunię i Grecję. Załączniki do zwrotu po obejrzeniu.

Zawsze oddany
Kitchener".

Co do twierdzenia Kitchenera, że mógłby wydzielić dla okupacji Salonik tylko jedną brygadę — faktem jest, że miał w tym czasie jedną dywizję wojsk regularnych, jeszcze

nie wysłaną na żaden front. Mogłaby ona stać się jądrem i cementem dla 14 dywizyj terytorialnych, będących wówczas do dyspozycji w kraju. Dwie lub trzy dywizje tych mężnych wojsk terytorialnych Kitchener wysłał wkrótce potem do Flandrii i uznał je za odpowiednie do tego aby mogły zająć okopy pierwszej linii i bronić pozycyj angielskich przed najlepszymi żołnierzami niemieckimi. W Egipcie było również 39,000 Australijczyków i Nowozelandczyków — nie ustępujących w każdym razie wojskom, jakie mogliby przeciw nim wystawić Bułgarzy lub Austriacy. Na froncie zachodnim Francuzi wraz z nami górowali już znacznie nad Niemcami pod względem liczby, a chociaż brak nam było niezbędnej do ataku ciężkiej artylerii, jednak dowiedliśmy już, że nawet kiedy byliśmy znacznie słabsi, byliśmy dość silni aby bronić się przed niemieckimi atakami. Gdybyśmy wysłali parę z pośród niezaangażowanych gdzieindziej dywizyj, to Francuzi mogliby wysłać i wysłaliby napewno taką samą liczbę wojsk. Ambicja nie pozwoliłaby im na to, by nie byli reprezentowani równymi siłami na tak ważnym teatrze wojny. Na tym punkcie przejawiali zawsze pewną pożyteczną drażliwość, jeżeli nie zazdrość. Gdyby Francuzi, tak samo jak i my, wskutek tej ekspedycji na wschód musieli oszczędzać żołnierza na froncie zachodnim, nie doszłoby do tych szaleńczych ofenzyw, które kosztowały sprzymierzonych w ciągu pierwszych czterech miesięcy roku 1915 ponad 100.000 zabitych. Mieliśmy aż nadto ludzi na lekkomyślne i nieprzemyślane posunięcia na zachodzie, ale zaledwie jedną brygadę można było wydzielić dla wyprawy, która — jak to wykazał bieg wypadków jeszcze przed końcem roku — miała tak doniosłe znaczenie dla uratowania sprzymierzonych od wielkiej katastrofy.

Na posiedzeniu Rady Wojennej w dniu 28 stycznia lord Kitchener miał znowu jeden z tych przebłysków, którym od czasu do czasu oświetlał mroki otaczających nas groźnych pro-

blemów. Powiedział mianowicie, że „jest pod głębokim wrażeniem tych korzyści, jakie Niemcy potrafiły osiągnąć na skutek swego centralnego położenia. Pozwala ono nieprzyjacielowi koordynować swoje wysiłki, natomiast Sprzymierzeni działają niezależnie jedni od drugich. Powinien istnieć jakiś centralny organ, w którym byliby reprezentowani wszyscy sprzymierzeni i który skupiałby wszelkie informacje. Należy organizować ataki równocześnie. Doprowadziłoby to do tego, że niemiecki Sztab Główny byłby nagabywany o posiłki ze wszystkich stron na raz. Ataki te mogłyby trwać po jakieś dziesięć dni, po czym następowałyby okresy wypoczynku. W czasie tych ofenzyw powinno się nie dopuszczać do Niemiec żadnych wiadomości z krajów sprzymierzonyoch".

Propozycję Kitchenera poparłem całkowicie i powiedziałem, że wkrótce udaję się do Paryża na zebranie ministrów skarbu państw sprzymierzonych. Jest możliwe, że będę miał tam sposobność napomknięcia o tym projekcie w sposób nieoficjalny i skłonienia kogoś z reprezentantów sprzymierzonych do wysunięcia bardziej formalnej propozycji. Balfour zgodził się na to. Doszliśmy do wniosku, że powinienem skorzystać z pierwszej możliwej okazji, jaka się nastręczy w Paryżu, aby poruszyć myśl powołania do życia jakiegoś organu centralnego, któryby ułatwił sprzymierzonym osiągnięcie większej koordynacji wysiłków.

Pod koniec stycznia lub na początku lutego przyjechał do Londynu francuski minister wojny Millerand, aby omówić sytuację. Millerand był bezwzględnym i zajadłym obrońcą poglądów francuskiego Wodza Naczelnego. Wyłuszczył stanowisko gen. Joffre'a i walczył w jego obronie z uporem i krasomówstwem wytrawnego adwokata. Generał Joffre nie chciał odstąpić ani jednego batalionu z podległych mu sił francuskich; był przekonany, że jeszcze w tym roku przerwie linie niemieckie. Wiara ta znalazła potem wyraz w szeregu krwawych i daremnych ofenzyw, które do szczytu szaleństwa

doszły w ofenzywie szampańskiej, odpartej ze stratą 200,000 ludzi. W każdym razie zakomunikowano mu wszystkie uchwały Rady Wojennej łącznie z decyzją przygotowania desantu w Salonikach, z chwilą gdy tylko znajdą się niezbędne do tego siły wojskowe. W Paryżu przekonałem się, że Millerand wcale nie powtórzył swym kolegom tych rozmów.

Do Paryża przyjechałem w towarzystwie gubernatora Banku Angielskiego, lorda Cunliffe'a, przy czym spotkaliśmy się z Ribotem, francuskim ministrem skarbu, i z Barkiem, rosyjskim ministrem finansów dla omówienia warunków, na jakich możnaby Rosji udzielić zaliczek na poczynienie niezbędnych zakupów w Ameryce. Jak było postanowione, skorzystałem z okazji, aby z miarodajnymi członkami rządu francuskiego omówić całą sytuację wojenną.

Z rozmów tych nic wówczas nie wynikło, gdyż wojskowość francuska była całkowicie pod władzą obsesji, w myśl której im jedynie powinien był przysługiwać zwierzchni nadzór nad całokształtem wojny na lądzie. Kierownictwo działań morskich gotowi byli pozostawić nam. Sądzili jednak, że o ile chodzi o działania na kontynencie, Anglia nie ma ani sił ani doświadczenia, któreby upoważniały ją do równego głosu w zagadnieniach strategii wojennej. Joffre był wówczas niewątpliwym dyktatorem w sprawach wojny.

Odwiedziłem również Główną Kwaterę Sir Johna Frencha. Po powrocie do Paryża toczyły się nadal rozprawy nad sprawami serbskimi. Wyraziłem poważne ubolewanie z powodu odkładania naszej akcji na Bałkanach. Wskazałem, że Rada Wojenna w zasadzie zaaprobowała ten projekt już przed kilku tygodniami. Podczas mej bytności w Paryżu omawiałem tę sprawę z członkami rządu francuskiego i osiągnąłem tyle, że przedstawili projekt na posiedzeniu gabinetu, i rząd francuski wyraził również w zasadzie swą aprobatę.

Byłem pewien, że gdybyśmy jasno dali do zrozumienia, że mamy zamiar wysłać na Bałkany dywizję wojska, to Fran-

cuzi zrobiliby to samo; przywiązywali bowiem wielką wagę do tego, by współdziałać w każdym przedsięwzięciu wojskowym na Bliskim Wschodzie.

Wyniki moich rozmów w Paryżu i w Naczelnym Dowództwie Brytyjskim streściłem w następującym liście do Sir Edwarda Grey'a:

„7 luty r. 1915.

Drogi Panie Grey,

W czasie mej bytności w Paryżu miałem nie jedną sposobność omówienia z ministrami sprawy bałkańskiej. Gdy po raz pierwszy wspomniałem o tym ministrowi skarbu, przekonałem się, że Millerand wcale nie powtórzył swym kolegom, iż podczas jego bytności w Anglii przedstawiono mu propozycję wysłania armii ekspedycyjnej do Salonik. Z rozmów z premierem Delcassé i z Briandem przekonałem się później, że również i oni nic nie wiedzieli o rozmowach między Millerandem i brytyjskimi ministrami w Anglii. Byli zdziwieni i dość przykro zaskoczeni tym, że sprawa nie została im zreferowana. Przekonałem się, że ich postawa wobec tej koncepcji jest o wiele bardziej przyjazna niż postawa Milleranda. Briand, który jest bezwzględnie najzdolniejszym człowiekiem w rządzie, opowiedział się z całą siłą za tym, — a nawet powiedział mi, że już od jakiegoś czasu sam domaga się tego rodzaju dywersji od generała Joffre'a. Z Briandem spotkałem się u Sir Franciszka Bertie i w trójkę odbyliśmy długą rozmowę o sytuacji. Briand powiedział mi, że gabinet omawiał tę propozycję we czwartek: że Millerand pozostał w swej opozycji najzupełniej odosobniony, Delcassé zlekka się wahał, nie wiedząc, jaki będzie stosunek Rosji do projektu, a reszta członków gabinetu najzupełniej jednomyślnie opowiedziała się w zasadzie za

wysłaniem do Salonik armii ekspedycyjnej w sile 2-ch dywizyj w możliwie najwcześniejszym terminie, przy czym przygotowania miałyby się rozpocząć odrazu, a wysyłka wojsk nastąpiłaby, jak tylko generałowie Joffre i French będą przekonani, że mogą się bez nich obyć. Francuzi życzyli sobie armii ekspedycyjnej, w której ich wojska byłyby reprezentowane. Dlatego proponowali wysłanie po jednej dywizji brytyjskiej i francuskiej. Na posiedzeniu był obecny Prezydent Republiki. I on również wyraził swą zgodę na tę decyzję.

Pozostaje teraz sprawa przekonania Joffre'a. Briand, jak również i Prezydent, byli zdania że gdyby do Rumunii i Grecji wysłać wspólną notę z zapytaniem, czy państwa te gotowe byłyby wypowiedzieć natychmiast wojnę, jeżeli do Salonik wysłanoby armię ekspedycyjną w sile dwóch dywizyj, i gdyby ich odpowiedź wypadła twierdząco — to wtedy generał Joffre niewątpliwie przystałby z radością na odstąpienie potrzebnych sił. Briand powiedział, że gdyby 40,000 ludzi z frontu zachodniego mogło stworzyć 800-tysięczną armię na wschodzie, zmuszając w ten sposób Niemców do odciążenia nacisku we Francji, — nonsensem byłoby przypuszczać, że jakikolwiek generał mógł by się takiemu planowi sprzeciwić.

Briand oświadczył Bertie'mu i mnie, że na wczorajszym posiedzeniu gabinetu francuskiego zaproponował wysłanie tego rodzaju wspólnej noty do Rumunii i Grecji. Obecny na posiedzeniu Bark, rosyjski minister skarbu, gorąco poparł tę propozycję i był zdania, że Rosja chętnie wyśle niewielkie siły dla zajęcia Macedonii serbskiej i uniemożliwienia ataku ze strony Bułgarii. Izwolski, z którym Bark konferował w tej sprawie, był również entuzjastycznym zwolennikiem tego poglądu.

Francuzom bardzo zależy na tym, aby uczestniczyć w tej armii ekspedycyjnej. Briand sądzi, że mając na wi-

doku późniejsze ostateczne regulowanie tych spraw, należy dążyć do tego, aby Francja i Anglia zapewniły sobie prawo głosu przy rozstrzyganiu zagadnień bałkańskich przez posiadanie tam sił zbrojnych. Briand nie życzy sobie, by Rosja uważała się za jedynego arbitra losów ludów bałkańskich.

Przekonałem się, że Prezydent, Briand i premier francuski bardzo sceptycznie zapatrują się na to, co Rosja zrobi i będzie wogóle mogła zrobić w bliskiej przyszłości. Wątpią bardzo, czy wskutek braku karabinów i amunicji Rosja będzie w stanie przez szereg jeszcze miesięcy wystawić na wschodniej granicy jakiekolwiek znaczniejsze siły. Co do przewidywanej efektywnej ilości wojsk rosyjskich na wiosnę i w lecie roku nadchodzącego, są w gruncie rzeczy bardzo skłonni przyjąć ocenę naszych władz wojskowych

Nie mam pojęcia, jakie są poglądy Delcassé'go po wczorajszej radzie gabinetowej, ale mam nadzieję, że przy omawianiu tej sprawy z nim będzie miał Pan na uwadze, że z wyjątkiem Milleranda był on jedynym spośród ministrów francuskich, który wyrażał jakieś wątpliwości co do wykonalności tego planu, Briand jest za operacją na znacznie większą skalę i *powiedział mi, że polecił zbadać ten pomysł rzeczoznawcom wojskowym, którzy wydali opinię dodatnią o ile tylko generał Joffre i lord Kitchener będą dysponować niezbędnymi do tego wojskami.*

Bertie był obecny i wysłuchał całej rozmowy, może więc zakomunikował już Panu jej treść. Gdy wraz z nim byliśmy po raz pierwszy u Prezydenta, zastanawiał się on nad wszystkimi zarzutami, ale było widoczne, że już wtedy był tej idei przychylny, a na posiedzeniu gabinetu dnia następnego, jak to już zaznaczyłem, przemawiał za jej przyjęciem.

Wczoraj spotkałem się z Sir Johnem Frenchem i no-

wym szefem sztabu, generałem Robertsonem. Wszyscy wojskowi, z którymi spotykałem się od chwili wybuchu wojny, wysuwali zawsze Robertsona, jako najwybitniejszą wschodzącą gwiazdę wśród wszystkich generałów; wczoraj wywarł on istotnie głębokie wrażenie na gubernatorze Banku, Montagu, i na mnie. Jest to bardzo bystry, mocny człowiek o jasnym umyśle. Żaden z generałów, prócz Kitchenera, nie wywarł na mnie takiego wrażenia, jak Robertson wczoraj. French zreferował ideę ekspedycji, i z początku potraktował ją wrogo, — nie ze względów zasadniczych, ale z tego powodu, że nie ma swobodnych sił do dyspozycji. Mimo to *zaprosił Robertsona do udziału w rozmowie, — a kiedy wytłomaczyłem dokładnie, co ta propozycja oznacza, Robertson nie wahał się oświadczyć, że jest to „dobra strategia", i bronił tego poglądu w ciągu całej dyskusji.* To wywarło poważny wpływ na stanowisko Frencha. Powiedziałem mu, że bardzo zależy nam na uzgodnieniu jego poglądów z naszymi co do każdego planu, mogącego wpłynąć na te operacje wojenne, za które on ponosi odpowiedzialność. W końcu zgodził się, że gdyby Rumuni i Grecy obiecali przyjść z pomocą naszym siłom ekspedycyjnym w Salonikach, on wydzieliłby co najmniej jedną dywizję w tym celu. Zgadza się, a nawet, jak sądzę, bardzo mu zależy na tym, by przyjechać i omówić tę sprawę z Radą Wojenną. Dał do zrozumienia, że powinien otrzymać zaproszenie, i mam nadzieję, że premier i Kitchener znajdą sposób zaproszenia go na jedno z bliskich posiedzeń Rady Wojennej.

Robertson chciałby pójść dalej niż French i wysłałby natychmiast nie jedną lecz dwie dywizje, gdyby Grecja dołączyła się, a nawet i bez tego warunku — po prostu po-to, by przyspieszyć decyzję państw bałkańskich. Sądzi on, że zmusi to Bułgarię do porzucenia neutralności. Jeżeli

Briandowi powiedzie się misja u Joffre'a, to nie ma żadnej racji, dlaczegoby armia ekspedycyjna nie miała wyruszyć w drogę już za tydzień albo za dziesięć dni.

Zgodzi się Pan, jestem pewien, że wspólna nota powinna być wysłana bez zwłoki. Z depesz, które nadeszły w ciągu kilku ostatnich dni, jest rzeczą zupełnie jasną, że żadnego porozumienia między państwami bałkańskimi nie da się osiągnąć. Sądzę, że postawa premiera serbskiego, opisana w naszych depeszach z Niszu, jest niezachwiana. Wątpię, czy uzna on za możliwe odstąpić poważną część swego terytorium, zanim nie otrzyma konkretnie czegoś w zamian. Gdyby się na to zgodził, wywołałoby to w jego armii takie uczucie przygnębienia, że obezwładniłoby jej wysiłki. A armia ta działała tak znakomicie, że byłoby nieszczęściem, gdyby to miało się wydarzyć.

Jest wiele znamiennych depesz, z których wynika, że Bułgaria umacnia się w swej opozycji względem Trójporozumienia. Jest depesza o pomyślnym wyniku jej pożyczkowych zabiegów w Berlinie. Niemcy nie tacy głupi, żeby mieli dawać pieniądze, nie uzyskawszy jakichś zapewnień co do wystąpienia Bułgarii w pewnych określonych warunkach. Są również depesze z Dedegaczu o zakładaniu min: miny te mogą być użyte tylko przeciw państwom Ententy. Są pogłoski o organizowaniu band, mających napadać na linie kolejowe; i jest jeszcze parę innych o tej samej tendencji. Następnie, wiadomości z Rumunii są chwilowo niepomyślne: między innymi wiadomość o usiłowaniach wytłumaczenia się z pożyczki zaciągniętej w Londynie. Obawiam się, że sytuację Rosji oceniają oni trafniej niż my i że tracą zaufanie do sił rosyjskich. *Jeżeli więc nie chcemy pozwolić, aby wielkie możliwości bałkańskie wymknęły się nam z rąk, to nie możemy dłużej marudzić. Jeżeli nie podejmiemy tu akcji w porę, to spotka nas straszliwa kara.* Czytając depe-

sze mam poczucie, że chodzi już o każdy dzień. Moje wczorajsze doświadczenie wskazuje, że generałów można przekonać, jeżeli się do nich zabrać w sposób właściwy. Żaden generał nie lubi, gdy mu się zabiera wojsko, przerzucając je na inny teren wojny; każdy myśli naturalnie przede wszystkim o okopach na swoim froncie, — o ile nie jest człowiekiem bardzo wybitnym, i co więcej poczuwającym się do odpowiedzialności nie tylko za bezpośrednio poruczone mu operacje: ale i Joffre'a i Francha trudno by za takich ludzi uważać.

Chciałbym zobaczyć się z Panem jutro, aby szczegółowiej zdać sprawę z mych rozmów, ale uważałem za wskazane przesłać Panu ten krótki raport, zanim jeszcze spotka się Pan z Delcassé'm.

Szczerze oddany

D. Lloyd George".

W rozmowach, które potem prowadziłem z premierem i ministrem spraw zagranicznych, nastawałem usilnie, aby bądź w Salonikach bądź na jednej z wysp greckich zwołać natychmiast konferencję z udziałem ministrów spraw zagranicznych Francji, Rosji, Serbii, Grecji i Rumunii, w celu omówienia całokształtu sytuacji na Bałkanach oraz ustalenia zasad rzeczywistego współdziałania tych wszystkich państw przeciw państwom centralnym. Uważałem za niewątpliwe, że rząd bułgarski również powinien być zaproszony na tę konferencję. Grey sprzeciwił się takiemu spotkaniu, twierdząc, że w tak krytycznym momencie nie mógłby opuścić ministerstwa na tyle czasu, ile wymagałaby taka podróż. Wskazywałem, że gdyby wybrać drogę na Brindisi, jechałby mniej więcej tydzień, i że nieobecny byłby tylko dwa do trzech tygodni. Sazonowa nie byłoby trudno ściągnąć, gdyż podróż z Piotrogrodu do Salonik była sprawą zaledwie trzech — czterech dni. Ale mini-

ster spraw zagranicznych był tak niechętny tej propozycji, że została ona poniechana.

Gdyby moja propozycja została przyjęta, możnaby było przystąpić do negocjowania konfederacji bałkańskiej po stronie Sprzymierzonych. Nasz przedstawiciel musiałby mieć pełnomocnictwa nie tylko dla ustalenia warunków terytorialnych, ale i dla udzielania szerokiej pomocy finansowej. Królestwa bałkańskie, zawsze niezbyt bogate, były wyniszczone szeregiem wojen z Turcją i między sobą. Pożyczki, uzyskane od Francji i Anglii, zachęciłyby je do poniesienia ryzyka wojny. Nie było to żadne przekupstwo lecz po prostu konieczność, jeżeli państwa te miały się wyekwipować do proponowanego sojuszu. Niemcy rozumieli to i dlatego przedstawicielstwa swych interesów nie powierzyli zwykłej misji dyplomatycznej, lecz wysłali do Sofii specjalnego emisariusza, człowieka ustosunkowanego i bardzo zręcznego. Rozumiał on doniosłość udzielenia Bułgarii pomocy pieniężnej i obiecał pokaźną zaliczkę. Nie była to decydująca przyczyna wystąpienia Bułgarii, ale był to jeden z bodźców. Grey nie był może najlepszy do manipulowania i przekonywania różnorodnych żywiołów, które trzeba byłoby skupić razem. W gruncie rzeczy nie nadawał się do tego. Ale mógł sobie dobrać odpowiedniego kolegę lub zastępcę. Car Ferdynand nie był wcale wówczas takim germanofilem, jak powszechnie przypuszczano; przeciwnie, — usposobiony był wyraźnie niechętnie wobec Kaizera. Ferdynand był człowiekiem niezwykle dumnym ze swego pochodzenia burbońskiego; Wilhelm zaś w jednym z napadów swej żakowskiej lekkomyślności uraził głęboko jego ambicję. Podczas wspólnego zwiedzania jakiegoś zamku, w chwili gdy Ferdynand wychylony za parapet, pogrążony był w głębokiej kontemplacji widoku, Wilhelma skusiło aby odezwać się doń dość niegrzecznie. Krew burbońska nie zapominała nigdy zniewagi. Ferdynand wolałby osobiście współpracować z Carem rosyjskim i z królem angielskim albo włoskim. Ale ponieważ wynik wojny wydawał się bardzo wątpliwy, czekał

więc na wyraźne oznaki, w jakim kierunku potoczą się sprawy na frontach. We wrześniu wydawało się, że szanse ekspansji bułgarskiej będą większe, gdy sprzęgnie ona swe losy z losami państw centralnych, niż w razie przyłączenia się do Sprzymierzonych. To też, po silnych wahaniach zdeklarował się ostatecznie po stronie państw centralnych. Spotkanie z nim na wiosnę mogło zmienić bieg wypadków. Zamierzaliśmy wówczas atakować Dardanele; we wrześniu zaś nasze ataki były już odparte. Prawda, że wczesną wiosną sytuacja Rosji nie była zbyt dobra, ale nie była jeszcze żadną miarą beznadziejna; na jesieni zaś jej wojska pośpiesznie i w zamieszaniu cofały się z Polski i jeszcze dalej na wschód. Wówczas Ferdynand doszedł do wniosku, że Bułgaria może zyskać na sojuszu tylko ze zwycięskimi Niemcami. Straciliśmy szansę utworzenia konfederacji bałkańskiej, która rozstrzygnęłaby wojnę już w roku 1916 — a wszystko to przez brak inicjatywy i zdrowego sensu.

Jeżeli nie mieliśmy czynić na Bałkanach żadnych specjalnych wysiłków dyplomatycznych — prosiłem Radę Wojenną o wysłanie na ten teatr wojny przynajmniej większej ilości wojsk, aby zapewnić tam sobie pomyślne rozstrzygnięcie militarne.

Rada Wojenna zebrała się 19 lutego, a jej obrady są bardzo pouczające, gdyż rzucają światło na ówczesne oceny perspektyw wojennych:

> „*Lord Kitchener* powiedział, że Rada Wojenna powinna bardzo poważnie zastanowić się, zanim doradzi przesunięcie XXIX dywizji na wschód. Sytuacja w Rosji w ciągu ostatnich dni znacznie się pogorszyła. Rosjanie ponieśli bardzo ciężkie straty w ludziach i, co gorsze, bardzo ciężkie straty w karabinach, których im brak. Gdyby Niemcom udało się spowodować stanowczą klęskę Rosji, to byliby w stanie szybko przerzucić wielkie

masy wojsk do Francji, a wówczas na zachodnim teatrze wojny okazałaby się wielka potrzeba nowych posiłków.

P. Lloyd George zgadza się, że sytuacja jest bardzo poważna. Rosja może otrzymać cios decydujący. Czy mamy przyjąć, że wobec takiej możliwości jesteśmy bezsilni? *Według jego zdania Niemcy nie wysłaliby swoich wojsk na zachód, lecz usiłowaliby zgnieść Serbię i uregulować kwestię bałkańską. Zaczyna teraz przeważać pogląd, że Niemcy będą dążyli do zdobycia północno-wschodnich obszarów serbskich, aby tą drogą uzyskać komunikację i bezpośredni dostęp do Bułgarii, a stamtąd — do Konstantynopola* (moja kursywa).

Premier zgadza się, ale uważa, że najskuteczniejszą drogą byłoby zadanie potężnego ciosu w Dardanelach.

Lord Kitchener zgadza się z premierem. Gdyby fakt niewysłania XXIX dywizji w jakimkolwiek stopniu zagrażał sukcesowi ataku na Dardanele, to wysłałby ją. *Wątpi jednak, czy Niemcy napadną na Serbię, jak to przewiduje Lloyd George.*

P. Lloyd George powiada, że powinniśmy wysłać więcej niż trzy dywizje. Warto ponieść pewne ryzyko, aby przeprowadzić decydującą operację, dzięki której możemy wygrać wojnę. Z dyskusji wywnioskował, że maksymalne siły jakimi możemy rozporządzać dla operacji na wschodzie, wynoszą:

Australijczycy i Nowozelandczycy (łącznie z kawalerią).	39.000
XXIX dywizja	19.000
Dywizja morska	10.000
Marynarka	4.000
Dywizja francuska	15.000
Rosjanie	10.000
Ogółem . . .	97.000

Lord Kitchener oświadcza, że gotów jest najchętniej poprzeć operację dardanelską, ale uważa, że natychmiastowe wysłanie dwóch dywizyj na razie wystarczy. Nie ma żadnego celu wysyłać stąd oddziałów, które mogą mu być tutaj potrzebne.

Sir Edward Grey pyta, czy nic nam nie grozi na zachodzie.

P. Lloyd George powiada, że rozmawiał o tym z bardzo wielu oficerami, którzy byli na froncie. Wszyscy zgadzali się, że nasza armia nie jest w stanie bez ciężkich strat przedsięwziąć zwycięskiego ataku, i że to samo dotyczy armii francuskiej. Jest to niewątpliwie słuszne również w stosunku do Niemców. Dlatego też najlepszą dla nas rzeczą byłby atak niemiecki. Próba przełamania naszego frontu kosztowałaby ich tyleż, ile nas — próba przełamania ich..."

Dnia 24 lutego odbyła się dalsza dyskusja; daje ona bardzo pożyteczne uzupełnienie sprawozdania o posiedzeniu poprzednim:

„...*P. Lloyd George* zgadza się, że na Bliski Wschód powinny być wysłane siły, które po sforsowaniu przez marynarkę Dardaneli mogłyby być użyte do zajęcia półwyspu Gallipoli lub Konstantynopola. Chciałby jednak wiedzieć, czy w razie niepowodzenia ataku morskiego (a jest to przecież swego rodzaju eksperyment) zamierza się użyć armii do operacji, która nie powiodła się marynarce.

P. Churchill oświadcza, że nie ma takiego zamiaru. Wyobraża sobie jednak taki wypadek, gdy marynarka będzie bliska powodzenia, lecz siły wojskowe mogą właśnie ostatecznie przeważyć szalę.

P. Lloyd George wyraża nadzieję, że pomoc armii nie okaże się potrzebna i że nie będzie się liczyło na wyciąganie przez wojsko kasztanów z ognia dla marynarki.

Gdyby się nam nie powiodło w Dardanelach, to powinniśmy być gotowi spróbować zaraz czegoś innego. Według niego operacja ta zmusza nas do jakiejś akcji na Bliskim Wschodzie, ale wcale nie koniecznie do oblegania Dardaneli".

KUNKTATORSTWO SPRZYMIERZONYCH.

Te skąpe i ułamkowe informacje o postępach wojny, jakich łaskawie udzielano gabinetowi ministrów, nie dawały nam pojęcia o rzeczywistym biegu wypadków na frontach i poza nimi. Mieliśmy wrażenie, że władze wojskowe uważają za wskazane nie mówić nam zbyt wiele. Premier i Churchill wiedzieli o sytuacji znacznie więcej niż my; ale i im nie ujawniano wszystkiego. Liczbę strat ukrywano starannie. Radzie Wojennej nie przedstawiono nigdy żadnego rozumowanego sprawozdania ze stanu rzeczy na polach bitew, dającego pojęcie o stosunku sił państw centralnych i Sprzymierzonych pod względem liczby żołnierzy i uzbrojenia. Nie wiem wcale, czy w Ministerstwie Wojny ktokolwiek zadawał sobie trud przeprowadzenia dokładnej ewidencji pod tym względem. Nie wiedzieliśmy wobec tego nic o stanie liczebnym wojsk na różnych frontach — naszych własnych, naszych sprzymierzeńców i naszych przeciwników. Nie wiedzieliśmy, jakimi rozporządzamy rezerwami, jakie jest po obu stronach zaopatrzenie w armaty, w karabiny maszynowe i zwykłe — ani kiedy nasze nowe armie będą gotowe. Lord Kitchener oświadczył, że nie posiada wojsk na ekspedycję dardanelską; musieliśmy polegać tylko na jego autorytecie, gdyż nigdy nie raczył zniżać się do szczegółów. Musieliśmy decydować o wszystkim, nie mając wiadomości o najistotniejszych faktach. Ci spośród nas, którzy należeli do tak zw. Komisji Wojennej, nie byli w położeniu o wiele lepszym od innych ministrów, którzy musieli poprzestawać na ogólnikowych komunikatach lorda Kit-

chenera na początku posiedzeń gabinetu. Musieliśmy szperać tu i ówdzie na własną rękę, aby uzyskać informacje niezbędne dla nas, o ile mieliśmy być użytecznymi doradcami wojennymi. Czasem wydobywaliśmy coś ważnego, ale częściej trafiały się śmiecie.

Ja byłem gorliwym poszukiwaczem prawdy. Na przekór stronnym i preparowanym komunikatom byłem przeświadczony, że nie powodzi się nam dobrze. Byłem przeświadczony również, że nie robimy wszystkiego, do czego jesteśmy zdolni. Postanowiliśmy wdać się w poważne przedsięwzięcie w cieśninie Dardanelskiej; zdecydowaliśmy się również przygotować do akcji w Salonikach, gdyby wyprawa dardanelska nie powiodła się. Widziałem jednak jasno, że nie przystąpiliśmy do wykonywania żadnego z tych planów z całą posiadaną przez nas w danej chwili siłą wojskową. Marnowaliśmy tylko czas i spychali robotę z rąk. Jeżeli chodzi o Dardanele, to zarówno premier jak lord Kitchener mieli nadzieję, że marynarce uda się dokonać głównej rzeczy, a w takim razie potrzebna będzie bardzo nieznaczna ilość wojska. Gdyby flocie nie powiodło się zupełnie, to wojska do tego przedsięwzięcia nie byłyby wogóle używane. Poza tym we Francji nie działo się nic szczególnego. Niemcy wyrzekli się wszelkiego zamiaru posuwania się naprzód na zachodzie; my tworzyliśmy armię, aby wyrzucić ich z Francji całkowicie. Organizowaliśmy nowe wielkie armie, ale zaniedbywaliśmy zaopatrzyć je należycie. Nasz ostateczny sukces był silnie uzależniony od Rosji, ale nic nie wiedzieliśmy o jej planach, a bardzo niewiele o jej zasobach ludzkich i materialnych, przy których pomocy plany te miały być urzeczywistniane. O Rosji wiedzieliśmy tylko tyle, że doznaje porażek, że odczuwa brak karabinów, i że brak ten staje się coraz dotkliwszy, gdyż w odwrocie więcej ich traci niż może fabrykować. Nie zadawaliśmy sobie jednak trudu, by poznać całą prawdę. Nie było koordynacji wysiłków; nie było uzgodnionych planów działania; nie było wyczucia znaczenia czasu.

Jak na sprawę życia i śmierci, byliśmy wciąż o wiele za senni i niedbali. Nie był to tylko brak hałaśliwej ostentacji, lecz brak energii i jasnej perspektywy wydarzeń. Zaczynałem rozumieć, że po za pozornym spokojem kryje się zamieszanie. Pomimo urzędowej dyskrecji fragmenty niepokojących wiadomości i pogłosek zaczęły się przedostawać na zewnątrz. Byłem niespokojny o bieg wydarzeń, a jeszcze bardziej niespokojny o sposób kierowania tymi wydarzeniami przez Sprzymierzonych.

Dnia 22 lutego rozesłałem swym kolegom następujący memoriał:

„Chciałbym przedłożyć moim kolegom parę uwag o położeniu ogólnym. Trzeba uznać, że jest ono nader poważne, i że jeżeli steru wypadków nie uchwyci się natychmiast twardą i śmiałą ręką, to może dojść do niepowetowanej klęski dla sprawy Sprzymierzonych i dla przyszłości imperium brytyjskiego. Nie jednemu z moich kolegów może się wydać, że jest to język chorobliwego pesymizmu, mam jednak nadzieję, że zanim dojdą do takiego wniosku, zrobią mi zaszczyt zapoznania się z wyłożonymi niżej argumentami, które mnie do tego wniosku doprowadziły.

Prasa i kraj traktują dotąd cały przebieg wojny, jako nieprzerwany ciąg sukcesów. Metoda jest bardzo prosta. Każde najbanalniejsze wydarzenie, o ile kończy się naszym powodzeniem, rozdyma się i ogłasza, przy czym zajmuje ono całą stronę, a tytuł — pół kolumny. Natomiast ciężkie niepowodzenia, jak np. te, które spotkały armię naszego sojusznika rosyjskiego w ciągu ostatnich kilku dni, podawane są w paru wierszach druku, przy czym długie artykuły starają się osłabiać ich znaczenie. Obawiam się, że wielu z pośród ludzi, którzy są znacznie lepiej obznajmieni z faktami, ma te same metody myśle-

nia. Skupiają oni całą uwagę na tych wydarzeniach i tych aspektach sytuacji wojennej, które odpowiadają ich nadziejom, a zamykają oczy na procesy, które mogłyby wzbudzić w nich obawy. Ale jedyna droga do ostatecznego powodzenia prowadzi jedynie przez poznanie rzeczywistości. Jeżeli nie spojrzymy w oczy faktom, choćby najprzykrzejszym — nigdy się z nimi nie uporamy.

Jakież są najważniejsze fakty w sytuacji obecnej? Ani jeden metr terytorium niemieckiego nie jest jeszcze zajęty przez Sprzymierzonych. Cała niemal Belgia jest okupowana przez Niemców. Wiele najbogatszych prowincyj francuskich i rosyjskich — trzyma jeszcze mocno nieprzyjaciel. Niemcy mają w swych rękach większe obszary państw sprzymierzonych, niż mieli kiedykolwiek przedtym. Fakt jeszcze poważniejszy: podczas gdy na zachodzie stosunkowo łatwo utrzymują się w posiadaniu okupowanego przez siebie terenu, to na wschodzie osiągnęli nakoniec zupełną przewagę wojenną. Prawda, że już kilka miesięcy temu wyparli Rosjan z Prus Wschodnich, i że Rosjanie wrócili z powrotem. Ale, jak na to wskazał lord Kitchener, zachodzi wielka różnica między tym, co zaszło wówczas, a tym, czego świadkami jesteśmy obecnie. Wówczas Rosjanie byli w stanie ściągnąć znaczne rezerwy, przy których pomocy mogli zdobyć przewagę nad nieprzyjacielem, rezerwy zaś niemieckie nie były jeszcze gotowe do wyruszenia w pole. Teraz położenie jest zupełnie odwrotne. Silne rezerwy niemieckie są już w polu. Rozesłana niedawno przez lorda Kitchenera zastanawiająca relacja pióra pewnego oficera holenderskiego wskazuje, że po wysłaniu ogromnych posiłków do Prus Wschodnich i do Polski północnej w celu złamania oporu rosyjskiego mają oni jeszcze w kraju wielkie siły, które mogliby pchnąć, ale których nie wysyłają nad granicę, ponieważ nie ma tam dla nich miejsca.

Takie jest obecne położenie Niemiec. A jakaż jest pozycja Rosji?"

Następnie omawiałem szczegółowo ciężką sytuację Rosji w dziedzinie uzbrojenia oraz sytuację obecną i perspektywy na przyszłość Sprzymierzonych i państw centralnych w zakresie rezerw ludzkich. Podkreślałem fakt, że nie ma sensu liczyć na olbrzymie rezerwy ludzkie w Rosji, jeżeli się nie rozważa możliwości ich uzbrojenia. Wyciągałem z tego wniosek, że dopóki nie podejmiemy kroków dla wyekwipowania Rosjan, póty Państwa Centralne będą mogły wystawić więcej ludzi pod bronią niż Państwa Sprzymierzone. Następnie pisałem:

„Jeżeli uwzględnić lepsze wyekwipowanie armij niemiecko-austriackich oraz to, że gdy zaczniemy ich atakować, będziemy mieli do czynienia z umocnieniami, jakie wznieśli na terytoriach alianckich — nie możemy myśleć o zwycięstwie, dopóki nie zapewnimy sobie liczebnej przewagi nad ich siłami. W jaki sposób możemy tę przewagę uzyskać? Rosja, według relacji angielskich władz wojskowych, nie może obecnie wystawić ani utrzymać 2,000,000 należycie uzbrojonych żołnierzy na wszystkich swoich zagrożonych granicach. Nawet gdyby mogła, brakowałoby nam jeszcze 2.000.000 ludzi. Trzeba podkreślić, że w podanych przeze mnie liczbach przyjąłem siły Wielkiej Brytanii jako 2.000.000 ludzi. Ale kiedy zdoła ona wysłać takie siły w pole? Kiedy będzie mogła wystawić 1.000.000 ludzi na linii frontu? Jest rzeczą zupełnie pewną, że zanim ten milion będzie gotowy, Niemcy potrafią dołączyć także co najmniej milion do swoich rezerw.

Przykro mi jest malować taki ponury obraz, ale byłbym na prawdę szczęśliwy, gdybym sądził, że horyzont nie usprawiedliwia tych posępnych barw, jakich

starałem się użyć. Raport holenderski, zakomunikowany nam przez lorda Kitchenera, podaje liczby jeszcze bardziej alarmujące. Gdyby były one choćby w przybliżeniu ścisłe, nie moglibyśmy mieć nadziei na doprowadzenie wojny do pomyślnego zakończenia nawet po latach. Ale nawet jeśli przyjąć bardziej umiarkowane liczby podane przeze mnie — to i tak zagadnienie to jest najpoważniejsze, z jakim mieli kiedykolwiek do czynienia brytyjscy mężowie stanu.

Pierwszą rzeczą jaką należy zrobić — to zdać sobie sprawę z tego, jak stoimy. Kto może przedstawić wiarogodne liczby, dotyczące wojskowych zasobów Koalicji? Powinniśmy zwołać naradę władz wojskowych wszystkich trzech krajów, na której dokonanoby szczerej oceny położenia każdego kraju i zawarto pewne porozumienie co do akcji na przyszłość. Generał Paget jest dobrym żołnierzem, ale jego kwalifikacje wcale nie nadają się do szczegółowej analizy problemów zaopatrzenia. Wiemy jednak w przybliżeniu, jaka jest sytuacja we Francji. Natomiast nie mamy najsłabszego pojęcia o tym, w jakim położeniu znajduje się Rosja. Jeszcze w październiku usilnie nastawałem, aby przedsięwziąć energiczne kroki dla dokładnego ustalenia sytuacji Rosji pod względem sprzętu wojennego i amunicji. Mamy prawo więc nie tylko prosić, ale i domagać się szczerości od naszego rosyjskiego sojusznika. Nie Rosja wzięła udział w wojnie po to, by pomóc Francji, Belgii lub nam. To Francja dołączyła się po to, by pomóc Rosji, gdy ta była zagrożona. Belgia została wciągnięta w wojnę z powodu Francji, a my wystąpiliśmy w obronie Belgii. W ten sposób pośrednio wojujemy dlatego, że napadnięta została Rosja. Niemcy nie tylko nie naruszyły wobec nas pokoju, ale nawet zależało im niezmiernie na tym, aby utrzymać pokój nie tylko z nami ale rów-

nież i z Francją. Niemcy zaangażowały się w wojnę, gdyż miały nadzieję załatwienia się z Rosją, zanim Rosja będzie gotowa zaatakować je. Pomagaliśmy Rosji ludźmi, materiałami, pieniędzmi. Razem z Francją pożyczyliśmy już Rosji 50.000.000 lub 60.000.000 funtów, a obiecaliśmy jeszcze 100.000.000 funtów. Mamy więc prawo żądać od Rosji szczerości. Niemcy wiedzą wszystko o siłach rosyjskich, ich liczebności, dyslokacji i zaopatrzeniu. My chcemy tylko, żeby nasz wielki sojusznik udzielił nam wiadomości, które jego nieprzyjaciel już posiada.

Cóż dalej? Trzeba wytężyć wszystkie siły, żeby zwiększyć liczbę żołnierzy, których możemy wysłać w pole, i skrócić termin, w ciągu którego mogą oni być wysłani. W jaki sposób można to zrobić? Jeżeli Francja mogła wezwać pod broń 3.000.000 ludzi, a Niemcy — 5.000.000, to wszystkie państwa sprzymierzone mogłyby — jeśli opierać się na liczbie ich ludności — powołać wcześniej lub później 20.000.000 ludzi. Osiągnięcie takiej liczby może być niewykonalne, ale wskazuje ona jak olbrzymie są rezerwy mężczyzn, zdolnych do noszenia broni, z których Sprzymierzeni mogą czerpać. Problem nasz sprowadza się do:

1. Wyćwiczenia i zaopatrzenia tych ludzi w możliwie jak najkrótszym czasie;

2. Utrzymania *status quo* bez jakiegokolwiek poważniejszego pogorszenia sytuacji, dopóki państwa sprzymierzone nie będą gotowe wystawić pod bronią przeważających sił.

W jaki sposób można osiągnąć te cele?"

W tym miejscu był ustęp, w którym podkreśliłem konieczność rozwinięcia naszej potencjonalnej zdolności produkcyjnej w celu dostatecznego zaopatrzenia nas w amunicję. Po omówieniu tego zagadnienia ciągnąłem dalej:

„Teraz co się tyczy zwiększenia liczebności wojska. Francja prawdopodobnie wysłała na linię wszystko, co miała do rozporządzenia. Ale bynajmniej nie można tego powiedzieć ani o Imperium Brytyjskim ani o Rosji. Wielka Brytania, na podstawie norm francuskich, powinnaby mieć teraz pod bronią 3.500.000 ludzi zamiast 2.000.000, a dominia powinnyby według tych samych norm posiadać 1,200.000 zamiast 100.000. Sądzę, że przy specjalnych wysiłkach moglibyśmy zmobilizować owe 3.500.000, albo — gdyby się okazało że nie da się to połączyć z produkcją niezbędnego zaopatrzenia— z pewnością przynajmniej 3.000.000. Sądzę, że nie są do tego potrzebne środki przymusowe. Młodzież w naszym kraju sama zaciągnie się do wojska, jeżeli się ją uświadomi, że jej usługi są potrzebne.

Trzebaby również przedsięwziąć pewne kroki, aby pobudzić nasze dominia do wzięcia na siebie większej odpowiedzialności za postępy zaciągu. Teraz mają one wrażenie, że robią wszystko, czego się od nich spodziewano. Trzeba je uświadomić o niebezpieczeństwie. Ogłaszane przez nas optymistyczne depesze kazały im wierzyć, że wszystko idzie jak najlepiej, i że najzupełniej wystarczy, gdy w dowód przywiązania i czci do kraju macierzystego wyślą parę tysięcy ludzi. Gdy zrozumieją, że kraj znajduje się w prawdziwym niebezpieczeństwie, nie wątpię, że na to należycie zareagują.

Rosja powinnaby według norm francuskich mieć pod bronią 12.000.000 ludzi. Jest to zapewne więcej, niż mogłaby ona zaopatrzyć w ciągu paru lat, ale ponieważ Rosja jest głównie odpowiedzialna za udział Sprzymierzonych w wojnie, liczba jej żołnierzy powinna pozostawać w pewnym stosunku do jej olbrzymich rezerw wspaniałego materiału ludzkiego.

Wszystko to musi zająć sporo czasu. Aż dotąd po-

stępowaliśmy w taki sposób, jak gdyby wojna nie mogła potrwać dłużej niż do najbliższej jesieni. Teraz musimy stanąć na zupełnie innym stanowisku, a mianowicie że przeciągnie się niewątpliwie na rok następny. Musimy więc zainwestować kapitały, które pozwoliłyby na ogromne wzmocnienie produkcji karabinów, armat i wszelkiego innego sprzętu wojennego oraz amunicji pod koniec tego roku. Gdyby w rzeczywistości moje przewidywania grzeszyły pesymizmem, to w najgorszym wypadku okazałoby się, że wydaliśmy wielkie sumy pieniężne, że przyczyniliśmy ludności wiele niewygód. Ale to wszystko jest niczym w porównaniu z katastrofą, która groziłaby, gdybyśmy mieli zacząć nowy rok wojny bez należytego przygotowania. Po otrzymanym przez nas ostrzeżeniu społeczeństwo nie wybaczyłoby nam tego nigdy, i nawet nie powinniśmy spodziewać się, żeby mogło wybaczyć.

Co jednak należy uczynić w międzyczasie? Wygląda na to, że przez przeważną część roku bieżącego Sprzymierzeni muszą się pogodzić z tym, że ich pozycja wojskowa będzie gorsza niż pozycja Niemiec. Przez ten czas jedyną rzeczą, do jakiej możemy dążyć, to to abyśmy potrafili utrzymać obecny stan posiadania. Czy nawet tyle możemy osiągnąć bez dopływu jakichś świeżych sił? Jeżeli uwzględnić przewagę sił, będących w rozporządzeniu Niemiec, można żywić pod tym względem pewne wątpliwości. Istnieją jednak dwa źródła, z których mamy pewne szanse uzyskania pomocy, — państwa bałkańskie i Włochy. Państwa bałkańskie mogliśmy pozyskać już przed kilku miesiącami, ale Sprzymierzeni nie mieli w tych stronach szczęścia. Udało się nam tylko zwrócić Turków przeciw sobie, lecz nie udało się przeciągnąć na naszą stronę ani jednego państwa bałkańskiego. Czy teraz jest już za późno, żeby coś uczynić? Lord Kitchener

wskazał niedawno na Radzie Wojennej, że Niemcy poszli na ryzyko zaatakowania wszystkimi siłami Rosjan, zanim jeszcze byli całkiem gotowi, a to w tym celu, by móc potem odeprzeć atak naszych uzupełnień w kwietniu. Z jednym tylko wyjątkiem naszej początkowej akcji przeciwko Turcji, gdzie nasz pośpiech nie da się zaprzeczyć, nasze ryzyko szło zawsze w odwrotnym kierunku: zawsze decydowaliśmy się na nie za późno. Krok, na który zdecydowaliśmy się w tej chwili, próbując sforsować Dardanele, musi tak czy inaczej wywrzeć decydujący wpływ na Bałkanach. Czy jesteśmy przygotowani do wszystkich wynikających stąd ewentualności?

Jeżeli ta wielka operacja powiedzie się, to — o ile będziemy gotowi wyciągnąć z niej natychmiastową korzyść — jej następstwa mogą być dla państw bałkańskich decydujące. Jeśli bowiem będziemy posiadali dostatecznie poważne siły, aby nie tylko zająć Gallipoli ale i rozpocząć wszelką inną operację wojskową, jaka okaże się niezbędna dla ugruntowania naszej przewagi w tych stronach, — to Rumunia, Grecja, a jak sądzę również Bułgaria, opowiedzą się za nami. Jeżeli natomiast nie będziemy posiadali wojsk, potrzebnych do natychmiastowego przeciwstawienia się armii tureckiej, to jest możliwe, że efekt nawet takiego świetnego *coup* okaże się w przeważającej mierze chybiony. Przyłączenie się Bułgarii, Rumunii i Grecji do Serbii oznacza rzucenie ½-milionowej armii na skrzydło austriackie. Odciąży to nacisk nie tylko na Rosję ale pośrednio równnież i na Francję; przyczyni się to do wyrównania sił, i w ten sposób da czas na reorganizację armii rosyjskiej.

A teraz rozpatrzmy drugą ewentualność — niepowodzenie wyprawy dardanelskiej. Niepowodzenie takie, jeżeli nie zostanie natychmiast naprawione, będzie miało fatalne skutki na Bałkanach, a może i na całym Wscho-

dzie. Według słów generała bułgarskiego, nie tylko Bułgaria ale również Rumunia i Włochy mogłyby bardzo wiele wygrać pod względem terytorialnym, gdyby los swój związały z losem Niemiec. Jest tylko jedna obrona przed katastrofą, która groziłaby na tym teatrze wojny w razie odparcia naszego ataku na Dardanele. Musimy mieć tam pod ręką znaczne siły brytyjskie dla udzielenia poparcia naszym przyjaciołom. Czyż nie jest rzeczą zupełnie bezsprzeczną, że powinniśmy przyśpieszyć nasze przygotowania na kwiecień o trzy lub cztery tygodnie, naśladując w ten sposób przykład niemiecki i biorąc na siebie pełne ryzyko po to, aby przybyć w porę?

Wysłanie silnej armii ekspedycyjnej wymaga bezsprzecznie wielu przygotowań: potrzebne są okręty dla zaopatrzenia wojsk i przewiezienia ich do Salonik czy na Lemnos oraz środki transportowe dla przesuwania ich na lądzie. Komitet Obrony Imperialnej uchwalił przed kilku tygodniami, że przygotowania te trzeba poczynić natychmiast, tak by w razie powzięcia decyzji o wysłaniu ekspedycji nie wynikła zwłoka z powodu braku środków transportowych na morzu i na lądzie. O ile mi wiadomo, Admiralicja zrobiła wszystko, co było jej w tej materii zlecone, nie wiem natomiast nic o żadnych krokach, przedsięwziętych w sprawie dróg i kolei przez Ministerstwo Wojny.

Moja ostatnia propozycja zmierza do tego, aby — powołując się na naszą gotowość wysłania i utrzymania silnej armii ekspedycyjnej na Bałkany, — wysłać natychmiast specjalną misję dyplomatyczną do Grecji i Rumunii w celu negocjowania konwencji wojskowej. Niemcy nie polegały na swych zwykłych przedstawicielach dyplomatycznych wszędzie tam, gdzie położenie nastręczało jakieś poważniejsze możliwości — korzystne lub niekorzystne — dla ich bezpieczeństwa. Rząd niemiecki wysłał

von der Goltza do Konstantynopola, Sofii i Bukaresztu, von Bülowa do Włoch, Dernberga do Ameryki; w sytuacjach krytycznych nie polegał na swoich...*). Nie ulega wątpliwości, że są to ludzie na swój sposób użyteczni, ale sam fakt, że tak długo pozostają na podrzędnych stanowiskach dyplomatycznych, dowodzi, że w opinii Ministerstwa Spraw Zagranicznych ich kwalifikacje nie są pierwszorzędne.

D. Ll. G.

P. S. Już po napisaniu powyższego przeczytałem znakomity referat gen. Pageta, potwierdzający w zasadniczych rysach powtarzane nie raz przeze mnie poglądy na sytuację bałkańską. Miałem możność, dzięki uprzejmości pana Premiera, zaznajomić się z tym dokumentem. Ośmieliłbym się proponować, aby wszyscy członkowie Rady Wojennej mieli możność zaznajamiania się z referatami, tak bezpośrednio dotyczącymi spraw, jakie mają oni decydować. Zwracanie się do nich o radę, jeżeli nie udziela się im jedynych informacji, mogących uczynić ich radę wartościową, jest postępowaniem gorzej niż bezcelowym.

D. Ll. G.

22 luty r. 1915".

Po otrzymaniu tego memoriału lord Fisher przysłał mi list, godny zacytowania, jako charakterystyczny komentarz człowieka bardzo wybitnego.

---

*) Nazwisko, opuszczone przez autora.

„Admiralicja.

Drogi Panie Lloyd George,

Zgadzam się najzupełniej z pańskim fenomenalnym referatem! Wczoraj musiałem napisać do pewnej nadzwyczaj wpływowej osobistości:

‚Szybkość decyzji jest na wojnie ostrożnością, a ostrożność na wojnie jest zbrodnią.
Dardanele bez żołnierzy — to nonsens!‘

23. 2. 15. Z poważaniem

Fisher“.

Lord Kitchener wydelegował gen. Pageta na Bałkany w celu zreferowania tamtejszej sytuacji. Jego raport potwierdził wszystkie zebrane przed tym przeze mnie wiadomości o perspektywach i możliwościach na tym terenie. Według niego armii serbskiej po szeregu świetnych zwycięstw nad przeważającymi siłami austriackimi udało się oczyścić kraj od wojsk nieprzyjacielskich i zająć mocną pozycję wzdłuż granicy nad Dunajem. Armia ta nie ma ani środków transportowych ani uzbrojenia, pozwalającego jej na podjęcie ofenzywy, ale bardzo zdolni generałowie, których na szczęście posiada, są pewni, że gdyby udało się namówić Rumunię, aby przyłączyła się do Koalicji i wyruszyła przeciw Austriakom ze swymi 300.000 żołnierzy, to armia serbska uzgodniłaby z nią swe działania i rozpoczęłaby ofenzywę. Raport podkreślał, że jedna lub dwie dywizje wojsk angielskich, francuskich lub rosyjskich powinny współdziałać z armią serbską, oraz że obecność wojsk brytyjskich napewno skłoniłaby Bułgarię do zachowania co najmniej neutralności, jeżeli nawet nie skorzystałaby ona z okazji, aby zaatakować Turków. Paget wyraził pogląd, że tego rodzaju akcja z naszej strony, lub nawet tylko konkretna propozycja takiej akcji pobudziłaby Rumunię do wzięcia udziału w wojnie w chwili, gdy jej pomoc byłaby

dla nas wprost bezcenna. W czasie, gdy armia rosyjska forsowała Karpaty, nawet 200.000 wojsk rumuńskich, operujących na południowym skrzydle już cokolwiek zdemoralizowanej armii austriackiej, stanowiłoby dla Rosjan nadzwyczaj cenną pomoc. Rumunia wahała się, ale wystąpiłaby natychmiast, gdyby wojska angielskie zechciały współdziałać w kampanii dunajskiej. Pomiędzy Belgradem i Wiedniem nie ma żadnych fortyfikacyj, odpowiadających wymaganiom nowoczesnym. Taka była treść raportu Pageta. Był to pogląd żołnierza, potwierdzający ukształtowane już przed tym poglądy innych żołnierzy i cywilów.

W osiemnaście miesięcy potem Rumunia wystąpiła z armią czterysta lub pięćsettysięczną, ale wówczas Rosja była już pobita i złamana; wojska jej cofnęły się o kilkaset mil w kierunku Piotrogrodu, gdyż nie mogły już stawiać oporu nawet na własnym terytorium. Bałkany były już w ręku państw centralnych; łączność między Rumunią i zachodem została całkowicie przerwana. Nie mogliśmy jej udzielić pomocy ani w ludziach ani w materiale, a walcząc samotnie, uległa, nie wyświadczywszy swą ofiarą państwom Sprzymierzonym żadnej przysługi. Słaba pomoc, jakiej mogły jej udzielić resztki pobitej armii rosyjskiej, nie mogła mieć poważniejszego znaczenia, a sam wysiłek, uczyniony w celu udzielenia tej pomocy, do reszty wyczerpał siły rosyjskie.

W dwa lub trzy dni po rozesłaniu mego memoriału lord Kitchener rozesłał swoją odpowiedź. Dokument ten odzwierciadlał ciekawą mieszaninę przenikliwości i ograniczoności, z jakiej składała się sylwetka duchowa tego niezwykłego człowieka:

Uwagi ministra wojny na temat memoriału kanclerza skarbu co do prowadzenia wojny.

Chciałbym poczynić następujące uwagi o bardzo ciekawym referacie Kanclerza Skarbu, dotyczącym sytuacji wojennej.

Nie będę poruszał podawanych przez Kanclerza liczb, gdyż powagę naszego położenia można zrozumieć i ocenić zgoła niezależnie od zagadnienia liczby żołnierzy po obu stronach. Kanclerz słusznie wskazuje, że kolos rosyjski, jak niektórzy nazywali naszego rosyjskiego sojusznika, nie wywarł na przebieg wojny takiego wpływu, jaki przewidywali optymiści. Pomimo to według mego zdania Rosja zrobiła bardzo wiele, i jak sądzę okaże się, że zaoszczędziła nam sześć miesięcy z tych trzech lat, na które — jak sobie moi koledzy przypomną — określiłem w Izbie Lordów możliwy czas trwania wojny. Musimy pamiętać, że z początku tym, czego potrzebowaliśmy najwięcej, był czas, i chociaż Niemcy wytężyli wszystkie swoje siły, to przecież nie udało się im zadać nam decydującego uderzenia w ciągu pierwszych siedmiu miesięcy działań wojennych. Prawda, że zajmują oni rozległe terytoria poza granicami swego kraju, ale wojna nie zapowiada się z tego powodu bardziej dla nich pomyślnie.

Jeżeli mamy zwyciężyć, to zakończenie wojny może nadejść w rezultacie jednej z dwóch następujących przyczyn: 1) decydującego zwycięstwa lub szeregu decydujących zwycięstw państw sprzymierzonych, które mogą być osiągnięte zarówno w granicach państwa niemieckiego jak poza nimi; lub 2) wyczerpania, gdyż jeżeli Niemcy nie będą mogły dłużej utrzymywać w polu dostatecznie silnych armij, to będą musiały prosić o pokój. Sądzę, że

byłoby rzeczą ciekawą uzyskać matematyczne wyliczenie przybliżonej daty, gdy wyczerpanie zmusi naszych nieprzyjaciół do zwrócenia się o pokój; przy pomocy lorda Moultona staram się takiego obliczenia dokonać. *O ile mogę teraz sądzić, przypuszczam, że taki stan rzeczy może być osiągnięty mniej więcej na początku roku 1917.* (podkr. moje).

W rachunku nie biorę wcale pod uwagę możliwości wygłodzenia Niemiec i Austrii, gdzie trzeba wyżywić 105 milionów ludności cywilnej.

Co do praktycznych suggestyj Kanclerza Skarbu, to chętnie wierzę, iż mamy w kraju do dyspozycji więcej fabryk, mogących wytwarzać materiał wojenny, ale wydaje mi się, że główna trudność położenia polega na skupieniu wykwalifikowanych rąk roboczych, potrzebnych do uruchomienia produkcji, i gdyby Kanclerz Skarbu mógł pomóc nam w tej sprawie i w usunięciu wielu innych trudności, które nam nastręcza zagadnienie rąk roboczych, to nie wątpię wcale, że z czasem możnaby powołać i przysposobić do działań wojennych 3,000,000 żołnierzy.

W czynionych teraz przez nas wysiłkach zmobilizowania, uzbrojenia i zaopatrzenia 2.000.000 ludzi spotykamy się z poważnymi trudnościami, z których nie najmniejszą jest ta, że nasze fabryki, wskutek braku wykwalifikowanych pracowników wciąż nie są w stanie uskuteczniać w terminie swych dostaw broni, amunicji i t. d. Brak ten mógłby być znacznie złagodzony, gdybyśmy mogli przy tych samych maszynach zatrudniać robotników niewykwalifikowanych na równi z wykwalifikowanymi, ale ustalone przez związki zawodowe normy nie pozwalają na to. To też jedną z pierwszych i najistotniejszych rzeczy byłoby uzyskanie niezbędnej rewizji tych norm.

Robimy wysiłki aby podnieść stan liczebny naszej armii w polu do 2.000.000 Zaczynamy dopiero widzieć

wyniki, które już osiągnięto, i trudności, z jakimi spotykamy się przy tworzeniu tych nowych armij. Zanim będziemy rzeczywiście w stanie wysłać w pole znaczną liczbę naszych nowych wojsk, wątpię czy byłoby słuszne próbować zwiększać nadal ich liczbę; powinniśmy natomiast starać się zwiększać produkcję uzbrojenia. Nasza obecna produkcja ma oczywiście charakter ciągły i nie ulegnie przerwie z chwilą wykonania jakichkolwiek zamówień. Czynimy wciąż wszelkie wysiłki aby wzmóc produkcję, ale przewidywana przeze mnie główna trudność — to wspomniane już zagadnienie rąk roboczych.

Gdy nasze armie będą gotowe do wyruszenia w pole, będzie niewątpliwie sprawą niezmiernej doniosłości, aby były użyte w sposób najskuteczniejszy, tak byśmy mogli zapewnić sobie przy ich pomocy wyniki decydujące, a nie marnowali ich na operacje drugorzędne.

Wiele zależy od sukcesu floty, forsującej Dardanele; teraz jednak nie mamy dosyć rozporządzalnych wojsk, aby atakować armię turecką na półwyspie Gallipoli. W miarę rozwoju położenia na Bliskim Wschodzie będziemy mogli łatwiej osądzić w jaki sposób najlepiej użyć nasze wojska, gdy będą gotowe. K.

25 luty r. 1915".

Jest to pierwszy dokument w którym nasi generałowie przyjęli wyraźnie koncepcję „stawki na wycieńczenie". Aż dotąd bowiem mieli zamiar „przerwać" front i wyprzeć Niemców aż za Ren, ścigając ich rozbite i zdemoralizowane oddziały kawalerią.

Opisywanie operacyj militarnych nie wchodzi w zakres mej pracy, nie będę więc usiłował dać nawet najogólniejszego zarysu kampanii dardanelskiej z jej niepojętymi błędami i jej tragicznym fiaskiem. Ten wstrząsający obraz został już

namalowany mistrzowską ręką Winstona Churchilla w jego wielotomowym „World Crisis". Słaby nawet oddział, złożony z kilku tysięcy ludzi, gdyby został wysadzony w porę na ląd, mógłby z łatwością złamać opór nędznego garnizonu, któremu niedbalstwo tureckie powierzyło obronę półwyspu galipolskiego. Gdy natomiast w kwietniu posłaliśmy setki tysięcy ludzi, to posiłki tureckie nadeszły już w takiej liczbie, że nie zdołaliśmy zdobyć ani jednego z zamierzonych obiektów. Zawsześmy się spóźniali. Stawaliśmy raz po raz do zawodów z ospałym Turkiem, i za każdym razem wygrywał on nieodmiennie, przybywając do mety pierwszy. Marudził i odkładał wszystko na później zgodnie ze swymi zwyczajami, ale my w tej grze na zwłokę zawsze pobijaliśmy jego rekordy. Dawał nam wiele szans, ale nie skorzystaliśmy z żadnej.

Gdy ta tragedia rozgrywała się przed naszymi oczami, scena po scenie i akt po akcie, ja byłem bezsilnym widzem, nie posiadającym na sterników wojny ani urzędowego ani osobistego wpływu, który pozwoliłby mi skutecznie interweniować.

Przez całe lato armia serbska znajdowała się w defenzywie, podczas gdy nasze siły na zachodnim froncie były wdeptywane w błoto w ustawicznych atakach na pozycje niemieckie, bronione przez artylerię znacznie potężniejszą niż ta, jaką rozporządzali Sprzymierzeni. Padło setki tysięcy zabitych i rannych żołnierzy angielskich i francuskich, a amunicję naszą trwoniliśmy w bezowocnych i kosztownych atakach na niezdobyte twierdze niemieckie. Niemcy nabrali wkrótce przeświadczenia, że mogą nie niepokoić się tymi jatkami. Z chwilą, gdy zobaczyli, jak niedołężne są nasze wysiłki w Dardanelach, przestali martwić się i tą operacją i odłożyli załatwienie się z nią do jesieni. Mieli słuszność. Dziesiątki tysięcy żołnierzy Sprzymierzonych poległo w spóźnionych i wskutek tego bezowocnych atakach na Achi Babę i na wyżyny w okolicach Suvli, oraz na skalistych zboczach Anzaku. I na wschodzie, tak

samo jak na zachodzie, „stawka na wycieńczenie" dawała dobre dla Niemców wyniki. Pozostawili więc południowo-wschodnie skrzydło Turkom, na zachodzie bronili swoich okopów znacznie mniejszą ilością wojsk niż te, które działały przeciw nim, a za to główną uwagę zwrócili na wschód, gdzie postanowili nie tylko ulżyć w Karpatach swemu srodze utrudzonemu sojusznikowi, ale i zadać armii rosyjskiej klęskę na całej długości frontu, a ewentualnie rozbić ją zupełnie.

SYTUACJA NA BAŁKANACH I NAD SOMMĄ.

Katastrofa Serbii zmieniła z gruntu perspektywy strategiczne Koalicji. Możliwość potężnego uderzenia na prawe skrzydło mocarstw centralnych, jeśli nawet nie została zupełnie przekreślona, stała się w każdym razie rzeczą trudniejszą i bardziej wątpliwą. Koncepcja ta, która spowodowałaby odciągnięcie części armii od jatek zachodniego frontu, utraciła teraz swoją atrakcyjność dla strategów — zarówno fachowców jak niefachowców. Sztaby generalne Francji i Anglii nie wygrały wprawdzie wojny z Niemcami, ale wygrały wojnę o koncepcję strategiczną. Dardanele zostały ewakuowane; Bałkany przeszły z rąk Koalicji do państw centralnych; droga do Dunaju, do Konstantynopola i Morza Czarnego była ostatecznie zablokowana; Serbia przestała istnieć; Rosja trzymała się ledwo na nogach; Rumunia była izolowana. Cóż za wspaniała strategia! Niemcy nie zostali pobici, ale politycy byli pognębieni. Sztabowcy tryumfowali. *Te Deum* ich rozbrzmiewało od Chantilly aż do gmachów na Whitehallu. Możliwości i pokusy Wschodu znikały: chwała czerwonemu od krwi słońcu Zachodu!

Prawdą jest, że do Salonik posłane zostały siły, które liczebnie wydawały się bardzo wielkie; według wszelkich pozorów setki tysięcy angielskich, francuskich, serbskich i greckich żołnierzy, zgromadzone na tym teatrze wojny, stanowiły potężną armię. Siły te jednak, jeśli chodziło o możliwości ofenzywy, skazane były na bezczynność i niemoc — miały bowiem tak niewystarczające wyekwipowanie techniczne, że były absolutnie niezdolne do jakiegokolwiek skutecznego natarcia na

nieprzyjaciela. Kwatery główne państw Koalicji zdecydowane były uchronić generałów, dowodzących w tym rejonie. przed wszelką pokusą czynu. Armii w Salonikach można było użyć do dwóch celów. Gdyby była dostatecznie silna, mogła zatrzymać i związać Bułgarów, wraz z pewną liczbą Niemców, Austriaków i Turków, nie pozwalając nieprzyjacielowi na przerzucenie sił do innych rejonów, w których te siły mogły odegrać rolę poważną a może i decydującą. Ten plan nie pozwoliłby również chytremu i podejrzliwemu królowi Grecji na opowiedzenie się po stronie Niemiec, którym jawnie sprzyjał — pozbawiłby go bowiem pretekstu, że nie mógł powstrzymać inwazji tak potężnych sił nieprzyjacielskich. Ale wobec istniejącej sytuacji król oddał państwom centralnym Kawallę i jedną dywizję grecką — jako ofiarę na ołtarzu bożka, którego bał się i czcił jednocześnie. Oddałby im całą grecką armię — gdyby nie nasza obecność w Salonikach. Ale jeśli okupacja Salonik miała mieć tylko to na celu — armia nasza była tutaj o wiele za liczna; siły znacznie słabsze, dobrze okopane i posiadające dostateczną artylerię, mogły równie dobrze spełnić to zadanie. W razie ataku można je było łatwo wzmocnić drogą morską i nie byłoby potrzeby nagromadzania tu wielkiej armii, wyposażonej dla podjęcia ofenzywy.

Drugą alternatywą było posiadanie w Salonikach armii, która mogłaby uderzyć na prawe skrzydło Turków, odciąć ich od Niemiec i ewentualnie zająć ich stolicę — albo też przedrzeć się przez wąwozy Bałkanów, złamać i pobić armię bułgarską, uskutecznić połączenie z Rumunią a przez Rumunię z Rosją, co byłoby odzyskaniem szans, utraconych na skutek fatalnej strategii wczesnej jesieni 1915 roku. Piękne sukcesy późniejsze armii serbskiej, która pod dowództwem generała Misicza utorowała sobie drogę aż do Monastyru, dowodzą że tego rodzaju plan nie był niemożliwy do przeprowadzenia dla armii, jako tako wyposażonej w artylerię i amunicję.

Wodzowie Koalicji nie dążyli do osiągnięcia żadnego

z tych celów. Jak dalej wykażę, armia salonicka pozostawiona była w gruncie rzeczy bez armat i bez amunicji niezbędnej do tego, aby przedrzeć się przez najprostsze nawet ubezpieczenia obronne w trudnym tamtejszym terenie. W ciągu dwóch lat zajmowała malaryczne równiny Strumy i Wardaru, niedość silna aby móc wywalczyć sobie przejście do zdrowszych okolic. Sztab brytyjski był za koncepcją „garnizonową" i gotów był odpowiednio zredukować armię salonicką. Sztab francuski wahał się. Dyskusje między sztabami toczyły się przez długie miesiące. Wódz Naczelny Francji, przed tym uparty zwolennik koncepcji „Zachodniej", teraz udawał nawrócenie i przyjęcie niektórych przynajmniej kanonów koncepcji „Wschodniej". Działały tu niewątpliwie względy polityczne i osobiste. Pozycja generała Joffre'a we Francji osłabła znacznie, gdy w ciągu całego miesiąca nie potrafił doprowadzić do należytego poziomu obrony Verdun, mimo że wiedział o grożącym ataku. Do tej chwili autorytet jego nie dopuszczał żadnej krytyki i wystarczał zupełnie do zastraszenia rządu, który wbrew własnemu zdaniu ustępował wobec jego upartej woli; ale armaty niemieckie pod Verdun, obnażywszy jego błędy, zredukowały ten autorytet niemal do zera. Najwybitniejsi francuscy mężowie stanu, wraz z Prezydentem i premierem, byli zwolennikami uderzenia na nieprzyjaciela od południowego wschodu. Popierał ich — a nawet w gruncie rzeczy inspirował — najzdolniejszy człowiek w armii francuskiej, generał Gallieni.

Aby więc ułagodzić ludzi, którzy po raz pierwszy uzyskali nad nim przewagę, generał Joffre przychylił się do ich żądań, dotyczących wzmocnienia armii w Salonikach. Była to z jego strony ofiara na ołtarzu obrażonego boga. Moloch Zachodniego Frontu został na razie nasycony—można więc było poświęcić z kolei jakąś ofiarę bożkom Pałacu Elizejskiego. Wpływy generała Joffre'a były dostatecznie silne aby zapobiec wprowadzeniu w życie tego planu wtedy, kiedy mógł mieć

znaczenie decydujące; ale teraz autorytet jego był już za słaby żeby przeciwstawiać się planowi w chwili, gdy miał już o wiele mniejszą wartość. W każdą tragedię wplecione są takie intermezza komiczne.

Joffre przybył do Londynu 9 czerwca 1916 r., aby namówić gabinet angielski do wzmocnienia wraz z Francją armii w Salonikach. W tym czasie oba rządy i oba sztaby uzgodniły już między sobą plan wielkiej ofenzywy nad Sommą.

Ja byłem jednym z członków gabinetu, którzy podzielali opinię lorda Kitchenera o bezpłodności tego ataku. Potem jednak Kitchener niechętnie wycofał swoje zastrzeżenia, a pozostali opozycjoniści w gabinecie zostali przegłosowani. Przygotowania do ofenzywy były już daleko posunięte. W argumentacji swojej Joffre podkreślił między innymi, że ofenzywa jest konieczna dla osłabienia nacisku na Verdun. Jest to jeden z niezrozumiałych epizodów wojny, że Naczelny Wódz francuski, bezwzględny zwolennik hasła „Wszystko dla Zachodu", przybywa właśnie w takim momencie do Anglii prosić nas o wysłanie wspólnie z Francją znacznej ilości wojska do Salonik — poto aby przystąpić tam do pseudo - ataku, który musi się załamać wobec braku armat i amunicji.

Na konferencji, która odbyła się na Downing Street, generał Joffre przedstawił swoje stanowisko z wielką siłą i elokwencją. Niech inni osądzą czy Joffre był dobrym żołnierzem; ja mam zresztą i o tym swój pogląd, chociaż może nie jestem kompetentny w tej dziedzinie. Co się jednak tyczy jego oratorskiego talentu — uważam że jako stary parlamentarzysta mogę mieć w tej sprawie zdanie i mam prawo je wypowiedzieć. Był to jeden z najbardziej przekonywających i dramatycznych mówców, jakich zdarzyło mi się słyszeć na tego rodzaju konferencjach. Ale chociaż mówił tym razem ze wszystkimi zewnętrznymi objawami szczerego przekonania — w głosie, gestach, słowach i wyrazie twarzy — trudno było

uwierzyć aby nawet on sam przekonany był własną elokwencją. Domagał się przeprowadzenia ofenzywy siłami, pozbawionymi niezbędnego uzbrojenia — i w najsłabszej nawet formie nie wysuwał propozycji, aby to uzbrojenie wzmocnić. Było to jedno z najbardziej cynicznych posunięć, jakie kiedykolwiek widziałem. Jeżeli zważyć nieuniknione ciężkie straty w ludziach, jakie pociągnęłaby za sobą taka bezpłodna operacja, byłoby to postępowanie haniebne — gdyby nie to, że Joffre pewien był odrzucenia przez nas jego propozycyj. Zrozumiałem, że Joffre nie wypowiada swego przekonania; zdawałem też sobie sprawę, że takie nieudane przedsięwzięcie musi w następstwie zniechęcić do podejmowania dalszych prób w pomyślniejszych okolicznościach.

Oto oficjalne streszczenie, dokonane w czasie konferencji, mojego wystąpienia w dyskusji:

„P. Lloyd George oświadczył, że zawsze był zwolennikiem ofenzywy od Salonik, ale uważa ofenzywę taką za niedopuszczalną, jeśli nie ma ona dostatecznych szans powodzenia; a ponieważ to co mu o tej sprawie wiadomo nie przekonywa go, że takie szanse istnieją — ma w tej kwestii wątpliwości, chociaż jest zasadniczym zwolennikiem tej ofenzywy. Mieliśmy smutne doświadczenia w Dardanelach, gdzie straciliśmy około 200.000 ludzi, nie licząc prestiżu. Jest zdecydowanie przeciwny projektowi, jeśli niema dostatecznych szans powodzenia. Do danych naszego Sztabu Generalnego generał Joffre nie wprowadził dziś poważniejszych korektyw. Atakowanie dobrej armii, zajmującej mocne stanowiska, gdy mamy tylko dwadzieścia cztery ciężkie haubice francuskie i cztery angielskie — to rzecz bardzo niebezpieczna. Generał Joffre powiedział, że powinniśmy związać siły nieprzyjaciela i wskazał na przykład Rosji. Ale Rosjanie wiążą siły Austriaków — a Bułgarzy przecież nikomu nie

pomagają. Gdyby były rozumne szanse, Rumunia mogłaby przyjść nam z pomocą; ale generał Joffre nie twierdzi, że takie szanse istnieją i nie myśli o przełamaniu frontu — ma na myśli tylko sukcesy stosunkowo mało poważne. Przedsięwziąć tę operację z niewystarczającymi siłami — znaczy to zdyskredytować ją. Sir Douglas Haig ma w perspektywie bardzo poważne operacje, które chce przedsięwziąć wyłącznie w celu osłabienia nacisku Niemców na armję francuską. Tylko z tego względu Komisja Wojenna zgodziła się na te operacje — bo z punktu widzenia czysto wojskowego była im przeciwna. Ministerstwo Zaopatrzenia posyła do Francji ciężkie działa, ale w ilościach o wiele mniejszych, niż Haig żąda, i wobec tego Haig też wolałby przystąpić do tych działań później, kiedy będzie pewien, że całe jego zapotrzebowanie na ciężkie działa zostanie wykonane. Rzeczą zasadniczą jest, czy w tych okolicznościach generał Joffre gotów jest posłać, powiedzmy — pięćdziesiąt haubic z Francji do Salonik? P. Lloyd George stwierdził, że wierzy w skuteczność ofenzywy od Salonik nie mniej od p. Brianda, i wzywał abyśmy nie zaczynali żadnych działań, dopóki nie będziemy zupełnie gotowi, bo ofenzywa zakończona niepowodzeniem zaszkodzi wszelkim późniejszym próbom na tym terenie. Żaden rząd nie odważy się na takie przedsięwzięcie po raz drugi. To jest główny powód, dlaczego jest przeciwny projektowi. Koalicja nie jest jeszcze przygotowana technicznie do pokonania Bułgarii —— nie mówiąc już o możliwym oporze Turcji".

Tak więc, ku wielkiemu zadowoleniu generała Joffre'a, odwróciliśmy się od Salonik, natomiast znowu skierowaliśmy uwagę na Sommę. Walki nad Sommą — wraz z walkami pod Verdun — to jedna z najkrwawszych bitew, jakie kiedykol-

wiek toczone były na ziemi. Straty obu stron przekroczyły znacznie milion ludzi. W dodatku nie jest prawdą, że na skutek tej bitwy Niemcy ponieśli klęskę w swych usiłowaniach zdobycia Verdun: bitwa nad Sommą osłabiła tylko ofenzywę niemiecką, która już przedtem zatrzymała się i była w tym momencie widocznym niemal fiaskiem. Naczelny Wódz francuski oświadczył już w maju, że pod Verdun Niemcy zostali pobici. Gdyby nawet pod Verdun bitwa trwała dalej wokół fortów, powstrzymujących napór Niemców, moglibyśmy wzmocnić walczącą ciężko armję francuską, posyłając wojska wprost na teren bitwy, albo obsadzając dodatkowy odcinek frontu i umożliwiając w ten sposób posłanie pod Verdun posiłków francuskich. Kampania nad Sommą nie uratowała także z pewnością Rosji, którą armaty niemieckie spychały szybko w odmęty anarchii. Słychać już było szum zbliżającej się powodzi. A raczej — moglibyśmy go usłyszeć, gdyby nie grzmot armat nad Sommą, który ogłuszał nas i zaciemniał nasze pole widzenia tak, że nie dostrzegaliśmy nadchodzącej katastrofy Rosji i wobec tego nie przedsięwzięliśmy środków zapobieżenia jej. Trzecia część armat, stojących nad Sommą, przetransportowana w odpowiednim czasie nad brzeg innej rzeki — Dniepru — dałaby Rosji wielkie zwycięstwo i odroczyłaby rewolucję do okresu powojennego.

Twierdzą niektórzy, że bitwa nad Sommą zniszczyła przedwojenną armję niemiecką, wybijając jej najlepszych oficerów i żołnierzy. Ale w daleko większym stopniu dotyczy to armii francuskiej i angielskiej. W bitwie nad Sommą walczyły armie ochotnicze, sformowane w latach 1914 i 1915 z naszej najlepszej młodzieży. Oficerowie byli przeważnie wychowankami „szkół publicznych" i uniwersytetów. W tej strasznej walce padło przeszło 400.000 naszych żołnierzy; straty wśród młodych oficerów były przerażające. Oficjalna „Historia Wojny", mówiąc o pierwszym ataku, stwierdza że

„jako rekompensatę za te katastrofalne straty wśród najlepszej młodzieży Anglii i Irlandii uzyskaliśmy tylko nieznaczne zdobycze terenowe"...

Reasumując skutki całej bitwy dla armii brytyjskiej, „Historia" mówi:

„Uzbrojenie i technika obchodzenia się z bronią polepszyły się z czasem, ale duch i wartość moralna oficerów i żołnierzy nigdy już potem nie stały tak wysoko jak przed tą bitwą — nigdy też armia angielska we Francji nie osięgnęła takiego poziomu, jeśli chodzi o dowództwo, wyszkolenie, a przede wszystkim — dyscyplinę. Straty były nie tylko ciężkie, ale nie dające się powetować."

Gdyby nie niepojęta głupota Niemiec, które spowodowały zatarg z Ameryką i wciągnęły to potężne państwo w wojnę przeciwko sobie właśnie w chwili, gdy udało im się eliminować innego potężnego przeciwnika, Rosję — bitwa nad Sommą nie uratowałaby nas od beznadziejnego bezwładu militarnego, którego końca nie było widać. Nie zdziwiło mnie gdy wyczytałem w angielskiej „Oficjalnej Historii Wojny", że — jak miał powiedzieć Poincaré — największy żołnierz francuski, Foch, przeciwny był ofenzywie nad Sommą. Gdy nadszedł moment podsumowania rezultatów ofenzywy — przypomniały mi się słowa Balfoura, który powiedział, kiedy projekt tej operacji przedstawiony został po raz pierwszy przez francuską Kwaterę Główną: „Francuzi odczuwają brak ludzi — a chcą zrobić coś co zredukuje im liczbę ludzi jeszcze bardziej". W tym okresie Balfour był za tym, aby powiedzieć Francuzom, że naszym zdaniem chcą popełnić błąd.

W tym samym czasie, kiedy nasi i francuscy generałowie donosili z zachodniego frontu o jednym zwycięstwie za drugim; kiedy nasz wywiad na froncie informował dowództwo, a poprzez dowództwo — rządy Koalicji, że pięć szóstych armii niemieckiej jest zdziesiątkowanych, a pozostałą jedną

szóstą spotka niebawem ten sam los — sztab niemiecki zabierał kilka dywizyj z frontu we Francji i posyłał je w Karpaty, skąd miały wraz z armią austriacką i bułgarską zaatakować Rumunię. Nikt w naszym obozie nie przewidywał najwidoczniej tego posunięcia — a w każdym razie nikt nie miał żadnego planu, co w odpowiedzi na to posunięcie uczynić. Wszystkie myśli strategów Koalicji koncentrowały się wśród kilku wiosek nad Sommą. Stratedzy ci przesadzali znaczenie każdej najdrobniejszej zdobyczy terenowej i potrafili wmówić w siebie, że Niemcy są zupełnie rozbici przez ofenzywę i nie mają ani ludzi, ani armat, ani ducha, aby mogli stawiać gdziekolwiek poważniejszy opór. Wodzowie Koalicji czekali tylko, nadsłuchując, na łomot, który oznaczać będzie ostateczne załamanie się niemieckiej bariery — i gromadzili bezpośrednio za frontem francuskim i angielskim kawalerię, która miała dokonać ostatecznej zagłady rozbitych resztek wojsk niemieckich. Nie jest to z mojej strony przesada: widziałem ich w tym momencie egzaltacji.

W czasie walki nad Sommą objeżdżałem front od Verdun aż do Ypres. Z Albertem Thomas odwiedziłem generała Haiga w jego sztabie, a potem wraz z Haigiem pojechałem do sztabu generała Cavana na spotkanie z Joffrem. Joffre i Thomas pragnęli uzyskać pewną liczbę haubic sześciocalowych dla armij francuskich. My posłuchaliśmy rady młodego francuskiego oficera artylerii z konferencji w Boulogne i wyprodukowaliśmy wielką liczbę tych haubic, do burzenia ogniem huraganowym okopów nieprzyjaciela. Francuzi produkowali głównie działa o dalszym zasięgu, i brakowało im haubic.

Kiedy przybyliśmy do sztabu generała Cavana, odbywało się silne bombardowanie linij nieprzyjacielskich przez nasze haubice ośmiocalowe, ustawione w dolinie, którą żołnierze nazwali „Doliną szczęścia". Huk wystrzałów i pękających pocisków był ogłuszający. Z trudnością mogliśmy rozmawiać. Okazało się, że w mieszkaniu Cavana huk jest jeszcze gorszy

niż na powietrzu. Załatwiwszy sprawę haubic, zaczęliśmy mówić ogólnie o ofenzywie. Zarówno Haig jak Joffre byli zachwyceni osiągniętymi sukcesami. Już po drodze na to spotkanie mijałem szwadrony kawalerii, podążające ochoczo na front. Kiedy zapytałem po co się je sprowadza, sir Douglas Haig odpowiedział, że muszą być możliwie najbliżej linii frontu, aby mogły wykonać szarżę z chwilą, gdy bliski atak gwardii uczyni wyłom w pozycjach nieprzyjacielskich. Kawaleria miała wyzyskać oczekiwany sukces i dokończyć ostatecznie porażki Niemców.

Widzieliśmy szeregi gwardii, maszerujące długą kolumną przez dolinę na linję frontu: były to przygotowania do ataku. Raymond Asquith był w tych szeregach. Zanim dojechałem do Ypres dowiedziałem się, że atak się nie udał i że syn premiera, budzący tak wielkie nadzieje, jest wśród poległych. Kiedy odważyłem się wypowiedzieć obu generałom moje wątpliwości co do tego, czy kawaleria będzie mogła kiedykolwiek działać skutecznie w terenie, na którym całemi milami poza linią nieprzyjacielskiego frontu ciągną się zasieki drutów kolczastych i gniazda karabinów maszynowych — obaj rzucili się na mnie z wielkim podnieceniem; Joffre oświadczył, że już nazajutrz rano spodziewa się na swoim froncie ataku kawalerii francuskiej przez wyłom w liniach niemieckich. Słyszeliśmy oddalony huk nagromadzonych dział francuskich, które torowały drogę tej kawalerii. W tej właśnie chwili zdjął nas fotograf prasowy, o którego obecności wogóle nie wiedzieliśmy.

Ta rozmowa dała mi wyobrażenie o egzaltacji, jakiej podlegają dzielni ludzie w czasie bitwy. Generałowie niezdolni byli widzieć cokolwiek poza walką, rozgrywającą się bezpośrednio przed nimi. Nie byłoby w tym nic złego, gdyby rządy Koalicji posiadały niezależnych ekspertów wojskowych tej samej lub wyższej klasy, co ci dzielni żołnierze, nie widzący nic z poza dymów bitwy, którą toczyli — i gdyby ci eksperci przed-

stawiali rządom swoje zdanie na całokształt spraw, związanych z wojną. Ale ani Francuzi ani Anglicy nie mieli doradców wojskowych, których pod względem zdolności i autorytetu można by było zestawić z Joffrem, Fochem lub Haigiem. Generał Gallieni był od lat człowiekiem chorym i wobec tego nie posiadał dostatecznego wigoru na to, aby narzucić innym to co mu mówił jego geniusz wojskowy. O sir Wiliamie Robertsonie będę jeszcze mówił w dalszym ciągu. Jego zdrowy rozsądek skrępowany był źle rozumianą lojalnością wobec Haiga. W rezultacie — ostateczne przełamanie niemieckiego frontu odkładano od jednego zwycięstwa do drugiego. Ponosiliśmy olbrzymie straty: częściowo były to straty nie do powetowania — jeśli chodzi o oficerów i doborowych żołnierzy, którzy zaciągnęli się do armii Kitchenera w pierwszych miesiącach entuzjazmu. Niemcy rozpisywali się szeroko o naszych rozpaczliwych atakach nad Sommą i demonstrowali ich fiasko swoją kampanią w Rumunii. Manewrowali ku Dunajowi dla wyzyskania i uczczenia zwycięskiego oporu, jaki stawili armiom Koalicji na Zachodzie. Mackensen przekroczył Dunaj od strony Bułgarii i ruszył na Bukareszt. Armia Falkenhayna spadła już przedtem z Karpat, jak lawina na źle wyekwipowane armie rumuńskie, zgromadzone za górami. Rumunia, ze swoją pszenicą i naftą, wpadła w ręce Niemców — co przedłużało wojnę o miesiące i lata.

Zanim jeszcze nastąpił atak na Rumunię, zaniepokojony byłem wieściami z Bałkanów, wskazującymi na to, że Bułgaria przygotowuje uderzenie na swego sąsiada zza Dunaju. Otrzymaliśmy też niepokojący materiał od pułkownika Thomasa (późniejszego lorda Thomasa, ministra w rządzie Partii Pracy), naszego attaché wojskowego w Bukareszcie, na temat wyekwipowania armii rumuńskiej. Jeśli chodzi o działa i amunicję — było ono zupełnie niewystarczające w stosunku do sił, jakie mocarstwa centralne mogły z łatwością przeznaczyć na ten atak. Mówiłem o tym z jednym z wojskowych w Mini-

sterstwie Wojny, ale on próbował mnie uspokoić zapewnieniem, że po pierwsze Niemcy nie mogą zabrać z nad Sommy żadnych armat ani żołnierzy, bo straty ich w materiale i w ludziach są tutaj olbrzymie, a po drugie — że na akcję Niemców w Rumunii będzie niebawem za późno, gdyż w Karpatach spadną śniegi, a przełęcze nie nadają się do transportowania artylerii. Poza tym nie był zbyt pochlebnego zdania ani o pułkowniku Thomsonie, ani o jego raporcie. Nie byłem jednak całkiem uspokojony i w dzień czy dwa potem posłałem szefowi Sztabu Generalnego Imperium następującą notatkę:

Widziałem właśnie depeszę o wypowiedzeniu przez Bułgarię wojny Rumunii. Jest to jeszcze jeden powód do niepokoju o sytuację na Bałkanach w najbliższej przyszłości, o czym mówiłem z Panem w sobotę. Wyraziłem wtedy obawę że Hindenburg, który przykłada wielką wagę do Wschodu i zawsze był przeciwny koncentrowaniu sił mocarstw centralnych na Zachodzie, może zechcieć teraz zmiażdżyć Rumunię; powiedziałem też, że powinniśmy przemyśleć wszelkie możliwe sposoby przyjścia Rumunii z pomocą, gdyby została silnie zaatakowana. Nie możemy sobie już pozwolić na drugie wydanie tragedii serbskiej. Już na początku r. 1915 byliśmy ostrzeżeni, że Niemcy chcą, przy pomocy Bułgarów, wyeliminować zupełnie Serbię. Mimo to gdy nastąpił atak nie zakupiliśmy nawet jednego muła, aby pomóc Serbom z Salonik. Rezultat był taki, że gdy wojska nasze wylądowały tam, nie mogły — na skutek braku wyekwipowania i środków transportu — posunąć się wgłąb kraju, i Serbia została pobita.

Mam nadzieję że nie pozwolimy, aby na skutek naszego braku przezorności ta sama katastrofa spotkała Rumunię.

W sytuacji istnieją cztery momenty niepokojące:

1. Znane dobrze inklinacje Hindenburga do działań na Wschodzie.

2. Wypowiedzenie wojny Rumunii przez Bułgarię. Nie mogę uwierzyć aby król Ferdynand zdecydował się na ten ryzykowny krok, do którego nic go nie zmuszało, inaczej jak na skutek otrzymania poważnych gwarancyj pomocy niemieckiej.

3. Słabnięcie ataku niemieckiego na Verdun. Hindenburg przerwie napewno ten niemądry atak w pierwszym odpowiednim momencie, a przerwanie go uwolni setki ciężkich dział i setki tysięcy dobrego wojska. Jeżeli w dodatku zdecydowałby się odstępować nam teren nad Sommą, każąc nam drogo płacić za swój odwrót, mógłby przerzucić na Wschód jeszcze kilka dywizyj. Mógłby odstąpić jeszcze cztery albo pięć razy więcej terenu niż wszystko to, co zdobyliśmy w ciągu ubiegłych dwóch miesięcy, a pomimo to nie oddać nam żadnych pozycyj o znaczeniu zasadniczym*)

4. Nie sądzę aby wyekwipowanie armii rumuńskiej pozwoliło jej stawiać długo opór atakom sił austro-niemiecko-bułgarskich, wyposażonych w setki dział ciężkiego kalibru i w olbrzymie ilości ciężkich pocisków. Rumuni mają bardzo niewiele ciężkich dział, a co do amunicji — wątpię czy mają jej dosyć aby mogli wytrzymać walkę, trwającą bez przerwy kilka tygodni. Z tych względów jeszcze raz podkreślam, że Sztab Generalny powinien dokładnie obmyśleć środki, jakie wraz z Francją i Włochami będzie mógł odrazu przedsięwziąć, aby osłabić nacisk na Rumunię — gdyby została ona zaatako-

*) Wolno mi tu zaznaczyć, że po pięciu miesiącach Niemcy istotnie przyjęły taki plan działania, burząc w ten sposób zupełnie założenia strategiczne ofenzywy Nivelle'a.

wana poważnymi siłami. Moje obawy mogą być nieuzasadnione, ale nie może szkodzić jeżeli będziemy przygotowani na wszelkie ewentualności.

4.9.16. D. Lloyd George."

Rosjanie uczynili piękny wysiłek przyjścia z pomocą armii rumuńskiej, uginającej się wobec przewagi liczebnej i przewagi artyleryjskiej przeciwnika. Ale na Boże Narodzenie przeszło połowa terytorium Rumunii znajdowała się w ręku Niemców. Król Rumuński zmuszony został do podpisania haniebnego pokoju, i kraj który stanowił dla mocarstw centralnych groźbę i niebezpieczeństwo — stał się dla nich odtąd źródłem cennych dostaw pszenicy i nafty. Rumunia i Serbia były obie *hors de combat;* Grecja została unieruchomiona — przy czym w rządzie greckim elementy filoniemieckie miały przewagę. Trzy państwa, które mogły razem wystawić po stronie Koalicji przeszło milion doskonałych żołnierzy, przestały wchodzić w rachubę. Próby uratowania Rumunii wyczerpały ostatecznie wielkie siły Rosji. Generałowie koalicyjni, patrząc na rezultaty swojej strategii, szukali ucieczki w produkowaniu fantastycznych liczb rzekomych strat niemieckich nad Sommą: na samym tylko odcinku angielskim miały one wynosić milion ludzi. Można sobie wyobrazić, jakie spustoszenia musieliby według tych obliczeń wyrządzić Francuzi swoją artylerią! Nasza ofenzywa nie osiągnęła swego wyraźnego celu — przełamania frontu, i wobec tego szukaliśmy pocieszenia w statystyce. Sir Douglas Haig nie wykonał swojego planu strategicznego, ale pewien wybitny uczony wyrównał z nadwyżką to niepowodzenie swoim wielkim tryumfem statystycznym, odniesionym w niepozornym pokoju w Ministerstwie Wojny. Uczony profesor pracował pod kierunkiem i na zasadzie wskazówek „Intelligence Department" Ministerstwa. Niewątpliwie urzędnicy tego departamentu wykazali wówczas wielką „inteligencję" —

zaspokoili bowiem swoimi liczbami gwałtowne pożądanie jakiegoś symbolu zwycięstwa ze strony dowódców. W istocie jednak my straciliśmy na froncie o 50% więcej ludzi niż Niemcy. Straty francuskie były mniejsze, niż nasze, ale także większe od strat niemieckich.

Tak zakończyła się trzecia kampania Wielkiej Wojny.

MINISTERSTWO ZAOPATRZENIA.

Przez znaczną część okresu, opisanego w rozdziałach poprzednich, stałem na czele Ministerstwa Zaopatrzenia; praca moja polegała na zorganizowaniu produkcji zbrojeń. Mówiłem już jak po mojej nominacji w początkach czerwca 1915 r. zorganizowałem ten nowy dział pracy rządu. Muszę teraz dać pewien opis pracy, jaką zdołaliśmy wykonać w ciągu trzynastu miesięcy mego urzędowania — t. j. do mianowania mnie ministrem wojny w lipcu 1916 r.

Nie będę oczywiście usiłował opisywać całej, ogromnej i różnorodnej działalności Ministerstwa; ograniczę się do kilku najistotniejszych fragmentów tej działalności w omawianym okresie. Fragmenty te zilustrują przykładowo, jak różnorodne problemy rozwiązywać musiało Ministerstwo i z jakim naogół czyniło to powodzeniem.

Kiedy powierzona mi została oficjalnie organizacja produkcji wojennej dla armii angielskiej, Ministerstwo Wojny uważało, że całe moje zadanie sprowadza się do wykonywania zamówień jego Departamentu Zaopatrzenia. Z chwilą wykonania tych zamówień nie ponosiłem za nic więcej żadnej odpowiedzialności. W liście z d. 5 czerwca 1915 r. Ministerstwo Wojny stwierdzało, że „obowiązki nowego Ministerstwa w zastosowaniu do każdego poszczególnego typu zaopatrzenia i sprzętu wojennego zaczynają się z chwilą, gdy zostaje mu zakomunikowane zapotrzebowanie Ministerstwa Wojny — wymieniające rodzaj, ilość i jakość żądanych przedmiotów — a kończą z chwilą, kiedy przedmioty te dostarczone zostaną Ministerstwu Wojny".

Ja ujmowałem moje zadanie inaczej i znacznie szerzej. W zaskorupiałej umysłowości Ministerstwa Wojny nie mieściły się żadne fakty nowe, nieuwzględniane w oficjalnych annałach historii wojen dotychczasowych. Urzędnicy Ministerstwa odrzucali wszelkie nauki, których nie nabyli w czasie swoich studiów w młodości. Ich nieprzejednana postawa skłoniła mnie do wniosku, że jeśli będziemy czekać aż nasi generałowie z Whitehall obudzą się i dostrzegą rzeczywistość — może być już wtedy zapóźno. W ciągu całych miesięcy Wódz Naczelny armii na froncie zwracał uwagę Ministerstwu na różnicę między tą wojną i wszystkimi dawniejszymi wojnami, toczonymi przez Anglię lub poza nią, na skutek nieoczekiwanego zastąpienia wojny ruchowej przez wojnę pozycyjną. Jeśli chodzi o zaopatrzenie artyleryjskie, fakt ten wpływał na kwestię zaopatrzenia w trojaki conajmniej sposób: (1) wymagał dział i moździerzy o wiele większego kalibru niż te, które zostały posłane na front; (2) powodował zużycie pocisków w ilościach, nie mających żadnego precedensu; (3) szrapnele, nieocenione jako broń przeciwko masom wojska poruszającym się w otwartym polu albo osłoniętym w sposób niewystarczający, stawały się zupełnie bezużyteczne przeciw wojsku, okopanemu w głębokich rowach; armia potrzebowała pocisków najcięższego kalibru o wielkiej sile wybuchowej, aby móc niszczyć nimi zasieki druciane i burzyć okopy. Z korespondencji, jaką przekazał do mojej dyspozycji Sir John French dowiedziałem się, że niejednokrotnie podkreślał te potrzeby wobec lorda Kitchenera. Z tych względów nabrałem przekonania, że muszę zaryzykować własną inicjatywę nietylko w metodach wykonywania zleceń Ministerstwa Wojny, ale i w określaniu samemu potrzeb armii i w organizowaniu produkcji według tego mojego przekonania.

Po szeregu zatargów z Min. Wojny, Lloyd George przeprowadził swoją koncepcję i w tym kierunku zorganizował Min. Zaopatrzenia.

Fabryki państwowe.

Powiększenie ilości pocisków było naszym najbardziej bezpośrednim zadaniem, gdyż brak pocisków wywarł największe wrażenie na wyobraźnię mas i spowodował kryzys, z którego zrodziło się nowe Ministerstwo. Jednak, prócz pocisków, wziąłem na siebie odpowiedzialność również za dostawę wszystkich pozostałych przedmiotów wojennego ekwipunku — dział, karabinów, karabinów maszynowych, bomb, technicznych umocnień w okopach, środków transportu i instrumentów optycznych. Wkrótce po powstaniu Ministerstwa Admiralicja przekazała mu także dostawę czołgów.

Kontrola nad dostawami artykułów gotowych prowadziła z konieczności do kontroli wszystkich stadiów produkcji — aż do dostawy surowców. W rezultacie zakres działalności Ministerstwa rósł nieprzerwanie — tak iż pod koniec wojny kontrolowało ono faktycznie całą działalność przemysłową kraju. Ograniczenia jakie nakładało Ministerstwo na przedsiębiorczość prywatną były — na skutek coraz większego braku rozmaitych artykułów — coraz surowsze; przy końcu wojny nikt nie mógł zorganizować nowego przedsiębiorstwa ani rozszerzyć już istniejącego inaczej, jak na potrzeby wojny. Wszelkie budynki, maszyny i instalacje mogły być w każdej chwili zarekwirowane dla jakiejś niecierpiącej zwłoki produkcji. Prywatne przedsiębiorstwa nie mogły używać dla swoich potrzeb żadnego z metali przemysłowych i prawie żadnego z surowców bez pozwolenia rządu. Naród poświęcał całą swoją wielką siłę i sprawność techniczną organizacji zwycięstwa.

Materiały objęte kontrolą Ministerstwa obejmowały prawie sto głównych gatunków; należały tu nietylko artykuły takie jak żelazo, stal, miedź, preparaty chemiczne i narzędzia, ale również takie jak cegła, siemię lniane, wyroby ze szkła, zużyty papier, przędza. Ministerstwo miało w końcu w swej

ewidencji całą dającą się ustalić podaż tych artykułów, decydowało o ich przywozie przez importerów prywatnych i przydzielało je zarówno przemysłom nie związanym z wojną jak i przemysłom wojennym: roztaczało w ten sposób faktycznie ścisłą kontrolę nad wszystkimi gałęziami przemysłu, korzystającymi z materiałów, które używane były do produkcji wojennej.

Ministerstwo nie działało w duchu biurokratycznego despotyzmu; przeciwnie, przez cały czas współpracowało bardzo ściśle z odpowiednimi gałęziami przemysłu. Często wybitni działacze przemysłowi mieli oficjalne stanowiska i uprawnienia wykonawcze w Ministerstwie; w welu wypadkach tworzono komisje doradcze, złożone z przedstawicieli przemysłu i przedstawiające swoją opinię odpowiedniemu wydziałowi Ministerstwa. Jeśli jakaś gałąź przemysłu miała już taki czy inny reprezentujący ją organ, działaliśmy z nim w porozumieniu; jeśli takiego organu nie było, staraliśmy się doprowadzić do jego utworzenia. Przemysł ponosił całkowite lub częściowe koszty niezbędnej ekspansji i przystosowania urządzeń fabrycznych; z drugiej strony podlegał dobrowolnemu lub ustawowemu ograniczeniu zysków (w myśl Ustawy o opodatkowaniu zysków nadmiernych). W ten sposób cały przemysł stawał się jak gdyby wielkim przedsiębiorstwem publicznym, którego zadaniem było wygranie wojny.

Wyzyskawszy wszystkie istniejące fabryki i warsztaty, mogące produkować sprzęt wojenny, stwierdziliśmy że rozmiary produkcji będą niewystarczające, jeśli nie powiększymy naszych możliwości przez dodatkowe instalacje. Szczególnie dotyczyło to produkcji pocisków ciężkiego kalibru oraz szybszego ich wypełniania. Od chwili powstania Ministerstwa Zaopatrzenia kładłem nacisk na jak najszybsze wprowadzenie w życie polityki, której domagałem się już dawniej, jako przewodniczący Komisji Zaopatrzenia Wojennego — mianowicie

zorganizowania specjalnych fabryk państwowych, które miałyby uzupełnić działalność fabryk istniejących, zwłaszcza w produkcji pocisków i materiałów wybuchowych, jak również w wypełnianiu pocisków i wytwarzaniu dodatkowych części składowych uzbrojenia.

Już w pierwszych miesiącach istnienia Ministerstwa powstała imponująca grupa tych fabryk państwowych. W końcu grudnia 1915 r., w siedem miesięcy po zorganizowaniu Ministerstwa, funkcjonowały już — nie licząc fabryk państwowych w Woolwich, Waltham Abbey, Enfield Lock i Farnborough, które przekazane nam zostały w ciągu jesieni przez Ministerstwo Wojny — 73 nowe fabryki. 36 z tych fabryk produkowało lżejsze pociski, 13 — głównie pociski ciężkie, 13 wreszcie zajmowało się wypełnianiem pocisków. Istniało osiem nowych fabryk produkujących materiały wybuchowe, nowa fabryka do napełniania bomb moździerzowych i dwie fabryki form, które objąłem, aby zapewnić należytą dostawę form dla powstających dookoła fabryk amunicyjnych. Brak form hamował wszędzie produkcję.

Liczba fabryk państwowych nieustannie rosła; coraz bardziej też różniczkowała się ich produkcja. Pod koniec wojny było ich ogółem 218 — przy czym obejmowały nie tylko produkcję wszelkiego rodzaju broni i amunicji, od samochodów do amunicji małego kalibru, ale również tartaki, fabryki pudełek, narzędzi, instrumentów optycznych i resor, oraz sortownie i składy przedmiotów pochodzących z zatopionych okrętów.

W liczbie 218 fabryk znajdowały się i wymienione wyżej 4, które istniały już przed wojną, poza tym fabryka alkoholu drzewnego w Coleford, założona przez Departament Lasów w r. 1913, i trzy czy cztery fabryki materiałów wybuchowych, utworzone przez Ministerstwo Wojny albo przez Komisję Materiałów Wybuchowych lorda Moultona między listopadem 1914 i majem 1915 roku. Dwie z pośród fabryk pocisków

lżejszych zaczęły się już organizować pod kierownictwem Komisji Zaopatrzenia Wojennego, przed powstaniem Ministerstwa Zaopatrzenia. Z pozostałych fabryk przeszło dziewięć dziesiątych powstało pod auspicjami Ministerstwa albo przy pomocy zasiłków rządu; tylko kilka fabryk, produkujących materiały takie jak formy, odpadki bawełniane i aceton, istniało już przedtem — zostały one jedynie przejęte przez państwo.

Liczby powyższe obejmują tylko właściwe fabryki i warsztaty reperacyjne. Nie wchodzą tu liczne składy, kopalnie, kamieniołomy i inne przedsiębiorstwa, które również pracowały pod zarządem Ministerstwa. Nie wchodzą tu również maszyny i narzędzia, stanowiące własność państwową, a znajdujące się w fabrykach, w których produkcja odbywała się na mocy kontraktu z Ministerstwem — nawet jeśli maszyny te były obsługiwane przez pracowników Ministerstwa. I oczywiście podane liczby nie obejmują całej masy firm prywatnych, które — często przy pomocy poważnych subsydiów rządowych — produkowały materiały wojenne. Grupa fabryk państwowych — stanowiących gigantyczne rozszerzenie kilku przedwojennych fabryk tego rodzaju, — była jak gdyby jądrem całej produkcji sprzętu wojennego i dawała gwarancję, że dysponujący tymi fabrykami rząd będzie mógł rozszerzać wytwórczość w miarę rosnących wciąż potrzeb frontu.

Do pierwszej grupy fabryk, które zorganizowałem, należały fabryki pocisków mniejszego kalibru. Pierwowzorem dla całej grupy stała się fabryka w Leeds, zorganizowana przez miejscową Komisję Zaopatrzenia w maju 1915 r. Zwróciliśmy się do firm przemysłu maszynowego w Leeds z wezwaniem, aby przedstawiły projekt współpracy w produkcji zaopatrzenia wojennego; w odpowiedzi szefowie firm, jako ludzie praktyczni, udali się w kwietniu do Woolwich, aby zorjentować się w stosowanych metodach produkcji. W rezultacie doszli oni do przekonania, że najlepiej będzie jeśli wspólnie

obejmą lub wybudują pomieszczenia, w których robotnicy pracować będą przy należących do nich wszystkich maszynach i pod wspólnym nadzorem; produkcja miała być prowadzona bez zysku przez obraną specjalnie komisję zarządzającą.

7 maja projekt przemysłowców uzyskał powszechną aprobatę, a następnego dnia udzielone zostało formalne pozwolenie rządu, i produkcja się rozpoczęła. 31 maja zatwierdzony został plan podobnej organizacji fabryki w Keighley, i gdy w początkach czerwca objeżdżałem, jako Minister Zaopatrzenia, rejony przemysłowe — mogłem wskazać na Leeds jako na przykład, godny najszerszego naśladownictwa. Pomysł został skwapliwie podchwycony, i w rezultacie do końca czerwca zaaprobowałem siedemnaście projektów nowych fabryk, a do końca września — jeszcze dziesięć dalszych.

Fabryki te były przedsiębiorstwami, prowadzonymi wspólnie przez kilka firm; na czele każdej fabryki stała komisja zarządzająca, utworzona przez miejscową Komisję Zaopatrzenia i zatwierdzona przez Ministerstwo. Fabryki wykorzystywały uzdolnienia fachowe ludzi, którzy nigdy przedtem nie zajmowali się produkcją pocisków. Z biegiem czasu, prócz pocisków lżejszych, fabryki wytwarzały też niektóre gatunki cięższych; przed zakończeniem wojny 3 fabryki w Leeds przekształcone zostały na typ bardziej uniwersalny.

Państwowe fabryki pocisków lżejszych mobilizowały możliwości przemysłu maszynowego, niewyzyskane w istniejących już firmach. Chodziło mi jednak także o to, aby lepiej wyzyskać doświadczenie firm istniejących, szczególnie w dziedzinie produkcji pocisków ciężkiego kalibru. W lipcu r. 1915 rozmiary tej produkcji pozostawały znacznie w tyle poza poczynionymi obietnicami, a zapotrzebowanie armji na pociski o wielkiej sile wybuchowej szybko rosło. Organizowałem właśnie poważne rozszerzenie produkcji ciężkich dział, i musiałem starać się o należyte dostawy amunicji dla tych dział nowych, jak również dla artylerii znajdującej się już na froncie.

Z tych względów zwołałem 13 lipca 1915 roku konferencję przedstawicieli dziewięciu głównych firm zbrojeniowych, aby stwierdzić, jakie kroki należy przedsięwziąć dla zrealizowania nie tylko programu dotychczasowego, ale i znacznie rozszerzonego, dodatkowego programu produkcji.

Metoda stosowana dotąd przez Ministerstwo Wojny — które zadowalało się istniejącymi zakładami, rozszerzanymi dzięki udzielonym przeze mnie poprzedniej jesieni zasiłkom — okazała się absolutnie niewystarczająca. Ale istniejącym firmom bardzo nie odpowiadała koncepcja organizowania przeze mnie zupełnie nowych i nezależnych fabryk państwowych; zgodziliśmy się więc na pewien kompromis. Istniejące przedsiębiorstwa same zbudują i poprowadzą nowe fabryki, rozszerzając w ten sposób swoją produkcję — przy czym rząd pokryje wszelkie koszty nowych instalacyj, jak również prowadzenia nowych fabryk. Będą one własnością rządu — ale kierować nimi będą, jako funkcjonariusze rządowi podlegający Ministerstwu, ludzie wyznaczeni przez firmy amunicyjne. Firmy te otrzymywać będą pewną prowizję, obliczoną w stosunku do obrotu. Muszę dodać, że firma Cammell Liard nie przyjęła żadnej prowizji za zbudowanie i prowadzenie fabryki w Nottingham. Tak zorganizowane zostały wszystkie fabryki ciężkich pocisków: siedem z nich uruchomiono w następnym miesiącu, to jest w sierpniu 1915 r., cztery — we wrześniu tegoż roku; pod koniec roku 1915 było ich już razem trzynaście. Do końca wojny liczba ta wzrosła do piętnastu — a poza tym produkcji ciężkich pocisków poświęcono pięć z pośród fabryk, które początkowo wyrabiały pociski lekkie.

Pewne pojęcie o szybkości z jaką wszystkie te fabryki zostały zorganizowane, i o wykonanym przez nie zadaniu, dać mogą następujące cyfry. Produkcja państwowych fabryk pocisków lekkich zaczęła się w lecie 1915 r.; pocisków ciężkich — na jesieni tegoż roku. W tych ostatnich miesiącach roku

1915 wyprodukowały one razem 200,400 pocisków (niewypełnionych), prawie wyłącznie lżejszych kalibrów. Całkowita ich produkcja w r. 1916 wynosiła 6,712,300 pocisków, z czego przeszło połowę stanowiły pociski średnich i większych rozmiarów.

W całym okresie, wynoszącym nieco więcej niż 3 lata— od połowy r. 1915 do końca wojny w r. 1918 — całkowita produkcja fabryk państwowych wyniosła 40.143.300 niewypełnionych pocisków.

Poza tym, koszt pocisków wyprodukowanych przez fabryki państwowe był o wiele niższy niż wynosiły koszty fabryk prywatnych: różnica była tak znaczna, że jeśli chodzi o fabryki pocisków ciężkich — zrównoważyła ona z nadwyżką straty, poniesione na skutek sprzedaży tych fabryk po wojnie za cenę niższą od kosztów ich wybudowania; jeśli zaś chodzi o fabryki pocisków lekkich — niskie ich koszty, poza bezpośrednim zaoszczędzeniem znacznych sum, umożliwiły narzucenie niższych cen fabrykom prywatnym.

Oba rodzaje fabryk były w miarę przedłużającej się wojny wyzyskiwane dla różnorodnych celów poza produkcją pocisków. W r. 1917 siedem z nich zajmowało się remontem dział, jedna wytwarzała części dział i jedna — całe działa. Jeszcze inna — Cathcart — zajęła się w r. 1917 produkcją samolotów. Poza tym fabryki te produkowały jeszcze miotacze granatów, motory do samolotów i pociski dla armii włoskiej; pod koniec wojny pięć z pośród państwowych fabryk pocisków było zajętych głównie produkcją i remontem dział.

Czołgi.

Wynaleziony, obmyślony i wykonany przez Anglików czołg był jedyną doniosłą i efektowną inowacją, jaką zrodziła Wielka Wojna w dziedzinie zmechanizowanego sprzętu wojennego. Była to ostateczna odpowiedź Anglii na karabiny

maszynowe i systemy umocnionych okopów armii niemieckiej, i nie ulega żadnej wątpliwości że wynalazek ten pomógł bardzo poważnie Koalicji do odniesienia zwycięstwa. Mógł odegrać rolę jeszcze większą, gdyby — przy silniejszym i szerszym poparciu ze strony Ministerstwa Wojny — znalazł szybsze zastosowanie i gdyby korzystano zeń w polu w inteligentniejszy sposób. Ale nawet mimo tych błędów czołg zaoszczędził życie olbrzymiej liczbie żołnierzy angielskich i oddał nieocenione usługi *moralne* naszym wojskom, a jednocześnie szerzył przerażenie i panikę w szeregach nieprzyjacielskich.

Nie mam zamiaru rozważać tutaj spornej kwestji genezy czołgu. Pomysł fortecy ruchomej i przy tym poruszającej się mechanicznie pojawił się w niejednym wynalazczym umyśle jeszcze przed wojną. Mój związek z rozwojem tej broni zaczął się dopiero od chwili, kiedy objąłem Ministerstwo Zaopatrzenia. Na tym stanowisku, oraz później jako minister wojny i jako premier, miałem dużo do czynienia z ulepszaniem i produkcją czołgów w późniejszych fazach ich ewolucji. Zanim jeszcze zacząłem zajmować się tą sprawą, odbyły się już pierwsze próby i doświadczenia; dokonywał ich głównie Departament Lotnictwa Admiralicji przy entuzjastycznym poparciu Winstona Churchilla, dającego tym dowód wielkiego daru przewidywania.

Po raz pierwszy zetknąłem się z próbami skonstruowania maszyny, poruszającej się własnymi siłami i mogącej przedzierać się przez przeszkody i przechodzić okopy, gdy dn. 30 czerwca 1915 roku zaproszony zostałem przez Winstona Churchilla do Wormwood Scrubs na pokaz traktoru gąsienicowego, do którego przymocowane były nożyce tnące druty kolczaste; maszyny demonstrowali oficerowie lotnictwa morskiego. Nie był to czołg ani nawet nic zbliżonego do czołgu, lecz jedynie jeden z najwcześniejszych modeli eksperymentalnych, poddawanych próbom i ostatecznie porzuconych

w trakcie poszukiwania przyrządu, mogącego spełnić to właśnie zadanie, które ostatecznie czołg spełnił.

Zdziwiony byłem że tymi doświadczeniami zajmują się marynarze — głównie oficerowie i żołnierze, pełniący tymczasową służbę w oddziale samochodów opancerzonych lotnictwa morskiego. Z uzyskanych informacyj dowiedziałem się, że całą pracą eksperymentalną związaną z rozwojem tej lądowej broni zajmuje się od początku Admiralicja — pokrywając wszystkie koszty tych eksperymentów z funduszów, przeznaczonych oficjalnie na flotę, i udzielając na ten cel swojego personelu! Była to rzecz zdumiewająca. Ale zdumienie moje ustąpiło miejsca uczuciu podziwu dla Churchilla kiedy się dowiedziałem, że z pośród odpowiedzialnych osób, poinformowanych o pomyśle opancerzonego ruchomego schronu, on jeden miał dość przenikliwości, aby ocenić potencjalną wartość tego pomysłu i dość inicjatywy, aby praktycznie i materialnie poprzeć jego urzeczywistnienie.

Później dowiedziałem się, że projekt maszyny, przeznaczonej do niszczenia gniazd karabinów maszynowych i poruszającej się sposobem gąsienicowym, przedstawiony był już w październiku 1914 r. przez pułkownika armii lądowej, Swintona, który zrozumiał jak straszną bronią przeciw naszej piechocie okazały się karabiny maszynowe niemieckie; przedstawił swój pomysł sekretarzowi Komitetu Obrony Imperium, pułkownikowi Hankey'owi, ten zaś zorientował się szybko w doniosłości pomysłu. Pułkownik Swinton podtrzymał jeszcze tę sprawę na początku stycznia 1915 r., namawiając osobiście Ministerstwo Wojny do zajęcia się nią. Pułkownik Hankey zreferował pomysł Swintona — wraz z innymi jeszcze sprawami — w memoriale do Komitetu Obrony Imperium, zredagowanym 28 grudnia 1914 r. Churchill w liście do premiera z d. 5 stycznia 1915 r. również poparł projekt, a niezależnie od tego zainicjował — na szczęście — sam niezbędne próby i eksperymenty, finansowane z budżetu floty. „Na

szczęście" — gdyż chociaż Ministerstwo Wojny wyłoniło komisję do zbadania projektu, jednak po paru próbach uznało go za nieodpowiedni i postanowiło nie zajmować się nim więcej. P. Churchill oświadczył po czterech i pół latach, jako minister wojny, wobec Komisji Królewksiej dla nagradzania zasług wynalazców: „Przeprowadzone zostały pierwsze badania i doświadczenia, ale wkrótce sprawa utknęła na martwym punkcie... Doszedłem do przekonania, że rzecz nie posuwa się naprzód i że władze wojskowe (Churchill ma tu na myśli Min. Wojny) nie były wcale przekonane ani o możliwości skonstruowania takich maszyn, ani o ich ewentualnej wartości".

Zobaczywszy pokaz w Wormwood Scrubs, umówiłem się z Balfourem, nowym Pierwszym lordem Admiralicji, że Ministerstwo Zaopatrzenia weźmie na siebie produkcję czołgów, a komisja Admiralicji kontynuować będzie swoje próby. Major Albert Stern, przewodniczący komisji czołgów w Min. Zaopatrzenia, włożył wiele energii w ich produkcję.

Pierwsze owoce tej umowy zobaczyliśmy na początku lutego 1916 r., gdy wraz z Kitchenerem i licznymi oficerami armii i floty oraz przedstawicielami francuskiego sztabu generalnego asystowaliśmy przy publicznej próbie pierwszej maszyny — zwanej później „Czołgiem-Matką" — w Hatfield Park. Próba udała się najzupełniej; czołg wykonał więcej jeszcze, niż wynosiło jego zadanie. Pamiętam uczucie radosnego zdumienia, z jakim patrzałem po raz pierwszy na niezgrabnego potwora — mającego na piersi napis: „Okręt J. K. Mości Stonoga" — przedzierającego się przez grube zasieki druciane, wędrującego po głębokim błocie i unoszącego swe wielkie cielsko ponad nasypy i okopy. Nareszcie, pomyślałem, mamy odpowiedź na niemieckie druty i karabiny maszynowe. Zachwyt Balfoura był nie mniejszy niż mój, i nie bez trudu przekonaliśmy go aby wyszedł z czołgu, gdy ten „ziemny okręt

J. K. Mości" przekraczał ostatnią przeszkodę — okop szerokości kilku stóp.

Sir Wiliam Robertson był także bardzo zadowolony, ale lord Kitchener uśmiechał się drwiąco, gdy niezgrabne stworzenie toczyło się i chybotało, idąc jednak wciąż naprzód — i zauważył że artyleria unieszkodliwi je bardzo szybko. Wówczas zrobiło to na mnie zupełnie wyraźnie wrażenie, że nie jest dobrego zdania o tym wynalazku; ale odmienne światło na jego stanowisko rzuca list, który zupełnie niedawno otrzymałem od generała Roberta Wighama; gen. Wigham był w r. 1916 członkiem Rady Wojennej i towarzyszył Kitchenerowi na pokazie w Hatfield. Gen. Wigham pisze:

„...Na lordzie Kitchenerze zrobiło to wielkie wrażenie, i powiedział do sir Wiliama Robertsona, że jest to zbyt cenna broń aby robić koło niej tyle hałasu; zaraz potem odjechał, nie doczekawszy końca pokazu — pragnąc zupełnie świadomie wywołać wrażenie, że nie widzi żadnej korzyści z nowej broni. Sir Wiliam Robertson opuścił teren pokazu zaraz za nim, zabierając mnie ze sobą ku memu wielkiemu żalowi, gdyż właśnie nadchodziła moja kolej odbycia przejażdżki w czołgu! Na powrotnej drodze do Londynu sir Wiliam wytłumaczył mi powody, dla których Kitchener i on nie zostali do końca pokazu, a następnie podkreślił konieczność zachowania o czołgu kompletnej tajemnicy. Lord Kitchener — oświadczył — był nieco zaniepokojony, że na pokazie było tylu ludzi, bał się bowiem, że czołgi staną się tematem rozmów, a na skutek tego Niemcy dowiedzą się o nich. Faktem o historycznej doniosłości jest to, że po pokazie zamówiono pierwsze pięćdziesiąt czołgów i że zanim były gotowe — lord Kitchener zginął. Wiem jednak, że wiele się po nich spodziewał — wzywał mnie bowiem dość często do siebie i nieraz wracał do tego tematu w czasie

rozmowy. Bał się tylko jednego — aby zanim czołgi będą gotowe, Niemcy nie dowiedzieli się o ich istnieniu".

Podaję tutaj ten list, aby być sprawiedliwym wobec pamięci lorda Kitchenera.

Jeżeli list podaje właściwą interpretację poglądów Kitchenera, mogę tylko wyrazić ubolewanie, że nie uznał za stosowne zawiadomić mnie o nich w swoim czasie — gdy jako Minister Zaopatrzenia byłem odpowiedzialny za ich produkcję. Oczywiście bowiem dostarczanie nowej broni przypadło w udziale Ministerstwu: 12 lutego 1916 r., w kilka dni po pokazie w Hatfield, otrzymało ono oficjalne zamówienie z Ministerstwa Wojny na 100 czołgów. Wkrótce po rozpoczęciu produkcji zamówiono jeszcze dodatkowo 50 czołgów — i wytwarzanie ich odbywało się w największym pośpiechu, gdyż odpowiadały bardzo gwałtownej potrzebie; ale z produkcją czołgów wiązały się poważne trudności — maszyna była czymś zupełnie nowym, i poszczególne jej części trzeba było jeszcze improwizować. Wkrótce po rozpoczęciu bitwy nad Sommą władze wojskowe postanowiły użyć ich w akcji, jak tylko będą gotowe — aby ułatwić sobie przeprowadzenie nowej ofenzywy przed zimą; i w sierpniu 1916 r. przeszło 50 czołgów zostało przetransportowanych do Francji. 15 września, akurat w siedem miesięcy po podpisaniu oficjalnego pozwolenia na ich produkcję, 49 czołgów brało już udział w bitwie.

W sprawie czołgów nie pozbawiony również znaczenia jest fakt, że chociaż o ich produkcji musiały z konieczności wiedzieć tysiące ludzi na rozmaitych stanowiskach służbowych — rzecz utrzymano tak dobrze w tajemnicy, że pierwsze ich ukazanie się było dla nieprzyjaciela zupełną niespodzianką. Sama nazwa „tank" *) jest wyrazem faktu, że w cza-

*) „Zbiornik" *(Przyp. tłum.)*.

sie produkcji maskowano charakter nowych maszyn, sugerując nazwą, że chodzi o jakieś zbiorniki czy kotły. Pokaz w Hatfield oznaczony był na programach jako „Próba tanków".

Decyzja jednak dowództwa, aby użyć pierwszych kilkunastu czołgów we wrześniu 1916 r. w operacjach nad Sommą, mających znaczenie raczej lokalne, zamiast poczekać aż będziemy mieli do dyspozycji o wiele większą ich liczbę i przeprowadzić przy ich pomocy jakieś wielkie uderzenie — wydawała mi się zawsze błędną i niemądrą. Była ona sprzeczna z poglądami ludzi, którzy pierwsi uświadomili sobie potrzebę tego rodzaju broni, dali odpowiedni pomysł, walczyli o jego przyjęcie, wykonali szczegółowy projekt, wyprodukowali samą maszynę i wyszkolili żołnierzy, mających obsługiwać ją w polu. Popełniliśmy ten sam błąd co Niemcy w kwietniu 1915 r., gdy przez użycie gazu tylko na małym początkowo odcinku zdradzili tajemnicę nowej straszliwej broni, która, gdyby użyta była od razu na wielką skalę, mogła dać wyniki decydujące.

P. Montagu, który zajął moje miejsce w Ministerstwie Zaopatrzenia, popierał zwolenników czołgów w ich usilnych staraniach o to, aby nowe maszyny nie były użyte w akcji, zanim nie będziemy dysponowali kilkoma ich setkami wraz z odpowiednio wyszkoloną obsługą. Mówiłem o tym z premierem i prosiłem go, aby interweniował oficjalnie w tej sprawie; nie sprzeciwiał się mojemu stanowisku, ale skierował mnie do sir Wiliama Robertsona; tłumaczyłem więc z kolei jemu, aby wpłynął na Naczelnego Wodza. Odpowiedział swoim najbardziej lakonicznym stylem: „Haig chce czołgów". I w ten sposób wydaliśmy wielką tajemnicę za kupę gruzów jakiejś małej wioski nad Sommą — nie wartych aby je zdobywać.

Mimo jednak takiej decyzji Naczelnego Wodza i mimo wielkiego efektu moralnego, jaki wywołało pojawienie się czołgów w akcji — w Ministerstwie Wojny pokutowała jesz-

cze przez czas jakiś atmosfera przesądu i nieufności w stosunku do nowej broni. 26 września 1916 r. Rada Wojenna zażądała wyprodukowania dalszych 1000 czołgów; ale po pewnym czasie, gdy fabryki otrzymały już zamówienia na nowe maszyny wraz z ich licznymi częściami składowymi i kiedy skomplikowane urządzenia, niezbędne do produkcji tej masy materjału, zostały już zainstalowane, okazało się że Rada Wojenna bez mojej wiedzy cofnęła zamówienie. Wszczęłem natychmiast kroki, które doprowadziły do anulowania tej decyzji i umożliwiły dalszą produkcję czołgów.

Wiarę w czołgi zachowałem poprzez całą wojnę; nie przestałem też interesować się ich rozwojem i zastosowaniem. Nawet kiedy nie nadzorowałem już bezpośrednio ich produkcji i sposobu użycia w polu, miałem z nimi często do czynienia jako przewodniczący Komisji Wojennej gabinetu; Komisji bowiem przekazywane były sprawy, powstałe na tle różnicy zdań między właściwymi twórcami czołgów a władzami, odpowiedzialnymi za ich taktyczne zastosowanie. Rozpatrywaliśmy też sprawy opóźnień w dostawach czołgów; opóźnienia wynikały czasem z braku konsekwencji Naczelnego Dowództwa, a czasem z trudności związanych z produkcją. Chwilami żałowałem wprost, że w sprawie czołgów nie obrałem tej samej metody postępowania co w sprawie ciężkiej artylerii i karabinów maszynowych, i od początku nie zorganizowałem produkcji większej niż domagało się Ministerstwo Wojny.

Sądzę, że czołgów nie używano w sposób właściwy aż do bitwy pod Cambrai w listopadzie 1917 r. Akcja w tej bitwie, choć nie doprowadziła do wyraźnych rezultatów, nie była jednak całkiem bezpłodna, a o brak rezultatów nie można winić nowej broni; niezależnie jednak od tego uważam że bitwa pod Cambrai przejdzie do historii, jako jedno z przełomowych wydarzeń wojny, znamionujące początek nowej ery w sztuce posługiwania się dla celów wojennych mechanizmami. Mimo to, nawet po świetnym sukcesie czołgów ociągano się je-

szcze z uznaniem ich doskonałości — jako sposobu oszczędzania życia ludzkiego i jako czynnika zwycięstwa. Dopiero latem 1918 r. doczekały się ostatecznego uznania. Anglia, Francja i Stany Zjednoczone zorganizowały wspólną ich produkcję na wielką skalę, i plany dalszych operacyj na rok 1919 przewidywały działanie olbrzymiej liczby czołgów oraz traktorów na gąsienicach. Gdyby doszło do ofenzywy Koalicji w r. 1919, byłby to niepowstrzymany pochód całych chmar mechanicznych gąsienic.

Ogólne wyniki działalności Ministerstwa Zaopatrzenia.

Nie będę nużył czytelnika wszystkimi szczegółami skomplikowanych zagadnień, jakie rozwiązywać musiało Ministerstwo Zaopatrzenia. O różnorodności i złożoności tych zagadnień może dać pewne pojęcie fakt, że dostarczanie jednego tylko obiektu w postaci całkowicie wykończonego 18-funtowego pocisku wymagało wykonania i zestawienia 78 dokładnie dopasowanych części składowych — 15 na łuskę, 11 na sam pocisk, a 52 na zapalnik i inne części dodatkowe. A samych tylko głównych typów pocisków istniało 26 różnych odmian i kalibrów.

We wrześniu 1915 r., w trzy miesiące po objęciu przeze mnie Ministerstwa, produkowaliśmy 120.000 wypełnionych pocisków wszelkiego rodzaju tygodniowo; gdy obejmowałem ten urząd produkcja tygodniowa wynosiła 70.000 pocisków. W styczniu 1916 r. cyfra ta wzrosła do 238.000; a w połowie lipca 1916 r., gdy właśnie przeszedłem z Ministerstwa Zaopatrzenia do Ministerstwa Wojny, tygodniowa produkcja pocisków wyniosła 1.025.659*). Do cyfr tych nie są włączone zakupy, dokonywane przez nas zagranicą.

*) Podane cyfry nie uwzględniają wzrostu rozmiarów i wagi pocisków; największe wyniki osiągnęliśmy właśnie we wzroście produkcji pocisków ciężkich.

W chwili gdy przechodziłem do Ministrstwa Wojny, wręczono mi referat sir Waltera Laytona, który stwierdzał że „ilości, których produkcja w tempie przeciętnym 1914—1915 roku wymagałaby całych dwunastu miesięcy, obecnie mogą być dostarczone w czasie:

Pociski osiemnastofunt. — w trzy tygodnie.
Pociski do haubic polowych — w dwa tygodnie.
Pociski do dział i haubic średn. kalibru—w jedenaście dni
Pociski do ciężkich haubic — w cztery dni.

Obecna tygodniowa produkcja pierwszych trzech rodzajów pocisków równa się mniej więcej całemu zapasowi tych pocisków, jaki posiadaliśmy przed wojną. Zapasu pocisków czwartego rodzaju przed wojną wogóle nie było.

Podobnie wyglądałyby zestawienia dla innych pozycyj sprzętu wojennego".

Zaznaczyłem już wyżej, że gdy w czerwcu 1915 r. objąłem Ministerstwo Zaopatrzenia, pociski artyleryjskie wydzielane były w ilości ośmiu na baterję, t. j. dwóch na działo dziennie. Jakiż kontrast wobec takiego stanu rzeczy znajdziemy w następującym wyjątku z dziennika, prowadzonego przez pewnego oficera artylerii (dziennik umieszczony został w Księdze Pamiątkowej Artylerii Królewskiej):

„18 sierpnia, 1916. Ludzie są bardzo zmęczeni, a celowniczy prawie zupełnie wyczerpani, choć zmienialiśmy ich możliwie najczęściej. Moje armaty wystrzelały już prawie po 1000 pocisków i są tak gorące, że nie można ich niemal dotknąć... O trzeciej nad ranem otrzymałem telefonicznie zawiadomienie, że dyspozycje specjalne zostają narazie zawieszone i że mam wrócić do swoich 400 pocisków dziennie".

Ten sam oficer pisze d. 1 sierpnia 1916 r.:

Na przestrzeni mającej 400 yardów długości i 200 szerokości stoi razem 15 bateryj".

Taki sam postęp zaznaczył się w ilości armat. W chwili wybuchu wojny dysponowaliśmy ogółem 1902 działami, z czego 1573 było dział lekkich a 329 — według ówczesnych kryteriów — należało do ciężkich (o kalibrze 4,7 cali i wyższym). W przeciągu następnych 10 miesięcy, do 30 czerwca 1915 r., wyprodukowano 1105 nowych dział — 1011 lekkich i 94 ciężkie. Między 1 lipca 1915 r. i 30 czerwca 1916 r. produkcja dział wyniosła 5006—4112 lekkie i 894 ciężkie. W rezultacie liczba dział o pociskach sześciocalowych i większych wzrosła niemal pięciokrotnie.

Co do karabinów maszynowych — w okresie od sierpnia 1914 r. do końca maja 1915 r. wyprodukowano ich wszystkiego 1039 (ogólna liczba, jaką w końcu maja 1915 r. dysponowała armia wynosiła 1330, licząc w tym i przestarzałe „Maximy"); ogółem produkcja karabinów maszynowych wyniosła: w roku 1914— 287, w r. 1915 — 6102, w r. 1916 — 33,507, w r. 1917 — 79,746, w r. 1918 — 120,864, razem — 240,506. Z tej liczby dostarczyliśmy państwom sprzymierzonym 26900 — to jest dwadzieścia razy więcej, niż wynosił cały nasz stan posiadania w chwili gdy powstawało Ministerstwo Zaopatrzenia.

Co się tyczy granatów ręcznych — produkcja ich w okresie od lipca 1915 r. do czerwca 1916 r. wynosiła 27.000.000, (od sierpnia 1914 r. do czerwca 1915 r. — 68.000). Podobnie było z produkcją moździerzy polowych: wyprodukowaliśmy ich 4279, gdy przedtem Ministerstwo Wojny dostarczyło ich 312.

Aby ocenić efekt tej produkcji, najlepiej może zapoznać się z paroma raportami niemieckimi, które zacytuję. Oto co stwierdza historia 27-ej (Wirtemberskiej) Dywizji, jednej z najlepszych jakie walczyły nad Sommą:

„...Nastąpił punkt kulminacyjny, który nigdy się już potem nie powtórzył. To czego wtedy doświadczy-

liśmy przechodziło wszystkie nasze dotychczasowe wyobrażenia. Ogień nieprzyjaciela nie ustawał nawet na godzinę. W ciągu dnia i w ciągu nocy pociski padały na linie frontowe, powodując straszliwe wyrwy w szeregach obrońców; pod obstrzałem znajdowały się podejścia do linii frontu, tak że wszelkie zbliżenie się doń było dla żołnierzy piekłem; ogień sięgał i okopów rezerw i pozycyj artylerji i unicestwiał ludzi i materiał wojenny w rozmiarach, nigdy ani przedtem ani potem nie widzianych; niejednokrotnie dosięgał nawet batalionów, odpoczywających za frontem, powodując tu okropne straty. *Nasza artyleria była wobec tego ognia bezsilna...* W walkach nad Sommą w r. 1916 w dywizji panował duch heroizmu, który już nigdy potem nie wrócił, mimo że zdolność bojowa pozostała bardzo wysoka aż do końca wojny".

Dalej autor stwierdza, że żołnierze z r. 1918 nie mieli już „wytrwałości, nastroju ani ducha poświęcenia swoich poprzedników".

Kapitan von Hentig ze sztabu rezerwowej dywizji gwardii pisze:

„Somma stała się błotnistym grobem niemieckiej armii polowej; stała się zarazem grobem wiary w nieomylność niemieckiego kierownictwa, wykopanym przez przemysł brytyjski i jego pociski".

Kapitan Hierl, bystry historyk wojny, mówi o bitwie nad Sommą:

„Olbrzymia przewaga materialna nieprzyjaciela musiała wywrzeć swój efekt psychologiczny na żołnierzy niemieckich. Wodzowie nieprzyjacielscy mogą zapisać to sobie na dobro w swoim rachunku, jako czynnik swojej taktyki — wojny na wyniszczenie... Wielka przewaga ilo-

ściowa i techniczna nieprzyjaciela mogła w ten sposób przejawić się w całej pełni, podczas gdy lepsze dowództwo i lepsze wyszkolenie armij niemieckich nie przyniosło należytych owoców"...

Te świadectwa z drugiej strony frontu bojowego ukazują w sposób bezapelacyjny, jak doniosłe były sukcesy Ministerstwa w dziedzinie zaopatrzenia naszych wojsk.

Podane wyżej cyfry, dotyczące wzmożonej produkcji w latach 1915—16, ilustrują tylko pierwsze owoce wytężonej pracy, włożonej w organizację Ministerstwa. Ale jego główny tytuł do zasługi związany jest z faktem, że w samej jego organizacji przewidziano — gdyby okazała się po temu potrzeba — możliwości ekspansji. Od samego początku zadaniem Ministerstwa nie miało być tylko wyprodukowanie odpowiednich środków technicznych, umożliwiających stoczenie jakiejś jednej ostatecznej bitwy w r. 1916; w organizacji jego przyjęto odrazu założenie, że wojna trwać może lata, że długotrwałe bitwy na wielką skalę następować mogą jedna po drugiej i że zapotrzebowanie na sprzęt wojenny wszelkiego rodzaju będzie prawdopodobnie rosło a nie malało. Dlatego aż do samego końca wojny produkcja dotrzymywała kroku wzrastającemu zapotrzebowaniu na armaty, karabiny maszynowe, moździerze polowe, karabiny ręczne, pociski i materiały wybuchowe, wozy ciężarowe i czołgi.

Kiedy organizowaliśmy nasze fabryki i zamawialiśmy do nich maszyny, w kalkulacji naszej przewidywaliśmy zapotrzebowanie o wiele większe niż to, z jakim liczyły się sztaby w r. 1915. Ponieważ tak pojmowałem powierzone mi zadanie, oskarżano mnie wtedy o megalomanię. Ale w latach 1916, 1917 i 1918 generałowie byli bardzo zadowoleni że „rozdęte" plany z r. 1915 zostały całkowicie wykonane i że ilości wyprodukowanego sprzętu wystarczały zawsze, aby móc wykonać każde zapotrzebowanie nadchodzące z frontu. Było to

Ministerstwo bardzo krytykowane. Kiedy zaczęliśmy montować całą maszynę i wprowadzać jakiś porządek do dawnego chaosu, całe panujące zamieszanie przypisywano działalności nowego Ministerstwa. „Dom w budowie zawsze wygląda inaczej niż dom zbudowany" — a nas właśnie krytykowano za zewnętrzny nieład, za porozrzucane dokoła wapno i cegły, za sterczące rusztowania, niewypełniony szkielet i nieukończoną konstrukcję budynku.

Kiedy objąłem Ministerstwo Zaopatrzenia, nie istniała w tej dziedzinie żadna organizacja; kiedy je opuściłem — nie było departamentu rządowego, który by był lepiej odeń zorganizowany: chciałbym aby któryś z ówczesnych krytyków wskazał, które ze starych ministerstw stało jego zdaniem wyżej pod względem ogólnej sprawności. Zorganizowanie wielkiego przedsiębiorstwa od samych podstaw nie jest wogóle sprawą łatwą, nawet jeśli odbywa się w pomyślnych okolicznościach; staje się sprawą jeszcze trudniejszą, jeśli teren na którym wznosić się ma budowa zastawiony jest rozrzuconymi bezładnie, źle obmyślonymi i źle wykonanymi konstrukcjami. A już szczególnie trudne staje się takie zadanie w wypadku, gdy dawni dyrektorzy — od których przedsiębiorstwo zostało odebrane i którzy są zdecydowanie nieprzychylni wobec nowego kierownictwa — są w dalszym ciągu instancją decydującą w pewnych istotnych szczegółach.

Sukces, odniesiony pomimo wielkich trudności, był tryumfem tego grona zdolnych ludzi, którzy zadaniu swemu poświęcili się z całym zapałem i energią. Bez ich nieustannych wysiłków i wielkich zdolności, osiągnięcie takich rezultatów byłoby w danych warunkach zupełną niemożliwością.

W moim przekonaniu cały sukces przedsięwzięcia zależał przede wszystkim od tego, czy człowiek kierujący nim zdawać sobie będzie dokładnie sprawę z celów, jakie pragnie osiągnąć i z konkretnych kroków, jakie ma zamiar poczynić dla ich osiągnięcia. Następnie powodzenie zależało od tego, czy kie-

rownik potrafi dobrać sobie ludzi, którzy stanęliby na czele poszczególnych działów; czy zdoła wydobyć z tych ludzi — przez pobudzanie ich energii, zachętę i pomoc — maximum tego, do czego są zdolni; czy będzie miał nad wszystkim nadzór tak ścisły (nie gubiąc się jednocześnie w szczegółach), że pozwoli mu to dojrzeć, gdzie rzeczy idą źle i wydać odpowiednie zarządzenia dla usunięcia braków — wydać je przy tym w odpowiednim czasie.

Twierdzę, że jeśli chodzi o moich kompetentnych współpracowników i o mnie samego — nie zawiedliśmy naszego kraju w krytycznym momencie jego historji, kiedy to zasadnicze zadanie przypadło nam w udziale.

SPRZYMIERZENI I STANY ZJEDNOCZONE

W pierwszym okresie wojny w zakres moich obowiązków ministerialnych nie wchodziły stosunki dyplomatyczne z państwami neutralnymi. Obchodziła mnie jednak bardzo blisko postawa Stanów Zjednoczonych wobec Koalicji, ponieważ Stany były jedynym poważnym źródłem zewnętrznym, jeśli chodziło o dostawy materiału wojennego; tą zaś sprawą, jak już pisałem, zacząłem interesować się bardzo wcześnie. Jako członek pierwszej Komisji Zaopatrzenia, utworzonej w łonie gabinetu, pertraktowałem już w październiku 1914 r. w sprawie dużych zamówień w Stanach; zaś jako przewodniczący Komisji Zaopatrzenia, a później jako Minister Zaopatrzenia, zawierałem tranzakcje, na skutek których dostawy z za Atlantyku płynęły do nas strumieniem, rosnącym stopniowo aż do chwili, kiedy przygotowania do produkcji materiałów wojennych na miejscu były ukończone.

W tym okresie miałem więc specjalne powody śledzić rozwój naszych stosunków z Ameryką. Stosunki przyjazne ze Stanami były nie tylko niezbędnym warunkiem otrzymywania przez nas stałych dostaw materiału wojennego; miały także istotne znaczenie w osiągnięciu zadowalającego i sprawiedliwego rozstrzygnięcia walki — kiedykolwiek nastąpić miała chwila zawarcia pokoju.

Kiedy toczy się wojna, sytuacja krajów neutralnych jest często kłopotliwa. Będąc ze wszystkimi na stopie pokojowej, starają się one oczywiście utrzymać normalne stosunki handlowe z każdą ze stron wojujących. Ponadto, starają się możliwie wykorzystać moment przez rozszerzenie tranzakcyj i osiąganie większych zysków — pokrywając zwiększone zapotrzebo-

wanie po wyższych cenach, panujących na skutek związanych z wojną ograniczeń podaży. Ale chociaż osiągają w ten sposób większe zyski — ponoszą też większe ryzyko, i uprawnienia ich nie są zbyt skrupulatnie przestrzegane przez strony wojujące. Narody walczące o życie nie zawsze mają czas na dokładne przestrzeganie form. Wszystko co robią — robią dla wojny, i w swojej postawie wobec państw neutralnych kierują się nie konwencjami z czasów pokoju, lecz potrzebami śmiertelnej walki, jaką toczą.

Kraj więc, który pragnie pozostać neutralny za wszelką cenę, musi zapomnieć o swojej ambicji narodowej i pogodzić się z ciągłymi zadrażnieniami i naruszaniem jego interesów przez obydwie strony walczące; kompensatą za te nieprzyjemności są zwiększone zyski wojenne jego handlu zagranicznego. Jeśli neutralność powoduje dlań zbyt wielkie komplikacje, może albo uważać naruszenie jego praw przez jedną ze stron walczących za *casus belli*, albo też wmieszać się do konfliktu na zasadzie tych czy innych incydentów związanych z wojną, ale wychodząc z pewnego ogólnego poglądu na to, po której stronie jest słuszność w sporze. Tak właśnie możnaby zreferować pokrótce problem, wobec którego stanęły w czasie wojny Stany Zjednoczone. Przed wojną mocna tradycja nakazywała im trzymać się zdaleka od komplikacyj starego świata; tradycja ta wyrażała się w tezie: Ameryka jest dla Amerykan, a Europa niech nie wyciąga swojej chciwej łapy do naszego kontynentu; Ameryka ze swej strony zostawi Europę w spokoju. Aż do Wielkiej Wojny Amerykanie trzymali się tej postawy bezwzględnie i ostentacyjnie; zaraz po wojnie chcieli wrócić do niej jednym skokiem, przez wyrzeczenie się Traktatu Wersalskiego. Stopniowo jednak, pod wpływem oczywistych faktów, politycy amerykańscy musieli porzucić tę pozycję — zarówno w stosunku do Europy, jak w stosunku do Australii i Azji.

Co prawda pułkownik House, *alter ego* prezydenta Wilsona, interesował się żywo sprawami międzynarodowymi i odwiedził w lecie 1914 r. Europę w charakterze bezinteresownego i przychylnego doradcy, aby propagować polepszenie stosunków każdego państwa z wszystkimi pozostałymi. Jest zasługą pułk. House i Teodora Roosevelta, że obaj rozumieli, jak dalece dogmatyczne separowanie się Ameryki nie odpowiada już rzeczywistej sytuacji i jak dokliwie odczułaby Ameryka wszelką zawieruchę w Europie — nawet gdyby udawała, że się nią wcale nie interesuje. Jednakże wizyta sympatycznego pułkownika w Europie nie przyniosła spodziewanych owoców — o co nie można go winić. Delikatnie brzmiący głos rozumu zagłuszany był przez pomruk nadciągającej katastrofy. House znalazł serdeczne przyjęcie dla swoich poglądów w Anglii, buńczuczny militaryzm w Niemczech i chaos polityczny we Francji. Szerokie masy publiczności amerykańskiej były swymi myślami i zainteresowaniami tak daleko od tych spraw, jak gdyby działy się one na innej planecie.

W początkach wojny opinia publiczna w Stanach Zjednoczonych opowiadała się w swojej ogromnej większości tak samo zdecydowanie za zachowaniem neutralności, jak opinia publiczna w Anglii na trzy dni przed wypowiedzeniem wojny. Jeśli chodzi o sympatje opinii — w Anglii i Francji uważało się, że dominują w Ameryce sympatie dla Koalicji, chociaż wśród silnych liczebnie zamerykanizowanych Niemców Środkowego Zachodu istniał poważny odłam proniemiecki, a wśród Irlandczyków wrogi stosunek do Anglii był rzeczą chroniczną. Intelektualiści uchodzili za sympatyków Koalicji. Staranne wysondowanie poglądów panujących w uniwersytetach amerykańskich, przeprowadzone w październiku 1914 r. przez sir Gilberta Parkera, wybitnego powieściopisarza kanadyjskiego, wykazało znaczną przewagę sympatyj proalianckich. Mimo jednak tej ogólnej tendencji można śmiało powiedzieć, że na

ogół opinia w Stanach nie była ani proaliancka ani proniemiecka, ale po prostu i wyłącznie proamerykańska. Od sympatii daleko jest jeszcze do poparcia w wojnie. Prezydent Wilson spotkał się z powszechnym uznaniem, gdy w połowie sierpnia wygłosił mowę wzywającą wszystkich obywateli Stanów do zachowania ścisłej neutralności w mowie i czynie; w tym czasie nawet Teodor Roosevelt wyrażał radość, że sytuacja geograficzna pozwala Ameryce trzymać się zdala od walki. Analiza stanowiska prasy amerykańskiej, dokonana w końcu września 1914 r. przez sir Gilberta Parkera, wykazała że chociaż więcej dużych dzienników zajmuje stanowisko proalianckie, niż proniemieckie, jednak większość prasy zajmuje stanowisko zdecydowanie neutralne i traktuje obie walczące strony z zupełnym obiektywizmem.

Belgia była oddalona od Ameryki o tysiące mil. Łodzie podwodne i torpedowce niemieckie nie mogły w ciągu kilku godzin dotrzeć z Ostendy do New Yorku; armaty niemieckie w Calais nie mogły trzymać pod obstrzałem dostępu do potężnych portów amerykańskich; niemieckie Zeppeliny nie mogły rzucać bomb na Waszyngton i zabijać kobiet i dzieci w ich mieszkaniach. Wszystkie tego rodzaju rzeczy działy się bardzo daleko od Ameryki, nie możemy więc oskarżać jej o nieczułość. Trzęsienie ziemi w Japonii, w którym giną setki tysięcy ludzi, zajmuje w prasie angielskiej mniej miejsca, niż opis wypadku kolejowego pod Carlisle, którego ofiarą pada kilkanaście osób.

Niezależnie jednak od tego, kwestia po której stronie jest przewaga moralna nie była dla opinii amerykańskiej zupełnie jasna. Wielu ludzi w Anglii dziwiło się niesłusznie tej postawie Ameryki. Oburzeni brutalną napaścią Niemiec na Belgię i pełni obaw wobec groźnego potwora pruskiego militaryzmu — ludzie ci nie mogli pojąć, dlaczego wielka demokracja Nowego Świata miałaby wahać się choćby przez

chwilę w uznaniu doniosłości sprawy, dla której chwyciliśmy za broń, i nie przyłączyć się do nas w obronie wolności i sprawiedliwości.

Ale dla amerykańskiego obserwatora sprawa nie wydawała się tak prosta. 22 sierpnia 1914 r. pułkownik House pisał do Prezydenta Wilsona:

> „Najsmutniejsze dla mnie w całej sytuacji jest to, że nie widzę z niej żadnego pomyślnego wyjścia. Jeśli zwyciężą Sprzymierzeni, oznaczać to będzie przede wszystkim dominujące stanowisko Rosji na kontynencie Europy; jeśli zaś zwyciężą Niemcy, na przeciąg wielu pokoleń nastąpi tyrania niesłychanego militaryzmu".

Anglia i Francja nie zdawały sobie nigdy sprawy z tego, jakim ciężarem dla ich propagandy w krajach neutralnych był ich sojusz z carskim regimem. Ameryka wzdrygała się na myśl o jakimkolwiek ściślejszym kontakcie z rządem rosyjskim — brutalnym, despotycznym i przekupnym, przegniłym w gruncie rzeczy do dna — i ten wzgląd neutralizował w dużym stopni uoburzenie, wywołane przez tragedię Belgii. Ameryka miała również znaczną liczbę ludności irlandzkiej, odgrywającej poważną rolę w polityce kraju i wychowywanej w nienawiści do Anglii — nienawiści która była dla Irlandczyków niemal religią. Bądźmy sprawiedliwi: swoim okrutnym postępowaniem w ciągu całych stuleci Anglia stworzyła podstawy tej zakorzenionej nienawiści — i dotąd jeszcze nie zdołaliśmy odrobić fatalnego wpływu, jaki nasze postępowanie wywarło na wrażliwych i pamiętających długo doznane krzywdy Irlandczykach. Do tego trzeba jeszcze dodać, że na skutek długiej tradycji Amerykanie przyzwyczaili się uważać Anglię za despotyczną monarchję, od której chciwego uścisku uwolnili się w heroicznych walkach Wojny o Niepodległość. Były jeszcze i inne względy, przemawiające za neutralnością. Imigranci niemieccy w Ameryce stanowili element spokojny, pra-

cowity i wysoce poważany; cechy charakterystyczne tej ludności nie bardzo uzasadniały legendę o krwiożerczości pruskiej. Ponadto rozporządzali milionami głosów, które w spornych sprawach mogły przechylać szalę na jedną lub drugą stronę. Wobec takich okoliczności stanie się rzeczą jasną, dlaczego ogólna sympatia Ameryki dla Sprzymierzonych nie mogła być sympatią bez zastrzeżeń i nie szła tak daleko, aby zobowiązywać Amerykę do czegoś konkretnego. Amerykanie mogli mocno pragnąć zwycięstwa Koalicji, ale pragnienie to nie było tak silne, aby za cenę tego zwycięstwa mieli ponosić cierpliwie straty i niewygody osobiste oraz narażać na szwank interesy swoich partyj politycznych.

Reasumując co było wyżej powiedziane, Ameryka nie była związana żadnym traktatem i nie miała obowiązku wmieszać się w wojnę po którejkolwiek stronie. Chociaż opinia przeważająca (tam, gdzie wogóle istniała jakaś opinia) sądziła naogół, że Sprzymierzeni mają słuszność, jednak pogląd ten formułowany był z tyloma zastrzeżeniami, że nie mógł nakładać żadnego moralnego obowiązku udzielenia Sprzymierzonym pomocy, to znaczy — pogrążenia się samemu w piekło wojny. W takiej sytuacji zagadnienie neutralności stało się dla Ameryki zagadnieniem czysto praktycznym; a w jej interesach leżało zachowanie handlu zagranicznego, prestiżu i bezpieczeństwa obywateli amerykańskich, oraz utrzymanie młodzieży zdala od jatek wojennych. Ameryka mogła być zmuszona do walki tylko w wypadku, gdyby aktywny udział w wojnie lepiej zabezpieczał jej interesy, niż neutralność.

Sytuacja była jednak tego rodzaju, że gdy sympatie intelektualistów amerykańskich były przeważnie po stronie Koalicji, jednocześnie interesy handlu amerykańskiego narażone były na szwank na skutek działań Koalicji częściej i w sposób bardziej widoczny, niż na skutek działań Niemiec. Główna siła Niemiec była na lądzie, Anglii — na morzu. Niemiecki

najazd na Belgię i zniszczenie Francji mogły wywołać w Ameryce wybuch bezinteresownego oburzenia — ale nie uderzały po amerykańskiej kieszeni. Natomiast ostre środki, przedsięwzięte przez Anglię w celu niedopuszczenia kontrabandy do Niemiec oraz rozszerzający się wciąż zakres przedmiotów, uważanych przez nią za kontrabandę, utrudniały poważnie żeglugę amerykańską i wkraczały bezpośrednio w zawierane przez Amerykę tranzakcje handlowe. Raz po raz powstawały w związku z tym zatargi i wytwarzały się niebezpieczne stany zaognienia, od których — wydawało się — krok był tylko do zerwania stosunków dyplomatycznych. Parę razy protest brzmiał już prawie jak groźba. Protesty amerykańskie wprowadziły niewątpliwie pewną bojaźliwość do naszej polityki blokady, i Niemcy wygrywały na jej rozluźnieniu. Po pewnym czasie jednak lord Robert Cecil przykręcił znowu śrubę naszego uścisku.

Drugą znów stronę medalu stanowił fakt, że Anglia była znacznie bogatsza od każdego z pozostałych państw, prowadzących wojnę, i mogła dawać Stanom Zjednoczonym zamówienia — oraz płacić za nie gotówką — na olbrzymie ilości materiału wojennego dla siebie i swoich sojuszników. Jeśli uniemożliwialiśmy handel Ameryki z naszymi wrogami, stwarzaliśmy jej jednocześnie w W. Brytanii, Francji i Rosji ogromne rynki zbytu, dzięki którym przemysł amerykański osiągnął nienotowany nigdy przedtem poziom produkcji i rentowności. Te względy powstrzymywały rząd amerykański od kroków odwetowych w chwilach, kiedy do takich kroków miałby ochotę pod wpływem jakiegoś nowego irytującego incydentu blokady.

Poprzez rok 1914 i 1915, aż do chwili, kiedy perspektywa wyborów prezydenckich w roku 1916 zaczęła przesłaniać cały horyzont amerykański, komplikując jeszcze bardziej zagadnienie — historia stosunków Ameryki z Koalicją jest hi-

storią kraju, popychanego to w jedną to w drugą stronę, w zależności od takich czy innych powstających incydentów; każdy z tych incydentów mógł łatwo doprowadzić do wojny, gdyby nie miał przeciwwagi w postaci względów, skłaniających rząd właśnie w kierunku przeciwnym, i gdyby nie mocne postanowienie prezydenta Wilsona — dopóki to jest tylko możliwe, trzymać Amerykę zdala od wojny.

Jak już mówiłem, w pierwszych tygodniach wojny opinia Ameryki była wybitnie pro-aliancka. Nie mogliśmy się jednak zorientować, w którym kierunku idą naprawdę sympatie prezydenta Wilsona. Uważaliśmy, że musiałby chyba być jakąś istotą nadludzką, gdyby wobec olbrzymich zmagań, na które patrzał nie był sercem z jedną lub drugą stroną niezależnie od tego, co mówi czy robi. Ale Wilson zachowywał się w sposób tak demonstracyjnie nieprzyjemny dla obu stron, że i jedna i druga podejrzewała go o antypatię. Jedyna rzecz, jaką napewno wiedzieliśmy — to fakt, że Wilson surowo potępiał postępowanie Koalicji; nie rozumieliśmy, że kierowała nim obawa, aby jego osobiste sympatie nie osłabiły tej absolutnej bezstronności, jaką sam sobie narzucił.

Wkrótce jednak użytek, jaki czyniła Anglia ze swego panowania na morzach, aby odciąć Niemcy od dowozu zapasów nawet z krajów neutralnych, wywołał w Ameryce oburzenie — zwłaszcza ze strony potężnego trustu miedzianego. Miedź była niezbędna do produkcji materiału wojennego, i robiliśmy wszystko co mogliśmy, aby nie dopuścić jej dowozu do Niemiec. Gdyby Niemcy mogły korzystać tylko z własnych portów, byłaby to prosta sprawa; ale otaczały je państwa neutralne — Holandia, państwa skandynawskie, początkowo i Włochy — i przesyłki, przeznaczone rzekomo do tych państw, kierowane były w rzeczywistości do Niemiec. A Stany Zjednoczone były producentami miedzi na wielką skalę.

5 października 1914 r. sir Cecil Spring-Rice, nasz ambasador w Waszyngtonie, pisał:

„Producenci miedzi mają tutaj wielkie wpływy... Musimy znaleźć jakieś sposoby osłabienia Kruppa, nie rujnując jednocześnie amerykańskich stanów górniczych, z którymi liczy się rząd i które mają decydujące wpływy w senacie".

3 listopada pisał:

„Panujemy na morzu, i z tego względu łatwo możemy popadać w konflikt z państwami neutralnymi. Sumienie Ameryki jest po naszej stronie, ale uderzamy po amerykańskiej kieszeni. Miedź i nafta leżą Ameryce bardzo na sercu, i ich wywóz ma dla niej wielkie znaczenie. Uniemożliwiamy ten wywóz, i stąd coraz głośniejsze narzekania. Będziemy prawdopodobnie postępować tak samo dalej; ale niezadowolenie może wkrótce przybrać bardzo gwałtowne formy"...

W początkach listopada 1914 r., zgodnie z planem opracowanym przez p. Leverton Harrisa, przedstawiciel Anglii udał się do New Yorku dla załatwienia tej sprawy: miał mianowicie zakupić tam możliwie największe zapasy miedzi pod warunkiem, że producenci zobowiążą się sprzedawać ją tylko nabywcom, przez nas aprobowanym. Plan ten jednak nie doszedł do skutku; uniemożliwiony został przez wpływy niemieckie. Wówczas zaczęliśmy zatrzymywać, w Gibraltarze i gdzieindziej, wszystkie ładunki miedzi zaadresowane do krajów neutralnych; nie wypuszczaliśmy ich, dopóki nie byliśmy pewni, że przeznaczone są istotnie dla tych krajów. Rządy europejskich krajów neutralnych przyszły z pomocą swoim przemysłowcom, zakazując wszelkiego eksportu miedzi — co ułatwiło nam badanie przeznaczenia ładunków i zwalnianie tych, które szły istotnie na potrzeby neutralnego przemysłu. Następnie oświadczyliśmy producentom amerykańskim, że jeśli będą w dalszym ciągu sprzedawać miedź Niemcom — my przestaniemy ich miedź kupować, a jednocześnie zatrzy-

mywać będziemy wszystkie przesyłki miedzi z Ameryki do Europy. Dwie wielkie firmy amerykańskie szybko zawarły z nami umowę, i wkrótce większość firm gotowa była przyłączyć się do nich. Jeden z ostatnich zdecydował się wielki koncern Guggenheima; decyzję jego spowodowało oświadczenie rządu w parlamencie angielskim, gdzie w odpowiedzi na zapytanie przedstawiciel rządu stwierdził, że firmy, których dostawy do Europy mają być chronione przez umowę z nami, proszone są o zawiadomienie nas, abyśmy mogli dać im zamówienia. Na skutek tego oświadczenia koncern Guggenheima depeszował do swojego przedstawiciela w Londynie, by podpisał umowę z Admiralicją.

Z początkiem marca 1915 r. 95% miedzi amerykańskiej, przeznaczonej na eksport, było pod naszą kontrolą — i potężne wpływy trustu miedzianego przestały zagrażać naszym dobrym stosunkom z Ameryką.

Na szczęście dla Koalicji, niezadowolenie jakie wywoływało w Ameryce każde nasze posunięcie, hamujące jej stosunki handlowe, otrzymywało po bardzo krótkim czasie przeciwwagę w postaci jakiegoś jeszcze bardziej irytującego postępku Niemców. Jeśli my zatrzymywaliśmy na jesieni 1914 roku statki neutralne, żądając okazywania nam frachtów z wymienionym miejscem ostatecznego przeznaczenia, zanim pozwolimy wieźć dalej ładunek — Niemcy zakładali miny w wąskich przesmykach morskich, zatapiając okręty neutralne bez uprzedzenia, oraz brutalnie bombardowali bezbronne miejscowości kąpielowe, Scarborough i Whitby. W styczniu 1915 r. Niemcy posunęli się jeszcze dalej, rzucając bomby na miasta King's Lynn i Yarmouth, a w końcu tego miesiąca ich łodzie podwodne zapoczątkowały formę ataku, która miała w końcu wciągnąć Stany Zjednoczone do wojny — zaczęły mianowicie zatapiać na pełnym morzu nieuzbrojone statki handlowe.

Chociaż postępki te wzmogły potępienie moralne Nie-

miec przez opinię amerykańską, jednakże nasze traktowanie kontrabandy stanowiło jeszcze częstszy powód rozdrażnienia. Z dobrze poinformowanego źródła dowiedzieliśmy się w styczniu 1915 r., że zainteresowanie wojną w Stanach Zjednoczonych słabnie: „We wszystkich dziennikach które widziałem potępiano w jak najostrzejszej formie ataki lotnicze na miasta, ale te sprawy przestają zaciekawiać publiczność. Pisałem już zdaje się o znakach wskazujących, że wojna nudzi publiczność. Ostateczny dowód mieliśmy w zeszłym tygodniu, gdy opisywano trzęsienie ziemi, a wojna zepchnięta została na drugą albo trzecią stronę dzienników". Z innego zaś źródła pisano nam: „Informacje jakie mamy o flocie brytyjskiej są jednostronne. Nie słyszymy o niej prawie nigdy z wyjątkiem wypadków, gdy jakiś okręt angielski zostaje zatopiony przez niemiecką torpedę, albo gdy okręt angielski zatrzymuje amerykańskie transporty. Łatwo wyobrazić sobie, jakie niebezpieczne skutki psychologiczne wywołuje taki stan rzeczy... „Nowiny wojenne" już nie popłacają, popłaca natomiast „Utrudnianie handlu amerykańskiego". To popłaca, i ma niepożądany wpływ na to co nazywam „nastrojem napisów tytułowych".

Jeśli chodziło o ogólny nastrój Środkowego Zachodu, donoszono nam: „Armia niemiecka wzbudza podziw swoją sprawnością i odwagą, ale wszelką sympatię dla swych celów i ideałów Niemcy utracili w dniu, w którym wkroczyli do Belgii. O wojnie mówi się z ubolewaniem, jako o wydarzeniu niepotrzebnym, którego można było uniknąć, i każdy pragnie tylko szybkiego i ostatecznego pokoju. Ale musi to być pokój ostateczny, pokój bez zdecydowanego zwycięstwa nie zadowoliłby nikogo. „Z chwilą, kiedy się to zaczęło — mówią tutaj — niech się już skończy raz na zawsze". A poza tym każdy zajmuje się swoimi sprawami".

Pod koniec stycznia 1915 r. uczyniona została zręczna próba pokłócenia nas z Ameryką. Niemiecki statek handlowy

Dacia, pozostający w Ameryce od lipca, został zakupiony przez pewnego amerykańskiego Niemca, zarejestrowany jako statek amerykański i odprawiony z ładunkiem bawełny do Bremy via Rotterdam. Oświadczyliśmy, że nie uznajemy tej zmiany flagi — i Niemcy czekali w nadziei, że zaaresztujemy statek amerykański i wywołamy w ten sposób burzę w Stanach. *Dacia* została istotnie zatrzymana, ale przez flotę francuską, i spisek nie udał się. Francja była popularna w Stanach, a okręty francuskie odgrywały dotąd niewielką rolę w walce z kontrabandą. Prezydent Wilson mógł oczywiście zaprotestować wobec Francji, i uczynił to—bezskutecznie zresztą; ale ten protest nie następował po całej serii wcześniejszych protestów i wobec tego nie mógł stanowić żadnego momentu krytycznego, jakim stałby się zapewne, gdyby w tym wypadku zawiniła flota angielska.

Wkrótce potym Niemcy ogłosiły blokadę podwodną Anglii, oświadczając, że poczynając od 15 lutego 1915 r. zatopią każdy statek handlowy na morzach, otaczających wyspy brytyjskie i nie będą gwarantować bezpieczeństwa załodze ani pasażerom, nawet statków neutralnych — gdyż statki angielskie mogą na tych niebezpiecznych wodach wywieszać neutralne flagi; łodzie podwodne niemieckie nie będą więc zwracać uwagi na flagę statku. To oświadczenie spowodowało bardzo ostrą notę Prezydenta Wilsona, na którą Niemcy odpowiedzieli, że jeśli Ameryka wstrzyma wszelki wywóz materiału wojennego do państw Koalicji i poczyni kroki dla zapewnienia dowozu surowców i środków żywności do Niemiec — gotowi są poddać rewizji swoje stanowisko.

Anglia odpowiedziała na kampanię łodzi podwodnych wydaniem dekretu, który wprowadzał faktycznie całkowitą blokadę Niemiec. Wyraz „blokada'" nie był użyty, ponieważ dekret nie ograniczał się do blokowania portów niemieckich, lecz postanawiał — i to stanowiło jego treść główną — zatrzymywanie statków wiozących wszelkiego rodzaju towary,

jeśli można było przypuszczać, że towary te przeznaczone są dla Niemiec, albo że statek jest lub był niemiecki. Było to stosowanie blokady w nowym sensie — w sensie, który stał się konieczny na skutek nowoczesnego rozwoju środków transportu, czyniącego z każdego portu neutralnego możliwy port niemiecki. Szelest not, przesyłanych tam i z powrotem po przez Atlantyk, stał się oczywiście jeszcze głośniejszy i intensywniejszy.

W tym okresie pułkownik House objeżdżał państwa prowadzące wojnę, aby jako wysłannik prezydenta Wilsona wysondować możliwe do przyjęcia warunki pokoju. Jego obecność oraz zrozumienie, jakie okazał dla realnych faktów i wymogów sytuacji, przyczyniły się niewątpliwie do osłabienia tarć między nami i Ameryką. Ale jego wysiłki pokojowe skazane były na niepowodzenie. W tym stadium wojny Anglia gotowa była rozważyć zawarcie pokoju, którego podstawą byłaby odbudowa Belgii i wypłacenie jej odszkodowania; ale Niemcy nie godziły się na odbudowę i nie chciały słyszeć o odszkodowaniu.

7 maja 1915 r., podczas pobytu pułkownika House w Londynie, nadeszły wiadomości o zatopieniu *Lusitanii*. Fakt ten położył kres wszelkim możliwościom rozmów pokojowych między Anglią i Niemcami. Powstawała natomiast kwestia, czy same Stany Zjednoczone będą mogły dalej pozostawać neutralne. Pułkownik House sądził, że nie będą mogły i że nie powinny kontunuować dalej polityki neutralności.

9 maja pisał do Prezydenta Wilsona:

„...Interwencja nasza zmniejszy raczej niż zwiększy straty w ludziach.

Ameryka stanęła na rozstaju dróg i musi zdecydować, czy jest za cywilizowanymi czy za niecywilizowanymi sposobami prowadzenia wojny. Nie możemy pozostawać dłużej biernymi widzami. Od naszego postępowania

teraz zależeć będzie, jaką rolę odegramy po zawarciu pokoju i w jakim stopniu uda nam się ustalić warunki, odpowiadające trwałym interesom ludzkości. W tej chwili waży się i decyduje nasza pozycja międzynarodowa" *).

Prezydent Wilson wystosował do Niemiec ostrą notę; ale był to protest, a nie ultimatum. Ambasador austriacki w Waszyngtonie sondował opinię Bryana, sekretarza Stanu, i otrzymał zapewnienie, że Ameryka nie ma zamiaru wmieszania się w wojnę. Niezwłocznie zawiadomił o tym Berlin, który potraktował wiadomość jako zachętę do nieustępliwości wobec Wilsona: za stukaniem jego maszyny do pisania nie czaiła się zatem groźba żadnych donioślejszych grzmotów! Tymczasem House starał się doprowadzić do porozumienia, w myśl którego Niemcy zaprzestałyby wojny podwodnej, a Anglia — zatrzymywania transportów żywności do Niemiec. Sir Edward Grey gotów był rozważyć tego rodzaju propozycję**), ale nie zawiadomił o niej nigdy gabinetu; gdyby to uczynił, zostałaby przez rząd kategorycznie odrzucona. Czy przed wyrażeniem swojej zgody na tego rodzaju umowę porozumiewał się z premierem — tego powiedzieć nie mogę. Ale niezależnie od tego Niemcy, zachęcone zapewnieniem że Ameryka w żadnym wypadku nie będzie walczyć, odrzuciły propozycję twierdząc, że mają żywności pod dostatkiem, a potrzebują tylko surowców. Oczywiście nie mogło być mowy o dostarczaniu Niemcom surowców dla ich produkcji wojennej, i propozycja House'a upadła. Gdyby Niemcy przyjęły ją, cały dalszy przebieg wojny mógł ulec zmianie. W r. 1918 nie byłoby napewno w Niemczech głodu; znaczy to, że w listopadzie 1918 r. nie byłoby rewolucji, a więc wojna przedłużyłaby się o cały rok. Ale niezależnie od tego Niemcy mogły nie uciekać

---

*) *Intimate Papers* pułk. House'a, t. I, s. 434.

**) *Ib.* s. 443.

się do zatapiania wszystkich bez wyjątku okrętów — co wciągnęło Amerykę w wojnę. Raz jeszcze arogancki militaryzm niemiecki popełnił błąd, który uratował nas przed popełnieniem jednego z największych n a s z y c h błędów.

W związku z naszą polityką blokady chciałbym tu podkreślić zasługi lorda Roberta Cecila, który domagał się stosowania tej polityki w jak najszerszym zakresie i z jak największą stanowczością. Kiedy mianowany został podsekretarzem stanu 31 maja 1915 r., nasz dekret wprowadzający zarządzenia represyjne wobec Niemiec był już w mocy. Jednakże w sferach decydujących panowało wahanie co do utrzymania jego postanowień — przykładem stanowisko sir Edwarda Grey'a, który gotów był wyrzec się istotnej części dekretu na propozycję House'a. Lord Robert Cecil nie podzielał tych wahań. Zarówno na zebraniach publicznych, jak w łonie rządu domagał się ścisłego stosowania dekretu; stanowcze i śmiałe kroki miały w nim zawsze zwolennika. W tym samym kierunku działał w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. W lutym 1916 r. postanowiono utworzyć urząd Ministra Blokady, który wchodziłby w skład gabinetu i koordynował działalność w tej dziedzinie różnych departamentów i komisyj. Na to stanowisko dezygnowany był z natury rzeczy lord Robert Cecil, który zgodził się je objąć (bezpłatnie), zachowując Podsekretarjat Stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Nominacja Cecila nastąpiła 23 lutego 1916 r., i w dużym stopniu dzięki niemu właśnie blokada została dokładnie i konsekwentnie zorganizowana w skali państwowej i międzynarodowej, stając się jednym z decydujących czynników naszego ostatecznego zwycięstwa.

W ciągu roku 1915 między Niemcami i Ameryką kursowały w dalszym ciągu noty z powodu zatopienia *Lusitanii*. Fakt że tysiąc osób, nie biorących udziału w walce, mężczyzn, kobiet i dzieci — w tym przeszło stu obywateli amerykańskich — zostało w ten sposób z zimną krwią zamordowanych, wystawiał na ciężką próbę pacyfizm Prezydenta Wilsona. Wilson

wytrzymał tę próbę — chociaż Niemcy odmówiły nawet jego kilkakrotnym żądaniom, aby przynajmniej oficjalnie potępiły postępek dowódcy łodzi podwodnej. Gerard, ambasador amerykański w Berlinie, pisał 1 czerwca do pułkownika House'a: „Niemcy chcą przeciągać sprawę *Lusitanii* w nadziei, że tymczasem Amerykanie zainteresują się jakimś meczem piłki nożnej albo nowym skandalem i zapomną o niej". Prezydent Wilson ratował jak mógł pozory, oświadczając w przemówieniu, że naród amerykański jest „zbyt dumny, aby wojować". Nie mógł zdecydować się na krok, którego się domagał jego główny doradca. Teodor Roosevelt w znamienny sposób zaatakował Prezydenta za jego bezczynność:

> „Jeśli nie wystąpimy natychmiast w sposób zdecydowany i energiczny, nie spełnimy tego, czego wymaga nasz obowiązek wobec całej ludzkości, jak również w sposób jeszcze bardziej oczywisty — godność Republiki Amerykańskiej...
>
> Od wielu miesięcy rząd nasz zachowuje między słuszną i niesłuszną sprawą neutralność, która wywołałaby szczery zachwyt Poncjusza Piłata — tego arcy-wzoru neutralności wszystkich czasów..."*)

W czasie wymiany not w sprawie *Lusitanii* inny parowiec, *Arabic,* został storpedowany i zatopiony przez łódź podwodną — co skomplikowało jeszcze sytuację. Pułkownik House domagał się teraz wypowiedzenia wojny bez żadnych dalszych not, i przez czas jakiś sytuacja była niezwykle naprężona. Ale rząd niemiecki obiecał wydać dowódcom łodzi podwodnych instrukcje niezatapiania parowców pasażerskich bez ostrzeżenia, a pod bardzo silnym naciskiem posunął się nawet tak daleko, że w nieśmiały sposób zdezawuował postępek ofi-

---

*) *Fear God and Take Your Own Part,* s. 353.

cera, który zatopił *Arabica*. Te spóźnione kroki ledwo wystarczyły, aby uratować Wilsona i jego „wolę pokoju" w wyborach prezydenckich.

Sytuacji nie polepszyły wiadomości, otrzymane właśnie wówczas na skutek niedyskrecji ambasadora austriackiego: głosiły one, że ambasada austriacka, wspomagana przez niemieckiego attaché wojskowego von Papena, przygotowuje zniszczenie amerykańskich zakładów amunicyjnych, aby przeciwdziałać dostawom materiału wojennego dla Koalicji. Von Papen i Boy-Ed, attachés niemieccy, jak również ambasador austriacki Dumba, zostali odwołani; ale Prezydent Wilson w dalszym ciągu nie dał się wytrącić z równowagi. Zbliżały się właśnie wybory Prezydenta, a Wilson zdecydowany był kandydować powtórnie — stając do wyborów jako „człowiek, który nie pozwolił wciągnąć Ameryki w wojnę".

W tym okresie wśród obywateli Stanów nie istniało prawdopodobnie żadne głębokie pragnienie wzięcia udziału w wojnie. 17 września 1916 r. Spring-Rice pisał: „Większość chce robić pieniądze, a nie wojować". W listopadzie donosił, że nastrój antyniemiecki wzmaga się; coraz bardziej też popularyzuje się pogląd, że zwycięstwo Niemiec byłoby wielką klęską dla Stanów. W praktyce jednak nastroje te przejawiają się raczej w większej skłonności do robienia interesów ze Sprzymierzonymi, niż w chęci walki z Niemcami. Na początku października wypuściliśmy na rynku amerykańskim pożyczkę dla sfinansowania naszych zamówień materiału wojennego. Pożyczka wypuszczona była na ogólną sumę 500 milionów dolarów, w postaci 5-letnich kuponów z oprocentowaniem 5%; gwarantowały ją wspólnie Francja i Anglia. W ciągu dwóch dni subskrypcja pokryta została z nadwyżką 200 milionów dolarów. Jako przejaw życzliwości dla sprawy Aliantów — był to rezultat bardzo pocieszający. Ale sir Cecil Spring-Rice, pisząc 7 października 1916 r. o powodzeniu pożyczki, oświadczył znowu: „Należy w dalszym ciągu podkre-

ślić, że naród amerykański zdecydowany jest, jeśli to tylko będzie możliwe, nie brać udziału w konflikcie, i że rząd amerykański nie może przedsięwziąć nic, czego nie aprobują szerokie masy".

Tak w ogólnym zarysie wyglądała postawa Ameryki aż do zimy 1916 r., kiedy obrany powtórnie Prezydent uczynił swoją publiczną propozycję pokojową.

WPROWADZENIE W ANGLII OBOWIĄZKOWEJ SŁUŻBY WOJSKOWEJ.

Jeśli pominąć projekt milicji narodowej, jaki przedstawiłem na konferencji przywódców liberałów i konserwatystów w r. 1910, żaden polityk nie rozważał nigdy możliwości, aby Anglia zaangażowała w wojnie europejskiej siły, przekraczające naszą normalną armię regularną. Naszym ówczesnym pojęciom odpowiadała armia, stworzona przez Haldane'a. Po wybuchu wojny wydana została odezwa, nawołująca do wstępowania do szeregów i stwierdzająca, że potrzeba 100.000 ochotników; mieli oni stanowić rezerwę dla uzupełniania luk w szeregach walczącej armii. Dopiero gdy liczba ochotników przekroczyła znacznie najśmielsze nadzieje entuzjastów, rząd i parlament zrewidowały swój pogląd na rolę, jaką mieliśmy odegrać na polach tej „ostatniej bitwy".

Do tej chwili pogląd nasz na udział Anglii w wojnie zgodny był z koncepcją tradycyjną: flota nasza utrzyma do wyłącznej dyspozycji Aliantów morze, nasze bogactwo pomoże im w zakupach zagranicą; co się tyczy naszej armii — odegra ona w wojnie rolę drugorzędną. Dlaczego jednak nie wprowadzono obowiązkowej służby wojskowej z chwilą, gdy rząd postanowił zmobilizować armię na miarę kontynentalną? Byłaby to przecież niewątpliwie skuteczniejsza metoda wykorzystania rezerw ludzkich kraju.

Ale koncepcja obowiązkowej służby wojskowej była dla Anglików czymś nowym — a w Anglii ruszamy się z miejsca wolno. Wychowani na ziemi, która od wieków nie doznała obcej inwazji, przyzwyczajeni byliśmy wysyłać za morze tylko małe armie zawodowe, których szeregi — jeśli chodziło o żołnierzy-Anglików — składały się z ludzi, zgłaszających się do-

browolnie wzamian za umundurowanie i żołd królewski. Naszą narodową siłą obronną była flota, która wymaga znacznie mniej ludzi niż armia; na jej potrzeby istniała wprawdzie kiedyś — w najczarniejszych momentach wojen napoleońskich — przymusowa rekrutacja, ale z tego zwyczaju zostało już dawno tylko wspomnienie stosowanych gwałtów, a zresztą i to zaciąganie do floty pod przymusem odbywało się jedynie w portach i w ich sąsiedztwie. Byliśmy nie tylko nie przyzwyczajeni do powszechnej i obowiązkowej służby w czasie wojny, ale mieliśmy ponadto poważne tradycyjne obiekcje przeciw tworzeniu dużej siły zbrojnej, jako możliwego narzędzia tyranii i jako instytucji naruszającej wolność osobistą; poza tym wśród szerokich mas ludności istniała tendencja pogardliwego traktowania zawodu żołnierza.

W początkach wojny zresztą niewielu ludzi zdawało sobie sprawę, że będzie ona trwała długo. Uważano, że żadne państwo nie może wytrzymać długiej wojny nowoczesnej. Militaryści zgadzali się w tej sprawie z pacyfistami. „Na Boże Narodzenie będzie po wszystkim" — tak powszechnie sądzono, i mówiono sobie wobec tego: „wszystko pozostaje po staremu".

Z tych wszystkich względów uważano w sferach, które miały w sposób odpowiedzialny interpretować opinię publiczną, że byłoby rzeczą niemożliwą na samym początku wojny przeprowadzić odrazu mobilizację całego kraju, tak jak to uczyniono we Francji. Do tych względów negatywnych dołączał się jeszcze argument o charakterze pozytywnym — mianowicie rekruci-ochotnicy napływali w pierwszych miesiącach tak szybko, że władze wojskowe nie były w stanie nadążyć z wytworzeniem należytej organizacji. W ciągu pierwszych trzech miesięcy wojny do szeregów włączonych zostało 900.000 nowych rekrutów, — co daje przeciętną miesięczną 300.000 — nie licząc powołanych do szeregów rezerwistów i odbywających już przed tym służbę żołnierzy armii terytorjalnej. Wła-

dze wojskowe nie miały kwater, mundurów ani broni dla takiej ilości ludzi — nie mogły ich więc pomieścić, ubrać ani należycie wyćwiczyć. Nie tylko zatym nie potrzebowaliśmy specjalnych zarządzeń dla zapewnienia sobie rekrutów, ale musieliśmy zaostrzyć warunki zdrowotne, wymagane od ochotników, aby tym sposobem osłabić nieco ten niepowstrzymany potok ludzki.

Z biegiem czasu jednak szereg czynników spowodował zmianę sytuacji.

Jeśli chodzi o władze wojskowe, zaimprowizowały one — gdy pierwsza fala zgłoszeń minęła — pewną technikę radzenia sobie z taką nieznaną im dotąd masą ludzi. Zresztą napływ ochotników malał; w końcu roku przeciętna tygodniowa wynosiła 30.000 ludzi.

Jeszcze przed końcem r. 1914 stawało się rzeczą jasną, że w rezultacie tego samorzutnego procesu dobrowolnej rekrutacji do armii dostało się wielu ludzi, którzy byli niezbędni w swoich warsztatach, produkujących materiał wojenny, albo w innych zawodach cywilnych, również koniecznych w czasie wojny. W wielu wypadkach, na skutek swoich kwalifikacyj, doświadczenia i inteligencji, ludzie ci odgrywali w produkcji rolę kierującą, byli nie do zastąpienia. Starano się wycofać niektórych z nich z szeregów, ale wysiłki takie nie były bardzo skuteczne. Płynęła z tego oczywista nauka, że jeśli nie chcemy prowadzić wojny w sposób partacki i przegrać jej, musimy pomyśleć o inteligentniejszym wyzyskaniu naszych rezerw ludzkich.

Wojna nie skończyła się na Boże Narodzenie. Przeciwnie, zapowiadała się jako bardzo długotrwała walka, wymagając wysłania na kontynent i na inne tereny wojny armii o wiele silniejszej, niż się początkowo spodziewano, wymagająca również stałego dopływu świeżych rezerw ludzkich, kóre mogłyby zrównoważyć straty na froncie i utrzymywać liczebność armii na ustalonym poziomie.

W miarę jak naród uświadamiał sobie, że prowadzimy wojnę w skali ogromnej, wojnę na śmierć i życie — antypatia do obowiązkowej służby wojskowej słabła, pojawiało się natomiast zrozumiałe i słuszne zniecierpliwienie na widok zdrowych młodych ludzi, „dekujących się" w domu, podczas gdy ojcowie rodzin walczą w okopach.

Pod wpływem tych czynników osłabły argumenty, przemawiające za systemem dobrowolnej rekrutacji; i gdy po pewnym czasie system ten okazał się niewystarczający dla zapewnienia armii należytego dopływu rekrutów — opinia była już przygotowana do jego porzucenia.

Wśród trudności, jakie należało pokonać przed wprowadzeniem służby obowiązkowej, niepoślednią rolę odgrywał wrogi stosunek mas do zwolenników tego systemu. Opinia ludu przed wojną identyfikowała ich z przedstawicielami skrajnego „jingoizmu" *), i wobec tego sprzeciw wobec wszelkich projektów służby obowiązkowej stał się artykułem wiary socjalistów i liberałów. Agitacja za wprowadzeniem tej służby zapoczątkowana została wkrótce po wybuchu wojny przez te same sfery skrajne, które podtrzymywały wrogi stosunek polityczny do oponentów i nadawały sprawie pozory sporu partyjnego. Byłoby rzeczą o wiele łatwiejszą dla rządu wprowadzić służbę obowiązkową wcześniej, gdyby całemu zagadnieniu nie nadano odrazu takiego jaskrawo politycznego zabarwienia, wobec którego przyjęcie nowego systemu wyglądałoby na triumf szowinistów.

Mój własny pogląd na tę sprawę nie opierał się nigdy na żadnej doktrynie ortodoksyjnej. Już na długo przed wojną nabrałem przekonania, że wiele argumentów przemawia za wprowadzeniem jakiegoś powszechnego wyszkolenia wojskowego i powszechnego obowiązku obrony kraju. Mówiłem już, że poruszyłem tę sprawę w rozmowie z ambasadorem niemiec-

*) Szowinistyczny imperializm. *(Przyp. tłum.).*

kim na wiele lat przed wojną i że omawiano ją również jako zupełnie realny projekt na naradach rządu liberalnego z przywódcami konserwatystów w r. 1910.

Jeśli spojrzeć na tę sprawę z perspektywy czasu, nie może być wątpliwości, że mogliśmy zorganizować prowadzenie wojny w r. 1914 o wiele skuteczniej i doprowadzić ją do pomyślnego wyniku o wiele szybciej i ekonomiczniej, gdybyśmy od samego początku zmobilizowali do wojny cały naród — jego rezerwy ludzkie, jak również finansowe, materialne i intelektualne — i wyzyskali racjonalnie i systematycznie wszystkie istniejące zasoby dla odniesienia zwycięstwa. Pod koniec wojny osiągnęliśmy stan zbliżony do tego, ale dopiero po długim i niesłychanie szkodliwym w skutkach okresie marnotrawstwa i niezdecydowania. Trzeba jednak stwierdzić, że większość członków gabinetu oponowała przeciw poborowi nie tylko dlatego, że uważała go za przedsięwzięcie niecelowe, ale i dlatego, że w tym czasie przeciwna była samej zasadzie służby obowiązkowej, a konserwatyści nie wywierali nacisku w kierunku przeciwnym.

Z chwilą kiedy naród niemal jednomyślnie postanowił utrzymać możliwie najdłużej system dobrowolnej rekrutacji, uczynione zostało wszystko, aby system działał jak najsprawniej. Z początku posługiwano się wiecami rekrutacyjnymi, afiszami, literaturą i innymi formami odwoływania się do ludu. Kampania za rekrutacją była dobrze zorganizowana. Zapewniono sobie pomoc specjalistów od propagandy, działaczy politycznych, mówców świeckich i duchownych, agentów ogłoszeniowych; praca tych ludzi uwieńczona została wspaniałym sukcesem. Stopniowo opracowywano coraz systematyczniej metody rekrutacji, i dopiero kiedy wszystkie wezwania, superrewizje lekarskie, przyjmujące do szeregów odrzuconych przed tym ochotników i t. p. nie wystarczały dla zapewnienia odpowiedniego przypływu rekrutów — odwołaliśmy się z konieczności do służby przymusowej.

Pierwszym krokiem w kierunku systematycznej rekrutacji ochotników było zorganizowanie na początku listopada 1914 r. przez Parlamentarną Komisję Rekrutacji t. zw. „Sprawozdania właścicieli mieszkań". Sprawozdanie to zawierało spis wszystkich mężczyzn, gotowych wstąpić do szeregów i odpowiadających niezbędnym warunkom; sporządzone zostało przez wszystkich właścicieli mieszkań w Zjednoczonym Królestwie na przesłanych im formularzach. Do formularzy dołączony był list, podpisany przez przywódców trzech partyj politycznych — Asquitha, Bonar Law i Hendersona — i wzywający każdego zdatnego do służby mężczyznę, aby zadeklarował swą gotowość zgłoszenia się do szeregów.

Ta procedura, wzmocniona jeszcze przez odezwy i kampanię wiecową, utrzymywała przypływ rekrutów na stałym poziomie aż do połowy 1915 r. Gdy na początku roku, 8 stycznia, w Izbie Lordów omawiana była sprawa służby przymusowej, ówczesne oficjalne stanowisko rządu znalazło swój wyraz w oświadczeniu lorda Crewe, który powiedział: „Na razie nie widzimy — tak jak nam się w tej chwili horyzont przedstawia — możliwości odwoływania się do przymusu". Jeszcze w trzy miesiące później ja sam oświadczyłem w odpowiedzi na zapytanie w Izbie Gmin: „Rząd nie sądzi, aby istniała podstawa do przypuszczenia, że służba przymusowa przyczyniłaby się do skuteczniejszego prowadzenia wojny". Oba te oświadczenia rządu umotywowane były tym, że aż do owej chwili rekrutacja ochotnicza zapewniała dopływ takiej liczby ludzi, jaką mogliśmy wówczas wyszkolić i wyekwipować.

Że poglądy niektórych z nas na tę sprawę nie wypływały z żadnej doktryny, lecz opierały się na podstawie czysto rzeczowej, tego dowodzi ważne oświadczenie lorda Haldane'a w czasie debaty 8 stycznia 1915 r., na którą się już powoływałem. Stwierdziwszy, że jak dotąd rekrutacja dobrowolna

okazała się wystarczająca i że nie ma oznak, aby miała się załamać — Haldane dodał:

„Prawo tego kraju głosi, że obowiązkiem każdego poddanego JKMości jest pomóc królowi w odparciu ataku na kraj i w obronie Królestwa. Obowiązek ten nie wypływa z żadnego statutu, zawarty jest jednak *implicite* w naszej konstytucji. Zostało stwierdzone... że w razie niebezpieczeństwa każdy może być wezwany, aby oddał siebie i swój majątek do dyspozycji na potrzeby obrony kraju. Służba obowiązkowa nie jest więc dla naszej konstytucji rzeczą nieznaną. Sądzę, że jest naszym obowiązkiem odwołać się do niej w razie wielkiego niebezpieczeństwa, grożącego narodowi; mogę też wyobrazić sobie okoliczności, w jakich uczynilibyśmy to... W chwili niebezpieczeństwa wszelkie względy ustąpić muszą wobec interesu narodowego, i nie wyrzekniemy się dla jakichś względów zasadniczych niczego co może okazać się konieczne".

Było to ważne oświadczenie — nie tylko jako ujęcie sprawy poboru z punktu widzenia sytuacji prawnej, ale także jako dowód, że lord Haldane i myślący podobnie do niego członkowie gabinetu traktują tę sprawę wyłącznie jako zagadnienie praktyczne i nie mają wobec służby przymusowej jako takiej żadnych uprzedzeń ani obiekcyj teoretycznych. Mogę także powołać się na przemówienie wygłoszone przeze mnie w Manchesterze 3 czerwca, w którym podkreśliłem, że w samej instytucji służby obowiązkowej nie ma niczego anty-demokratycznego, że przeciwnie, w chwilach niebezpieczeństwa każda wielka demokracja odwoływała się do tego systemu, jako metody właśnie dla niej odpowiedniej, i że w razie konieczności i my nie powinniśmy się ociągać z użyciem tej broni w konflikcie obecnym.

W rzeczywistości już na długo przed utworzeniem Ministerstwa Zaopatrzenia — za którego powstanie ja byłem głównie odpowiedzialny — uświadomiłem sobie bolesny fakt, że następstwem werbunku ochotniczego w chwili, gdy wojna wymaga tak olbrzymiego wysiłku, jest chaos, żałosne marnotrawstwo i nieodpowiednie wyzyskiwanie rezerw ludzkich — tych nawet, które mieliśmy do dyspozycji. Zaczęłem domagać się stanowczo jakiegoś planu, pozwalającego na bardziej racjonalne użycie tych rezerw, i jednym z pierwszych posunięć nowego rządu, utworzonego przez Asquitha w końcu maja 1915 r. i opartego na koalicji stronnictw, było powierzenie p. Walterowi Long opracowania i wniesienia projektu prawa o t. zw. rejestrze ogólno-państwowym. Rejestr ten miał podwójne zadanie: po pierwsze, informując nas o liczebności poszczególnych roczników mężczyzn i ich rozmieszczeniu terytorialnym, pozwalał nam ustalić liczbę mężczyzn, których mogliśmy uważać za naszych potencjalnych żołnierzy; po drugie z rejestru dowiadywaliśmy się, jaką liczbą ludzi możemy dysponować, jeśli chodzi o produkcję materjału wojennego.

Pewien okres czasu upłynął na dyskutowaniu różnych spraw, podnoszonych w związku z projektem, ale ostatecznie 5 lutego projekt ustawy złożony został w parlamencie i przyjęty dużą większością głosów. Sprzeciw wobec ustawy, oparty głównie na założeniu, że jest ona wstępem do służby obowiązkowej, zgłosiła jedynie mała grupa liberałów i labourzystów — i oczywiście Mac Donald i Snowden, którzy w ciągu całej wojny sprzeciwiali się wszelkim wysiłkom zwerbowania rekrutów dla obrony sprawy narodowej. Trzy miesiące przed tym zresztą Niezależna Partia Pracy, której głównym filarem był Ramsay Mac Donald, przyjęła na swojej konferencji w Norwich rezolucję, potępiającą oficjalną Partję Pracy za jej udział w akcji werbunkowej.

Dane rejestru wykazały, że mężczyzn w wieku wojskowym, do tej chwili nie zmobilizowanych, jest w Anglii około pięciu milionów. Poważny odsetek tej liczby przypadał oczy-

wiście na niezdolnych do służby wojskowej ze względu na stan zdrowia; poza tym pewien odsetek nie podlegał mobilizacji — byli to mężczyźni pracujący w pewnych, t. zw. „zastrzeżonych" działach, których obecność uznana została za niezbędną dla produkcji (chodziło zwłaszcza o produkcję materiałów wojennych). Obliczono, że pozostałych mężczyzn — podlegających mobilizacji i zdolnych do służby — było od 1,700.000 do 1,800.000. Później okazało się, że cyfry te zbyt nisko ujmowały nasze rezerwy materiału ludzkiego.

W czasie gdy sporządzano rejestr, wyłoniona przez rząd komisja do badania naszych zasobów finansowych i rezerw materiału ludzkiego przeprowadziła w sierpniu 1915 r. studia nad sytuacją; w swoim raporcie z 2 września 1915 r. komisja stwierdziła, że werbunek ochotniczy nie pozwala nam na podjęcie wysiłku wojskowego, odpowiadającego zasobom kraju. Lord Kitchener dążył do tego, aby w drugiej połowie 1916 r. na wszystkich frontach znajdowało się 70 naszych dywizyj. Komisja uznała, że „liczba 100 dywizyj odpowiadałaby bardziej zarówno powadze położenia, jak i ofiarom, ponoszonym przez naszych sprzymierzeńców". Jeśli nawet uwzględnić całkowicie naszą działalność na morzu, oraz naszą produkcję przemysłową i ofiary finansowe, „nie można twierdzić, aby armia składająca się z 70 dywizyj reprezentowała w sposób właściwy nasz udział w linii bojowej koalicji".

Niezależnie od tego jednak komisja stwierdziła, że nawet osiągnięcie owych 70 dywizyj byłoby niemożliwe przy utrzymaniu metod dotychczasowych. Nie licząc rezerwistów i armii terytorialnej, zmobilizowanych na początku wojny, liczba ochotników, którzy zostali wcieleni do szeregów w ciągu 13 miesięcy wojny wynosiła 1,888.000 ludzi. „Sprawozdania werbunkowe z ostatnich sześciu miesięcy wykazują przeciętnie 20.000 zgłoszeń na tydzień — z czego do szeregów wcielonych zostaje prawdopodobnie 19.000". Lord Kitchener domagał się conajmniej 30.000 ludzi tygodniowo; po miesiącu podwyższył tę liczbę do 35.000. „Nawet dopływ 20.000 tygod-

niowo może być utrzymany tylko przy pomocy wielokrotnego osobistego agitowania poszczególnych osób oraz wywierania na nich wszelkiego rodzaju presji — towarzyskiej, a nawet w pewnych wypadkach ekonomicznej; presję tę trzebaby przy tym stosować wobec wszystkich mężczyzn (z wyjątkiem robotników zatrudnionych w przemyśle wojennym) — niezależnie od tego, czy są żonaci, czy mają pracę i czy w swoim zawodzie mogą być zastąpieni".

Komisja zreferowała zeznania, złożone przed nią przez ministra przemysłu, kanclerza skarbu, lorda Kitchenera i przeze mnie. Przytoczę wyjątki ze sprawozdania o moim oświadczeniu.

Zapytany przez komisję, jaką formę przymusu uważa za wskazaną, p. Lloyd George odpowiedział, że rząd powinienby mieć te same zupełnie uprawnienia, jakie ma rząd francuski. P. Lloyd George ogłosiłby, że każdy mężczyzna do pewnego określonego wieku może być powołany do wojska w kraju lub za granicą, ale tylko na czas trwania wojny. Jeśli rząd miałby tego rodzaju zasadnicze prerogatywy, „wszystko inne poszłoby dobrze".

Według sprawozdania, w moich końcowych uwagach powiedziałem:

„Nie da się uniknąć jakiejś formy przymusowej służby wojskowej. Im dłużej to odkładacie, tym bardziej zbliżamy się do katastrofy. Pewien jestem, że bez tego sobie nie poradzimy. Nie wierzę, aby bez tego nasza armia mogła trwać na froncie, chyba że świadomie zmniejszymy jej skład tak, że będzie niewystarczająca — i z góry o tym będziemy wiedzieli. Liczba ludzi, którą musimy wysłać na front, nie zależy w najmniejszym stopniu od nas: zależy od Niemców i od tego, co Niemcy przedsięwezmą w ciągu najbliższych trzech miesięcy w Rosji. Jeśli uda im się w ciągu r. 1916 zlikwidować Rosjan jako poważną siłę ofenzywną, utrzymywanie 70 dywizyj na

froncie będzie z naszej strony poprostu samobójstwem *). Więcej jeszcze — będzie to z naszej strony świadomym morderstwem, bo posyłanie na front ludzi w jawnie niewystarczającej liczbie jest mordowaniem własnych rodaków, bez osiągania jakiegokolwiek celu..."

Minister przemysłu i handlu, p. Runciman, dowodził przed komisją, że według istniejących danych statystycznych— jeśli uwzględnić poważną liczbę ludzi, którzy byliby pozostawieni w przemyśle—reszta która mogłaby być wcielona do szeregów stanowi mniej niż połowę tej liczby, którą lord Kitchener uważa za niezbędną dla utrzymania na froncie 70 dywizyj, werbunek zaś ochotniczy dać może najwyżej połowę tej reszty. Komisja uznała, że ten wywód „zdawał się wskazywać — może nieświadomie — na konieczność wprowadzenia służby obowiązkowej" (której p. Runciman był jednym z czołowych przeciwników); członkowie komisji nie zgodzili się jednak na obliczenia p. Runcimana, usuwające z liczby potencjalnych rekrutów całe wielkie grupy ludności męskiej.

P. Mac Kenna, kanclerz skarbu, dowodził w swym zeznaniu przed komisją, że Anglia nie jest w stanie udzielać pomocy finansowej swoim sprzymierzeńcom i jednocześnie utrzymywać 70 dywizyj wojska na froncie. Możemy robić jedno albo drugie — ale oba zadania razem są ponad nasze siły.

Komisja uznała jego wywody za ciekawe, lecz nie przekonywające, i przypomniała gabinetowi, że „gdy przed kilku miesiącami zaciągnięcie poważnej pożyczki w Stanach Zjednoczonych uznane zostało za zupełnie niemożliwe, a przed paru tygodniami zapewniano nas, że nie dostaniemy w żadnym razie więcej, niż 20 milionów funtów — obecnie kanclerz skarbu ma nadzieję na otrzymanie z tego źródła w ciągu bieżącego roku 100 milionów, oraz na powtórzenie tej operacji w roku przyszłym".

*) W r. 1918 mieliśmy 89 dywizyj wraz z wojskami dominiów i t. p.

Lord Kitchener oświadczył komisji, że „przed końcem roku będzie musiał domagać się od parlamentu przyjęcia ustawy, która dawałaby mu prawo przymusowego wcielania do szeregów". Dodał jednak iż żałuje, że podniesiono już teraz kwestję służby obowiązkowej — chciał bowiem wybrać odpowiedni moment i narzucić ją krajowi jako wojskową konieczność, nie mającą nic wspólnego z polityką, a tymczasem teraz debatuje się o niej z partyjnego punktu widzenia. Zanim ustali swój plan wprowadzenia służby obowiązkowej, lord Kitchener pragnąłby znać wyniki ogólnopaństwowej rejestracji.

W swoim sprawozdaniu z 2 września 1915 r. komisja stwierdzała, że „na potrzeby armii, liczącej 70 dywizyj, ludzi jest dosyć, nie uda się jednak włączyć ich do szeregów drogą werbunku ochotniczego". Komisja przedstawiła do decyzji gabinetu następujące pytania:

„Po pierwsze: czy plany, przewidujące armię o 70 dywizjach, mają być liczbowo obniżone aż do granicy, którą można będzie osiągnąć drogą zaciągu ochotniczego, czy też plany mają być przeprowadzone całkowicie przy pomocy zarządzeń przymusowych.

Po drugie: jeśli plan wystawienia 70 dywizyj ma być przeprowadzony i zasada służby obowiązkowej przyjęta, czy decyzję w tej sprawie ogłosić już teraz czy też później".

W tym okresie, jeśli chodzi o służbę obowiązkową, w gabinecie można było wyróżnić, zgruba biorąc, trzy grupy. Pierwsza uważała powszechny obowiązek wojskowy za niezbędny warunek skutecznego prowadzenia wojny i wobec tego pragnęła wprowadzić go w życie możliwie szybko. Drugi pogląd skrajny reprezentowali ludzie, którzy z zasady lub z uprzedzenia sprzeciwiali się wprowadzeniu obowiązku wojskowego i gotowi byli zwalczać tę koncepcję aż do ostatka. Stanowisko pośrednie między tymi skrajnymi skrzydłami zajmowała gru-

pa, która nie sprzeciwiała się projektowi w zasadzie i dopuszczała możliwość przyjęcia go, ale jednocześnie nie mogła się zdecydować na tak radykalną zmianę systemu, dopóki zmiana nie okazała się bezwzględną koniecznością, i to dopiero po upewnieniu się, że szerokie masy narodu aprobują ją. Zwolennicy tego poglądu przewidywali, że wszelka próba wprowadzenia służby obowiązkowej wywoła wielką opozycję, która udaremni cały projekt.

8 października 1915 r. lord Kitchener przedłożył gabinetowi memoriał o „werbunku dla potrzeb armii"; memoriał zaczynał się od ważkiego twierdzenia:

> „System zaciągu ochotniczego, tak jak jest teraz stosowany, nie dostarcza liczby rekrutów, niezbędnej do utrzymania armii w polu".

Kitchener zaproponował plan, oparty na rezultatach rejestracji i posługujący się losowaniem. Każdy okręg byłby obowiązany dostarczyć określonej liczby rekrutów, odpowiadającej liczbie zdolnych do broni mężczyzn, jaką wykazała rejestracja; jeżeli zaciąg ochotniczy nie dałby takiej liczby rekrutów — reszta byłaby powołana przymusowo drogą losowania.

Projekt ten spotkał się jednak z surową krytyką, jako skomplikowany i niepraktyczny, i wkrótce został porzucony. Zgodzono się, że jeśli nie można kontynuować dalej systemu, opartego na zaciągu ochotniczym — jedyną alternatywą jest ogólnopaństwowa służba obowiązkowa.

Przeciwnicy przymusu dowodzili w gabinecie i poza nim, że wprowadzenie służby obowiązkowej jest niewykonalne, ponieważ znajdujący się już w szeregach ochotnicy nie będą chcieli walczyć obok ludzi pociągniętych przymusowo; wobec tego włączanie do jednych i tych samych formacyj żołnierzy obu typów doprowadzi do rezultatów katastrofalnych, a z drugiej strony tworzenie oddzielnych armij: ochotniczej i pobo-

rowej jest niemożliwością. Lord Curzon zadał sobie trud zbadania tej kwestji wśród wielkiej liczby żołnierzy i oficerów we Francji, i uzyskana zupełnie jednomyślna opinia dowodziła, że obawy powyższe są bezpodstawne. Armia na froncie była stanowczo zdania że ludzie, którzy nie zechcą pójść sami, powinni być przyprowadzeni; i chociaż godzono się, że poborowi będą musieli znosić początkowo trochę kpin i docinków, uważano że to szybko minie i różnice w sposobie powołania do szeregów zostaną zapomniane.

Rzecz prosta że tak się istotnie stało, gdy służba obowiązkowa została wprowadzona. Na tym przykładzie okazało się znowu, że ludzie którzy z jakichś wyimaginowanych względów przeciwstawiali się określonej i zdecydowanej polityce — bali się w gruncie rzeczy cieniów. Nieszczęściem naszym w pierwszym okresie wojny było istnienie wśród sfer kierowniczych poważnej liczby ludzi, posiadających nieuleczalną inklinację do wykazywania, że pewne niezbędne posunięcia nie mogą, z tych czy innych względów, być dokonane. Mówiono więc nam, że nowe firmy nie mogą nauczyć się produkowania materiału wojennego; że finanse kraju nie wytrzymają nacisku wszystkich naszych potrzeb; że ludzie potrzebni w armii muszą pozostać w przemyśle; że nie potrafimy wyszkolić artylerzystów w liczbie dostatecznej na to, aby wprowadzić w życie nasz program produkcji dział ciężkiego kalibru; że ochotnicy nie będą walczyć obok poborowych — i tak dalej.

Wszystkie te argumenty zostały zdezawuowane przez fakty; ale niestety, każdy z nich służył przez dłuższy lub krótszy czas do tego, aby hamować i paraliżować wysiłki, jakie powinniśmy byli czynić, aby wygrać wojnę. Za rady tych teoretyków „niemożliwości" zapłaciliśmy miesiącami i latami przedłużonej niepotrzebnie wojny i setkami tysięcy zabitych Anglików.

Pod naciskiem obiekcyj przeciwników poboru i na skutek wahań grupy pośredniej w gabinecie, uczyniony został jeszcze jeden wysiłek zgalwanizowania zaciągu ochotniczego

i tchnienia weń nowego wigoru. Nie tylko w gabinecie, ale w całym kraju zdawano sobie sprawę, że jeśli ten ostatni plan — t. zw. plan lorda Derby — zawiedzie, wprowadzenie służby obowiązkowej stanie się rzeczą nieuniknioną.

Plan nazwany tak został dlatego, że lord Derby, chociaż od wielu lat zdecydowany zwolennik obowiązkowej służby wojskowej, zgodził się zostać kierownikiem rekrutacji i przeprowadzić ostatnią próbę zaciągu ochotniczego. Nominacja lorda Derby nastąpiła 5 października 1915 r.; na jego żądanie, z nowym stanowiskiem nie było związane żadne uposażenie ani szarża wojskowa.

Dotąd nie zostało publicznie ujawnione, kto był autorem planu, który lord Derby podjął się przeprowadzić.

Główną podstawą planu było osobiste zwracanie się do każdego mężczyzny w wieku od 18 do 41 lat; listy tych mężczyzn ustalone zostały na zasadzie omówionej wyżej rejestracji. Każdy mężczyzna wzywany był do zobowiązania się, że wstąpi do wojska, gdy władze zwrócą się do niego, przy czym władze ze swej strony zobowiązały się: podzielić wszystkich zgłoszonych mężczyzn na dwie grupy — kawalerów i żonatych, a w każdej z tych grup wyodrębnić 23 grupy wieku; powoływać mężczyzn do szeregów stopniowo, w miarę potrzeb armii, zaczynając od najmłodszej grupy kawalerów, przy czym nie miała być powołana żadna grupa żonatych, dopóki w szeregach nie znajdą się wszyscy kawalerowie.

Mężczyźni żonaci otrzymali przy tym zapewnienie, że również jeśli część kawalerów nie dotrzymałaby zobowiązania i nie zgłosiła się do szeregów, żonaci nie zostaną powołani. Takie oświadczenie złożył Asquith w mowie, którą wygłosił w Izbie Gmin 2 listopada 1915 r.:

> „Lord Derby komunikuje mi, że wśród żonatych mężczyzn, których wzywa się teraz do zgłoszenia, panują pewne wątpliwości co do tego, czy nie będą oni powołani w wypadku, jeśli kawalerowie nie spełnią swego

obowiązku i nie zgłoszą się. Wątpliwości te powinny zupełnie ustać. Jeśli chodzi o moje zdanie, uważam stanowczo, że deklaracje złożone przez żonatych nie mogą być uważane za wiążące ich, dopóki nie zostaną wcieleni do szeregów kawalerowie — mam nadzieję, że drogą dobrowolnych zgłoszeń, ale w ostatecznym wypadku, w razie potrzeby, przy pomocy innych środków".

Ta obietnica, że żonaci nie będą powołani dopóki kawalerowie nie zgłoszą się dobrowolnie, albo nie zostaną wcieleni do szeregów na mocy uchwały parlamentu — została jeszcze bardziej formalnie potwierdzona w wymianie listów między Asquithem i lordem Derby.

Uczyniono wszystko możliwe, aby plan ten uwieńczony był powodzeniem. 23 października ogłoszono specjalny apel króla „Do narodu", wzywający do poparcia planu. Instrukcje dla komitetów lokalnych, dotyczące sposobu przeprowadzania agitacji, były rozważone, zaaprobowane i podpisane wspólnie przez lorda Derby, przewodniczącego parlamentarnej komisji werbunkowej, i przez Artura Hendersona, przewodniczącego komisji werbunkowej Partii Pracy. Termin zakończenia agitacji, ustalony najprzód na dzień 30 listopada, został jeszcze przedłużony do 15 grudnia.

Rezultat był taki, jakiego można się było spodziewać. Żonaci zgłosili się licznie, pamiętając o zapewnieniu, że nie będą powołani, zanim nie zostaną wcieleni kawalerowie. Ze strony kawalerów natomiast zgłoszenia były znacznie mniej powszechne. Z pośród 2.179.000 kawalerów w wieku wojskowym, nie odbywających służby, zgłosiło się w związku z planem lorda Derby 1,150.000; nie zgłosiło się natomiast 1,029.000 — to jest prawie połowa ogólnej liczby. Z pośród tych, którzy się zgłosili, tylu odrzucono ze względów zdrowotnych i tylu zajmowało stanowiska, na których uważano ich za konieczne zostawić w interesach obrony kraju — że według obliczenia lorda Derby ostateczna liczba kawalerów, ja-

ką mogła uzyskać armia w rezultacie planu, wyniosłaby tylko 343.000 ludzi.

Wobec takich liczb było oczywiście rzeczą niemożliwą utrzymywać, że warunki wymienione w obietnicy Asquitha wobec żonatych zostały spełnione. Przeszło milion kawalerów nie zgłosiło się — i narzucała się nieuchronnie konieczność powołania ich przymusowo. Jeśli chodziło o poparcie takiej polityki w masach — domagali się jej oczywiście wszyscy żonaci, którzy zgłosili deklarację, twierdząc że powołanie ich, gdy tylu kawalerów pozostaje w domu, byłoby złamaniem danego im zobowiązania.

W tej sytuacji 5 stycznia 1916 r., po bardzo gorącej dyskusji w łonie gabinetu, uczyniony został pierwszy zdecydowany krok w kierunku wprowadzenia przymusu, gdy Asquith złożył w parlamencie projekt ustawy, powołującej do szeregów wszystkich kawalerów i wdowców (tych ostatnich, jeśli nie mieli dzieci ani rodziny na utrzymaniu) w wieku od 18 do 41 lat. Broniąc projektu przed zarzutami przeciwników poboru, w rządzie i poza rządem, Asquith dowodził, że ustawa jest koniecznością wobec obietnicy, jaką dał lordowi Derby — obietnicy, którą uważał zresztą za zgodną z ogólnymi wytycznymi polityki, przyjętymi przez gabinet. Sam Asquith był zdania, że nie istnieją jeszcze podstawy do wprowadzenia powszechnego przymusu, i sądził że ustawa poparta zostanie przez wszystkich, którzy z zasady lub — jak on sam —ze względów praktycznych są powszechnemu przymusowi przeciwni.

Nie wszyscy jednak oponenci przekonani byli jego argumentacją. Sir John Simon ustąpił z rządu, nie chcąc solidaryzować się z jakąkolwiek formą przymusowej służby wojskowej; około czterdziestu liberałów utworzyło pod jego przewodem opozycję przeciwko ustawie.

Przemawiając w debacie nad ustawą 5 stycznia 1916 r. sir John Simon oświadczył, że sprzeciwia się wszelkiemu poborowi ze względów zasadniczych; dodał przy tym, że wśród członków rządu, którzy nie ustąpili, są ludzie podzielający

zupełnie jego poglądy na tę sprawę. Była to oczywista aluzja do Mac Kenny i Runcimana, którzy bardzo ostro zwalczali projekt w łonie gabinetu, ale nie poszli w swoim sprzeciwie tak daleko, aby ustąpić z rządu. Gdy sytuacja wymagała już wyraźnego opowiedzenia się, motywowali swój sprzeciw nie względami zasadniczymi które im przypisywał sir John Simon, ale argumentem, że nie możemy pozbawiać przemysłu tylu ludzi, ilu odeń odciągnie pobór i że nie stać nas na utrzymywanie tylu ludzi w szeregach. Bezpośrednio przed wprowadzeniem w życie projektu przypuszczano naogół, że ci dwaj ministrowie ustąpią z rządu, jeśli projektu nie uda im się zmodyfikować w kierunku ograniczenia i zmniejszenia liczby ludzi, powoływanych do służby.

Redmond i nacjonaliści irlandzcy sprzeciwili się zrazu ustawie, cofnęli jednak swój sprzeciw, gdy się dowiedzieli, że Irlandia nie będzie nią objęta. Powodem tego wyjątku było to, że ustawa zrodziła się — jak wiemy — z obietnicy danej w związku z planem lorda Derby, a planu tego w Irlandii nie stosowano.

Artur Henderson wraz z Partią Pracy znalazł się w dość trudnej sytuacji naskutek uchwały, powziętej 5 stycznia na kongresie Trade-Unionów w Bristolu, która potępiła projekt rządu. Asquith zapewnił jednak Hendersona w sposób oficjalny, że ustawa nie zawiera ani nie pociąga za sobą niczego co miałoby charakter przymusowego zatrudniania robotników w przemyśle, i na skutek tych zapewnień Henderson przemawiał i głosował za ustawą. Przeciw ustawie głosowała mniejszość Partii Pracy, z Mac Donaldem, Snowdenem i Thomasem na czele.

Projekt został przeprowadzony przez wszystkie stadia ustawodawcze znaczną większością głosów, i stał się prawem 27 stycznia 1916 r. Z dniem 1 marca wszyscy mężczyźni nie żonaci, którzy nie zgłosili się już przedtym do wojska, zostali doń automatycznie zaliczeni na czas trwania wojny. Nieżonaci, którzy zgłosili się w związku z planem lorda Derby, byli

już przed tym powołani; teraz powołano też pierwszą grupę z pośród zgłoszonych dobrowolnie żonatych — mianowicie wszystkich w wieku od 19 do 27 lat.

Tak zakończył się pierwszy etap sprawy. Ale istniejący stan rzeczy nie dał się na długo utrzymać; działały tu czynniki, które w sposób nieubłagany popychały naród ku całkowitemu systemowi służby obowiązkowej.

Na wiosnę r. 1916 władze wojskowe zażądały nowych rekrutów; oznaczało to powołanie do szeregów starszych roczników mężczyzn żonatych, którzy złożyli deklaracje w związku z planem lorda Derby. Na wieść jednak o tym wybuchło silne wrzenie. Starsi ojcowie rodzin twierdzili, że zanim zostaną powołani — należy przeprowadzić znacznie dokładniejszy przegląd nieżonatych, z których wielu pozostawało w domu, zajmując „zastrzeżone" stanowiska w przemyśle. Wskazywano również na to, że młodsi mężczyźni nieżonaci, podpadający pod ustawę z 27 stycznia, powinni być wcieleni do szeregów wcześniej, niż mężczyźni starsi. Poza tym domagano się wydania zarządzeń uwalniających ludzi starszych, mających dzieci, domy i interesy — od kłopotów finansowych (dzierżawy, hipoteki i t. p.), zanim zostaną powołani do szeregów.

Długo i gorąco debatował gabinet nad tą sprawą. Odłożono na razie powołanie starszych mężczyzn żonatych, aż zagadnienie będzie należycie zbadane. Asquith obiecał, że 18 kwietnia złoży oświadczenie na temat poboru, ale tego dnia musiał odłożyć swoją deklarację na skutek różnicy zdań w gabinecie; następnego dnia, 19 kwietnia, musiał odłożyć ją znowu, gdyż różnica zdań w gabinecie była bardzo poważna i groziła rozbiciem rządu. Izba Gmin odroczyła się więc do 25 kwietnia; na ten dzień wyznaczono tajne posiedzenie Izby, na którym sprawa miała być ostatecznie zdecydowana.

Brak ludzi w armii stawał się poważny, i dotychczasowe

metody rekrutacji zawodziły. Już miesiąc przed tym, 21 marca 1916 r., szef Sztabu Generalnego sir Wiliam Robertson pisał w złożonym memoriale:

„Co się tyczy ludzi — dla dokonania owego „maksimum wysiłku" nie mamy teraz warunków o wiele lepszych... niż mieliśmy, kiedy przed trzema miesiącami podniosłem tę sprawę. W chwili obecnej piechota przebywająca poza krajem liczy o 78.000 ludzi mniej, niż wynoszą jej etaty; trzynastu dywizjom terytorialnym w kraju też brak 50.000 ludzi... Ze 193.891 powołanych na zasadzie ustawy o służbie wojskowej, 57.416 nie zgłosiło się..."

Obliczenie Rady Wojennej, dokonane 15 kwietnia 1916 roku wskazywało, że przewidywany deficyt na 30 czerwca wynosić będzie 179.000 ludzi i że chociaż poza krajem posiadamy tylko 52 dywizje, zamiast 62 — w dywizjach istniejących brak jeszcze 66.000 ludzi. Na tajnym posiedzeniu parlamentu w d. 25 kwietnia zreferowano istniejącą sytuację i premier przedstawił wnioski rządu. Jak potem oficjalnie ogłoszono, wnioski te obejmowały: przedłużenie służby żołnierzy, których termin służby upłynął, przeniesienie rekrutów z oddziałów terytorialnych do armii czynnej, szybkie wcielenie do szeregów mężczyzn, którym skończyło się odroczenie, oraz pobór wszystkich młodzieńców kończących 18 lat. Przedłożenie obejmowało też dalsze wysiłki, mające na celu pociągnięcie do służby mężczyzn żonatych, którzy nie zgłosili się dobrowolnie; projekt przewidywał, że jeśli w ciągu miesiąca nie zgłosi się 50.000 z pośród nich, i w dalszym ciągu nie będzie się zgłaszać 15.000 tygodniowo — wprowadzony będzie pobór przymusowy.

Drugie posiedzenie tajne odbyło się 26 kwietnia; następnego dnia p. Walter Long wniósł w imieniu rządu projekt ustawy, sformułowany w myśl powyższych przedłożeń;

ale projekt spotkał się z tak ostrą krytyką, że Asquith wycofał go. W owej chwili panowało już powszechne zniecierpliwienie, wszyscy mieli dosyć posunięć niezdecydowanych i półśrodków, i Asquith, z właściwym sobie zdrowym rozsądkiem, zdawał sobie jasno sprawę z panującej opinii. 2 maja oświadczył, że rząd przedstawi projekt ustawy, wprowadzającej natychmiastowy i powszechny obowiązek służby wojskowej; projekt został wniesiony 3 maja, a już 25 maja otrzymał sankcję króla. Opozycja wobec projektu była bardzo słaba: opozycyjna grupa sir Johna Simona zmalała do 27 posłów, a grupa labourzystów idących za Mac Donaldem — do 10 posłów.

Broniłem ustawy w imieniu rządu w trakcie jej drugiego czytania w Izbie Gmin, i w czasie debaty wystąpiłem przeciw powoływaniu się oponentów na względy zasadnicze; powiedziałem co następuje:

„Czekałem na tę wielką, najwyższą zasadę i dotąd jej nie usłyszałem. Czy ta ustawa niezgodna jest z zasadami liberalizmu albo demokracji? Czy niezgodne jest z zasadą demokracji, że państwo powinno domagać się pomocy i ofiar od wszystkich, gdy samo jego istnienie jest zagrożone? Nie ma i nigdy nie było kraju, któremu zagrażałoby wielkie niebezpieczeństwo wojenne i który uratowałby się bez stosowania przymusu. Nie było go nigdy! Dotyczy to państw autokratycznych, dotyczy jeszcze bardziej demokracyj. Gdzież więc ta zasada? Jestem osobiście zainteresowany w odnalezieniu jej, gdyż nazwano mnie zdrajcą zasad liberalizmu za to, że popierałem pobór przymusowy; jestem więc osobiście zainteresowany w jej poszukiwaniach. — Ale nie mogę jej znaleźć! Każda wielka demokracja, której rzucano wyzwanie, której wolności zostały zagrożone, broniła się, stosując przymus — od Grecji począwszy. Washington wywalczył niepodległość Ameryki przy pomocy zarządzeń przymusowych; Ameryka broniła swojej niepodległości w r. 1812 przy

pomocy zarządzeń przymusowych. Lincoln był nie tylko wielkim demokratą, ale kariera jego była największym tryumfem, jaki osiągnęła demokracja w dziedzinie rządzenia. Lincoln proklamował zasadę „rządów ludowych, wyłonionych przez lud i działających dla dobra ludu". i nie pozwolił tej zasady obalić, odwołując się do poboru. W czasie rewolucji francuskiej lud Francji bronił swojej świeżo uzyskanej wolności przeciwko wszystkim wysiłkom despotów europejskich, stosując pobór i zaciąg przymusowy. Francja broni się dzisiaj przy pomocy poboru. We Włoszech demokracja włoska chce uwolnić swoich uciemiężonych braci przy pomocy poboru. W Serbii chłopi serbscy bronili swoich gór, stosując zarządzenia przymusowe, i odzyskają swoje góry z powrotem przy pomocy tych samych zarządzeń. Kiedy szanowni członkowie Izby mówią, że pobór jest sprzeczny z zasadami wolności i prawdziwej demokracji — mówią to wbrew świadectwu całej historji i zdrowego rozsądku".

Powiedziałem też, że wobec niebezpieczeństwa które zagraża narodowi i które czyni krok ten koniecznym — zniósłbym raczej usunięcie mnie z mojej partii, a nawet wogóle z życia publicznego, niż miałbym odmówić projektowi mojego poparcia.

W rzeczywistości wskazywałem rządowi na konieczność wprowadzenia przymusu wojskowego już od dłuższego czasu, a o roli jaką odegrały moje wysiłki w ostatecznym przeprowadzeniu ustawy świadczyć mogą dwa listy, otrzymane wówczas przeze mnie od sir Wiliama Robertsona. W pierwszym z nich, dłuższym, Robertson był łaskaw wskazywać w gorących słowach na moją „wielką odwagę i patriotyzm"; w zakończeniu pisał: „Gdyby nie Pan, nie zostałoby to zrobione".

Drugi list jest krótszy; podaję go w całości:

Ministerstwo Wojny, 2. 5. 1916.

„Szanowny Panie! Wniesiony dzisiaj projekt ustawy powinien być dla Pana więcej niż zadośćuczynieniem za nędzne ataki, jakie pojawiły się w prasie w ostatnich dniach. Istotną rzeczą jest, byśmy mieli ustawę, a za to podziękowania całego imperium należą się Panu — Panu jednemu. Szczerze oddany, Wm. Robertson".

Te wyrazy uznania mają o tyle większe znaczenie, że sir Wiliam Robertson nie zawsze tak gorąco sympatyzował z moimi poglądami. Jeśli jednak mój zapał dla tej sprawy zyskał mi pewne uznanie w sferach niezbyt mi przychylnych, jednocześnie zaostrzył jeszcze zacięte ataki tych, dla których moja determinacja w prowadzeniu wojny bez żadnych wahań i zastrzeżeń była czymś niewłaściwym, a nawet czymś niemoralnym. Niemiły i wrogi stosunek do mnie wśród pewnej części opinii liberalnej umocnił się odtąd i zakorzenił jeszcze głębiej. Przemawiając 6 maja 1916 r. w obronie ustawy w Corway, zmuszony byłem odpowiedzieć na serię ataków na mnie ze strony pewnego wybitnego liberalnego publicysty, który był wówczas w ścisłym kontakcie z niektórymi moimi kolegami; publicysta zarzucał mi „wyrzeczenie się liberalizmu", „prowadzenie z niezwykłym zapałem wojny", i „niezgodność z poglądami szefa rządu". Co się tyczy pierwszego zarzutu — zadawał mu kłam fakt, że znaczna większość liberałów w Izbie Gmin poparła ustawę poborową. Drugiemu zarzutowi nie zaprzeczałem — bo chociaż nienawidzę wojny, uważałem że z chwilą, kiedy zdecydowaliśmy się na nią, musimy ją prowadzić skutecznie. „Dlatego nie zgadzam się z tymi, którzy sądzą zdaje się, że ponieważ wojna jest rzeczą nienawistną, powinniśmy ją prowadzić tak, aby w postępkach naszych wyczuwało się że ich żałujemy. Nigdy jeszcze niezdecydowana ręka nie zadała mocnego ciosu!"

Co się tyczy moich stosunków z Asquitem oświadczyłem:

„Pracuję wspólnie z nim dziesięć lat; od ośmiu lat jest moim szefem. Panowała między nami i panuje harmonia; ale gdyby jej nie było — muszę powiedzieć odrazu, że byłaby to moja wina, nie jego. Nie pracowałem nigdy z człowiekiem bardziej względnym i wyrozumiałym; pogardzam tym co na ten temat powiedziano. Różniliśmy się w zdaniach, tak jest. Wielkie nieba! Jakiż byłby pożytek ze mnie, jeśli miałbym zawsze to samo zdanie co on? Nie przydałbym się wtedy na nic. W ciągu lat wspólnej pracy Asquith okazał mi wiele życzliwości i źle bym mu się odpłacił, gdybym swobodnie i szczerze nie wypowiadał swoich poglądów niezależnie od tego, czy zgadzały się z jego poglądami.

Wolność słowa jest wszędzie rzeczą ważną, ale znaczenie wyjątkowe ma dla ludzi, mających służyć swoją radą. Doradca który twierdzi, że zgadza się ze wszystkim co mówi jego zwierzchnik, sprzeniewierza się swojemu zwierzchnikowi".

Gdy spoglądamy dziś na tę sprawę z perspektywy czasu, musimy uznać za rzecz niewątpliwą, że pobór był koniecznością, jeśli chcieliśmy wygrać wojnę. Bez niego zostalibyśmy pokonani — w chwili gdy Rosja, Rumunia i Serbia załamały się, a armii francuskiej groził bunt.

Wrażenie, jakie przyjęcie ustawy wywarło na sojusznikach, dodawało wiele otuchy. Lord Esher w memoriale z dnia 4 maja 1916 r. zreferował rozmowę, którą właśnie miał z Briandem. Oto jego słowa:

„P. Briand mówił z entuzjazmem i głębokim zadowoleniem o wczorajszych obradach i uchwałach angielskiego parlamentu. Pewien jest że będą one miały głębokie następstwa w Niemczech i pogłębią jeszcze rosnący w państwach centralnych niepokój co do wyniku

wojny... Przyjęcie obowiązkowej służby wojskowej w Anglii osłabi, zdaniem Brianda, nastrój i *morale* Niemców.

We Francji skutki będą jeszcze bardziej doniosłe.

Mimo wszystko co Anglia uczyniła i z czego rząd francuski dobrze sobie zdaje sprawę, że we Francji jest wciąż wielu ludzi żywiących wątpliwości co do tego, czy Anglia zdecydowana jest rzeczywiście prowadzić wojnę z całą bezwzględnością aż do końca. Dla tych ludzi przyjęcie przez parlament angielski procedury, tak obcej tradycjom i zwyczajom Anglików, stanowić będzie „coup de massue". Cały naród francuski zobaczy teraz — według słów Brianda — że Anglia zdecydowana jest ponieść wszelkie niezbędne ofiary, i wszystkie istniejące dotąd wątpliwości rozwieją się natychmiast".

Uznając konieczność wprowadzenia służby obowiązkowej, oddawałem zawsze hołd wielkim dobrowolnym ofiarom, poniesionym przez Anglików w latach 1914 i 1915, i podkreślałem doniosłość tych wysiłków. We wzmiankowanym już przemówieniu wygłoszonym w Conway 6 maja powiedziałem:

„Z tego czego naród dokonał, tworząc dobrowolnym wysiłkiem te wielkie armie, możemy być naprawdę dumni. Jest to rzecz niemal bez precedensu w historii, i wszystkie późniejsze zarządzenia przymusowe nie mogą umniejszyć naszej dumy wobec faktu, że jesteśmy pierwszym narodem w historii świata, który drogą czysto dobrowolnego werbunku zmobilizował przeszło trzy miliony ludzi dla przedsięwzięcia wojennego na wielką skalę. Był to czyn wielki, i Anglia może być z niego śmiało dumna!"

Według memoriału Komitetu Obrony Imeperialnej z 17 kwietnia 1916 r., liczba ludzi którzy aż do owej daty zaciąg-

nęli się do służby w armii i flocie, łącznie z wojskowymi, którzy odbywali służbę w chwili wybuchu wojny, wynosiła 3, 770.000. Do tego trzeba dodać mężczyzn żonatych, którzy złożyli deklaracje, ale nie byli jeszcze powołani, oraz mężczyzn nieżonatych, którzy mimo zgłoszenia do wojska zatrzymani byli na swoich stanowiskach; razem te dwie grupy wynosiły 697.000 osób, co daje ogólną liczbę 4,467.000 ochotników. Nie zostały tu włączone kontyngenty z dominiów i z Indyj; wraz z nimi nasza suma ogólna przekroczyłaby znacznie cyfrę 5,000.000 ludzi.

W dniu w którym ustawa o służbie wojskowej otrzymała sankcję korony, król wydał następujące „Orędzie do narodu":

„Pałac Buckingham, 25 maja 1916 r.

Aby umożliwić naszemu krajowi lepsze wyzyskanie jego zasobów militarnych w wielkiej walce o sprawę cywilizacji, uznałem za konieczne, idąc za radą moich ministrów, objąć obowiązkiem wojskowym wszystkich mężczyzn zdolnych do noszenia broni w wieku od 18 do 41 lat. Pragnę przy tej okazji wyrazić ludowi mojemu wdzięczność i uznanie dla wspaniałego patriotyzmu i poświęcenia, jakie okazał, wystawiając od początku wojny drogą dobrowolnych zgłoszeń nie mniej niż 5,041.000 ludzi; wysiłek ten pozostawia daleko za sobą wszystko, czego w podobnych okolicznościach zdołał dotąd dokonać jakikolwiek naród znany nam z historii, i stanowić będzie niegasnące źródło dumy dla przyszłych pokoleń. Przekonany jestem że wspaniały duch, z jakim naród mój znosił dotychczas doświadczenia tej okropnej wojny, pozwoli mu także znieść nową ofiarę, obecnie nań nałożoną i że duch ten z Bożą pomocą da nam i naszym sprzymierzeńcom zwycięstwo, zapewniające wolność Europie. Jerzy, R. I."

LORD KITCHENER: CHARAKTERYSTYKA.

Lord Kitchener jest dla mnie jedną z nierozwiązanych zagadek wojny. Czy był to wielki człowiek, czy wielkie nieporozumienie? Istniało wielu kompetentnych obserwatorów, znających go dobrze i różniących się w jego ocenie; było wielu i takich, którzy sami wypowiadali o nim sprzeczne poglądy — różnymi czasy albo nawet w tym samym czasie. Nikt jednak, kto choćby raz go widział, nie uważał go za człowieka przeciętnego, gdyż w samej jego postawie było coś, co przykuwało uwagę i było tylko jemu właściwe. To co robił dobrze, robił z jakimś specyficznym rozmachem; kiedy coś widział, wzrok jego był bardzo przenikliwy; nawet błędy jakie popełniał nie były pospolitymi błędami. Na niektóre sprawy miał poglądy dziecinne, ale nie banalne. Kiedy robił głupstwa — co się zdarza mądrym ludziom od czasu do czasu —— były to głupstwa niesłychane. Jego intuicje, improwizacje i fantazje, i nawet jego głupstwa, nie miały w sobie nic przeciętnego i pospolitego.

Pewna dama, mająca talent do złośliwych epigramów, powiedziała o nim: „To nie wielki człowiek, tylko wielki plakat". Był istotnie największym „plakatem" od czasów Boulangera, ale był poza tym czymś znacznie większym. Byłem z nim w ścisłym kontakcie w ciągu niemal dwóch lat; widywałem go wtedy przy pracy co tydzień, prawie co dzień — a mimo to nie umiałem zdać sobie ostatecznie sprawy z jego charakteru. Pewien jestem jednego — że miał przebłyski wielkości. Był jak obracająca się latarnia morska, która oświetla na chwilę potężnym światłem otaczające ciemności, a potem nagle gaśnie zupełnie.

Nie było w nim stadiów przejściowych. Od czasu do

czasu wypowiadał jakiś pogląd, albo rzucał uwagę, która swoim błyskiem rozjaśniała mroki wojny, ale czasem słyszeliśmy od niego pustą gadaninę, w której okazywał kompletną ignorancję najelementarniejszych rzeczy. Miał nieodpartą pogardę dla naszej pokojowej armii terytorialnej i dziecinną obawę przed sektą Senussich; słyszałem jak o żołnierzach terytorialnych wyrażał się, jako o bezwartościowej zbieraninie, dobrej tylko na pokaz, — a kiedyindziej rozważał z przerażeniem możliwić wdarcia się miliona kawalerzystów muzułmańskich do delty Nilu.

Czy taki był zawsze, czy też słońce tropikalne wysuszyło jego inteligencję, pozostawiając tylko oazy świeżości i płodności — o tym sądzić nie mogę, bo tylko raz jeden widziałem go dawniej, na jakieś trzy lata przed wojną. Był wtedy pełen podziwu dla armii niemieckiej, a żałosnej pogardy — dla francuskiej; „wystrzelają ich jak kuropatwy" — to było wówczas jego zdanie. Stwierdziłem, że pogląd ten nie wypływał z oceny militarnej, lecz z politycznej. Nie ma nic bardziej pustego i niedorzecznego niż poglądy polityczne, paradujące w wojskowym mundurze. Kitchener był przekonany o wyższości armii niemieckiej nad francuską, ponieważ żołnierza francuskiego zdemoralizowała rzekomo demokracja i towarzyszące jej ideje wolnościowe, nie dające się pogodzić z prawdziwą dyscypliną — podczas gdy żołnierzowi niemieckiemu wpojono posłuszeństwo wobec przełożonych. Był to pogląd częściowo słuszny i częściowo fałszywy: system niemiecki był lepszy na krótki dystans, ale demokracja francuska okazała swoją wyższość na długą metę. Autokratyczny ustrój cesarstwa niemieckiego zawalił się beznadziejnie, kiedy stanął w obliczu wielkiej porażki.

Jednostronność i reakcyjna arogancja Kitchenera przejawiły się i w inny sposób. Psychika jego pozbawiona była plastyczności, i wszelki nacisk na nią wywoływał objawy apoplektyczne. Sprzeciwiał się zdecydowanie uznaniu sekt nonkonformistycznych, nie włączonych już przedtem do oficjal-

nej listy wyznań armii; jego odmowa wyznaczenia kapelanów wojskowych dla sekt, które uważał za niepotrzebne i ekscentryczne, doprowadziła do najgwałtowniejszych scen jakie kiedykolwiek widziałem w łonie gabinetu. Armia uznawała tylko trzy czy cztery wyznania; inne, nie włączone do oficjalnej listy, nie istniały dla niego. Nie rozumiał że w armii, dziesięciokrotnie liczniejszej od zwykłych kontygentów pokojowych i skupiającej rekrutów z pośród warstw, do których nie docierał normalny pokojowy werbunek — rozmaitość wierzeń religijnych musi być z konieczności większa. Kitchener uważał że praktyki religijne, które wystarczały żołnierzom regularnym, powinny wystarczać również żołnierzom - amatorom nowej armii. Nie uświadamiał sobie zupełnie, jak doniosłe z punktu widzenia zgodnej, ogólnonarodowej współpracy było usunięcie wszelkich uzasadnionych powodów do niezadowolenia. Światło latarni morskiej w owej chwili nie świeciło. Kiedy jednak ustępował, czynił to bez zastrzeżeń. Pamiętam dobrze, że kiedy w sprawie kapelanów przegłosowany został w gabinecie, wziął papier, zaczął pisać i zwrócił się do mnie: „No więc, niech mi Pan powie nazwy tych sekt dla których chcecie kapelana. Czy tu dobrze je wypisałem: Prymitywni Baptyści, Kalwiniści — Weslejanie, Metodyści — Kongregacjonaliści...?'" Nie żartował wcale: po prostu nigdy nie słyszał poprawnych nazw tych wielkich odłamów religijnych. Podałem mu dokładne nazwy: przepisał je starannie. Natychmiast po powrocie do Ministerstwa Wojny podjął kroki, aby zaprosić przedstawicieli wszystkich tych wyznań do komisji kapelanów przy Ministerstwie; komisja ta funkcjonowała potem przez całą wojnę bez żadnych tarć.

Gdyby Kitchener był mniejszym człowiekiem i postępował tak jak to jest w zwyczaju małych ludzi, byłby udawał, że pogodził się z uchwałą gabinetu, a potem wszelkimi sposobami przeszkadzał w jej wykonaniu. Kitchener nie był może wielkim człowiekiem, ale napewno nie był człowiekiem małym; w tej sprawie w postępowaniu jego były znamiona wiel-

kości, gdyż z chwilą kiedy został pokonany — lojalnie zaakceptował porażkę.

Jego postawa wobec różnych narodowości, stanowiących ludność Zjednoczonego Królestwa, była trudniejsza do przełamania, i upór jego miał tutaj daleko sięgające i fatalne skutki. Szkoci mieli tradycyjny tytuł do odrębności wojskowej, i Kitchener traktował tę tradycję z szacunkiem. Ale chociaż Irlandczycy i Walijczycy mieli swoje odrębne pułki, Kitchener nie chciał umacniać dalej ich sentymentów narodowych, gdy na porządku dziennym stanęła sprawa oddzielnych dywizyj walijskich i irlandzkich. Kwestia dywizji walijskiej obchodziła mnie oczywiście szczególnie. Aby pobudzić rekrutację ochotniczą w Walii szereg wpływowych Walijczyków, z lordem Plymouth na czele, postanowiło zorganizować czysto walijską dywizję. W usiłowaniach tych dużą rolę odegrał pułkownik Owen Thomas. Kiedy jednak projekt przedstawiony został Kitchenerowi, sprzeciwił mu się odrazu. Wobec tego podniosłem tę sprawę w gabinecie, gdzie wywołała zażartą walkę; w końcu utworzenie dywizji zostało postanowione. Lord Kitchener zwrócił się po posiedzeniu do mnie i zapytał: „Jak się nazywa oficer, który forsował ten projekt?" Powiedziałem mu, że jest to pułkownik Owen Thomas. „Czy Pan może mi go przysłać?" — spytał, i obiecałem to uczynić. Pułkownik został niezwłocznie zawezwany do Londynu; zawiozłem go do Ministerstwa Wojny do Kitchenera. Kitchener obrzucił go straszliwym spojrzeniem i Thomas, człowiek bynajmniej nie tchórzliwy, najwyraźniej stracił się na widok tej imponującej postaci o surowej twarzy i groźnych oczach. „Pan jest pułkownikiem?" — zapytał grzmiącym głosem Kitchener; Thomas nieśmiało potwierdził. „Czy chciałby Pan zostać generałem brygady?" Thomas nie mógł się zdobyć na odpowiedź, i ja odpowiedziałem szybko za niego: „Oczywiście, że chciałby!" „Wobec tego zamianuję Pana generałem brygady i dowódcą tej dywizji walijskiej. Niech Pan ją prowadzi!" — rzekł Kitchener.

W sprawie dywizji walijskiej Kitchener zniósł swoją porażkę w sposób bardzo wielkoduszny. Ale — na nieszczęście dla kraju — nie opuściła go niechęć do dywizji irlandzkiej. Formacja ta stanowiła ostatni wysiłek biednego Johna Redmonda, aby Irlandia wzięła czynny udział w wojnie. W całej Irlandii organizował wiece werbunkowe, na których przemawiał, i wymowa jego skłoniła tysiące młodych nacjonalistów i katolików do walki pod sztandarami brytyjskimi, wzniesionymi w obronie wolności i sprawiedliwości. Brat jego, Wiliam Redmond, jeden z najbardzej lubianych członków Izby Gmin, został oficerem w tym oddziale irlandzkim; padł potem we Francji, walcząc pod sztandarem brytyjskim. Ale lord Kitchener zrobił wszystko aby stłumić zapał Redmondów. Odmawiał nominacyj oficerskich młodym wykształconym Irlandczykom, chociaż Anglicy, Szkoci czy Walijczycy zupełnie tej samej sfery i tego samego typu zostawali oficerami — bez żadnych innych powodów prócz tego, że nie podobał mu się ich nacjonalizm. Kulminacyjny incydent w tej sprawie odegrał niestety wybitną rolę w tragicznej historii stosunków angielsko-irlandzkich. Nacjonalistki irlandzkie, pełne entuzjazmu dla nowej irlandzkiej dywizji, dla Redmonda i dla sprawy, którą się głęboko przejęły, uszyły dla dywizji jedwabną chorągiew z wyhaftowanym godłem Irlandii — harfą. Jednocześnie patriotyczne panie z Ulsteru wyszyły swoje godło — czerwoną rękę — na chorągwi, którą ofiarować miały dywizji ulsterskiej. Obydwie chorągwie zostały wręczone odpowiednim dywizjom — ale tylko jedna została przyjęta. Kiedy lord Kitchener dowiedział się o zielonym sztandarze z harfą, kazał go zabrać z dywizji; ale sztandar ulsterski powiewał swobodnie nad głowami oranżystów z protestanckiej Północy. Irlandia była głęboko dotknięta: brutalny postępek uraził do żywego jej dumę i zabił w niej entuzjazm dla świętej wojny przeciw dyktaturze militarnej w Europie; John Redmond był zupełnie złamany. Powinien był odwołać się do parlamentu, ale zapewne słusznie uważał, że jest już za późno, aby

naprawić zło, które się stało. Od tej chwili wysiłki nacjonalistów irlandzkich, zmierzające do pogodzenia Irlandii z Anglią i do zjednoczenia obu narodów we wspólnej walce o wolność innego narodu, były już bezowocne; nieszczęsny rozkaz lorda Kitchenera otwierał nowy rozdział w historii Irlandii.

Jak wszyscy ludzie wybitni — Kitchener miał poczucie humoru; w swoich papierach znalazłem zabawny dokument, oświetlający tę stronę jego charakteru. Pewien marynarz walijski, internowany w Niemczech w obozie w Ruhleben, przesłał do domu list, w którym zdołał — ominąwszy czujność cenzury — powiadomić swoją rodzinę o ciężkich warunkach panujących w obozie. List został przesłany Kitchenerowi; brzmi jak następuje:

„Englisches Lager, Barake 11, Ruhleben bei Spandau, Berlin. Droga żono i dzieci! Dostałem list Wasz z 1-go i cieszę się, że jesteście zdrowi. Obawiam się, że będziemy tu długo; przeraża mnie myśl o zimie. Chciałbym być już w domu z Wami.

Mam się dalej dobrze; więcej nie wolno mi pisać. Całuję Was wszystkich i pozdrowienia dla Ciga, Tana, Menina i Siwgra, których dawno nie widziałem, ale mam nadzieję zobaczyć, gdy wrócę do domu. (Podpis.)"

Dopisek adresata listu wyjaśnia, że słowa: Cig, Tan, Menin i Siwgr znaczą po walijsku: mięso, gorący piec, masło i cukier.

Kopię listu Kitchener posłał do Sir Edwarda Grey'a i do mnie z uwagą: „Co nam może dać język walijski, kiedy mamy do czynienia z kulturalnymi Teutonami. K."

Kiedy spotkaliśmy się potem na posiedzeniu gabinetu, Kitchener jeszcze się śmiał na wspomnienie tego incydentu.

Kitchener wywierał wpływ hipnotyczny, i wpływ ten popychał całe masy ludzi do czynu. Czy był wielkim organiza-

torem? Nie wiem — chociaż widziałem największe z rzeczy, których dokonał. Posiadał niewątpliwie pewne cechy wielkiego organizatora, i to takie, które zdarzają się najrzadziej: talent do improwizacji, do porywania za sobą i przekazywania zapału innym. Miał jednak i dwie wyraźne wady: niechęć do przekazywania podwładnym odpowiedzialnych funkcyj i — rzecz jeszcze poważniejsza — nieudolność w doborze odpowiednich ludzi.

Lord Kitchener jeden z pierwszych zrozumiał, jakie będą rozmiary wojny. Kiedy większość ludzi mówiła o pokoju „przed Bożym Narodzeniem", Kitchener przepowiadał wojnę trzyletnią i — jeżeli chodzi o materiał ludzki — przygotowywał się do takiej właśnie wojny. Zażądał najprzód pół miliona, a później jeszcze miliona ochotników; wiedział że wobec środków technicznych, jakimi rozporządza, przed upływem roku nawet połowa tej liczby nie znajdzie się na polu bitwy. Istotnie — pierwszą bitwę stoczyły pierwsze dywizje tworzonej przezeń armii (t. zw. „armii K.") we wrześniu 1915 r. Poglądy jego na czas trwania wojny ulegały pewnym zmianom; na wiosnę 1915 r. przewidywał, że rezerwy niemieckie wyczerpią się już we wrześniu tegoż roku. Nic jednak nie może pomniejszyć uznania jakie należy mu się za to, że w sierpniu 1914 r. przewidywał trzyletnią kampanię i że natychmiast zaczął się do niej energicznie i rozumnie przygotowywać.

Wątpię czy ktokolwiek inny mógłby w owej chwili pociągnąć do szeregów te setki tysięcy mężczyzn, które stawiły się na jego apel. Ludzie, którzy wpadli na pomysł umieszczenia mocnej twarzy Kitchenera na plakatach, wzywających do walki „dla króla i ojczyzny" — musieli być geniuszami reklamy. Była to istotnie twarz wodza. Zdecydowane rysy, połączenie determinacji i chłodnej przenikliwości w spokojnych oczach, inteligencja widoczna w rysunku szerokich brwi — wszystko to robiło wrażenie nieugiętej siły, rodzącej otuchę i zapał. A któż w owych burzliwych dniach nie przyglądał się tym granitowym rysom, i któż — patrząc na nie — nie odczu-

wał zaufania, bez którego naród nie wzniósłby się nigdy na takie wyżyny ofiarności? Sama natura stworzyła Kitchenera na obraz i podobieństwo bohatera.

Inny dowód swojej intuicji militarnej dał Kitchener w sierpniu 1914 r., kiedy zamiar Niemców przejścia przez Belgię był jeszcze nieznany. Generał Joffre i jego doradcy byli pewni, że decydujące uderzenie przyjdzie z okolicy Ardenów i że w kierunku Mons żadne poważne siły niemieckie atakować nie będą: uważali, że drogi w tym rejonie nie nadają się do przemarszu i ustawienia wielkiej armii. Lord Kitchener był innego zdania; pamiętam wyraźnie, jak wypowiadał swoje poglądy na posiedzeniu gabinetu. Okazało się, że miał rację. Błędne obliczenia francuskiego Naczelnego Wodza o mało nie spowodowały całkowitej klęski Koalicji.

Kitchener nie nadawał się do prowadzenia wielkiej wojny w warunkach, których z wykształcenia ani z doświadczenia nie znał. Nie interesował się nigdy produkcją ciężkich dział do walki w polu, i sceptycznie oceniał celowość olbrzymiego zużycia pocisków w wojnie pozycyjnej. Nie zdawał sobie też sprawy z roli, jaką miały odegrać karabiny maszynowe.

W miarę jak operacje wojenne rozwijały się w sposób, coraz bardziej różny od jego własnych poglądów na wojnę, Kitchener stawał się coraz mniej pożyteczny, i zdanie jego miało coraz mniejszą wagę dla kolegów z gabinetu. Można śmiało powiedzieć, że w ciągu ostatnich miesięcy urzędowania w Ministerstwie Wojny był tam już tylko *un roi fainéant*. Sir Wiliam Robertson mianowany został szefem Sztabu Generalnego Imperium i otrzymał uprawnienia, które sprowadzały rolę Kitchenera do oficjalnych funkcyj ministra, podpisującego dokumenty. Zachował zewnętrzne attrybuty władzy, ale jeśli chodziło o prowadzenie wojny — musiał stosować się do poleceń Robertsona. Dla takiego jak on żołnierza była to niewątpliwie rola upokarzająca, był bowiem pod każdym względem większym człowiekiem i większym żołnierzem niż jego faktyczny zwierzchnik. Mimo to, popularność jego wśród

szerokiej publiczności nie osłabła, i aż do końca pod Ministerstwem Wojny stała zawsze grupka ludzi, pragnących choćby przelotnie go zobaczyć. I kiedy do Londynu nadeszła ponura wiadomość, że Kitchener znalazł śmierć wraz z okrętem *Hampshire* w okrutnych falach Atlantyku, na umysły ludzi padł cień przerażenia: rozmawiano o tym szeptem, jak o czymś strasznym. Wieść o przegranej bitwie nie wywołałaby nastroju takiej niepowetowanej klęski. Wielka ofenzywa niemiecka w marcu 1918 r. nie spowodowała w Anglii takiego odruchu przygnębienia, jak wiadomość o tragicznej śmierci tego niezwykłego człowieka. Nie jestem w stanie zanalizować głębiej jego zdolności i zalet; był jednak jedną z wybitnych osobistości, które wywarły niewątpliwy wpływ na przebieg wojny, a zatym — i na losy całego świata. Anglia i jej sprzymierzeńcy winni mu są wieczną wdzięczność za ogromne usługi, oddane przezeń wielkodusznie wielkiej sprawie.

W MINISTERSTWIE WOJNY.

6 czerwca 1916 r. wyszedłem z Ministerstwa Zaopatrzenia i udałem się na posiedzenie Rady Wojennej na Downing Street, 10. Zanim wszedłem do sali obrad sekretarz premiera, Bonham Carter, przywołał mnie skinieniem do swego gabinetu i wykrztusił coś na temat *Hampshire*. Zwykle spokojny i opanowany, był w tej chwili najwyraźniej przed wpływem jakiegoś wzruszenia, i słów jego nie można było niemal zrozumieć. Wreszcie zdołał zakomunikować mi osłupiającą wiadomość, że krążownik na którym lord Kitchener płynął do Rosji natknął się na minę w pobliżu wysp Orkney i że Kitchener wraz z całym sztabem zatonął. Gdy wszedłem do sali obrad zastałem premiera, sir Edwarda Grey'a, Balfoura i sir Maurice Hankey'a siedzących przy stole i najwidoczniej oszołomionych tragiczną wieścią. W tej chwili można było zdać sobie sprawę z fascynującego wpływu, jaki wywierał ten niezwykły człowiek na każdego kto się z nim zetknął. Hankey i ja zapomnieliśmy nawet w tej chwili, że gdyby nie pertraktacje z Irlandczykami — bylibyśmy na *Hampshire* z Kitchenerem, i obu nas spotkałby jego los.

Śmierć Kitchenera stwarzała lukę w Ministerstwie Wojny. Rozumiałem, że mogę otrzymać propozycję zajęcia jego miejsca; ale bynajmniej nie pragnąłem stanąć na czele Ministerstwa Wojny w istniejących warunkach. Chociaż stanowisko ministra wojny było uważane za znacznie wyższe niż ministra zaopatrzenia — w czasie wojny ustępowało tylko stanowisku premiera — jednak w ciągu poprzedzających miesięcy utraciło wiele ze swego znaczenia faktycznego. Lord Kitchener nie miał już w ostatnich czasach dawnego autorytetu, i jak wyżej już zaznaczyłem — istotne kierownictwo sprawami Mi-

nisterstwa przekazane zostało rozporządzeniem Tajnej Rady szefowi sztabu. Nie uśmiechała mi się perspektywa zostania figurantem; grałbym taką rolę źle i niechętnie. Gdyby urząd ministra wojny oznaczał istotną władzę, podporządkowaną tylko ogólnemu kierownictwu premiera i gabinetu — chętnie przyjąłbym taką propozycję; umożliwiłaby mi koordynację wysiłków i nadanie im nowego kierunku. Byłem coraz bardziej niezadowolony i zniechęcony powolnym i niemrawym tempem prac rządu, i zastanawiałem się poważnie czy nie mógłbym być bardziej pożyteczny dla kraju, gdybym zupełnie ustąpił z rządu i — jako niezależny krytyk, nie związany tradycyjną solidarnością gabinetu — domagał się w parlamencie i w kraju bardziej zdecydowanego i bardziej inteligentnego prowadzenia wojny.

Wśród papierów moich znajduje się brulion memoriału mojego z d. 17 czerwca 1916 r., w którym wyłożyłem Asquithowi moje poglądy w odpowiedzi na zaofiarowany mi przezeń urząd ministra wojny. W memoriale pisałem:

„Prosiłem Pana przed kilku dniami, abym mógł — zanim zdecyduje Pan ostatecznie sprawę Ministerstwa Wojny — przedstawić pewne moje wnioski, do których przywiązuję dużą wagę. Chciałbym odrazu uspokoić Pana pod jednym względem. W ośmioletnim okresie, w którym dane mi było pracować pod Pana kierownictwem, sprawiałem Panu od czasu do czasu niewątpliwie wiele kłopotu, ale kłopoty te nie wynikały nigdy z żadnych osobistych żądań, które bym do Pana zgłaszał. Pan był łaskaw stwierdzić to w chwili, gdy tworzył się obecny gabinet koalicyjny. Nie mam i teraz zamiaru prosić Pana o jakikolwiek awans czy względy osobiste, jak to wynikać będzie z dalszego ciągu. Zamiary moje idą w innym kierunku. To jednak ośmiela mnie do przedstawienia Panu pewnych wniosków niecierpiących zwłoki...

1. Jeżeli ma nastąpić koordynacja wysiłków i współpraca państw Koalicji, musi Pan mieć ministra wojny, który — poza tym że będzie miał pewną wyraźną indywidualność — miałby także rzeczywistą władzę i wpływ na bieg wypadków. Żaden szanujący się polityk nie zgodziłby się zajmować urzędu w upokarzających warunkach, jakim poddać się musiał biedny Kitchener w ostatnich paru miesiącach swego życia. Nieraz widziałem, jaki ból sprawiała mu ta nieznośna sytuacja. Jeśli minister nie ma decydującego głosu we wszystkich nominacjach, będzie traktowany z najwyższą pogardą we własnym ministerstwie i w całej armii. Z człowiekiem tego rodzaju nie liczyliby się alianci — a właśnie teraz jest rzeczą niesłychanie ważną, aby cieszył się wśród nich autorytetem, jeśli ma skutecznie działać w kierunku ściślejszej współpracy i koordynacji.

2. W sprawach wojskowych jest wiele dziedzin, którymi cywil zarządzać może lepiej niż wojskowy. Nie ma tu sensu powoływać się na przykład armij kontynentalnych: były to zawsze armie milionowe, i perspektywa wielkiej kariery pociągała do nich najlepsze umysły. Nasza armia była malutka i perspektywy otwierała nieliczne i ograniczone. Wojskowi o dobrej głowie powinni otrzymać zadania, których cywile wykonać nie mogą — a tak jak jest, marnuje się ich w pracy czysto kancelaryjnej. Z drugiej strony, jeżeli wojskowi używani do tego rodzaju prac nie są odpowiedni — armia cierpi na tym bardzo poważnie, i mamy marnotrawstwo nie okupione żadnym pożytkiem. Żaden wojskowy nie da sobie tego nigdy wytłumaczyć; każdy z nich ma głęboko zakorzeniony przesąd że spraw, które zawsze załatwiali wojskowi, nie można powierzać urzędnikom cywilnym.

3. Wojskowi nie kwapią się zbytnio do awansowania swoich uzdolnionych podwładnych, bo ci — jeżeli

im się poszczęści — mogą zaćmić ich samych. Nie postępują świadomie pod wpływem tej zawiści zawodowej, ale nieświadomie działa ona napewno. Wojskowi wolą na stanowisku, dającym wielkie możliwości wybicia się, człowieka całkiem przeciętnego, niż kogoś o wyjątkowych zadatkach, kto mógłby się stać ich potężnym rywalem. Tym się niewątpliwie tłumaczy parę nominacyj w armii angielskiej, a jeszcze bardziej parę wypadków, w których nominacja nie została dokonana. Szef cywilny natomiast nie miałby poczucia rywalizacji wobec wojskowych i dążyłby do tego, aby mieć urzędników możliwie najlepszych.

4. Żadnemu rozsądnemu cywilowi nie będzie się śniło wtrącać do strategii; gdyby to robił, nie nadawałby się wogóle na żadne stanowisko urzędowe. Od tego muszą być doradcy - specjaliści. Ale plany specjalisty powinny być poddawane kontroli zdrowego rozsądku, reprezentowanej przez cywila. Tak się właśnie dzieje w Komisji Wojennej rządu. Projekty wielkich przedsięwzięć strategicznych powinny być przedstawiane nie tylko ministrowi, ale i Komisji. Wojskowi nie mogą się pochwalić w tej wojnie wielkimi sukcesami. Jak dotąd, ani jeden plan powzięty i wykonany przez nich nie skończył się inaczej, jak krwawym fiaskiem.

Oto niektóre z uwag, jakie chciałem Panu przedstawić, zanim Pan powezmie decyzję. Jak już zaznaczyłem, nie jestem w tej sprawie osobiście zainteresowany. Mam zamiar postąpić teraz w myśl postanowienia, powziętego przeze mnie już dawno. Od dłuższego czasu jestem głęboko zniechęcony sposobem, w jaki prowadzimy wojnę. Niezadowolenie moje wypowiedziałem ustnie i na piśmie wobec Pana, wobec gabinetu i Komisji Wojennej. Gdyby nie to że podjąłem się zdania, którego przeprowadzenie było niezbędnym warunkiem

pomyślnych operacyj armii, byłbym już dawno poszedł w ślady Carsona, którego krytyczny stosunek do sposobu prowadzenia wojny podzielam naogół najzupełniej. Dopóki jednak mieliśmy trudności z robotnikami, dopóki organizacja, którą wraz z moimi pomocnikami stworzyłem nie wydała jęszcze owoców — uważałem, że ustąpienie równałoby się dezercji z trudnego posterunku. Teraz jednak jest już rzeczą niewątpliwą, że organizacja zaopatrzenia wojennego postawiona została należycie. Amunicja dostarczana jest w wielkich ilościach. Kiedy obejmowałem mój urząd, produkowaliśmy w kraju 70000 pocisków tygodniowo — to znaczy mniej więcej jedną szóstą tego co zużywamy dziś w ciągu tygodnia normalnej walki okopowej. Cała rezerwa amunicji wynosiła 75.000 pocisków; teraz dziennie wytwarzamy przeszło dwa razy tyle. Działa napływają setkami. Jeśli chodzi o działa ciężkie, polityka za którą ja głównie jestem odpowiedzialny — polityka, nawiasem mówiąc, którą jeden z moich kolegów nazwał w mojej obecności „czystym obłędem" i której przeciwstawiał się stale wraz z innymi — okazała się w świetle faktów jedyną drogą, mogącą zapewnić nam powodzenie. Armia nasza we Francji żąda teraz setek dział ciężkich, które nie były nigdy zamówione przez Ministerstwo Wojny. Gdyby nie to, że wbrew opiniom wszelkich możliwych autorytetów poczyniłem przygotowania do produkcji w takich rozmiarach — obecne zapotrzebowanie armii nie mogłoby być pokryte.

Wskazuję na to wszystko tylko po to aby wykazać, że Ministerstwo Zaopatrzenia powinno już móc w tej chwili funkcjonować niemal samo. Uważam zaś że moja sytuacja w rządzie jest nienormalna, ponieważ jestem zupełnie przeciwny metodom i duchowi w jakim prowadzi się wojnę. Uważam, że w ten sposób nie możemy wygrać. Przegrywamy niewątpliwie, i tylko naród sam mo-

że nas uratować. Naród nie zdaje sobie sprawy z powagi sytuacji; uważam, że powinno mu się o tym powiedzieć. Naród powinien mieć możność ratowania się — inaczej będzie miał prawo, gdy nastąpi katastrofa, zwrócić się do tych, którzy ją dziś przewidują: „Dlaczego nie powiedzieliście tego na czas?" Wiem, że Pan miał zawsze bardziej optymistyczny pogląd na sytuację, ale zgodzi się Pan chyba, że jak dotąd moje ponure przewidywania okazywały się słuszne. Obym się mylił; ale jeśli się nie mylę, uważałbym, że jawnie nie spełniam mojego obowiązku, gdybym dla utrzymania przyjemnego stanowiska nałożył sobie tłumik i nie ostrzegł na czas narodu o niebezpieczeństwie, jakie grozi krajowi. Nie jest to z mojej strony żadna nowa decyzja, jak to Panu może potwierdzić prezes Sądu Najwyższego, gdyż już przed paru miesięcami zwierzyłem mu się z moich zamiarów. Są rzeczy, które trzeba powiedzieć nie tylko u nas, ale również naszym sprzymierzeńcom — rzeczy których nie może powiedzieć człowiek wchodzący do gabinetu; a jednak, jeśli chcemy wygrać wojnę, ostrzeżenie takie jest konieczne. Z wielką trudnością powstrzymywałem się od wypowiadania moich poglądów w rozmowach; zdaję sobie sprawę, że jeśli to robię, dopóki jestem członkiem rządu, narażam się na zarzut nielojalności — jestem więc w tej nieszczęśliwej sytuacji, że muszę wybierać między nielojalnością wobec kolegów i sprzeniewierzaniem się interesom kraju.

Głęboko ubolewam nad tym, że poczucie obowiązku nakazuje mi odłączyć się od Pana i od niektórych moich kolegów, którzy okazali mi tyle względów i dobrej woli — jestem jednak głęboko przekonany, że mogę w ciężkiej godzinie przysłużyć się lepiej krajowi, nie wchodząc do rządu i wypowiadając to co mam do powiedzenia. Sądzę, że rząd traci szybko zaufanie kraju. Nie utrzyma go, jeśli przedłuży sztucznie istnienie obec-

nego parlamentu. Naród powinien móc sam określić swoją politykę i wybrać odpowiednich ludzi, którzyby ją reprezentowali; sądzę, że zwłaszcza ludzie w okopach powinni mieć możność wyboru parlamentu i polityki, od której przecież zależy życie każdego z nich. Wiem, że i w tej sprawie mojego stanowiska nie podziela część moich kolegów; nie mogę oprzeć się wrażeniu, że czyni się wysiłki, aby decyzję w tej ważnej kwestii odwlec — aż będzie już zapóźno.

Co się tyczy Irlandii — rzecz musi się wyklarować w jedną lub drugą stronę w ciągu najbliższych kilku dni; ale uważam, że nawet w załatwieniu tej sprawy mogę być bardziej pomocny, jeśli znajdować się będę poza rządem."

Memoriał ten daje dość dokładne pojęcie o moich ówczesnych poglądach na sytuację; wskazuje także częściowo powody, dla których nie chciałem objąć stanowiska ministra wojny. Jednakże po dalszych rozmowach z Asquithem, z lordem Reading, który był zdecydowanie przeciwny mojemu ustąpieniu, z Bonar Law, jak również z lordem Beaverbrook — który od tej chwili aż do rekonstrukcji rządu był obecny przy wszystkich moich rozmowach z Bonar Law na temat sposobu prowadzenia wojny — ustąpiłem wobec perswazyj i porzuciłem myśl o dymisji. Radziłem się też dobrego i starego mojego przyjaciela, sir Edwarda Russella (późniejszego lorda Russella) z *Liverpool Post*. Posłałem mu mój memoriał, ale i on wypowiedział się przeciw rezygnacji. Bonar Law dowodził, że gdybym ustąpił i poparł krytyczne wystąpienie Carsona, stanowisko jego, Bonar Law, w rządzie stałoby się niemożliwe; musiałby także ustąpić, i w ten sposób jedność narodowa przestałaby istnieć. Postanowiłem więc nie wysyłać mojego memoriału i odłożyć na razie zamiar ustąpienia z rządu. Zgodziłem się objąć Ministerstwo Wojny — żywiąc jednak co do tego poważne wątpliwości, częściowo

związane z ogólną polityką wojenną rządu, a częściowo z tym, że nie mam inklinacji do pracy, w której jestem krępowany.

6 lipca 1916 r. Asquith, który znów stał czasowo na czele Ministerstwa Wojny aż do nominacji następcy Kitchenera — przekazał mi je.

Na czele Ministerstwa stałem tylko przez pięć miesięcy — czas zbyt krótki, aby dokonać wielkich zmian w jego organizacji wewnętrznej i polityce; zwłaszcza że szef sztabu, sir Wiliam Robertson, traktował wszelkie próby wykonywania mojej władzy jako naruszenie jego specjalnych uprawnień — pokazywał więc odrazu wszystkie swoje kolce, gdy tylko podejrzewał, że zaczynam przejawiać jakieś zamiary zuchwałego „cywilnego" wtrącania się do sanktuarium spraw wojskowych. Dwa główne zadania, które udało mi się wykonać w czasie mego krótkiego urzędowania — to uporządkowanie okropnego stanu rzeczy w Mezopotamii i rekonstrukcja systemu transportu na froncie zachodnim. Spowodowałem też ożywienie działalności werbunkowej na terytoriach Imperium poza samą Anglią.

W tych sprawach, które odziedziczyłem po poprzednikach wraz z moim nowym urzędem, uważam że osiągnąłem rezultaty dodatnie. W innej, również odziedziczonej sprawie, poszło mi gorzej. Chodziło o wysłanie misji wojskowej do Rosji. Od początku wojny domagałem się od rządu nawiązania bliższego kontaktu między sprzymierzeńcami zachodnimi a Rosją. Chodziło mi nie tylko o skuteczniejszą koordynację między Wschodem i Zachodem, ale również o poczynienie kroków, mających na celu lepsze wyekwipowanie i reorganizację armii rosyjskiej.

Lord Kitchener zginął, gdy był właśnie w drodze do Rosji. Misja w której jechał była sprawą niesłychanie pilną, gdyż sytuacja tego naszego sojusznika była nadzwyczaj krytyczna; jeśli Rosja miała być uratowana od zupełnej katastrofy, było rzeczą niezbędną, aby państwa zachodnie ustaliły ścisłe

współdziałanie z nią w dziedzinie strategii, finansów i zaopatrzenia wojennego.

Lord Kitchener miał szczególne kwalifikacje do wykonania tej misji. Teraz, gdy go już nie było, powstała kwestia znalezienia kogoś odpowiedniego, kto mógłby go zastąpić.

Było rzeczą najzupełniej oczywistą, że jedyną odpowiednią osobą jest sir Wiliam Robertson. Jako Szef Sztabu Generalnego miał odpowiednie stanowisko, prestiż i kwalifikacje; ewentualną alternatywę stanowić mógł generał Haig, Wódz Naczelny, którego jednak nie można było przecież odwoływać z Francji w trakcie wielkiej ofenzywy. Robertson nie znał się co prawda na finansach, ale na to można było poradzić, posyłając wraz z nim lorda Reading, który zająłby się wszystkimi kwestiami tego rodzaju, wymagającymi rozwiązania.

Robertson wysuwał jednak obiekcje. Ofenzywa nad Sommą była właśnie w pełnym biegu, i miał w związku z nią szereg pilnych zadań do wykonania. Czas upływał, i w drugiej połowie września uznałem, że trzeba działać bez zwłoki; nadchodziła zima, a w zimie port Archangielski zamarza.

Napisałem więc następujący list do Asquitha:

„Ministerstwo Wojny, 26 września 1916 r.

Poufne.

Szanowny Panie Premierze! Zanim poweźmie Pan ostateczną decyzję w sprawie o której mówiłem z Panem dziś rano — a uważam za bardzo ważne, aby coś w tym kierunku zostało uczynione — chciałbym raz jeszcze zreferować Panu względy, dla których uważam akcję w tej materii za rzecz konieczną. Sądzę tak zresztą nie od dzisiaj.

1. Ton niektórych oświadczeń, nadsyłanych nam z Petrogradu, wskazuje na poważne rozdrażnienie, panu-

jące w stosunku do nas w rosyjskich sferach oficjalnych, a zwłaszcza w sferach wojskowych.

2. Na skutek ostatnich zmian wzmocniły się bardzo w rządzie rosyjskim tendencje germanofilskie. Przyjaciele nasi zostali jeden po drugim odsunięci, i wśród rosyjskiej biurokracji nie ma dziś ani jednego człowieka na wpływowym stanowisku, o którym można by było powiedzieć, że jest przyjaźnie usposobiony wobec Anglii.

3. Rosjanie, jak wszystkie narody chłopskie, są bardzo nieufni wobec narodów reprezentujących handel i finanse. Sądzą zawsze, że w każdej tranzakcji chcemy ich podejść. Sam fakt, że takie podejrzenie jest śmieszne dla każdego człowieka interesów, nie ma żadnego znaczenia gdy chodzi o psychikę chłopską. Wbili sobie niewątpliwie w głowę, że chcemy na nich zarobić. To podejrzenie trzeba usunąć.

4. Nie chodzi tu o warunki zawieranych tranzakcyj, ale o ich atmosferę. Rosjanie są prości i — jak sądzę — szlachetni z natury, i z chwilą gdy zdobędziemy ich zaufanie, stosunki z nimi nie będą natrafiały na trudności. Musimy więc uczynić jakiś decydujący krok, który rozpędzi te chmury podejrzliwości, zaciemniające istotne problemy. Dlatego pokreślam konieczność natychmiastowego wysłania do Rosji osoby na wysokim stanowisku, upoważnionej do wszelkich decyzyj, wyjaśniających sytuację. Bardzo szkoda, że Bark i Bylajew wyjechali stąd, nie osiągnąwszy porozumienia. Ale to należy do przeszłości.

5. Ten którego poślemy musi być nie tylko człowiekiem z autorytetem, ale ponadto Rosjanie muszą wiedzieć, że jest to człowiek zajmujący wysokie stanowisko i rozporządzający wielkimi wpływami w tym kraju. Uważam stanowczo, że powinni jechać: sir Wiliam

Robertson i lord Reading. Co się tyczy Robertsona, sfery wojskowe w Rosji wiedzą jaką tutaj zajmuje pozycję, a w tej chwili tylko te sfery w Rosji coś znaczą. Biurokraci — to marne kreatury. Robertson mógłby omówić z generałem Aleksiejewem plany militarne na rok przyszły; jest rzeczą ważną, żeby ci dwaj ludzie zetknęli się ze sobą. Do tej chwili Rosjanie nie konferowali nigdy z państwami zachodnimi w sprawie planu kampanii. Ludzie w rodzaju generała Żylińskiego, który reprezentował armię rosyjską w Paryżu, to kompletne zera; i boję się, że gdyby miała znowu się odbyć narada w rodzaju konferencji w Chantilly, Aleksiejew nie będzie mógł, albo nie będzie chciał posłać nikogo, kto by był upoważniony do decydowania zarysów najbliższej kampanii. Generałowie na Wschodzie interesują się zapewne zbyt wyłącznie Wschodem, a nie jestem pewien czy generałowie na Zachodzie nie popełniają podobnego błędu, ograniczając się za bardzo do terenów, na których działają podległe im armie. Byłoby rzeczą pożyteczną zarówno dla Robertsona jak dla Aleksiejewa, gdyby nastąpiła między nimi wymiana poglądów, i decyzje powzięte wspólnie po takiej dyskusji przez tych dwóch wielkich żołnierzy mogłyby okazać się rozstrzygające.

To się tyczy lorda Reading, ma wysokie stanowisko, zdolności dyplomatyczne i znajomość spraw finansowych, które umożliwiłyby mu dojście do porozumienia z Rosją.

Boję się, żeby obecne nieporozumienia nie doprowadziły do naprężenia stosunków. Nie wywołałoby to zapewne jeszcze zerwania w trakcie wojny, ale miałoby napewno fatalny wpływ na rokowania pokojowe. Szczerze oddany, D. Lloyd George.

P. S. W zamówieniach niezbędnego materiału wojennego dla Rosji była już paromiesięczna zwłoka, i obawiam się że generałowie rosyjscy przypisywać będą swo-

je niepowodzenia — za które sami ponoszą winę — temu, że my ociągaliśmy się z pomocą finansową dla Rosji."

Mój projekt, dotyczący sir Wiliama Robertsona, rozbił się o mur osobistych podejrzeń. Robertson skłonny był z góry podejrzewać, że ja pragnę jego nieobecności, a niektórzy z członków gabinetu, usposobieni zdecydowanie wrogo wobec wszelkiej propozycji pochodzącej ode mnie, namawiali go jeszcze, żeby odmówił udziału w proponowanej misji. Jeden z nich sam nawet przyznał później, że radził Robertsonowi nie jechać. W rezultacie otrzymałem nazajutrz następujący list:

„Ministerstwo Wojny, 27.9.16, 6.15 popoł.

Szanowny Panie.

Właśnie rozmawiałem z Premierem na temat jazdy do Rosji. Przemyślałem tę sprawę dokładnie po rozmowie z Panem dziś rano i doszedłem do przekonania, że jest dla mnie rzeczą niemożliwą dokonanie tej podróży, jeśli nie chcę wypuścić zupełnie z rąk prowadzenia wojny — i to w ważnym momencie. Zdaję sobie zupełnie sprawę z doniosłości Pana argumentów, ale jeślibym pojechał, byłbym nieobecny przynajmniej przez miesiąc, a to jest okres o wiele za długi, jeżeli mam być w kontakcie z tymi rozlicznymi problemami, z jakimi mamy do czynienia.

Jest mi naprawdę bardzo przykro, że nie mogę zgodzić się z Pana wnioskiem; jak powiedziałem premierowi — jeśli zażąda żebym jechał, pojadę, ale jestem zdania, że *nie* powinienem jechać, jeżeli mam być coś wart jako Szef Sztabu.

Callwell radził sobie dobrze, gdy pojechał. Byłby lepszy niż nikt!

Niech mi Pan wierzy, że jest mi bardzo przykro, ale musiałem zakomunikować Panu co sądzę o konieczności pozostania na posterunku. Z prawdziwym poważaniem,

W. R. Robertson."

Odmowa ta uniemożliwiła wysłanie proponowanej misji do Rosji, i okazja dojścia do porozumienia z naszym wschodnim sojusznikiem została stracona; potem było już zapóźno na ratowanie Rosji od ostatecznej katastrofy.

Te wiadomości, jakie napływały do nas z Rosji w ciągu jesieni 1916 r., dowodziły jak fatalnym błędem było zaniechanie misji. Wszystkie oznaki wskazywały na załamanie się wysiłku militarnego Rosji i na prawdopodobieństwo zawarcia przez nią odrębnego pokoju z Niemcami. W końcu lipca Sazonow, który pozostał wierny Koalicji, został zmuszony intrygami do opuszczenia Ministerstwa Spraw Zagranicznych i zastąpiony przez Stürmera, podejrzewanego nie bez powodu o skłonności proniemieckie. Król szwedzki (sympatyk Niemiec) zauważył w rozmowie z ambasadorem angielskim w Sztokholmie, że pokój między Niemcami i Rosją będzie zawarty w ciągu dwóch miesięcy! Choć przepowiednia ta się nie sprawdziła, była jednak oparta na dobrym wyczuciu tego, ku czemu zmierzały sprawy w Rosji.

Sir George Buchanan, ambasador angielski w Petrogradzie, donosił 17 października w prywatnym liście do lorda Beresford o krążących wszędzie pogłoskach na temat odrębnego pokoju, które Stürmer oficjalnie zdementował, oraz o wzroście nastrojów proniemieckich w sferach wpływowych. W następnym liście, z 28 października, podkreślał znów postępy proniemieckiej i antyangielskiej propagandy i dodawał: „Straty, jakie poniosła Rosja w tej wojnie są tak kolosalne, że cały kraj jest w żałobie; a w ciągu ostatnich nieudanych ataków w kierunku Kowla i na innych odcinkach

frontu zginęło bez żadnego pożytku tylu żołnierzy, że coraz więcej ludzi uważa dalszą walkę za bezcelową, zwłaszcza że Rosja — inaczej niż Anglia — nie może niczego wygrać na przedłużaniu wojny... Wobec rosnącego z dnia na dzień niezadowolenia ludności i wobec postawienia na czele rządu takiego człowieka jak Stürmer — nie mogę wyzbyć się obaw..."

30 listopada lord Rhondda przesłał mi serię notatek pewnego oficera nagielskiego, stacjonowanego w Archangielsku, który opisywał swoje wrażenia z podróży do Petrogradu i Moskwy. I on również donosił o szerzącej się propagandzie niemieckiej i zniechęceniu do wojny wśród szerokich mas ludności. „Wszyscy — niezależnie od szczebla jaki zajmują w hierarchii społecznej — uważają, że tłum w wielkich miastach podupadł ostatnio na duchu bardzo poważnie", pisał ów oficer... Główną przyczyną tego upadku *morale* wśród narodu jest oczywiście ogromna trudność zdobycia — nawet za nie wiem jaką cenę — niezbędnych produktów i powszechna już konieczność stania w długich ogonkach, jeśli się chce otrzymać niewielką ilość takich artykułów jak mleko, czarny i biały chleb, masło lub ser, cukier, herbata i kawa, mięso, ryby i t. d.... Te ogonki stanowią doskonały teren operacyjny dla agentów propagandy niemieckiej; wśród ludzi stojących w kolejce słyszy się nieraz delikatne aluzje, a nawet głośno wypowiadane twierdzenia, że lud znosi całą tę nędzę tylko po to, aby nAglia mogła zaspokoić swoje apetyty..."

Dalej list zawierał następujące prorocze zdania: „Najbliższe trzy miejsce będą okresem krytycznym... Albo rząd pójdzie na ustępstwa, albo nastąpi zamach stanu, albo wreszcie — jeżeli nie stanie się ani jedno, ani drugie — Rosja będzie musiała przerwać wojnę i zawrzeć z Niemcami pokój, co grozi katastrofalnymi następstwami."

Autor listu twierdził, że powinny być przedsięwzięte jakieś środki przeciwdziałania tej propagandzie — i to przedsięwzięte natychmiast. „Jedynie drogą nadzwyczaj staranne-

go i cierpliwego oddziaływania można będzie skłonić rząd i naród rosyjski do prowadzenia wojny i znoszenia wszystkich trudności jeszcze przez rok czy dwa, i dla osiągnięcia tego celu nie powinno się oszczędzać żadnego wysiłku ani skąpić jakichś stosunkowo nieznacznych wydatków..."

Ale ostrzeżenie przyszło za późno. Morze zamarzło już wokół Archangielska; a kiedy na wiosnę lody znowu stajały, Rosja pogrążyła się już w odmęty rewolucji i wszelkie nadzieje uaktywnienia jej, jako państwa sojuszniczego, zostały pogrzebane.

CHAOS W MEZOPOTAMII.

Istnieją trzy względy, dla których włączam rozdział o skandalicznej kampanii w Mezopotamii do moich wspomnień wojennych. Czynię to po pierwsze dlatego, że przeciwny byłem wogóle wszczynaniu tej kampanii. W protokule posiedzenia Komisji Wojennej gabinetu z d. 24 lutego 1915 r. znajdujemy następującą wzmiankę:

„P. Lloyd George zauważył, że ekspedycja do Mezopotamii nie może mieć poważnego znaczenia. Turcy wiedzą, jakie konsekwencje miałaby nasza porażka na tym terenie, i nie będą szczędzić wysiłków, aby do niej doprowadzić. Siły wysłane do Mezopotamii należy stamtąd wycofać i skoncentrować w Dardanelach".

Drugi wzgląd — to fakt, że gdy 6 lipca 1916 r. mianowany zostałem Ministrem Wojny, pierwszym pilnym zadaniem któremu musiałem się poświęcić było położenie kresu chaosowi, jaki zapanował w armii naszej w Mezopotamii. Wreszcie — wzgląd ostatni — włączam tu tę historię, ponieważ stanowi ona doskonały przykład tego, do czego zdolna jest administracja wojskowa, wolna całkowicie od „wtrącania się" cywilów. Była to idealna kampania zawodowych wojskowych, pozbawiona jakiegokolwiek nadzoru ze strony niedyskretnych polityków. Tradycja umieszcza ogrody Edenu między Tygrysem i Eufratem. W tej właśnie szczęśliwej okolicy nastał w r. 1916 raj oficera. Panował tu sam jeden, bez żadnych więzów, ani ograniczeń, prawie dwa lata. Nie było węża ani towarzyszki, która sprowadziłaby go z właściwej drogi. Jeśli skądś dochodziły pomruki polityków — były to bestie tak samo łagodne, jak zwierzęta w starożytnym ogrodzie. Rządził

swoim Edenem sam jeden: zobaczmy, jaki raj w nim zaprowadził.

Jest to ponura historia tragediii i cierpienia, zrodzonego z niekompetencji i niedbalstwa odpowiedzialnych władz wojskowych. Były czynione usiłowania, aby całą tę historię zatuszować: powoływano się przy tym na tajność i fałszywie przedstawiano stan rzeczy; ale mimo tych usiłowań na początku r. 1916 do wiadomości publicznej przedostało się już dosyć, aby uczynić zdecydowaną akcję ze strony rządu angielskiego niezbędną.

Historia ekspedycji aż do tej chwili przedstawiała się w ogólnych zarysach w sposób następujący. Pod koniec września 1914 r. stało się rzeczą jasną, że Turcja gotowa jest poprzeć państwa centralne. Wobec tego było rzeczą konieczną przedsięwziąć natychmiastowe kroki dla zabezpieczenia źródeł nafty w Zatoce Perskiej, należących do towarzystwa *Anglo-Persian Oil Co,* którego akcjonarjuszem został rząd angielski, aby zapewnić sobie dostawy nafty dla floty.

W owym czasie wojska z Indyj wysyłane były do Francji, i rząd brytyjski — za pośrednictwem lorda Crewe, ówczesnego sekretarza stanu do spraw Indyj — porozumiał się z rządem indyjskim, aby jedna brygada została wyłączona i posłana nad Zatokę Perską: miała tu zająć wyspę Abadan u ujścia Eufratu i osłaniać zbiorniki i rurowody naftowe. Brygada przybyła na miejsce 23 października 1914 r.

W dwa tygodnie później, 5 listopada, wypowiedzieliśmy wojnę Turcji. Wówczas do Mezopotamii wysłane zostały jeszcze dwie brygady wojska, i 22 listopada oddziały te zdobyły i okupowały miasto Basra — port morski Mezopotamii, położony na zachodnim brzegu szerokiej rzeki Szat-el-Arab (połączenia Eufratu z Tygrysem), w odległości 70 mil od morza.

Ekspedycja ta — chociaż wysłana w porozumieniu z rządem angielskim i podlegająca ogólnej umowie, w myśl której wszelkie wydatki sił indyjskich poza ich zwykłym kosztem

utrzymania powinny być pokrywane z funduszów imperialnych — podlegała wyłącznie władzom wojskowym w Indiach.

Pod groźbą ataku Turków rząd indyjski wysłał do Mezopotamii — bardzo niechętnie — jeszcze jedną brygadę w lutym, a kiedy położenie ekspedycji stawało się coraz niebezpieczniejsze, kazano mu stanowczo wzmocnić ją w marcu czwartą brygadą. Tymczasem ekspedycja rozszerzyła zajęty przez siebie teren, zajmując miasto Kurna, u zbiegu Tygrysa i Eufratu, 50 mil powyżej Basry. W ten sposób panowała nad całym biegiem rzeki Szat-el-Arab.

1 kwietnia rząd indyjski, nie czekając na zezwolenie Ministerstwa Indyj w Londynie, postanowił zorganizować ekspedycję jako odrębny korpus armii. Dla uzupełnienia jego drugiej dywizji posłane zostały jeszcze dwie brygady; naczelnym dowódcą korpusu mianowany został generał Nixon. Polecono mu poczynić przygotowania do zajęcia całego wilajetu Basry, a następnie — do marszu na Bagdad.

Złoża naftowe położone były na Wschód od Szat-el-Arab, nad jej dopływem, rzeką Karun, a rurowody biegły wzdłuż lewego brzegu rzeki do wyspy Abadan. 19 kwietnia rząd angielski zażądał, aby korpus ruszył naprzód i wystąpił przeciw Turkom w tym rejonie. Tegoż dnia generał Nixon zażądał posiłków, których jednak rząd indyjski odmówił. Rząd angielski poparł to stanowisko i dodał ostrzeżenie przed prowadzeniem operacyj na wielką skalę: „Należy odrzucić wszelkie propozycje, związane z możliwym żądaniem zbyt wielkich posiłków... Nasza obecna pozycja jest strategicznie mocna i nie możemy sobie teraz pozwolić na ryzyko, jakie pociągałoby za sobą zbytnie rozszerzanie frontu. W Mezopotamii musimy postępować ostrożnie."

Wówczas generał Nixon wysłał część armii, pod dowództwem generała Gorringe, w górę rzeki Karun, a innej części, pod dowództwem generała Townshend, polecił zająć Amarę, położoną o 90 mil dalej nad Tygrysem — uzyskując w ostatniej chwili zgodę rządu angielskiego. Obie operacje

udały się, i 3 czerwca Amara została zajęta. Wówczas, w okresie straszliwych upałów, wojsko ruszyło dalej w górę Eufratu aż do Nazarieh, oddalonego o 68 mil od Kurny. Rząd indyjski zapragnął teraz dalszych sukcesów i uzyskał zgodę sir Austena Chamberlaina — ówczesnego sekretarza stanu do spraw Indyj — na wysłanie Townshenda w kierunku Kutu, odległego o 150 mil od Amary w górę Tygrysu. Po zaciekłej walce Kut-el-Amara zostało zdobyte 29 września 1915 r.

W listopadzie 1914 r. pomysł marszu na Bagdad został porzucony zarówno przez Ministerstwo Indyj jak i przez wicekróla, który wytoczył przeciw tej koncepcji poważne argumenty. Ale późniejsze sukcesy skłoniły rząd indyjski do popierania projektu i do wszczęcia starań, aby rząd angielski pozwolił generałowi Nixonowi na przeprowadzenie tej operacji. 6 października 1915 r. sir Austen Chamberlain odmówił kategorycznie, ale później ustąpił nieco, oświadczając że jeśli Sztab Generalny zaaprobuje plan i uzna operację za możliwą do przeprowadzenia przy pomocy dwóch nowych dywizyj, które możnaby posłać jeszcze do Mezopotamii — Ministerstwo Indyj gotowe będzie rozważyć raz jeszcze tę propozycję. Indyjski Sztab Generalny, po pewnym wahaniu, zgodził się że przy pomocy nowych dywizyj Bagdad może być zdobyty i utrzymany. W końcu generał Nixon polecił generałowi Townshend ruszyć naprzód ze zmęczonymi ludźmi i zdobyć Bagdad — w oczekiwaniu na dwie dywizje, mające przybyć do Mezopotamii.

Townshend doszedł aż do Ktesifon, o parę mil od Bagdadu, i tu natknął się na silnie okopane wojska nieprzyjacielskie, dorównywające jego przemęczonym oddziałom, lub nawet przewyższające je liczebnie. Po zaciętej walce armia angielska cofnęła się i na skutek braków w zaopatrzeniu i w organizacji służby lekarskiej musiała wykonć odwrót wzdłuż rzeki; po drodze przez cły czas toczyły się walki. Armia wróciła do Kut-et-Amary i tu przygotowała się do stawienia oporu,

dopóki nie nadejdą obiecane posiłki. Straty armii angielskiej wynosiły przeszło 30% w zabitych i rannych.

Generał Townshend przybył do Kut-el-Amary 3 grudnia, i otrzymał rozkaz bronienia się aż do nadejścia pomocy. 7 grudnia miasto było już całkowicie otoczone przez Turków. Poniósłszy ciężkie straty w próbach wzięcia miasta szturmem, Turcy zaczęli regularne oblężenie.

Pozostałe oddziały angielskie przygotowywały się tymczasem w pośpiechu do przyjścia z odsieczą oblężonemu miastu, i zostały wzmocnione przez dwie obiecane dywizje z Francji. Były to dywizje indyjskie, które poniosły już ciężkie straty na froncie zachodnim; przybywały one poszczególnymi oddziałami w ciągu grudnia i lądowały w porcie Basry, gdzie ostatecznie 12000 ludzi zostało unieruchomionych na skutek braku środków transportowych. Próby oddziałów z nad Tygrysu przyjścia z odsieczą Townshendowi zostały odparte z wielkimi naszymi stratami; oddziały angielskie poruszyły się wprawdzie nieco naprzód w ataku na oblegające wojska, ale wobec braku posiłków musiały wyrzec się prób przedarcia się przez nie. W końcu, 29 kwietnia 1916 r., po dzielnej obronie miasta w ciągu 147 dni, oddziały Townshenda zmuszone zostały głodem do kapitulacji.

Już jednak na długo przed tym tragicznym wydarzeniem stało się rzeczą jasną, że w kierownictwie ekspedycji popełniane są gdzieś jakieś wielkie błędy — i na początku lutego 1916 r. kontrolę nad ekspedycją objęło Ministerstwo Wojny. Wchodzące w jej skład oddziały pozostawały jednak w dalszym ciągu częścią armii indyjskiej i podlegały bezpośrednio Generalnemu Sztabowi indyjskiemu w Simli. Dopiero w lipcu 1916 r., kiedy objąłem Ministerstwo Wojny, bezpośredni nadzór administracyjny nad ekspedycją przeszedł do Ministerstwa.

Był to mój pierwszy krok w kierunku wyjaśnienia sytuacji. Drugim było utworzenie komisji, która miała zbadać

stan faktyczny i powody panującego chaosu. Komisja utworzona została w sierpniu 1916 r., a przedstawiła swój raport 17 maja 1917 r. Raport podpisany został przez siedmiu z pośród ośmiu członków komisji; kapitan J. Wedgwood złożył votum separatum, które w treści zgodne było zasadniczo z raportem większości, ale wyraźniej podkreślało niektóre popełnione błędy, zwłaszcza ze strony wicekróla i Naczelnego Dowódcy armii indyjskiej.

Fakty jakie ujawnił raport komisji rzucają ponure światło na chaos, głupotę, karygodne niedbalstwo i niesłychany brak kompetencji władz wojskowych, odpowiedzialnych za organizację ekspedycji — oraz na straszne i niepotrzebne cierpienia dzielnych żołnierzy, skazanych na klęskę z winy dowództwa.

Sztab generalny indyjski znał doskonale warunki klimatyczne kraju, do którego udawała się ekspedycja, i wiedział jakiego rodzaju ekwipunek jest jej potrzebny. Mezopotamia stanowi płaski, alluwialny teren, zalany na dużej przestrzeni wodą w sezonie deszczowym; w lecie natomiast z rzek pozostają tylko płytkie strumienie. Dróg właściwie żadnych nie ma, i jedynym sposobem transportowania zarówno ludzi jak materiału jest transport wodny. W lecie panują straszliwe upały — chociaż przez znaczną część roku noce są chłodne, a w zimie i na wiosnę szaleją mroźne wichry i zawieje. Jest to kraj zupełnie prymitywny, i do najbliższych rejonów cywilizowanych podróżować trzeba morzem.

Było więc rzeczą wiadomą, że pierwszym warunkiem wysyłania jakiejkolwiek ekspedycji do Mezopotamii musi być odpowiednie jej zorganizowanie; że należy ją zaopatrzeć w należytą ilość statków rzecznych, umożliwiających transport i w odpowiednią do warunków klimatycznych odzież i żywność; że urządzenia pomocy lekarskiej dla rannych i chorych muszą być lepsze, niż w warunkach normalnych, zważywszy na pustynny i niezdrowy charakter kraju; że w porcie Basry

musi być zorganizowana baza, wyekwipowana we wszelkie niezbędne zasoby i materiały; i że należy zawczasu starannie obmyśleć, a we właściwej chwili — szybko wykonać plan nadesłania posiłków .

O żadnym z tych zadań nie można nawet powiedzieć, że było wykonane źle: wszystkie zostały po prostu niewykonane i zlekceważone w sposób zupełnie niewiarogodny. W pierwszych miesiącach wojny rząd indyjski ociągał się niesłychanie z okazaniem jakiejkolwiek pomocy dla imperium jako całości. Każdego żołnierza, którego wysyłał na front, trzeba było na nim wymuszać; i mimo ogromnej ludności Indyj oświadczył po pewnym czasie, że nie jest w stanie zwerbować więcej żadnych sił poważniejszych. Nie chciał wydać na wojnę ani grosza; w debacie budżetowej, która odbywała się w Simli w marcu 1915 r., pewien członek Izby Doradczej chwalił się nawet, że chociaż uchwalony budżet jest budżetem wojennym — wydatki wojskowe rządu wcale nie wzrosły i są niższe, niż przewidywał preliminarz. Wojska indyjskie, które przybywały do Francji, przechodziły pod rozkazy władz angielskich; te jednak, które wysłano do Mezopotamii, były w rękach niechętnego i niezwykle oszczędnego rządu w Simli, który poskąpił im wszystkiego i nie okazał żadnego materialnego poparcia. „Wszyscy generałowie, którzy składali przed nami zeznania — mówi raport komisji — zgadzali się co do tego, że ekspedycja była źle wyekwipowana".

Brakowało jej artylerji, zwłaszcza dział ciężkich. Władze wojskowe indyjskie nie pomyślały zdaje się wcale o tym, żeby ciężkich dział zażądać. Dopiero w grudniu 1915 r., gdy po klęsce nieszczęśliwej wyprawy na Bagdad generał Townshend oblężony był w Kut-el-Amarze, nadeszło pierwsze zapotrzebowanie na ciężkie działa do Mezopotamii, a 26 maja 1916 r. rząd indyjski sformułował ostatecznie swoje potrzeby w tej dziedzinie.

Nawet jeszcze na wiosnę 1916 r. ekspedycji brakowało

wielu rzeczy, które mogły być dostarczone z Indyj — takich jak namioty, wózki do wody, siatki przeciw moskitom, hełmy korkowe, bomby, rakiety, nożyce do przecinania drutów, latarki nowego systemu, preparaty lekarskie a nawet prześcieradła i odzież. Naczelny dowódca armii indyjskiej tłumaczył się przed komisją, że o niektórych z tych artykułów nie słyszało się wogóle przed wojną, przynajmniej w Indiach. Ale nie dostarczono ich ekspedycji jeszcze i wtedy, gdy wojna trwała od 18 miesięcy. Nawet Turcy mieli już latarki elektryczne nowego systemu, kiedy nasza armia wogóle ich nie znała.

Mimo ciężkich warunków atmosferycznych w pewnych porach roku, władze wojskowe chciały początkowo pozostawić zaopatrzenie wojska w ciepłą odzież całkowicie w rękach „dobroczynności prywatnej", nie dając żołnierzom nic prócz krótkich spodenek i koszul. Sam wicekról protestował przeciw temu.

W ciągu pierwszych sześciu miesięcy ekspedycja nie miała wcale aeroplanów, chociaż potrzeba posiadania ich na tych wielkich, bezdrożnych przestrzeniach była oczywista. W tej sprawie winę ponoszą także władze angielskie.

Ale błędy i ignorancja władz wojskowych ukazują się dopiero w całej pełni w dziedzinie transportu rzecznego. Dopóki rejon operacyjny ekspedycji znajdował się w pobliżu wyspy Abadan i portu Basry, decydujący dla naszych wojsk był transport morzem. Od chwili jednak, gdy w grudniu 1914 r. ekspedycja — za zgodą władz w Simli — ruszyła w górę rzeki w kierunku Kurny, transport rzeczny stał się bezwzględną koniecznością; z każdym posunięciem się naprzód, które wydłużało odległość od bazy, statki rzeczne potrzebne były w coraz większej liczbie.

Już 23 listopada 1914 r., po wzięciu Barsy, kapitan Hamilton — który znał doskonale dolinę Tygrysu — radził generałowi Barret zażądać natychmiast 12 parowców, gdyż muszą być one specjalnej konstrukcji i wobec tego budowa ich

trwać musi 12 miesięcy. Ale generał ani jego sztab nie uważali sprawy za pilną i nic nie przedsięwzięli, dopóki w styczniu nie otrzymali zapytania z Indyj, jakie dalsze środki transportu są im potrzebne. Wówczas generał Barret zażądał siedmiu parowców i dwóch mniejszych statków; w lutym zażądał czterech holowników. Wszystko to wysłane zostało do Indyj, a stamtąd — w marcu — do ekspedycji w Mezopotamii; ale gdy w maju na czele ekspedycji stanął generał Nixon, stwierdził że w okresie niskiego stanu wody wszystkie te statki są bezużyteczne i zażądał statków, zanurzających się w wodzie nie więcej ponad 3—3 i pół stóp.

Po pewnej zwłoce w samych Indiach, zapotrzebowanie to zostało ostatecznie włączone do zamówienia telegraficznego, wysłanego do Ministerstwa Indyj w Londynie 4 sierpnia 1915 r. Ministerstwo nie zrobiło nic, póki we wrześniu zamówienie nie zostało potwierdzone na piśmie. Wówczas urzędnicy Ministerstwa zaczęli zbierać opinię o firmie, którą im polecono w związku z zamówieniem — po czym, nie chcąc płacić prowizji ($^1/_3$ procentu) za nadzór nad wykonaniem zamówienia, powierzyli ten nadzór swemu specjaliście od konstrukcyj okrętowych; ten, nie znając specjalnych warunków transportu rzecznego w Mezopotamii, polecił skonstruować statki, różniące się pod kilkoma względami od typu opisanego w zamówieniach. Statki zostały wykonane i wysłane w częściach między kwietniem i grudniem 1916 r.; wystarczy stwierdzić, że na skutek zmian wprowadzonych do ich konstrukcji okazały się zupełnie nieprzydatne do transportu w górę rzeki, że konieczność składania poszczególnych części w porcie w Basra oznaczała dalszą poważną zwłokę, i że ponadto brak odpowiednich instalacyj w tym porcie oraz wielkie rozmiary niektórych części czyniły montowanie ich rzeczą nadzwyczaj trudną — zwłaszcza, że nie przybyły razem z nimi żadne plany, opisy ani instrukcje. Niektóre części utonęły w wodzie o głębokości 30 stóp, inne trzeba było przyholować do Bombaju i tam zmontować. Komisja stwierdza:

„Trudno wyobrazić sobie większe niedbalstwo niż to, z jakim zakupiono i wysłano z Anglii statki rzeczne w latach 1914 i 1915".

Kiedy w październiku 1915 r. generał Nixon dowiedział się, że wykonanie potrzebnego typu parowców wymagać będzie roku, zażądał narazie z Indyj holowników. Władze indyjskie powtórzyły to, co już odpowiedziały w czerwcu — że holowników nie mają; w miesiąc później przyznały, że 13 holowników można było posłać. Komisja opisuje długą korespondencję i biurokratyczną formalistykę, z jaką związane było załatwianie tych spraw; upływał długi okres czasu, zanim dowództwo w Mezopotamii otrzymywało z Indyj na swoje zapotrzebowania odpowiedź choćby negatywną. „Korespondencja prowadzona była zwykle między sztabem w Mezopotamii i szefem sztabu w Simli lub w Delhi. Ten ostatni przekazywał sprawy związane z transportem rzecznym kwatermistrzowi generalnemu, ten zaś z kolei porozumiewał się, jeśli uważał to za stosowne, z kapitanem Lumsden, dyrektorem indyjskiej marynarki królewskiej w Bombaju". Z raportu komisji dowiadujemy się, czym był zajęty ten oficer:

„Dyrektor indyjskiej marynarki królewskiej nie miał prawa okazywać — a w każdym razie nie okazywał — żadnej inicjatywy w sprawach związanych z żeglugą czy marynarką. Czas dyrektora i wyższych oficerów marynarki królewskiej zajęty jest głównie przez pracę czysto kancelaryjną. Ilość papierków, jaką muszą wysyłać — a w każdym razie wysyłają — jest po prostu olbrzymia... Dyrektor indyjskiej marynarki królewskiej wręczył komisji spis swoich obowiązków, na skutek których — jak twierdził — nie mógł wyjechać do Mezopotamii i zapoznać się osobiście ze stanem rzeczy na miejscu. Większość czynności obowiązkowych, wymienionych w liście, nie wymagała żadnego doświadczenia ani wiedzy mary-

narskiej i mogła być wykonywana przez każdego obrotnego człowieka interesów, choćby takiego, który w życiu nie widział morza".

W sprawozdaniu komisji znajdujemy kilkakrotnie wzmiankę o tym, że urzędnicy indyjscy nigdy nie badają spraw osobiście na miejscu, a gdy im donoszą o panujących w tej czy w innej dziedzinie stosunkach, nie wierzą po prostu takim raportom. Gorzej jeszcze — urzędnicy wprost fałszywie referowali swym władzom fakty, o których mieli skądinąd dokładne informacje. „Władze w Simli do tego stopnia nie znały sytuacji w Mezopotamii, że sztab generalny indyjski w swych uwagach z czerwca i września 1915 r. kategorycznie twierdził, jakoby ekspedycja była dobrze zaopatrzona w niezbędne środki transportu rzecznego, i używał tego argumentu dla poparcia swojej koncepcji marszu na Bagdad".

Brak statków rzecznych aż do wiosny 1916 r. był bezpośrednią przyczyną niepowodzenia operacyj, przeprowadzanych przez wojska z niezwykłą odwagą. Na skutek tego braku koncentracja wojsk i zapasów przed marszem z Kut do Amary trwała prawie dwa miesiące; z tych samych względów marsz na Bagdad doznał fatalnego opóźnienia. Wydaje się rzeczą niemal pewną, że gdyby nie ta okoliczność — armia turecka zostałaby rozbita między Amarą i Ktesifon; zebrane przez komisję dane wskazują również wyraźnie na to, że brak środków transportu rzecznego był głównym powodem nieokazania skutecznej pomocy armii generała Townshenda.

Zarówno w Indiach jak i w Anglii zdawano sobie całkowicie sprawę ze znaczenia tego transportu — i wobec tego powstaje naturalne pytanie: czym kierowały się władze wojskowe, pozwalając na marsz wgłąb kraju mimo tak zasadniczego braku? Z raportu komisji okazuje się, że generał Nixon, dowódca ekspedycji, stwierdziwszy że władze indyjskie nie chcą czy nie mogą dostarczyć statków, zdecydował się w porywie optymizmu ryzykować i szukać szczęścia z tym co

miał; a władze indyjskie, nie dostarczywszy tego o czym wiedziały, że jest rzeczą niezbędną, nie starały się wcale wyjaśnić Ministerstwu Indyj w Londynie powagi położenia. Ministerstwo sądziło że wszystko idzie dobrze, i władze indyjskie nie wyprowadzały go z błędu. Do utwierdzenia Ministerstwa w takim przekonaniu przyczynił się jeszcze pewien typowo biurokratyczny incydent. Prośba generała Nixona o przysłanie nowych statków, przekazana przez rząd indyjski do Ministerstwa, nie została wcale przedstawiona sekretarzowi stanu do spraw Indyj. Wydział wojskowy Ministerstwa przesłał ją wydziałowi zaopatrzenia; i chociaż w dalszym ciągu zakomunikowano o niej Ministerswu Wojny — nie wyjaśniono jednak przy tym w żadnym liście, jak wielką lukę stanowi w Mezopotamii brak środków transportu. Tak więc urzędnicy wojskowi, zarówno w Indiach jak i w Londynie, nie wiedzieli albo też nie chcieli mówić o faktach — które, gdyby były znane rządowi lub Komisji Wojennej gabinetu, powstrzymałyby rząd od wyrażenia zgody na nieszczęsną ekspedycję do Bagdadu.

Podobnie jak sprawa transportu, zlekceważona została sprawa urządzeń do wyładunku i przechowywania towarów w porcie Basra; w rezultacie nawet istniejące środki transportowe nie mogły być należycie wyzyskiwane. Generał Gorringe stwierdził, że „aż do grudnia 1915 r. w urządzeniach do wyładunku towarów nie nastąpiła żadna poprawa.. Urządzenia istniejące były złe, panowała ciasnota i przesyłki wszelkiego rodzaju pozostawały niewyładowane". Do tych braków technicznych dołączało się niedbalstwo urzędników wojskowych. Komisja stwierdza, że zwłoka w dostarczaniu ładunków wynikała początkowo nie tyle z trudności przenoszenia ich na brzeg, ile z niemożności czy niechęci władz wojskowych dostatecznie szybkiego ich przyjmowania.

„Jest rzeczą jasną, że kierowanie pracą w porcie i wyładowywanie towarów nie należy do czynności, z któ-

rymi oficerowie królewskiej marynarki indyjskiej byliby obyci... Wiadomą było rzeczą, że ludzie posiadający kwalifikacje w tym kierunku pracowali w rozmaitych wielkich portach rzecznych Indyj i Burmy; ale nikt nie zwracał się do nich o radę, i pomoc ich nie została wyzyskana aż do chwili, kiedy — w rok po wylądowaniu ekspedycji do Mezopotamii — sytuacja w porcie stała się już bardzo poważna".

W styczniu 1916 r. rząd indyjski mianował wreszcie cywilnego eksperta, sir George Buchanana, uprzednio zarządzającego portem w Rangon, dyrektorem głównym portu w Basra, oraz polecił mu reorganizację transportu i odpowiednich urządzeń. Jest jednak rzeczą charakterystyczną, że rząd nie określił dokładnie jego obowiązków i uprawnień, i generał Nixon zaczął ograniczać je i redukować tak, że Buchanan uznał swą pracę za niemożliwą i wkrótce powrócił do Indyj. W swoim raporcie do władz w Simli pisał:

„Trudno mi było uwierzyć, że okupacja Basry trwa już od roku: urządzenia do wyładunku i przechowywania towarów były całkiem prymitywne, a w braku dróg — cały rejon stanowił jedno wielkie grzęzawisko. Każdy kto to widział po raz pierwszy mógł śmiało sądzić, że wojska i zapasy przybyły tu dopiero przed tygodniem... Ekspedycja wojskowa do Basry jest, jak sądzę, czymś jedynym w swoim rodzaju; nie było nigdy przedtem wypadku wysadzenia na ląd takich ogromnych sił bez przygotowanej należycie bazy".

Jeżeli jednak zlekceważenie przez władze wojskowe sprawy transportu spowodowało bezpośrednio klęskę ekspedycji — zlekceważenie urządzeń pomocy lekarskiej uczyniło z tej klęski militarnej rzecz straszliwą.

Wieści o okropnych warunkach, spowodowanych bra-

kiem należytej pomocy dla rannych i chorych, stały się tak zatrważające, że nawet sir Beauchamp Duff, Wódz Naczelny indyjskich sił zbrojnych, uznał za konieczne mianować w marcu 1916 r. specjalną komisję do zbadania sprawy. Ale raport komisji stwierdzał tak okropne niedbalstwo i niekompetencję władz, że rząd indyjski nie chciał go opublikować. Komisja wyznaczona przez rząd angielski otrzymała ten raport i opublikowała go, jak załącznik do swego sprawozdania. Dokument znany był odtąd jako „Raport Vincenta-Bingley'a", ponieważ sir Wiliam Vincent i generał Bingley byli jego głównymi autorami.

Sprawozdania obydwóch komisyj wskazują, że poziom zaopatrzenia we wszelkie środki pomocy lekarskiej w ekspedycji był potwornie niski, że postępowanie wojskowych władz indyjskich było w tej dziedzinie przez cały czas zupełnie jednolite, że protesty były tłumione, a pomoc zaofiarowywana z zewnątrz — odrzucana.

Już w czasie pokoju poziom urządzeń pomocy lekarskiej był w armii indyjskiej niski. Pewien lekarz wojskowy indyjski oświadczył przed komisją: „Wątpię, czy panowie uznaliby wojskowe szpitale indyjskie w czasie pokoju za godne wogóle nazwy szpitali". Sir Alfred Keogh, dyrektor służby zdrowia w angielskim Ministerstwie Wojny, oświadczył:

> „Nie waham się w najmniejszym stopniu oświadczyć, że urządzenia lekarskie w armii indyjskiej były od lat skandaliczne... Trudno sobie wyobrazić coś bardziej oburzającego, niż niedbalstwo i brak opieki nad chorym żołnierzem w Indiach".

Ale jeśli w Indiach sprawy te stały źle, w Mezopotamii stały jeszcze znacznie gorzej. Ekspedycja wysłana została z ekwipunkiem medycznym, który już oficjalnie ustalony został na poziomie niższym, niż wymagają normalne etaty oddziału pełniącego służbę na granicy Indyj; a „rzeczywista

liczebność personelu medycznego w Mezopotamii nie sięgała w ciągu długich okresów czasu nawet tych skąpych etatów".

Często brak było niezbędnych lekarstw. Urządzeń szpitalnych nie było lub były w niedostatecznej ilości. Brakło lodu. Miesiącami nie było wentylatorów. Brakowało bandaży, prześcieradeł, basenów dla chorych, łupków. Nawet kiedy chory dostawał się do wojskowego szpitala w Bombaju, znajdował się tam w okropnych warunkach: nie było aparatu Rentgena, łupków i wielu pomocniczych urządzeń chirurgicznych; brak było chirurgów i wogóle lekarzy, sióstr i sanitariuszy.

Lekarze i sanitariusze ekspedycji dokonywali cudów poświęcenia i heroizmu, ale byli bardzo nieliczni. W czasie pierwszej bitwy pod Kut niektóre oddziały walczące nie miały noszy, i ranni pozostawali przez całą noc na polu bitwy; część rannych złupili i pomordowali Arabowie.

Nie było żadnych wozów dla transportu ciężko rannych. Przysłano natomiast ekspedycji pewną liczbę mułów! Komisja stwierdza: „Nie mamy wiadomości o tym, aby muły te zostały kiedykolwiek użyte do transportu rannych — choć jeden z zeznających przed komisją opowiadał o ich obecności i bardzo niespokojnym zachowaniu się w pewnym wypadku. Dla transportu ciężej rannych są one najwidoczniej bezużyteczne".

W braku odpowiednich ambulansów, służba sanitarna musiała przenosić ciężej rannych na wózkach wojskowych bez resorów, ciągnionych przez muły, małe konie lub woły. Lekarz 3-ciej dywizji stwierdza, że „wózki takie nie mają żadnego pokrycia, chroniącego od deszczu i od promieni słonecznych; dno wózka składa się z prętów żelaznych, tak że nawet jeśli pokryte jest grubo materacami czy inną wyściółką, przewożenie w takim wózku ciężko rannego — zwłaszcza w wypadku złamania kości — jest postępowaniem, które daje się określić tylko jako barbarzyństwo i okrucieństwo".

Dowiadujemy się też, że w niektórych wypadkach —

w braku innej wyściółki — na dno wózków kładziono trupy zabitych, które służyły jako poduszki przewożonym rannym!

Dopiero jednak, kiedy dowiadujemy się o sposobie transportu rannych i chorych żołnierzy w dół rzeki do Basry, poznajemy kulminacyjny moment całej tej przerażającej historii. Ekspedycja nie rozporządzała żadnymi statkami, odpowiednimi do transportu chorych, ani żadnym personelem medycznym, przeznaczonym do towarzyszenia im w drodze. Trzeba było posługiwać się nielicznymi statkami, na których posyłano w górę rzeki ludzi i zapasy; gdy liczba chorych i rannych rosła, nie było nawet czasu uprzątać ani poddawać jakiejkolwiek dezynfekcji tych statków przed załadowaniem na nie rannych i chorych — którzy odpływali okropnie stłoczeni w towarzystwie kilku ludzi, odkomenderowanych z trudnością z przepracowanych ambulansów polowych; liczba tych przydzielonych sanitariuszy była tak niewielka, że nie mogli opiekować się należycie chorymi, a nawet choćby ich karmić.

„Rany, wymagające ciągłych opatrunków, nie były wogóle opatrywane; ranni transportowani w ten sposób przybywali często do Basry w okropnym stanie. W wielu wypadkach, na skutek niedokonywania opatrunków, wywiązywało się zakażenie krwi; były wypadki odleżyn; niejeden pacjent przybywał, pławiąc się we własnych ekskrementach; w ranach znajdywano czasem robaki".

Komisja cytuje raport majora Cartera, opisujący stan, w jakim ranni po bitwie pod Ktesifon przybywali do Basry. Raport zawiera rzeczy tak okropne i odrażające, że muszę przeprosić czytelnika za cytowanie go tutaj; ale jest rzeczą konieczną, abyśmy wszyscy wiedzieli, jaki był naprawdę los licznych dzielnych żołnierzy, którzy w czasie Wielkiej Wojny walczyli w interesach Anglii i imperium brytyjskiego. My o tym tylko czytamy, a nasi żołnierze musieli to znosić. Oto ów opis:

„Stałem na mostku (okrętu szpitalnego *Varela* z Bombaju), kiedy wieczorem do portu wpłynął statek *Medżidje*. Statek wiózł na pokładzie dwie duże łodzie, pozbawione — o ile pamiętam — jakiejkolwiek ochrony od deszczu. Kiedy statek podpłynął do nas, zobaczyłem że jest zupełnie nabity ludźmi, znajdującymi się również w łodziach. Łodzie opuszczono, i *Medżidje* podpłynął do *Vareli*. Gdy był oddalony od nas o jakieś 300—400 jardów, wyglądało jakby był obwieszony ze wszystkich stron jakimiś linami. Od statku bił wyraźny smród, i gdy podpłynął zobaczyłem, że to co brałem za liny — były to stalaktyty ludzkich ekskrementów. Pacjenci na statku byli tak stłoczeni, że nie mogli załatwiać swoich potrzeb naturalnych poza burtę. To był widok jaki ujrzałem. Część ludzi stała lub klęczała na samym skraju pokładu; inni stłoczeni byli wszędzie. Pewna liczba chorych na dyzenterię, leżąca częściowo na prześcieradłach, częściowo na gołej podłodze — pogrążona była od stóp do głów w ekskrementy. Pierwszy chory, którego zbadałem... (Opuszczam tu jeszcze okropniejszy opis)... Chory miał złamaną kość udową, przedziurawioną w pięciu czy sześciu miejscach; najwidoczniej wił się w bólach na pokładzie. Było wielu rannych i chorych w podobnym stanie. Widziałem chorych ze straszliwymi odleżynami. W moim raporcie do rządu indyjskiego opisałem dokładnie ludzi, których nogi przywiązane były do kawałków drzewa, pochodzących od skrzyń z wódką, z napisami „Johnny Walker", do desek od pak zawierających drut i t. p.

„Czy byli to Indusi czy Anglicy?"

„I Indusi i Anglicy".

Ten stan rzeczy został w następujący sposób opisany w oficjalnym raporcie sztabu ekspedycji:

„Ranni odtransportowani w warunkach zadowalających. Wielu lżej rannych umieszczono w doskonałych szpitalach w Amara i Basra. Ciężej ranni przeniesieni odrazu na okręty szpitalne, oczekujące w porcie w Basra na przybycie transportów rzecznych. Ogólny stan rannych bardzo dobry. Organizacja pomocy lekarskiej działała — w warunkach bardzo trudnych — wspaniale".

Cóż się stało z raportem majora Cartera do indyjskich władz wojskowych? Komisja opisuje w następujący sposób jego dalsze losy: „(Major Carter) potraktowany został bardzo brutalnie. Główny chirurg wojskowy, Hathaway, referując sprawę departamentowi sanitarnemu w Indiach, pisze: „Wódz naczelny, uważając raport Cartera za nieodpowiadający rzeczywistości, polecił mnie — wraz z innymi jeszcze urzędnikami — wszczęcie kroków w związku z jego niedopuszczalnymi uwagami". A generał Cowper, wówczas generalny intendent armii, powiedział komisji: „Zagroziłem mu zaaresztowaniem i oświadczyłem, że pozbawię komendy nad okrętem szpitalnym za jego chorobliwe i nieznośne wścibstwo". Generał Cowper zastosował wobec majora Cartera sposób postępowania, jakiego sam doświadczył — gdyż Wódz Naczelny, sir Beauchamp Duff, groził mu przedtem dymisją za zbyt natarczywe domaganie się statków dla ekspedycji w Mezopotamii.

Władze nie tylko nie robiły nic same, ale nie pozwalały również nikomu innemu przyjść sobie z pomocą. 11 sierpnia 1915 r. sekretarz do spraw Indyj telegrafował do wicekróla, że przewodniczący samorządu hrabstwa Hampshire podejmuje się zebrać fundusz na potrzeby rannych i chorych w Mezopotamii, oraz wysłać lekarzy, pielęgniarki, lekarstwa i pomoce szpitalne. Po naradzie z Wodzem Naczelnym wicekról odpowiedział, że rozporządza dostatecznymi środkami dla utrzymywania należytej organizacji opieki nad rannymi i chorymi w Mezopotamii; że w tej dziedzinie władze robią

wszystko co trzeba i że poczynione zostały kroki dla zwerbowania dodatkowych lekarzy i pielęgniarek. Zarząd funduszu pomocy, utworzonego w Madras, ofiarował w grudniu 1914 roku wentylatory elektryczne do zainstalowania w szpitalu w Basra; ale do połowy 1915 r. żaden nie został sam zainstalowany. Brytyjskie Towarzystwo Czerwonego Krzyża depeszowało do generała Nixona z prośbą o przyjęcie dwóch łodzi motorowych, poruszanych ropą; oferta powtórzona została 28 grudnia, i odpowiedź brzmiała:

„W tej chwili niczego nie potrzeba. Jeśli cokolwiek będzie potrzebne w przyszłości, zwrócę się do Panów bez wahania".

Ta odpowiedź była wysłana wkrótce po zupełnym załamaniu się organizacji pomocy lekarskiej po bitwie pod Ktesifon. Nie będę opisywał dalej szczegółowo niedbalstwa władz wojskowych w dziedzinie pomocy lekarskiej i urządzeń sanitarnych; nie będę mówił ani o dostarczaniu przez nie nieodpowiedniego i zbyt skąpego pożywienia — co doprowadziło do wybuchu szkorbutu w r. 1915 i do jeszcze silniejszego wybuchu następnej wiosny — ani o braku zaopatrzenia wojska w wodę, co spowodowało epidemię cholery, gdyż żołnierze pili wodę z najbliższej rzeki. Raport komisji stwierdza zupełnie wyraźnie, że w żadnej dziedzinie nie poczyniono nawet najelementarniejszych kroków dla zaspokojenia oczywistych potrzeb ekspedycji. W swoich „wnioskach" komisja pisze co następuje:

„Biorąc pod uwagę fakty, które musiały być oczywiste dla każdego administratora — wojskowego czy cywilnego — który przypatrzył się przez chwilę mapie i pomyślał o warunkach panujących w Mezopotamii, nieuwzględnienie najistotniejszych potrzeb ekspedycji wykazuje zupełną nieudolność organizacyjną wszystkich odpowiedzialnych czynników".

Nie będę również zatrzymywał się dłużej nad faktem, że indyjskie władze wojskowe nie posłały ekspedycji żadnych posiłków — chociaż sprawowały władzę w kraju, liczącym 315 milionów ludności, z czego 50 milionów stanowią szczepy wojowników. Jeden jednak niezwykły incydent zasługuje na wzmiankę. Kiedy w październiku 1915 r. w perspektywie był marsz na Bagdad i sprawa posiłków dla ekspedycji stała się bardzo pilna, władze angielskie zwróciły się do władz w Indiach, aby te wysłały chwilowo do Mezopotamii jedną swoją dywizję, gdyż dwie dywizje z Francji mogą nie przybyć na czas. „Aby uchylić się od tego obowiązku — czytamy w sprawozdaniu komisji — władze indyjskie zastosowały sposób postępowania, który nazwać trzeba co najmniej nielojalnym". Mianowicie w Indiach znajdowała się wtedy pewna liczba brygad artylerii i piechoty oraz pułków kawalerii, które można było wysłać z kraju; ale przed rządem angielskim utrzymano ten fakt w tajemnicy — a powody takiego postępowania wyłożone zostały w notatce, napisanej przez sekretarza wojskowego sir Beauchamp Duffa do sekretarza wojskowego wicekróla. W notatce czytamy:

„Szef (Duff) proponuje, aby wymienione oddziały zebrać razem... na wypadek jakiejś potrzeby, ale nie zawiadamiać o tym rządu angielskiego... rządowi bardzo zależy na zajęciu Bagdadu, i przyśle nam potrzebne posiłki, jeżeli będziemy się mocno trzymali, ale nie przyśle nic, jeśli sami okażemy najsłabszą chęć posłania posiłków".

Wobec tego wicekról depeszował 17 października:

„W żadnym wypadku nie mógłbym się podjąć wysłania z Indyj, nawet czasowo, jeszcze jednej dywizji wojska".

Rząd indyjski — jak zauważa pułkownik Wedgwood —

„trzymał się mocno", podczas gdy Serbię zajmował nieprzyjaciel, a pod Loos posyłaliśmy w ogień ostatnie nasze rezerwy.

Nie trzeba chyba dodawać, że komisja potępiła surowo postępowanie wodza naczelnego sił indyjskich — sir Beauchamp Duffa i wicekróla, lorda Hardinge, jak również postępowanie naczelnego chirurga, dyrektora służby zdrowia, dyrektora marynarki indyjskiej i dowódcy ekspedycji w Mezopotamii, generała Nixona. Potępiła również cały panujący system administracji, jako „wadliwy i niedołężny", i zażądała jego radykalnej reorganizacji.

Kiedy w lipcu 1916 r. mianowany zostałem ministrem wojny, pierwszym moim zadaniem było opanowanie sytuacji w Mezopotamii. Najpilniejsza była sprawa transportu i służby zdrowia. Szczęśliwym zrządzeniem korzystać tu mogłem z pomocy generalnego intendenta, sir Johna Cowans, człowieka którego uważałem zawsze za najzdolniejszego żołnierza, jaki wypłynął w naszej armii w czasie wojny. Nigdy nie zapomnę spokoju i pewności siebie, z jaką wymienił konkretne kroki, niezbędne jego zdaniem do opanowania sytuacji. Cowans nie wahał się nigdy korzystać z pomocy doświadczonych specjalistów cywilnych, i wśród jego najzdolniejszych oficerów w wydziale transportu rzecznego było wielu niedawnych cywilów. Wszystko, co było do zrobienia w tej dziedzinie, zostało odrazu puszczone w ruch i przeprowadzone bez zwłoki — i skandale w administracji wojskowej w Mezopotamii ustały.

Komisja stwierdziła, że „dopiero kiedy władze w Londynie objęły wyłączną kontrolę nad kampanią w Mezopotamii, nastąpiła w jej prowadzeniu wyraźna zmiana na lepsze. Ta poprawa i osiągnięte później sukcesy pokazują w sposób jaskrawy, jak zasadnicze znaczenie ma w czasie wojny jednolitość kierownictwa". W raporcie komisji znajdujemy liczne wzmianki o poprawie sytuacji, jaka nastąpiła od lipca 1916 r.

Na zakończenie tego nieco ponurego rozdziału chciałbym przytoczyć tutaj dokument, ilustrujący wspaniale biurokratyczny sposób urzędowania; sądzę że dokument ten może posłużyć, jako odstraszający przykład na przyszłość.

Jest to — zawarty w sprawozdaniu komisji — szczegółowy opis niesłychanie zawiłej procedury, związanej z wykonaniem wszelkiego zamówienia na potrzeby armii. Autorem opisu był p. Brunyate, sekretarz finansów rządu indyjskiego i przez czas jakiś doradca finansowy Naczelnego Dowództwa w Indiach. Opisał on w sposób następujący wędrówkę, jaką odbyć musi między tymi dwiema instytucjami każdy wniosek dotyczący zaopatrzenia armii:

„Przypuśćmy, że generalny inttendent potrzebuje więcej mułów. Prawdopodobnie, zanim wysunie wogóle ten wniosek, zobaczy się osobiście z Wodzem Naczelnym i upewni, że ten życzy sobie wysunięcia takiego wniosku. Następnie sporządza odpowiednie umotywowanie — poparte prawdopodobnie przez załączoną opinię naczelnika wydziału zwierząt pociągowych w armii — wysuwa konkretną propozycję, szacuje jej koszt i posyła ten dokument do Departamentu Wojskowego rządu w Indiach. Na dokumencie wypisują swoje uwagi urzędnicy Departamentu, pomocnik sekretarza, ewentualnie i zastępca sekretarza — i dokument dochodzi do sekretrza Departamentu Wojskowego, którym jest dajmy na to generał Holloway (chociaż teraz sekretarzem jest kto inny). Generał krytykuje propozycję, jeśli uważa to za wskazane.... potem robią na niej uwagi urzędnicy doradcy finansowego, pomocnik lub zastępca doradcy... potem wniosek przechodzi do p. Fella. P. Fell może zdecydować się odrazu zaakceptować wniosek w imieniu Departamentu Finansów, nie odwołując się do członka rządu - referenta finansowego. W tym wypadku dokument wraca do sekretarza Departamentu Wojskowego,

który odrazu wydaje odpowiednie polecenie wykonania wniosku — chyba że uważa sprawę za dość ważną, aby przedłożyć ją członkowi rządu - referentowi wojskowemu.

To będzie oczywiście zawsze następowało w praktyce, jeżeli propozycja wymaga sankcji sekretarza stanu. W tym wypadku sekretarz Departamentu Wojskowego zastosuje się do decyzii członka rządu i w Departamencie Wojskowym sporządzony zostanie odpowiedni raport dla sekretarza stanu... Albo też p. Fell, gdy wniosek przedłożony mu zostanie po raz pierwszy, może go skrytykować i wyrazić pogląd, że powinien być zmieniony lub odrzucony. W tym wypadku sprawa wraca także do sekretarza Departamentu Wojskowego, który niewątpliwie poprosi w tym stadium o decyzję członka rządu — chyba że chce przed tym uzyskać opinię generalnego intendenta o uwagach, poczynionych przez Departament Finansowy. P. Fell, krytykując wniosek, zaznaczył prawdopodobnie czy ma zamiar przedstawić jeszcze sprawę członkowi rządu — referentowi finansowemu. Jeśli taki zamiar wypowiedział członek rządu - referent spraw wojskowych, któremu sekretarz Departamentu Wojskowego przedstawi sprawę, będzie wiedział, że jeśli nie zaakceptuje uwag krytycznych doradcy finansowego, może natknąć się na opozycję członka rządu-referenta finansowego. Członek rządu daje taką czy inną decyzję i jeśli godzi się na wniosek generalnego intendenta i Departamentu Wojskowego — napisze odpowiednie polecenie. Dokument wróci do doradcy finansowego, który sam już nie poczyni na nim żadnych uwag, ale prześle go członkowi rządu - referentowi finansowemu. Jeśli ten członek rządu postanowi nie upierać się przy obiekcjach p. Fella, wniosek będzie uważany za ostatecznie przyjęty i wydane zostaną polecenia, aby go wy-

konać. Jeżeli jednak członek rządu - referent finansowy kategorycznie przeciwstawi się wnioskowi, sprawa wróci do p. Fella, który prześle ją z powrotem sekretarzowi Departamentu Wojskowego, a ten — członkowi rządu - referentowi wojskowemu. Ten ostatni może wtedy zgodzić się z obiekcjami członka rządu - referenta finansowego: w tym wypadku wniosek upadnie, za zgodą — choć niechętnie wyrażoną — członka rządu-referenta spraw wojskowych. Jeżeli jednak ten ostatni, mimo obiekcyj członka rządu - referenta spraw finansowych, uzna wykonanie wniosku za rzecz niezbędną — wówczas poleci sekretarzowi Departamentu Wojskowego, aby sprawę przekazać do decyzji Jego Ekscelencji Wicekróla; nasz statut bowiem głosi, że kiedy zachodzi różnica zdań między członkami rządu, sprawę decyduje Wicekról. Sekretarz Departamentu Wojskowego przedstawi wtedy sprawę Wicekrólowi. Ten ostatni może wypowiedzieć swój pogląd, że w danych okolicznościach, i w danym tylko konkretnym przypadku, uważałby raczej za wskazane, aby stało się zgodnie z poglądami członka rządu - referenta spraw wojskowych; i w wypadku normalnym takie pragnienie Wicekróla jest bardzo często — mógłbym powiedzieć na ogół — spełniane. Ale Wicekról może też, zgodnie z oficjalną procedurą przewidzianą w statucie, poprostu wydać polecenie sekretarzowi Departamentu Wojskowego, aby wniósł sprawę na porządek dzienny posiedzenia rządu w następnym tygodniu. W tym wypadku sprawa będzie omawiana przez rząd — w obecności sekretarza Departamentu Wojskowego, który jednak nie będzie brał udziału w dyskusji — i zostanie zdecydowana większością głosów członków rządu".

Na zapytanie, jak długo trwać może załatwienie wniosku, jeśli sprawa okaże się sporna, p. Brunyate odpowiedział:

„W najlepszym wypadku sprawa sporna zajmie, jak sądzę, dobrych kilka tygodni. Bardziej ściśle nie mogę tego określić; ale wiele zależy od tego, czy sekretarz zainteresowanego departamentu zajmie się energicznie sprawą i nie pozwoli na jej ustawiczne przesyłanie tam i z powrotem od doradcy finansowego i władz administracyjnych do generalnego intendenta czy innej władzy wojskowej — prosząc odrazu każdą instancję o opinię w sprawie uwag instancji poprzedniej. Znałem wypadki, że gdy sprawa nie była odrazu energicznie potraktowana i przeprowadzona, wlokła się w tych okolicznościach w sposób godny ubolewania"...

Ten fantastyczny obraz nie jest wyjęty z jakiejś powieści Dickensa: jest to dokładny opis — dokonany przez bardzo wysokiego urzędnika — procedury, stosowanej aż do roku 1916 przez władze wojskowe w Simli; zapotrzebowanie na wszelkie niezbędne materiały dla ekspedycji w Mezopotamii załatwiane było w myśl tej właśnie procedury — i to pozwala nam zrozumieć tragedię, jaka stała się udziałem tych dzielnych żołnierzy.

Ponieważ sir John Cowans był tym oficerem, który przeprowadził z niezwykłym powodzeniem reorganizację całego transportu w Mezopotamii, nie będzie od rzeczy jeśli podzielę się tutaj wrażeniem, jakie wywarł na mnie ten sympatyczny i kompetentny żołnierz. O ile pamiętam, spotkałem po raz pierwszy sir Johna Cowans — „Jacka" Cowans, jak go nazywali liczni przyjaciele — na pierwszym posiedzeniu Komisji Zaopatrzenia, wyłonionej przez rząd pod koniec r. 1914. Obradowaliśmy w gabinecie ministra wojny, i kiedy właściwe obrady na temat dostaw sprzętu wojennego i rozmowy z generałem von Donop i innymi skończyły się, lord Kitchener zapytał, czy nie chcielibyśmy pomówić z człowiekiem odpowiedzialnym za pozostałe dostawy, to jest z generalnym intendentem. Posłano po generała Cowans, i gdy wszedł do

gabinetu zrobił na mnie wrażenie szerokiego, dość niezgrabnego mężczyzny, który bywał już w niejednej potrzebie; miał nieruchomą twarz i bystre oczy. W najmniejszym stopniu nie odpowiadał moim wyobrażeniom o oficerach Sztabu Generalnego; z twarzy i z zachowania przypominał raczej zamożnego kupca zbożowego z prowincjonalnego miasta. Usiadł, nie zmieniając w niczym swego nieruchomego wyrazu twarzy; kiedy zapytano go o szczegóły zaopatrzenia żywnościowego armii, wolno i niezgrabnie wyciągnął zniszczony futerał i wydobył zeń okulary w rogowej oprawie. Nałożywszy je, poszukał znów w kieszeni i wyjął pomięty notes, przypominający bardzo książeczkę jakiej używają praczki, i spokojnie odczytał z niej wszystkie odpowiedzi na zadane pytania. Potem nastąpiły sprawy dotyczące umundurowania — i okazały się w innym notesie. Słuchaliśmy i uświadomiliśmy sobie stopniowo, że wysłuchujemy niezwykle jasnego i wyczerpującego sprawozdania; kiedy lord Kitchener zapytał, czy nie mamy jeszcze jakichś kwestyj, wszyscy mieliśmy poczucie że nie ma już o co pytać. Ten niepozorny i nieefektowny żołnierz zadziwił mnie swoją sprawnością. Komisja odczuła odrazu, że ma do czynienia z człowiekiem, rozumiejącym co to jest organizacja — z człowiekiem, który ma instynkt organizacyjny we krwi. Kiedy poznałem go bliżej, stwierdziłem że poza tą niezbyt pociągającą powierzchownością i nieruchomym spojrzeniem kryje się natura prosta i łagodna, obdarzona niewyczerpanymi pokładami humoru i dobrodusznej jowialności. Gdy go się lepiej poznało, nie wiele trzeba było, aby zaczął mrugać porozumiewawczo i śmiać się swoim głośnym, serdecznym i zaraźliwym śmiechem.

Wbrew niedbałym pozorom, Cowans był pierwszorzędnym administratorem. W jego departamencie panował niezwykły porządek, i on sam orientował się dokładnie we wszystkim co departament robi. W ciągu czterech i pół lat wojny Cowans wykonywał swoje obowiązki ku absolutnemu zado-

woleniu wszystkich — żołnierzy i cywilów. Jakiekolwiek mogły być wątpliwości i narzekania na braki innych wyższych wojskowych — nikt nigdy nie powiedział nic złego o pracy sir Johna Cowans. Nie dałoby się tego powiedzieć o żadnej innej wybitnej osobistości — cywilnej czy wojskowej — z czasów wojny.

Opisałem wyżej okropną sytuację w Mezopotamii w chwili, gdy Cowans ujął sprawę w swoje ręce. Z niewiarogodną wprost szybkością stan rzeczy zmienił się zupełnie. Bez hałasu i nawet jak gdyby bez wysiłku Cowans naprawił wszystkie popełnione błędy, i odtąd nikt więcej nie słyszał o skandalach w Mezopotamii.

Kiedy jako minister wojny popadłem w konflikt z Radą Wojenną, ponieważ chciałem mianować cywilnych urzędników na stanowiska, które dotąd zajmowali wojskowi — Cowans wybrany został przez zirytowanych generałów, aby mi zakomunikować ich protesty. Jeśli chodziło o załatwienie sprawy ze mną — był niewątpliwie najlepszym człowiekiem do tego rodzaju misji, gdyż jego zmysł praktyczny i humor czyniły zeń wyjątkowo skutecznego mediatora. Nie można było kłócić się z Jackiem Cowans, ani złościć na niego; gniew i złość topniały odrazu pod wpływem jego uśmiechu.

WOJNA AŻ DO „NOKAUTU"!

W drugiej połowie 1916 r. z różnych stron przedsięwzięto szereg prób, zmierzających do zawarcia pokoju na warunkach, które nie dawałyby zwycięstwa żadnej stronie — przyczym trudno było ustalić dokładnie źródła tych pomysłów. Balony próbne i aluzje puszczano w świat z Holandii, z Hiszpanii, z Watykanu, ze Szwecji, ze Stanów Zjednoczonych. Były podstawy do przypuszczenia, że niektóre przynajmniej z tych usiłowań pochodziły od agentów niemieckich; moment bowiem wydawał się odpowiedni do uzyskania warunków pokoju, dogodnych dla mocarstw centralnych. W pierwszych miesiącach wojny Niemcy, ze swoją dokładnie obmyśloną, znakomitą organizacją militarną i świetnym zaopatrzeniem technicznym, wykazywały wyraźną przewagę nad wojskami Koalicji, które miały o wiele gorsze dowództwo i były o wiele gorzej zaopatrzone technicznie, a jeśli chodzi o Anglię — zaczęły dopiero organizować i wyzyskiwać swoje możliwości wojenne. W drugiej połowie 1916 r. wysiłek militarny Niemiec doszedł już wprawdzie do swojego najwyższego napięcia — ale w sytuacji, zarówno na lądzie jak na morzu, było wiele czynników, które kazały wątpić w możliwość decydującego zwycięstwa którejkolwiek strony, a nawet skłaniały do zupełnego porzucenia nadziei na takie zwycięstwo.

Te demoralizujące słuchy pokojowe uczyniły rzeczą pierwszorzędnej doniosłości sprecyzowanie celów, dla których prodzimy wojnę i warunków, na jakich gotowi bylibyśmy zawrzeć pokój. W sierpniu 1916 r. sprawa podniesiona została w ściślejszej Komisji Wojennej rządu, i premier zwrócił się — między innymi — do sir Wiliama Robertsona z prośbą o wyłożenie poglądów Sztabu Generalnego na warunki po-

kojowe, pożądane z militarnego punktu widzenia. Memoriał Robertsona, datowany 31 sierpnia 1916 r., jest — jak na dokument sporządzony w owej chwili — godny podkreślenia pod wielu względami. Oto jego tekst:

„Chociaż końca wojny bynajmniej jeszcze nie widać, rokowania pokojowe — w tej czy innej formie — mogą nastąpić w każdej chwili, i jeśli nie będziemy do nich przygotowani — możemy znaleźć się w pozycji bardzo niewygodnej, nie tylko wobec nieprzyjaciela, ale i wobec naszych sojuszników. Jest rzeczą prawdopodobną, że p. Briand ma już w tej sprawie bardzo zdecydowane poglądy, opracowane starannie pod jego kierunkiem przez jego mądrych pomocników, nie ujawniających się na powierzchni życia politycznego. Będzie więc miał wyraźną przewagę nad nami, gdy na jakiejś pospiesznie zwołanej konferencji wystąpi ze zdecydowaną linią polityczną, do której przyjęcia mógł już przedtem, bez naszej wiedzy, skłonić Rosję, a może i mniejsze państwa. Gdyby tak się stało, Niemcy mogą wyzyskać taki stan rzeczy, powodując nieporozumienia między nami i innymi państwami Koalicji — i w rezultacie możemy okazać się odosobnieni w żądaniach, które będziemy musieli stawiać, szczególnie w sprawie losu zajętych kolonij niemieckich. Musimy więc, nie tracąc czasu, ustalić nasze stanowisko — a potem przedłożyć je państwom Koalicji i dowiedzieć się wzamian o ich dążeniach; w ten tylko sposób możemy dojść do zupełnego porozumienia między sobą, zanim zaczniemy konferować z nieprzyjacielem.

2. W ciągu stuleci — chociaż niestety bynajmniej nie bez przerw i wahań — polityka nasza polegała na tym, aby starać się utrzymać równowagę między państwami kontynentalnymi, które na skutek swoich interesów i sympatyj dzieliły się zawsze na wrogie sobie obozy. Punkt

ciężkości przesuwał się z Madrytu do Wiednia, z Wiednia do Paryża, z Paryża do Petersburga. Zahamowaliśmy, lub pomogliśmy zahamować, ekspansję każdego po kolei mocarstwa, które dążyło do hegemonii na kontynencie; a jednocześnie, w konsekwencji tego, rozszerzaliśmy sferę wpływów naszego imperium. Częścią tej polityki tradycyjnej było utrzymywanie supremacji Anglii na morzu i niedopuszczanie żadnego silnego mocarstwa do terytoriów, zajmowanych przez Belgię i Holandię. W ostatnich latach pozwoliliśmy na wzrost nowej potęgi, dążącej do supremacji w Europie, z punktem ciężkości w Berlinie, i rezultatem tego jest obecna wojna.

3. Uważam, że podstawą rokowań pokojowych powinny być trzy zasady, o które tak często walczyliśmy w przeszłości i o które walczymy obecnie, mianowicie:

a) utrzymanie równowagi sił w Europie,

b) utrzymanie przewagi Anglii na morzu,

c) utrzymanie w ręku słabych państw władzy nad terytorium Belgii i Holandii.

4. Dopiero wtedy, gdy te zasady ogólne — i ewentualnie inne jeszcze, jeśliby były uznane za konieczne — zostaną zaakceptowane przez rząd JKMości, można będzie sformułować niezbędne warunki, od których uzależnialibyśmy pokój.

Jest rzeczą bezużyteczną zastanawiać się nad tymi warunkami, dopóki nie zostały ustalone zasady ogólne; można jednak z wielu spraw, wymagających rozważenia, poruszyć niektóre — aby pokazać jak ważną jest rzeczą, abyśmy zaczęli zastanawiać się nad nimi możliwie najprędzej. Tu dodać trzeba, że niniejszy memoriał sporządzony jest głównie z wojskowego punktu widzenia; a w związku z tym należy raz jeszcze mocno podkreślić, że

warunki, na jakich zawrzemy pokój zadecydują — a w każdym razie powinny zadecydować — o rozmiarach i rodzaju armii, jakiej będziemy po zawarciu pokoju potrzebowali.

5. Jeżeli równowaga europejska ma być utrzymana, konieczne jest istnienie silnego mocarstwa środkowo-europejskiego; konieczne jest także, aby było to mocarstwo składające się z Niemców — gdyż jedyną inną możliwością byłoby państwo słowiańskie, a takie państwo będzie zawsze ciążyć do Rosji: Rosja uzyskałaby wtedy przewagę w Europie, to znaczy obaliła ten właśnie zasadniczy warunek, który pragniemy utrzymać. Z drugiej strony, ponieważ Niemcy są naszym głównym europejskim współzawodnikiem na morzu, byłoby rzeczą pożądaną aby pokój zawarty został na warunkach, które zahamowałyby rozwój floty i marynarki handlowej niemieckiej. Innymi słowy, interesom imperium brytyjskiego odpowiadałyby Niemcy dość silne na lądzie, ale słabe na morzu. Sztab Generalny nie wie dokładnie, w jakim stopniu rząd JK Mości już się zaangażował politycznie, ale jest zdaje się jego intencją rozbicie Austro-Węgier. Na zasadzie konwencji politycznej z Rumunią, przypadnie jej część wschodnich Węgier; Włochy będą się niewątpliwie domagać Triestu z Istrią i z niektórymi przylegającymi terenami; a Serbia ma otrzymać przynajmniej część Bośni, Hercegowiny i Slawonii. Głównymi sprawami, domagającymi się decyzji, są: losy właściwej Austrii, rdzennych Węgier i północnych prowincyj słowiańskich — Czech, Moraw i Galicji, jak również sprawa bezpośredniego połączenia północy z Adriatykiem, nie przechodzącego przez terytoria włoskie i serbskie. Jest rzeczą jasną, że wszystkie te prowincje nie mogą stać się niezależnymi państwami. Galicja może wejść do nowego królestwa polskiego, ale trudne zagadnienie stanowić będą

Czechy i Morawy z jednej strony, Węgry — z drugiej. W myśl dążenia do silnych Niemiec mogłoby być rzeczą korzystną przyłączenie do nich Austrii właściwej, zwłaszcza że w ten sposób dziesięć milionów Niemców południowych stanowiłoby przeciwwagę Prus. Inną możliwością, mającą tę zaletę że załatwia sprawę prowincyj austro-węgierskich, jest pozostawienie okrojonych Austro-Węgier jako państwa; w tym wypadku państwo to powinno otrzymać jakiś port na Adriatyku, najlepiej Fiume. Te nowe Austro-Węgry utworzą najprawdopodobniej bardzo ścisły sojusz z Niemcami, ale taki sojusz może nie być dla nas bez pewnych korzyści — na lądzie, ponieważ ograniczy wpływy Rosji i państw słowiańskich, i na morzu, ponieważ nie dopuści do uczynienia z Morza Śródziemnego domeny wyłącznych wpływów Francji i Włoch.

6. Co się tyczy zachodnich granic Niemiec — będziemy prawdopodobnie musieli zgodzić się na żądania Francji w sprawie Alzacji i Lotaryngii. Belgia musi być przywrócona w swojej przedwojennej postaci; może być rzeczą pożądaną dołączenie do niej W. Księstwa Luksemburgu. Byłoby również rzeczą korzystną dać Belgii swobodny dostęp od Antwerpii do morza — przyłączając do niej część Zelandii, położoną na południe od Szeldy. Holandia mogłaby w tym wypadku otrzymać rekompensatę we Wschodniej Fryzji i Wschodnich Wyspach Fryzyjskich.

7. Na północy pożądane jest, aby cały Szlezwig i ewentualnie część Holsteinu wróciła do Danii. Z punktu widzenia polityki morskiej byłoby rzeczą pierwszorzędnej wagi odebrać Niemcom Kanał Kiloński — który mógłby być umiędzynarodowiony — jak również port Kilonii, Północne Wyspy Fryzyjskie i wschodni brzeg Zatoki Helgolandzkiej. W tych sprawach, jak i w innych związanych

z zagadnieniami morskimi, trzeba oczywiście wysłuchać opinii Admiralicji.

8. Na wschodzie granice Niemiec zależeć będą od tego, jakie terytoria otrzyma Polska. Trudnością związaną z utworzeniem tego nowego państwa jest sprawa otrzymania przez nie portu na morzu. Polacy pragną mieć Gdańsk, i na poparcie tego żądania stwierdzają, że ludność Prus Zachodnich jest w 60 proc. polska. Nie wydaje się jednak rzeczą realną — w jakichkolwiek warunkach — odcięcie Prus Wschodnich od Niemiec; trudno też przypuszczać, żeby Niemcy były kiedykolwiek tak rozbite, aby zgodziły się na oddanie Polsce Poznańskiego — chyba że Polska miałaby wchodzić do Rzeszy Niemieckiej i otrzymać niemieckiego księcia na króla, co znów mogłoby najwidoczniej nastąpić tylko w rezultacie zwycięstwa Niemiec. W sprawie Polski będziemy musieli prawdopodobnie zgodzić się na żądania Rosji.

9. Bułgaria może albo porzucić państwa centralne— wtedy pozwoliłoby się jej zatrzymać dotychczasowe terytoria, plus niesporny obszar Macedonii — albo też może walczyć aż do końca. W tym wypadku, gdyby Rosja usadowiła się w Konstantynopolu, jest rzeczą możliwą że dążyć będzie do aneksji Bułgarii i ewentualnie do połączenia jej z Bessarabią przez odebranie Rumunii Dobrudży.

10. Główne sugestie, wysunięte tutaj do rozważenia, sprowadzają się do: okrojenia Niemiec na zachodzie i północy przez oddanie innym państwom części Alzacji i Lotaryngii, Wschodniej Fryzji, Szlezwigu i części Holsteinu; pewnej rektyfikacji granic związanej z utworzeniem Polski; wzmocnienia Niemiec na południu albo przez inkorporację do nich Austrii właściwej, albo przez ścisłą unię z bardzo okrojonymi Austro-Węgrami; osła-

bienia ich potęgi morskiej przez odebranie im Kanału Kilońskiego i szeregu rejonów na Morzu Północnym i na Bałtyku, będących pierwszorzędnymi bazami morskimi.

11. Istnieje jak się zdaje intencja rozbicia Turcji przez oddanie Konstantynopola i cieśnin Rosji oraz przez podział Mezopotamii, Syrii i części Azji Mniejszej Urzeczywistnienie tych zamiarów nie wpłynęłoby na granice Niemiec w Europie, ale zahamowałoby ekspansję niemiecką na Bliskim Wschodzie.

12. Jeśli chodzi o terytoria azjatyckie poza Turcją, interesuje nas głównie Persja; nie ma jak się zdaje powodów aby porozumienie, jakie będziemy może musieli zawrzeć w sprawie tego kraju z Rosją, miało być omawiane na Konferencji Pokojowej.

13. Nasze przyszłe stosunki z naszymi sprzymierzeńcami wymagają tak samo dokładnego rozważenia, jak stosunki z krajami nieprzyjacielskimi. Jaka będzie nasza postawa wobec polityki francuskiej w Salonikach, włoskiej i francuskiej w Albanii, włoskiej w Azji Mniejszej, rosyjskiej na Bałkanach, i wobec Słowian wogóle w związku z utworzeniem Polski? Dobrze jest zdawać sobie sprawę, że obecne ugrupowanie mocarstw nie jest rzeczą wieczną i że mogą w nim nastąpić zmiany wkrótce po zakończeniu wojny.

14. Co się tyczy kolonij, Niemcy utracą je wszystkie, gdy kampania w Niemieckiej Afryce Wschodniej będzie zakończona — mianowicie: Kiao-Czao, Togo, Kamerun, Niemiecką Afrykę Południowo-Zachodnią, Niemiecką Afrykę Wschodnią, Niemiecką Nową Gwineję, Archipelag Bismarcka, oraz wyspy: Karoliny, Marshalla, Zbójeckie, Salomona i Samoa na Pacyfiku.

Niemcy będą czyniły z pewnością wielkie wysiłki

dla odzyskania wszystkich swoich kolonij lub przynajmniej ich części, aby w ten sposób utrzymać swoje „miejsce pod słońcem" i zachować przynajmniej pozory „światowego mocarstwa". Wobec tego Niemcy będą prawdopodobnie proponowali nęcące ustępstwa państwom, niezainteresowanym w sprawie ich kolonij, aby skłonić je do wywarcia presji na państwa zainteresowane — które pod takim naciskiem musiałyby wyrzec się swoich żądań. Jedynie my zainteresowani jesteśmy w sprawie kolonij niemieckich jako całości: Francja interesuje się tylko Kamerunem, Belgia — Afryką Wschodnią, Japonia — sprawą Kiao-Czao i wysp na północnym Pacyfiku. Łatwo więc zrozumieć, że jeżeli Niemcy uzależnią na przykład oddanie części Polski Rosji, albo Alzacji i Lotaryngii — Francji, albo nawet całkowitą ewakuację Belgii, od otrzymania z powrotem od nas Togo, Afryki Południowo-Zachodniej i Wschodniej oraz wysp na południowym Pacyfiku — możemy znaleźć się w trudnej sytuacji.

15. Kiao-Czao, wyspy Karoliny, Zbójeckie i Marshalla zostały zajęte i okupowane przez Japończyków, i Japonia nie będzie skłonna oddać tych terytoriów bez poważnego odszkodowania gdzieindziej — które nie łatwo znaleźć.

16. Wyspy Samoa zostały zajęte i są obecnie okupowane przez Nową Zelandię, która zapewne — jako młode państwo — przywiązywać będzie do nich wielką wagę uczuciową, jako do swego pierwszego podboju. To samo dotyczy Niemieckiej Nowej Gwinei, Archipelagu Bismarcka i Wysp Salomona, zajętych i administrowanych przez rząd australijski; Australia ma jeszcze dodatkowy motyw nieoddawania tego co ma w ręku — mianowicie wyspy te stanowią cenną zaporę, osłaniającą jej kontynent przed ewentualną ekspansją Japonii.

17. W Afryce sytuacja jest jeszcze trudniejsza. Jest rzeczą nieprawdopodobną aby Unia Południowo-Afrykańska, po doświadczeniach obecnej wojny, chciała tolerować sąsiedztwo wielkiego obcego mocarstwa. Zdobyła ona przecież własnymi siłami Niemiecką Afrykę Południowo-Zachodnią i odegrała rolę kierowniczą w kampanii w Afryce Wschodniej. W tej sytuacji będziemy zapewne dysponować tylko terytorium Togo, jako przedmiotem ewentualnych targów.

18. Liczne sprawy, związane z dalszym losem kolonij niemieckich, wymagają bardzo dokładnego rozważenia; powinniśmy bez zwłoki uzyskać w tych sprawach opinie dominiów i ustalić naszą postawę wobec innych państw Koalicji.

19. Inną sprawą, wymagającą omówienia i jeżeli możliwe—zdecydowania, jest ewentualna propozycja nieprzyjaciela, dotycząca zawieszenia broni na czas trwania rokowań pokojowych. Fakt blokady Niemiec przez państwa Koalicji utrudnia bardzo ustalenie odpowiednich warunków takiego zawieszenia broni. Z punktu widzenia interesów Koalicji utrzymanie blokady w czasie pertraktacyj jest absolutnie konieczne, gdyż inaczej państwa centralne zdołają w tym czasie zaopatrzyć się w żywność i wobec tego będą w znacznie lepszej sytuacji, jeżeli w wyniku rozbicia się rokowań kroki wojenne zostaną podjęte na nowo. Nieprzyjaciel będzie niewątpliwie sprzeciwiał się stanowczo utrzymaniu blokady, gdyż każdy dzień jej trwania osłabia go i wobec tego pod koniec zawieszenia broni byłby słabszy, niż w chwili jego zawierania. Ponieważ jednak mamy prawo sądzić, że gdyby w ciągu tego czasu nie było zawieszenia broni, sytuacja przeciwnika doznałaby pogorszenia — nie możemy zgodzić się na to, aby z zawieszenia broni czerpał korzyści, których nie miałby bez niego. W gruncie rzeczy nie

mamy powodu przejmować się nieprzyjacielem. Niemcy w podobnej sytuacji byliby bardzo dalecy od tego, aby w najmniejszym stopniu liczyć się z trudnościami wroga. Ponadto, dążyć będziemy do jak najszybszego zakończenia rokowań, a w wypadku zdjęcia blokady wlokłyby się one niemal napewno bez końca.

20. Pozostają więc do rozważenia trzy sposoby postępowania:

a) nie zgodzić się wogóle na zawieszenie broni i kontynuować walkę aż do zakończenia rokowań, albo też — aż do poddania się nieprzyjaciela bez zastrzeżeń;

b) ograniczyć zawieszenie broni tylko do operacyj na lądzie i w powietrzu — kontynuować natomiast wszelkie operacje na morzu, wraz z akcją łodzi podwodnych;

c) zgodzić się w czasie zawieszenia broni na pewne racjonowanie zapasów dla państw centralnych — zmierzające do tego, aby ich sytuacja gospodarcza nie ulegała w tym czasie zmianie.

21. Wszystkie te możliwości mają swoje strony ujemne. Jeśli chodzi o pierwszą — nie będzie rzeczą łatwą prowadzić pertraktacje pokojowe w czasie trwających walk, gdyż te czy inne fluktuacje w położeniu na frontach mogą wywierać wpływ na przebieg rokowań. Trzeba też pamiętać że rokowania, w których brać będzie udział tyle państw, muszą z konieczności trwać długo, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę różnorodność spraw i wielkość terytorjów, których dotyczyć będą obrady.

22. Należyte sformułowanie warunków rozejmu nie będzie rzeczą łatwą, nawet jeśli chodziłoby tylko o zawieszenie działań na lądzie i w powietrzu — gdyż jeśli wa-

runki nie będą bardzo uciążliwe i wszelkie możliwości nie zostaną w nich przewidziane, będziemy mieli wciąż do czynienia ze skargami na ich naruszanie, co prowadzić może do nieskończonych sporów. Jeśli zaś postanowilibyśmy zgodzić się na rozejm w sformułowaniu b) i ataki łodzi podwodnych na statki pasażerskie i handlowe miałyby trwać nadal — obrady Konferencji Pokojowej mogą odbywać się w atmosferze irytacji, co utrudni zawarcie ostatecznego układu. Możliwości c) nie poleca się. Im bardziej nieprzyjaciel jest głodny, tym lepiej — a koniec końców ma jeszcze pewnie z czego żyć. Poza tym byłoby rzeczą trudną ustalić normy poszczególnych zapasów, na które mogłyby się zgodzić obie strony.

23. Jest rzeczą zupełnie oczywistą, że we wszystkich tych zagadnieniach istnieją liczne trudności; tym pilniejsze jest ich rozważenie. Reasumując: odmowa zawarcia rozejmu wydaje się niemal niemożliwością; niezbędne jest jednak, abyśmy posiadali w tej sprawie konkretne gwarancje dobrej woli przeciwnika — i dlatego proponuję, aby zgoda na rozejm uzależniona była od spełnienia trzech przynajmniej warunków:

a) natychmiastowego cofnięcia wszystkich wojsk nieprzyjacielskich poza przedwojenne granice państwowe;

b) natychmiastowego uwolnienia przez nieprzyjaciela wszystkich jeńców wojennych;

c) wydania nam części floty nieprzyjacielskiej.

W. R. Robertson,

generał, szef Generalnego Sztabu Imperialnego.

Ministerstwo Wojny, 31 sierpnia 1916 r."

Dokument ten jest interesujący nie tylko jako wyraz poglądów sfer wojskowych na zmiany terytorialne, jakie należało przeprowadzić dla zabezpieczenia się przed odrodzeniem potęgi niemieckiej — ale również jako odbicie rozpowszechnionego w tym okresie oczekiwania, że rokowania pokojowe są niedaleko.

Postawa jednak różnych osobistości wpływowych wobec tych perspektyw pokoju była bardzo różnorodna. Wielu było takich, którzy nader niechętnie zgodzili się na wojnę, ale sądzili że skoro już wojna została nam narzucona — byłoby prawdziwym nieszczęściem zawrzeć pokój, zanim nie zostanie okazane w sposób jasny, że w ostatecznym rezultacie żadna, nawet najwspanialsza organizacja militarna nie może zwyciężyć obrażonego sumienia cywilizacji. Ale ten punkt widzenia nie był bynajmniej powszechnie rozumiany i przyjęty. Wobec naszej niewyraźnej pozycji militarnej i niepomyślnych perspektyw na przyszłość, wielu pociągała możliwość kompromisowego,ale szybkiego pokoju.

Kończył się właśnie trzeci rok wojny, i wydawało się że Sprzymierzeni dalecy są bardziej niż kiedykolwiek od pomyślniego dla siebie rozstrzygnięcia. Po zakończeniu pierwszej kampanii Belgia została niemal całkowicie okupowana przez nieprzyjaciela; znaczna część północnej Francji, zawierająca ważne ośrodki, była też zajęta przez Niemców — i nawet po odwrocie z nad Marny dziesięć z pośród najbogatszych prowincyj francuskich pozostawało w ich ręku. Pod koniec drugiego roku wojny cała Serbia stała się zdobyczą państw centralnych, Bułgaria ze swoją waleczną armią przyłączyła się do nieprzyjaciela, a w Rosji wojska jego zajmowały ogromne terytoria, pozwalając mu uzupełniać własne zasoby siły roboczej, żywności i drzewa.

W końcu trzeciego roku Rumunia została rozbita—i przeważająca część jej terytorium, wraz ze stolicą kraju, była w ręku wroga, który zdobył w ten sposób bezcenne zasoby nafty

i zboża. Bałkany znajdowały się więc niemal całkowicie w ręku mocarstw centralnych: ich amunicja i armaty mogły bez przeszkód docierać do Konstantynopola. Turcja ożyła i przyczyniała się w bardzo poważnym stopniu do umocnienia pozycji militarnej swoich sojuszników, wiążąc na swoich frontach setki tysięcy francuskich i angielskich żołnierzy. Siły tureckie odrzuciły nas z Dardaneli, a jedna z armij angielskich uległa Turkom w Mezopotamii. Na zachodzie wysiłki, zmierzające do rozluźnienia straszliwego niemieckiego uścisku i okupione olbrzymimi stratami, nie dały żadnych namacalnych wyników. Pod ogniem najpotężniejszej artylerii, jaka wystawiona była kiedykolwiek na polu bitwy, Niemcy ponieśli ciężkie straty i zostali nieco odepchnęci, ale straty ich nie dawały się porównać z francuskimi, a zwłaszcza z angielskimi, a zdobycze terenowe Koalicji były niezanczne i nie miały strategicznego znaczenia. Atak niemiecki na Verdun nie udał się, ale nawet tam Francuzi ponieśli znacznie większe straty niż Niemcy.

Francja ociekała krwią; każdy kto ją widział wtedy musiał dostrzec, że chociaż ten dzielny naród nie utracił swojej odwagi i nie upadł na duchu — ale jednak zapał jego tonął w potokach krwi jego synów. Oficjalne sprawozdania z Włoch nie brzmiały bynajmniej pocieszająco. W swojej decyzji wzięcia udziału w wojnie naród włoski był o wiele mniej jednomyślny, niż inne państwa wojujące. Niedostatecznie zaopatrzone technicznie, wojska włoskie dokazały od maja 1915 r. cudów odwagi i wielkich triumfów sztuki inżynieryjnej, wdzierające się poprzez wyrąbane w skale fortece na wielkie góry, otaczające równiny włoskie; ale posunęły się naprzód nie wiele, a straty poniosły ciężkie. Niedawno zresztą doznały niepowodzeń. W początkach listopada Rennel Rodd, nasz ambasador w Rzymie, kórego raporty o sytuacji we Włoszech cieszyły się naszym zupełnym zaufaniem, poinformował rząd że

„we Włoszech dają się stwierdzić oznaki zniechęcenia wojną i niezadowolenia wobec przeciągającej się walki. Przedstawia się tu Anglię jako jedyne państwo, pragnące prwadzić wojnę *à outrance* dla swoich własnych celów. Byłoby nieprawdą, gdyby się utrzymywało, że istnieje tutaj taka sama zacięta determinacja, jaka przeważa we Francji i w Anglii".

Armia rosyjska była rozbita i zupełnie niezdolna do skutecznego przeciwstawienia się atakom niemieckim, i chociaż zaopatrzenie jej w karabiny i amunicję poprawiło się jakby w ciągu ostatniego roku, było rzeczą oczywistą, że istniejące uposażenie techniczne nie pozwoli jej bronić się długo przeciw potężnej artylerii, jaką dysponowały wojska Hindenburga. Na skutek niedbalstwa lub zdrady, dziesięć tysięcy ton amunicji, nagromadzonej w Archangielsku, wyleciało w powietrze. Cała administracja była niedbała, nieudolna i przeżarta korupcją. Nic dziwnego, że w narodzie rosyjskim nurtowało głębokie niezadowolenie. Chłopi okazywali głuchą niechęć. Robotnicy w miastach byli coraz mniej posłuszni i trudniejsi do opanowania. Mnożyły się strajki; częste demonstracje uliczne były groźnym zjawiskiem. Żołnierze przestali wierzyć w możliwość zwycięstwa, i niezależnie od tego czy mieli atakować czy bronić się — spełniali rozkazy mechanicznie, bez zapału i bez zaufania do dowództwa. Tylko strach trzymał ich w okopach. Trudności żywnościowe dawały się odczuwać na całym terytorium Rosji. Rewolucja była już tylko kwestią czasu: wszyscy uważali ją za nieuniknioną. Chociaż nasz przedstawiciel w Rosji zapewniał nas, że rewolucja nie wybuchnie przed zakończeniem wojny — Sprzymierzeni nie mogli mieć zaufania, że ludzie będą w dalszym ciągu ryzykowali życie na wezwanie pogardzanej i znienawidzonej powszechnie autokracji.

Wypowiadano nadzieję, że opór rosjski zdoła unieruchomić na wschodnim froncie poważną część armii państw cen-

tralnych przynajmniej tak długo, dopóki Koalicji nie uda się na froncie zachodnim i włoskim oddawna oczekiwane „przerwanie frontu" nieprzyjaciela. Ale nadzieja ta stawała się coraz słabsza; bieg wypadków okazał, że była zupełnie iluzoryczna. Zupełne zaś załamanie się oporu rosyjskiego oznaczało możność przerzucenia dwóch do trzech milionów żołnierzy niemieckich i austriackich, wraz z ich potężną artylerią, na front zachodni i włoski i uderzenia przy ich pomocy na wyczerpaną Francję i zniechęcone Włochy.

Poza tym zawisło nad nami jeszcze jedno niebezpieczeństwo, grożące po prostu zagłodzeniem Anglii: była to działalność niemieckich łodzi podwodnych, zatapiających nasze okręty handlowe. Admiralicja niemiecka postawiła sobie za zadanie zwiększyć w czwórnasób swoją flotę podwodną. Ale jeszcze groźniejsze od wzrostu liczby tych nieuchwytnych narzędzi zniszczenia było powiększenie ich rozmiarów i siły ich motorów — rozszerzało to bowiem znacznie ich możliwe pole działania. Łodzie podwodne nowego typu mogły zapuszczać się daleko na morze i tam polować na swoje ofiary. W tej sytuacji organizowanie skutecznej obrony stawało się o wiele trudniejsze. Produkcja w stoczniach niemieckich rosła w zatrważający sposób, i straty nasze wykazywały gwałtowne skoki z tygodnia na tydzień. Obrona nie mogła tutaj żadną miarą dotrzymać kroku napaści. Miała do czynienia z wrogiem niewidzialnym — z wrogiem, który nie pozostawiał po sobie żadnych śladów, który uderzał i potem znikał w niewiadomym kierunku, wędrując dalej w bezdrożach głębin, niewidoczny i niemożliwy do odszukania.

Następująca tabliczka podaje liczby brytyjskich statków handlowych, zatopionych przez łodzie podwodne w ciągu 1916 roku.

Miesiąc	*Liczba zatopionych okrętów*	*Tonaż (w tysiącach ton)*
Styczeń 1916 r.	5	62.3
Luty „	7	75.9
Marzec „	19	99.1
Kwiecień „	37	141.2
Maj „	12	64.3
Czerwiec „	11	37.0
Lipiec „	21	82.4
Sierpień „	22	43.4
Wrzesień „	34	104.6
Październik „	41	176.2
Listopad „	42	168.8
Grudzień „	36	182.3

Oto jak oceniał wówczas sytuację lord Robert Cecil, wpływowy członek rządu:

„Jedno jest jasne: sytuacja nasza jest poważna. Nie ulega wątpliwości, że jeśli naród nie dokona wielkiego wysiłku, może stać się rozpaczliwa — zwłaszcza jeśli chodzi o okręty handlowe. W innych krajach Koalicji sytuacja jest jeszcze poważniejsza. Francja jest bliska wyczerpania. Perspektywy polityczne we Włoszech są groźne; finanse włoskie załamują się. W Rosji panuje wielkie zniechęcenie: kraj stoi oddawna na skraju rewolucji. Nawet rezerwy ludzkie Rosji są, jak się zdaje, bliskie wyczerpania."

Sytuacja tego rodzaju musiała z konieczności rodzić zwątpienie w sercach najmężniejszych ludzi i mobilizować uczucia patriotyczne i humanitarne na rzecz hasła natychmiastowego pokoju. Dla względów jednak, na które później wskażę, byłem przeciwny wszelkiej próbie zawarcia pokoju w chwi-

li, kiedy Niemcy byli u szczytu swej potęgi i powodzenia, a my zaczęliśmy dopiero mobilizować wszystkie nasze zasoby; pokój w takiej chwili zawarty musiałby być w moim przekonaniu czymś niezadowalającym i kompromisowym.

Mimo że sytuacja Francji budziła poważne obawy, stosunek jej do wszelkich prób zawarcia pokoju w tym momencie był zdecydowanie wrogi. Dał mu wyraz w niezwykle silnej mowie na posiedzeniu Izby Deputowanych premier francuski, Briand. Socjalista Brizon wygłosił 19 września 1916 r. przemówienie, w którym podkreślał poniesione przez Francję straty, a w zakończeniu stawiał pytanie, czy Francja nie ucierpiała już dosyć i czy nie nadszedł czas wszczęcia rokowań pokojowych. W odpowiedzi Briand wygłosił jedno z najlepszych przemówień swego życia; podaję niżej jego urywek. Gdy skończył, Izba zgotowała mu owację, jakiej „nie otrzymał nigdy premier" i postanowiła 421 głosami przeciw 26 rozplakatować mowę po Francji. Można więc przyjąć, że mowa Brianda reprezentowała postawę całego kraju, i że Francja, która najbardziej ucierpiała od wojny, sprzeciwiała się w sposób jak najbardziej stanowczy wszelkim przedwczesnym rokowaniom pokojowym.

Oto słowa Brianda:

„Niech Pan rozważy położenie Francji, p. Brizon. Została napadnięta. Reprezentuje przecież coś w świecie — reprezentuje ideje, które przyczyniły się do postępu ludzkości. Kiedy kraj nasz, który od dwóch lat ma honor walczyć o zwycięstwo prawa, stawił opór najeźdźcy i broni całego świata — Pan mówi: zawierajcie pokój! Cóż za wyzwanie, cóż za obelga wobec pamięci poległych! (Głośne oklaski i okrzyk: Debout les morts!). Jakże to, p. Brizon! Dziesięć prowincyj naszego kraju zajął nieprzyjaciel; nasi starcy, kobiety i dzieci są pod jego władzą. Znoszą bez szemrania cierpienia, czekając aż ich uwolnimy. I w tej chwili Pan zjawia się i oświadcza: „Per

traktujcie! Proście o pokój!" Nie zna Pan Francji, jeśli Pan wyobraża sobie, że w tych upokarzających warunkach będzie ona myśleć o oszczędzaniu swoich miliardów, albo nawet swojej krwi. Jakiż pokój otrzymałaby dziś Francja? Byłby to pokój zbrojny. Jeśli Pan chce, p. Brizon, aby pokój zaświtał nad światem, jeśli Pan chce, aby zaświtała wolność i sprawiedliwość, niech Pan żąda zwycięstwa a nie pokoju, jaki dziś moglibyśmy uzyskać — gdyż pokój taki byłby upokorzeniem i obelgą. Nie ma Francuza, który mógłby go pragnąć."

Z drugiej strony, Niemcy miały także swoje trudności. Państwa centralne znajdowały się w uścisku blokady — a Koalicja zdołała poczynić daleko idące kroki, aby zabezpieczyć sobie dostawę wszystkiego czego niezbędnie potrzebowała. Austria i Turcja stały na glinianych nogach; na tych sojusznikach Niemcy nie mogły zbytnio polegać. W Anglii działalność Ministerstwa Zaopatrzenia dawała już obfite owoce, a wprowadzenie obowiązkowej służby wojskowej zapewniało armiom naszym setki tysięcy nowych żołnierzy.

Wobec tego Niemcy były naturalnie gotowe udzielać swego poparcia wszelkim sugestiom — niezależnie od tego skąd sugestie takie pochodziły — proponującym szybkie rokowania pokojowe, dopóki ich potęga militarna była nienaruszona, a pozycje zajmowane przez ich wojska uzasadniały pogląd, że zasadniczo biorąc Niemcy są w wojnie stroną zwycięską. Doszły nas wieści, że emisariusze niemieccy w Stanach Zjednoczonych starają się wywołać interwencję Prezydenta Wilsona i doprowadzić tą drogą do zawarcia szybkiego i korzystnego dla nich pokoju.

Sam Prezydent miałby także pewne powody skłaniać się do takiej interwencji. Zbliżały się wybory — miały się odbyć na początku listopada — i trzeba było brać pod uwagę głosy silnej i wpływowej ludności pochodzenia niemieckiego.

Ponadto, cała pozycja Wilsona związana była z panującą o nim opinią, jako o człowieku który „nie pozwolił wciągnąć Ameryki do wojny"; i wszystko co mógł uczynić, aby zmniejszyć niebezpieczeństwo — bardzo realne, jak się wkrótce potem okazało, — że Ameryka będzie jednak w końcu w wojnę wciągnięta, ułatwiałoby oczywiście jego kampanię wyborczą. W moim jednak przekonaniu chwila była najzupełniej nieodpowiednia do omawiania jakichkolwiek warunków pokojowych, dających jaką taką satysfakcję Koalicji. Nie będę twierdził, że pogląd mój podzielali wszyscy członkowie gabinetu. Byli wśród tych ostatnich tacy, którzy mieli poważne zastrzeżenia co do naszej sytuacji militarnej, co do perspektyw naszego transportu morskiego i dowozu środków żywności, oraz co do naszych rezerw finansowych. Zwłaszcza lord Grey, lord Landsdowne, p. Mac Kenna i p. Runciman byli najwidoczniej niezbyt dobrej myśli i wątpili, czy można będzie prowadzić wojnę dłużej jak do Bożego Narodzenia 1916 roku. Z publikacyj, jakie pojawiły się po wojnie, widać jasno, że podobne wrażenie panowało w wielu kołach za granicą.

W tym momencie uznałem za rzecz niezbędną wystąpić ostro przeciw defetyzmowi, szerzonemu z zagranicy i pragnącemu doprowadzić do kompromisowego pokoju — defetyzmowi, który znajdował oddźwięk nawet w niektórych odpowiedzialnych kołach angielskich.

Nie byłem przyjacielem wojny. Jedynie w ostatniej chwili i z największą niechęcią zgodziłem się na ultimatum angielskie. Moje stanowisko pacyfistyczne było dobrze znane, i gdyby nie pogwałcenie przez Niemcy neutralności Belgii — nie zgodziłbym się nigdy na pozostawanie w gabinecie, który pogrążał kraj w okropności rzezi wojennej i zorganizowanego barbarzyństwa. Z chwilą jednak zdecydowania się na wojnę — byłem nie mniej zdecydowany prowadzić ją, dopóki nie osiągniemy przynajmniej celu naszych poświęceń. Nie

chodziło tu tylko o stosowanie się do rady Szekspira: „...Wystrzegaj się kłótni: ale jeśliś się jednak w niej znalazł — Bacz, aby Twój przeciwnik wystrzegał się Ciebie." Chodziło o to, że rokowania pokojowe w istniejącej sytuacji doprowadzić by mogły do pokoju na warunkach, będących w gruncie rzeczy wyrzeczeniem się przez nas sprawy, dla której chwyciliśmy za broń.

Idąc za przykładem samego lorda Grey'a, który na krótko przedtem udzielił wywiadu prasowego, postanowiłem 28. września 1916 r. przyjąć amerykańskiego dziennikarza — p. Roy W. Howarda, prezesa ajencji United Press—i wyłożyć mu moje poglądy na postawę, jaką zająć powinna Anglia i jej sprzymierzeńcy wobec pogłosek o bliskim pokoju.

Zacząłem od podkreślenia, że Anglia dopiero teraz wdrożyła się w prowadzenie wojny z całą mocą i ma wobec tego prawo traktować z podejrzliwością pogłoski, jakoby Prezydent Wilson miał wybrać ten właśnie moment do zaproponowania nam, abyśmy zawarli pokój przed osiągnięciem zwycięstwa.

„Nie było takiej interwencji w ciągu pierwszych dwóch lat, kiedy — niewyćwiczeni i źle wyposażeni — znosiliśmy ciężkie ciosy. Nasi żołnierze cierpieli bez szemrania. Z zaciśniętymi zębami stali na posterunku, gdy zwycięscy Niemcy mówili o aneksji Belgii i Polski, jako o swoich łupach, i o prowadzeniu walki z Anglią aż do końca."

„Cały świat — nie wyłączając ożywionych najlepszymi zamiarami ludzi z państw neutralnych, jak również humanitarystów o najszlachetniejszych intencjach — musi zrozumieć, że w tej chwili żadna postronna interwencja nie odniesie skutku. Anglia nie prosiła o interwencję, gdy była nieprzygotowana do walki i nie ścierpi jej teraz, kiedy się już przygotowała, dopóki pruski despotyzm militarny nie zostanie raz na zawsze zmiażdżony."

Teraz ludzie dają wyraz swemu przerażeniu na myśl o

przeciągającym się konflikcie — ale żadne uczucie litości nie nakazywało im przerwania tego konfliktu wtedy, gdy żołnierze angielscy byli truci gazami i musieli bronić się przed nieprzyjacielem, odpowiadając jednym pociskiem na jego dziesięć.

„Ale jeśli Anglicy mają mocne postanowienie doprowadzić walkę aż do decydującego zwycięstwa — jest w tym coś więcej, niż naturalna chęć odwetu. Okropność i nieludzkość walki, jaka nastąpić musi zanim możliwy będzie trwały pokój, nie da się porównać z okrucieństwem, jakim byłoby przerwanie wojny w chwili, kiedy możliwość zagrożenia cywilizacji przez te same czynniki nie przestała istnieć. Pokój teraz, czy w ogóle pokój przed całkowitą eliminacją tej groźby — to rzecz nie do pomyślenia. Żaden człowiek i żaden naród, orientujący się jako tako w nastroju ludowej armii angielskiej, która bez skargi i bez szemrania znosiła spadające na nią ciosy — nie będzie teraz proponował zaprzestania walki."

„Ale jak długo, według Pana, to może i musi jeszcze trwać?" — zapytał mój rozmówca.

„Armia angielska nie zna dzisiaj żadnego zegara ani kalendarza" — odpowiedziałem. — „Czas jest tu najmniej ważną sprawą. Znaczenie ma tylko wynik — a nie czas, potrzebny do jego osiągnięcia. Anglii potrzeba było 20 lat na pokonanie Napoleona — i pierwsze 15 lat było jednym pasmem angielskich porażek. Do wygrania tej wojny 20 lat nie będzie potrzeba — ale wojna będzie wygrana, niezależnie od czasu, jaki to zajmie."

„Tu chciałbym dodać jeszcze co następuje — zdaję sobie bowiem sprawę, że teraz dopiero zaczęliśmy wygrywać tę wojnę; nie będziemy wcale skłonni uważać po pierwszym sukcesie, że osiągnęliśmy już ostateczne zwycięstwo; nie łudzimy się wcale, że wojna bliska jest końca. Ale nie mamy najmniejszej wątpliwości co do tego, j a k się skończy."

„Ale co z Francją?" — zapytał p. Howard. — „Czy panuje tam to samo postanowienie wytrwania do końca? Ta sama koncepcja walki aż do chwili, kiedy Koalicja będzie mogła podyktować Niemcom warunki pokoju?"

„Świat — odrzekłem — nie nauczył się jeszcze oceniać należycie cudownej, wspaniałej i szlachetnej duszy Francji. Odpowiedź na Pana pytanie dała mi przed kilku dniami pewna szlachetna Francuzka. Oddała już Francji czterech swoich synów — pozostał jej jeszcze jeden do oddania. W rozmowie z nią zapytałem czy nie sądzi, że wojna trwa już dosyć długo. Bez chwili wahania odpowiedziała: „Walka nie będzie nigdy trwała za długo, dopóki nie uniemożliwi powrotu tej okropności." Przez tę matkę przemawiał głos Francji. Tak jest, Francja wytrwa do końca."

Wskazałem na obronę Verdun, jako na dowód niezłomności Francuzów. Anglików ożywia duch sportu, Francuzów — płomienny patriotyzm. Motto Koalicji brzmi: „Nigdy więcej!" Sam byłem niedawno na polu walki i okropności, które widziałem własnymi oczami, nie mogą nigdy więcej się powtórzyć. Wojna musi się skończyć tak, abyśmy byli tego pewni.

Taka była zasadnicza treść wywiadu, który zyskał szeroki rozgłos i był wszędzie żywo omawiany. Wyłożona w niej „polityka nokautu" — jak ją nazwano — wywołała wielkie przygnębienie nie tylko w państwach centralnych (ich politycy i prasa ciągle się na nią powoływali), ale nawet wśród części moich kolegów z gabinetu; byli to ludzie, których trudno byłoby nazwać zdecydowanymi pacyfistami, ale którzy skłaniali się ku zawarciu rychłego, kompromisowego pokoju. Niektórzy moi koledzy uważali wywiad za prowokacyjny; wielu twierdziło, że niedokładnie zostało w nim ujęte stanowisko rządu wobec perspektywy natychmiastowego pokoju.

Wkrótce stwierdziłem, że udzielony przeze mnie wy-

wiad wywołał wielkie poruszenie i liczne sprzeciwy w łonie gabinetu. Otrzymałem następujący list od lorda Grey'a:

„Drogi Panie Lloyd George!

Im więcej nad tym myślę, tym bardziej niepokoją mnie skutki, jakie może mieć zawarta w Pana wywiadzie przestroga pod adresem Wilsona, i chciałbym wytłumaczyć powody mojego niepokoju:

1. Mowa Brianda, a sądzę że i kroki podjęte w Waszyngtonie, uczyniły wszelkie nowe ostrzeżenie w tej chwili rzeczą zbyteczną.

2. Będą nam teraz w Waszyngtonie przypisywać odpowiedzialność za powstrzymanie Wilsona w jego wysiłkach. Wilson powoła się na Pana słowa, jako na powód, dlaczego nie może nic zrobić, i to może zbliżyć go do Bethmanna-Hollwega.

3. Wilson może być teraz bardziej skłonny wywierać na nas nacisk, jakiego domagał się od niego Kongres, a to może być dla nas bardzo niewygodne.

4. Niemcy prowadzić będą najbardziej bezwzględną wojnę podwodną, zakomunikowawszy Wilsonowi, że ponieważ on wobec naszego stanowiska nic zrobić nie może, oni muszą stosować wobec nas wszelkie dostępne środki. Wilson i jego zwolennicy będą słabiej niż dotychczas oburzać się na działalność łodzi podwodnych.

5. Uważałem zawsze, że dopóki Koalicja nie będzie pewna zwycięstwa, powinniśmy pozostawić otworem furtkę dla możliwego pośrednictwa Wilsona. Teraz furtka ta — jeśli o nas chodzi — została zamknięta raz na zawsze. Niepokoją mnie w dalszym ciągu skutki działalności łodzi podwodnych.

Nie będzie Pan, mam nadzieję, uważał że się przy-

czepiam — kwestionuję tylko jeden punkt w Pana wywiadzie; co do reszty nie tylko nie mam żadnych zastrzeżeń, ale przeciwnie, wyrażam Panu całe moje uznanie. Może się całkiem mylę, ale sądzę że publiczne ostrzeżenie Prezydenta Stanów Zjednoczonych jest krokiem poważnym, i żałuję że nie miałem możności przedstawienia Panu tych rozważań i omówienia ich z Panem.

Na razie żadna odpowiedź nie potrzebna — bo nic nie możemy teraz zrobić, dopóki nie zobaczymy efektu. Szczerze oddany. Grey."

Odpowiedziałem co następuje:

„2 października, 1916 r.

Drogi Panie Grey,

Dziękuję za list. Nie wiem, czy Pan jest dalej tego samego zdania po przeczytaniu tajnych raportów służby informacyjnej? Czy Pan je widział?

Depesza 2943 od Spring-Rice'a wydaje mi się też bardzo znamienna. Gdyby Wilsona zmuszono do wystąpienia — a wszystko wskazuje na to, że Niemcy wspólnie z Irlandczykami mogli to zrobić — bylibyśmy w nader niewygodnej sytuacji. Wszelkie przerwanie działań wojennych teraz byłoby katastrofą; i chociaż zawsze moglibyśmy odmówić albo postawić niemożliwe warunki, jest o wiele lepiej, że nie musimy tego robić. P a n nie mógł powstrzymać Stanów Zjednoczonych, inaczej jak w sposób zupełnie oficjalny. Ja mogłem popełnić pożyteczny nietakt — Pan nie mógł. Pana by to zgubiło — ja jestem zabezpieczony!

... Chociaż jestem zatwardziałym grzesznikiem, jest mi naprawdę przykro, że dodałem jeszcze jedną kroplę do czary Pana kłopotów. Szczerze oddany, D. Lloyd George."

W swoim liście lord Grey zaryzykował szereg przepowiedni; wszystkim tym przepowiedniom zadały kłam wypadki. Twierdził, że wywiad „skłoni Wilsona, aby nic nie robił, i to może zbliżyć go do Bethmanna-Hollwega". W kilka miesięcy później, gdy byłem premierem, Wilson zerwał stosunki dyplomatyczne z Niemcami, a jeszcze po kilku tygodniach — wystąpił czynnie po stronie Koalicji. Grey przepowiadał, że innym następstwem mojego wywiadu może być zwiększony nacisk na nas ze strony Wilsona: i to okazało się nieuzasadnioną obawą. Przepowiadał dalej, że wywiad spowoduje zaostrzoną kampanię niemieckich łodzi podwodnych, i że Wilson będzie mniej skłonny oburzać się na nią. W rzeczywistości Niemcy postanowili już na początku 1916 r. zwiększyć czterokrotnie liczbę i moc swoich łodzi podwodnych; w końcu sierpnia wielka liczba tych nowych, potężniejszych łodzi wyszła już z ich stoczni. A Wilson i jego zwolennicy nie tylko nie byli mniej niż przedtem oburzeni na wojnę podwodną, ale przeciwnie — wzmożenie działalności łodzi podwodnych sprowokowało Amerykę do wypowiedzenia Niemcom wojny na początku 1917 r.

Co zaś do przepowiedni Grey'a, że w rezultacie mojego wywiadu furtka dla pośrednictwa Wilsona zostanie „jeśli o nas chodzi, zamknięta raz na zawsze" — przypomnieć trzeba, że właśnie w dwa czy trzy miesiące później Wilson ogłosił swoje słynne propozycje pokojowe.

Jest rzeczą charakterystyczną dla ówczesnego nastroju Grey'a, że wątpił jak się zdaje w zwycięstwo Koalicji — i że widział w pośrednictwie Prezydenta Stanów Zjednoczonych możliwy ratunek przed konsekwencjami porażki.

Jak bardzo nie sprawdziły się przewidywania Grey'a co do następstw mojego wywiadu — widać z raportów naszego ambasadora w Stanach Zjednoczonych, sir C. Spring-Rice'a. W depeszy do ministra spraw zagranicznych, datowanej 4 października 1916 r., Spring-Rice donosi:

„Z wiarogodnych źródeł komunikują mi, że Prezydent nie ma zamiaru występować z propozycjami pokojowymi. Oświadczenie ministra wojny wywarło wielkie wrażenie. Mam także powody do przypuszczenia, że nie będą przedsięwzięte żadne kroki na zasadzie Ustawy Odwetowej....“

Depeszę tę uzupełnił list z d. 6 października, w którym Spring-Rice pisze:

„Oświadczenie p. Lloyd George'a, które wywołało tutaj natychmiastowy i ogromny efekt, położyło kres uporczywym słuchom pokojowym, krążącym od jakiegoś czasu. Wszyscy zdaje się godzą się co do tego, że Prezydent nie ma zamiaru proponować swojego pośrednictwa, przynajmniej w bliskiej przyszłości“.

List stwierdzał również, że rząd Stanów zajmuje w dalszym ciągu postawę zdecydowanie wrogą wobec wszelkiego wzmożenia kampanii łodzi podwodnych ze strony Niemiec. Spring-Rice dodawał też, że pochodzące ze źródeł niemieckich pogłoski pokojowe są wyzyskiwane przez Niemców dla ich operacyj giełdowych.

„Każda opublikowana pogłoska pokojowa powoduje odrazu ogólny spadek papierów na giełdzie, i autorzy pogłoski mogą na niej w ten sposób świetnie zarobić“.

W późniejszej depeszy, datowanej 20 października 1916 r., sir C. Spring-Rice donosił: „Wywiad Lloyd-George'a wywarł tu znakomity efekt“. Nie ma w istocie żadnych danych na to, aby mój wywiad zaszkodził pod jakimkolwiek względem naszej sprawie w Stanach Zjednoczonych; przeciwnie, skonsolidował ich opinię i przyczynił się do wzmożenia sympatii dla naszych dramatycznych zmagań.

RZĄD NIEZDECYDOWANIA.

Trudno mi z dostateczną siłą oddać straszne poczucie naszej bezpłodności i bezsiły, jakie przygniatało mnie w ostatnich miesiącach 1916 roku. Zdarzają się czasem takie koszmary nocne: człowiek błądzi i szarpie się w jakiejś sieci skłębionych sznurów i przeszkód, i widzi otwartymi oczami zbliżającego się doń potwora — a z zaciśniętego gardła nie może wydobyc żadnego krzyku ani dźwięku. Nieudolność i niezdecydowanie naszego kierownictwa w owych ponurych dniach rodziło coś w rodzaju takiego nastroju.

Istniał w owym momencie cały szereg spraw i zagadnień, które nie były wogóle załatwiane albo były załatwiane tylko pozornie. Opisałem już niektóre z tego rodzaju ogólniejszych zagadnień. Zdecydowane podejście do nich było niezbędnym warunkiem naszego powodzenia, i coraz mocniej rosło we mnie poczucie, że jest moim obowiązkiem jako ministra rozproszyć te miazmaty niezdecydowania i domagać się zdecydowanych rozstrzygnięć — nawet za cenę ustąpienia z rządu i publicznego napiętnowania nieudolności w prowadzeniu wojny przez Koalicję. Opisałem też wyżej, jak zachowywano się wobec dwóch czy trzech ważnych zagadnień — i te wypadki ilustrują procedurę, przyjętą przez rząd w sytuacji wyjątkowo poważnej. Jedna z takich spraw — to zaniedbanie jakichkolwiek zdecydowanych posunięć dla obrony naszych okrętów handlowych przed atakami łodzi podwodnych. Zatrważające liczby zatapianych statków wciąż rosły: w październiku straty były o 70% większe, niż we wrześniu, i przedstawiciele Admiralicji załamywali ze smutkiem ręce, komunikując nam nowe wypadki na posiedzeniach gabinetu — ale

nie wypowiadali żadnej nadziei, że potrafią skutecznie przeciwdziałać sytuacji, która stawała się katastrofalna. Dalej — nie przedsiębrano żadnych kroków dla koordynacji naszej strategii z rosyjską; ten brak koordynacji pogłębił się jeszcze na skutek odmowy sir Wiliama Robertsona reprezentowania Anglii na proponowanej konferencji — odmowy, spowodowanej perswazjami pewnego ministra, członka Komisji Wojennej rządu. Stanowisko Robertsona pogrzebało ostatecznie wszelką nadzieję uratowania naszego sojusznika od katastrofy przez uzgodnienie z nim zagadnień strategicznych. Robertson działał pod wpływem bezzasadnego przypuszczenia, że cały pomysł jest manewrem, mającym pozbawić go jego pozycji w Ministerstwie Wojny; sądził że metoda intryg, przy której pomocy udało mu się odsunąć Kitchenera, ma być teraz z kolei zastosowana do niego. Tak przedstawiał mu sprawę pewien wybitny członek gabinetu, a Robertson skwapliwie uwierzył. Bezecelowym byłoby teraz z mojej strony zapewniać, że nie miałem tego rodzaju zamiarów i że zawsze domagałem się między Wschodem i Zachodem kontaktu bardziej realnego, niż urządzanie konferencyj z generałami rosyjskimi, z którymi armia rosyjska nie miała co zrobić u siebie w domu. Ludzie, którzy w krytycznym dla kraju momencie zdolni są sami do tego rodzaju niskich motywów, łatwo uwierzą w nie u innych. Domagałem się tylko od moich kolegów tego, co w moim głębokim przekonaniu leżało w interesie kraju. Ale sir Wiliam Robertson jechać nie chciał, a premier nie decydował się na wydanie mu kategorycznego polecenia. Nie było zaś w tej chwili żadnego wojskowego o odpowiednim autorytecie, który mógłby jechać zamiast Robertsona. Sir Douglas Haig nie wchodził w rachubę; wyobraźnią i uczuciem był tak ściśle związany z frontem, za który odpowiadał, że bardzo trudno byłoby wymagać od niego ujmowania teatru wojny jako całości. Co się tyczy sir Henry Wilsona — premier nie ufał mu zupełnie i odczuwał wobec niego głę-

boką niechęć. Gdy więc Robertson odmówił, było to pogrzebanie całego projektu.

Sytuacja lotnictwa stanowiła też jedną z dziedzin, w których rząd przejawił charakterystyczny dla siebie brak sprawności i decyzji. W tym czasie omawialiśmy już od tygodni sprawę produkcji lotniczej, w której — z wielkim marnotrawstwem — rywalizowały ze sobą armia i flota. Flota objęła niektóre fabryki, bardzo potrzebne do przyspieszenia dostaw dla armii. Na froncie zachodnim Niemcy uzyskali znowu przewagę lotniczą — zwłaszcza w dziedzinie aparatów bombardujących — i dowództwo armii domagało się większej liczby samolotów tego typu.

Debaty nad tą sprawą trwały tak długo, że żadna decyzja nie zapadła za życia gabinetu Asquitha. Zagadnienie, kto ponosić ma odpowiedzialność za produkcję samolotów, podniesione zostało we wrześniu 1916 r. przez p. E. S. Montagu w imieniu Ministerstwa Zaopatrzenia. Montagu pragnął, aby jego ministerstwo objęło całą produkcję samolotów dla armii i floty. W memoriale, złożonym gabinetowi, pisał co następuje:

> „Obecny stan rzeczy, w którym dostawą aparatów lotniczych zajmują się dwa urzędy — Ministerstwo Wojny i Admiralicja, działające pod kontrolą trzeciego — Urzędu Lotnictwa, w ciągłym i nieuniknionym współzawodnictwie z czwartym — Ministerstwem Zaopatrzenia, nie daje się moim zdaniem uzasadnić żadnymi rzeczowymi względami i nie można mieć nadziei, aby dał zadowalające rezultaty. W moim przekonaniu jest rzeczą niezbędną zdecydować się bez zwłoki na jedno z dwojga — albo utworzyć nowy departament, któryby objął dostawę wszystkich aparatów lotniczych, zarówno dla lotnictwa lądowego jak dla morskiego, albo też powierzyć to zadanie Ministerstwu Zaopatrzenia, które zostało utworzone dla zaspokojenia potrzeb — w dziedzi-

nie sprzętu wojskowego i amunicji — bardzo podobnych do tych, jakie zdają się dziś istnieć w dziedzinie lotnictwa".

Utworzono Urząd Awiacji, który miał koordynować produkcję lotniczą armii i floty. Na czele tego urzędu stanął lord Curzon, który był zdecydowanie przeciwny projektowi Montagu. Lord Curzon przyznawał, że

„w tej chwili powodem głębokiej troski generała Trenchard jest pojawienie się na froncie niemieckim dwóch maszyn, lepszych pod pewnymi względami od wszystkich typów, jakie my tam posiadamy. Znaczenie ma dlań nie liczba, lecz sam fakt wyższości tych maszyn".

Twierdził jednak, iż

„Pracujemy teraz nad skonstruowaniem nowych motorów i nowych samolotów, które naszym zdaniem przewyższą ostatnie modele produkcji niemieckiej. Kwestią jest tylko, czy wyższość ta uwidoczni się w praktyce i czy nasze samoloty będą gotowe na czas?"

Lord Curzon reprezentował w sposób wyraźny pogląd, że powinien powstać nowy departament, który miałby całkowitą i wyłączną kontrolę nad produkcją i pewną kontrolę — nad sposobem użycia wszystkich naszych maszyn lotniczych.

Kiedy lord Curzon przedstawił zredagowane w tym duchu propozycje, przeciw nim z kolei zaoponował Balfour w bardzo zjadliwym i dowcipnym memoriale. Na to lord Curzon odpowiedział w podobny sposób. Było rzeczą oczywistą, że jeśli spór nie przyczyniał się do usprawnienia produkcji samolotów — dostarczał zato znakomitej rozrywki tym, którzy mieli możność czytania memoriałów i słuchania dyskusji w gabinecie. Przemówienia stron zajmowały pewien czas: najprzód mo-

wa lorda Curzona, potym trzeba było Pierwszemu Lordowi Admiralicji dać czas na obmyślenie odpowiedzi; potym dopiero następowała odpowiedź i replika; w międzyczasie Ministerstwo Zaopatrzenia wypowiadało jeszcze swój punkt widzenia; i wreszcie sprawa dojrzewała do wydania wyroku.

Mam smutne wspomnienia z dyskusyj, jakie toczyły się w gabinecie w owym czasie. Sprawa samolotów była zwykle pierwsza na porządku dziennym po stałych raportach armii i floty. Potem powinien był wejść przed obrady pilny memoriał lorda Crawford o sytuacji żywnościowej, a dalej sprawa okrętów handlowych — ale wobec tak wyrobionych przeciwników jakimi byli Balfour, lord Curzon i Montagu, czas upływał zwykle na ustalaniu mocnych i słabych stron tez, reprezentowanych przez tych znakomitych dialektyków. Kiedy premier tracił nadzieję uzgodnienia ich sprzecznych stanowisk, miał zwyczaj zwracać swój wzrok w stronę kominka, w nadziei że wskazówki zegara pozwolą mu znaleźć chwilową bodaj ucieczkę od osaczających go kłopotów. Wszyscy wiedzieliśmy co to znaczy. Premier chce odłożyć dalszą dyskusję do następnego posiedzenia. Lord Crawford domagał się zrozpaczonym głosem kilku minut przed lunchem na rozważenie sytuacji żywnościowej narodu. Za każdym razem podkreślał, że sytuacja stale się pogarsza, że spożycie jest większe niż podaż o tej porze roku, kiedy powinno być odwrotnie. Na to odpowiedział premier, że jest najwyraźniej za późno na dyskutowanie tak ważnej sprawy. Lordowi Crawford nie pozostawało nic innego, jak domagać się specjalnego posiedzenia, które rozważyłoby podnoszone przezeń trudności. Ale posiedzenie takie nie doszło do skutku przez cały czas urzędowania gabinetu Asquitha. Na następnym posiedzeniu była znowu sprawa samolotów (wysłuchana częściowo). Na ostatnim posiedzeniu jakie się wogóle odbyło uważaliśmy wszyscy, że powzięta została decyzja — ale kiedy już rozchodziliśmy się, usłyszałem że lord Curzon kwestjonuje ten fakt wobec premiera. Asquith

poddał się i oświadczył, że sprawę trzeba będzie jeszcze raz rozważyć na następnym posiedzeniu. Ale następnym razem na Downing Street zebrał się już inny rząd.

Następuje opis tarć w łonie partii liberalnej i rosnącego antagonizmu między Asquithem i Lloyd Georgem: w rezultacie w grudniu 1916 r. rząd Asquitha ustąpił, a na jego miejsce powołany został rząd koalicyjny pod przewodnictwem Lloyd George'a.

1914—1916: REKAPITULACJA.

Przyjąwszy zaproponowany mi przez króla urząd premiera, przystąpiłem natychmiast do tworzenia rządu. Jak rząd ten został uformowany, w jakich warunkach przystępował do wykonywania swoich zadań, jakie zagadnienia musiał rozwiązać i w jaki sposób przystępował do ich rozwiązania — wszystko to stanowić będzie temat następnego tomu.

W tomie niniejszym doprowadziłem moją opowieść o Wielkiej Wojnie do końca 1916 roku; w następnych poprowadzę ją dalej i opiszę wypadki, w jakich brałem udział w ciągu ostatnich dwóch lat walki. Ale grudzień 1916 r. jest odpowiednim momentem do uczynienia pauzy w opowiadaniu — stanowił bowiem, ze względów które zaraz podam, zakończenie pewnego określonego okresu w rozwoju wypadków wojennych. Jeśli zaś chodzi o moją osobistą działalność — była to chwila, w której ze stanowisk drugoplanowych, jakie zajmowałem dotychczas, przechodziłem na stanowisko naczelne i obejmowałem odpowiedzialność za całą administrację kraju. Odpowiedzialność ta ciążyła odtąd na mnie przez cały czas wojny, i nie ustała nawet z jej zakończeniem.

W historji wojny koniec roku 1916 zaznaczył się jako moment, w którym perspektywy i szanse Koalicji osiągnęły swój najniższy poziom i w którym uwidoczniło się wyraźnie bankructwo jej strategii i jej dyplomacji. Trzy z pośród państw sprzymierzonych — Belgia, Rumunia i Serbia — zostały całkowicie rozgromione; czwarte, będące też jednym z najpotężniejszych, nie było w gruncie rzeczy w stanie prowadzić walki w dalszym ciągu. Natomiast sojusz państw centralnych był nienaruszony. Perspektywy więc w chwili, kiedy obejmowałem

urząd premiera, były tak ponure, że mogły przerazić najodważniejszego człowieka. Na skutek całej serii niewiarogodnych błędów pozwoliliśmy pozbawić się wszystkich po kolei korzyści, jakie dawała nam nasza sytuacja — w dziedzinie zasobów materialnych, rezerw ludzkich i możliwości strategicznych; w rezultacie okazaliśmy się słabsi od przeciwnika i w gorszej od niego pozycji strategicznej. Nawet nasze panowanie na morzu było zagrożone — i to zagrożone z każdym dniem poważniej.

Początkowo mocarstwa sprzymierzone miały ogromną przewagę rezerw ludzkich, miały też możliwości zaopatrzenia technicznego — w postaci posiadanych lub łatwo dostępnych zasobów i materiałów — znacznie przewyższające możliwości przeciwnika. Roztrwoniliśmy tę pierwszą przewagę, a zlekceważyliśmy — drugą. W chwili wybuchu wojny liczba mężczyzn w wieku wojskowym w Rosji, Francji, Imperium Brytyjskim, Serbii, Rumunii, Włoszech i Belgii była o wiele milionów wyższa niż liczba tych mężczyzn w państwach centralnych. Jakiż użytek uczyniliśmy z tych ludzi? Na skutek złej strategii i niewyzyskania naszych możliwości w dziedzinie zaopatrzenia technicznego, ta przewaga liczebna została przez nas zupełnie zmarnowana. Pozwoliliśmy na rozbicie i podbój Serbii: dwie trzecie jej sił bojowych zostały w ten czy w inny sposób wyeliminowane, a pozostałe siły, odcięte od własnego terytorium, pozbawione były dopływu wszelkich posiłków i rezerw. Z tych samych względów Rumunia podzieliła następnie los Serbii, i jej 900.000 żołnierzy (wraz z rezerwami) trzeba było skreślić z rachunku. Rosja przystąpiła do wojny z rezerwami ludzkimi, które były niemal nieograniczone. Generał Hurko obliczał, że do końca 1916 r. powołała pod broń 14 milionów żołnierzy; w październiku 1916 r., według wyliczeń Robertsona, miała pod bronią 5 milionów, a z rezerw mogła powołać jeszcze 6½ miliona. Reszta jej wojska roztopiła się w kotle wojny, albo była internowana w niemieckich i austriackich obozach, do-

starczając nieprzyjacielowi brakujących mu rąk roboczych. Pod koniec jednak roku 1916 Rosja, na skutek braku wyposażenia technicznego, którego Francja i Anglia mogły jej z łatwością dostarczyć, przestała być niemal aktywną pozycją w bilansie Koalicji. Po kilku tygodniach wybuchła zresztą rewolucja, która sprowadziła całą militarną wartość Rosji do zera; ale już przed rewolucją armia rosyjska, zniechęcona i rozgoryczona, nie była zdolna do żadnej poważniejszej akcji ofenzywnej. Z drugiej strony Austria, która w r. 1916 mogła już być zmiażdżona i rozbita, uzyskała taką opiekę i pomoc, że jeszcze przez całe dwa lata wojny była potężnym przeciwnikiem zarówno w obronie jak w ataku, a Turcja, która mogła być „wykończona" już w r. 1915, pokonała nas w Mezopotamii i Palestynie — i na skutek uzyskanego od Niemiec nowego wyposażenia technicznego stanowiła w r. 1916 większą potęgę militarną, niż w r. 1914.

Dwa zasadnicze błędy zmieniły całkowicie pozycję militarną na naszą niekorzyść. Pierwszym było niezdawanie sobie sprawy z tego, że jest to wojna maszyn, i w konsekwencji — nieprzeprowadzenie natychmiastowej mobilizacji wszystkich naszych zasobów dla poprawy uposażenia technicznego Koalicji. Drugi błąd polegał na zbyt późnym uświadomieniu sobie, że najsłabszym punktem mocarstw centralnych jest front wschodni i południowo-wschodni. Zamiast „wojny inteligencji" prowadziliśmy wojnę o zużycie sił przeciwnika.

Zarówno lord Kitchener jak sir Wiliam Robertson wierzyli, że taka wojna prowadzi do zwycięstwa. Jakże to „zużycie sił" wyglądało w praktyce? Mówiłem już o roztrwonieniu naszej wielkiej przewagi liczebnej na wschodzie. Jak wyglądała sytuacja na zachodzie?

Armie francuska i angielska były jeszcze potęgą, ale w trakcie dotychczasowej wojny zmarnowaliśmy wielką część naszych najlepszych młodych żołnierzy. W akcjach ofenzywnych na froncie zachodnim traciliśmy trzech ludzi na każdych

dwóch, których tracili Niemcy. Przeszło 300.000 żołnierzy angielskich było — na skutek braku inicjatywy, braku niezbędnego wyposażenia, albo jednego i drugiego — unieruchomionych przez Turków w Egipcie i Mezopotamii, i z tych samych powodów prawie 400.000 żołnierzy Koalicji było jak gdyby internowanych przez Bułgarów na malarycznych równinach, otaczających Saloniki. W sumie wszystkie siły Koalicji, które można było uważać za zdolne do energicznej kampanii, miały przeciw sobie wroga równie liczebnego, operującego na froncie o znacznie krótszych liniach komunikacyjnych i posiadającego w swych rękach wszystkie najlepsze pozycje strategiczne — Bałkany, Dardanele oraz wyżyny Francji i Belgii. Krwawą i niemądrą „walkę o zużycie sił" już w gruncie rzeczy przegraliśmy.

Przez nasze występne marnotrawstwo roztrwoniliśmy przewagę liczebną, którą dysponowaliśmy. Osłabiliśmy też nasze zasoby i pomnożyliśmy zasoby nieprzyjaciela przez nieumiejętność w uzyskiwaniu sojuszników, których uzyskanie było rzeczą łatwą, i przez popchnięcie conajmniej jednego z możliwych sojuszników do obozu wroga. Dyplomacja nasza była nerwowa i bojaźliwa — drżąca przed Ameryką, nieśmiała wobec Grecji i pozostawiająca Turcję i Bułgarię całkowicie w sferze wpływów niemieckich. Robertson skarżył się na niewątpliwy fakt — że żołnierze nie otrzymali żadnej pomocy od dyplomatów. Śmiała dyplomacja, poparta przez rozumną strategię i skuteczną akcję militarną, byłaby nam pozwoliła już w pierwszych miesiącach wojny zorganizować po stronie Koalicji wielką Federację Bałkańską, która powiększyłaby nasze siły o 1,500.000 ludzi. Z Bułgarią, Grecją i Rumunią — nie licząc Serbii — po naszej stronie Turcja zostałaby izolowana i zmuszona do kapitulacji już w r. 1915, najpóźniej na początku r. 1916. Przy pomocy tych sił, następujących na Austrię od południo-wschodu, i Włoch operujących od południa — powinniśmy byli rozbić Austro-Węgry i zmusić

Niemcy do zawarcia pokoju, zwłaszcza gdybyśmy przeprowadzili natychmiastową i energiczną mobilizację naszych możliwości produkcyjnych i zaopatrzyli Rosję w uposażenie techniczne, które umożliwiłoby skuteczne działanie jej olbrzymim armiom.

Mogliśmy już w r. 1916 zawrzeć zwycięski pokój, gdybyśmy byli szli taką drogą. Wymagała ona, abyśmy zadowalali się wstrzymywaniem Niemców na froncie zachodnim, a nie próbowali przedzierać się przez ich linie, abyśmy posłali ludzi – wybitych później w bezpłodnych walkach we Francji i Flandrii — dla wzmocnienia utworzonej Federacji Bałkańskiej i uderzenia w najsłabsze miejsce państw centralnych; abyśmy wreszcie oddali Rosji i państwom bałkańskim część naszej amunicji, marnowanej we Francji. Niedawno powiedział mi w rozmowie pewien wybitny Niemiec, który w czasie wojny zajmował poważne stanowisko w rządzie: „Tego właśnie baliśmy się przez cały czas!" Nic nie mogło ich cieszyć bardziej niż widok Koalicji, gromadzącej swe siły dla zaatakowania niezdobytych pozycyj Zachodu i pozwalającej stale uzyskiwać nad sobą przewagę w słabym miejscu Niemiec—na Wschodzie. Biliśmy w pancerz Achillesa, a nie zwracaliśmy uwagi na jego piętę. I nazywaliśmy to czasem „uderzaniem w najistotniejsze partie oporu", a czasem — „wojną na wyczerpanie".

Takie były owoce dyplomacji, organizacji wojennej i strategii Sprzymierzonych po dwóch i pół latach wojny — rozpoczętej przy ogromnej ich przewadze i prowadzonej przy pomocy niesłychanych wysiłków i ofiar ich narodów.

W takiej sytuacji powierzono mi urząd premiera. W kilka dni po objęciu urzędu poprosiłem sir Wiliama Robertsona, aby dał mi zapiskę o wszelkich sprawach związanych z wojną, na które pragnie zwrócić moją szczególną uwagę; poprosiłem go również o jego szczerą opinię co do możliwości wygrania wojny. Dokument, który mi wręczył Robertson, nie usposabiał zbyt optymistycznie. Były w nim takie zdania: „Postawa

Imperium Brytyjskiego była jak dotąd godna ubolewania"; „Wkładamy w wojnę więcej niż jakiekolwiek inne państwo, a mamy do powiedzenia najmniej ze wszystkich". Dalej były twierdzenia: „W chwili obecnej popełniamy w gruncie rzeczy samobójstwo" — i: „Musimy poważnie rozszerzyć naszą koncepcję wojny. Nie zdajemy sobie jeszcze sprawy z ogromu naszego zadania".

Robertson przepowiadał „rosnący nacisk trudności we wszelkich dziedzinach. Wysiłki nasze będą musiały rosnąć i rosnąć, i w najbliższych kilku miesiącach czeka nas niewątpliwie bardzo ciężki okres"... Dalej pisze: *„Możemy się spodziewać, że ledwo-ledwo wygramy — niczego więcej,* a tymczasem wszystko w Anglii idzie dziś mniej więcej tak samo, jak przed dwoma laty. Od nas więcej niż od jakiegokolwiek innego państwa zależy ostateczny wynik wojny, i *nie mogę dawać żadnej nadziei zwycięstwa, jeśli nie wytężymy wszystkich możliwych wysiłków do ostatecznych granic.* Jeżeli naród takiego napięcia nie wytrzyma, wówczas prawdopodobnie nie wygramy..."

Dalej pisze: „Niektórzy członkowie poprzedniego rządu nie ujmowali wojny we właściwej perspektywie. Żyli od depeszy do depeszy..."

Stwierdziwszy, że Niemcy odczuwają także nacisk wojny, Robertson kończy: „Musimy nauczyć się zaciskać zęby i nie upadać na duchu; *i — ogólnie mówiąc — wkładać w nasze wysiłki więcej duszy, zapału, odwagi, więcej postanowienia, że musimy wygrać za wszelką cenę — a w każdym razie że jeśli będziemy musieli ulec, ulegniemy w walce, z rozwiniętymi sztandarami. Ale nie ulegniemy, jeśli okażemy odwagę i zdecydowanie i jeśli trzymać się będziemy planów, któreśmy raz powzięli".*

Koniec pierwszego tomu.

dostateczna ilość wszelkich pocisków. — Żądania Frencha i odpowiedzi Ministerstwa. — Pierwsza bitwa pod Ypres. Dalsze apele Frencha.

WALKA O SPRZĘT WOJENNY (ciąg dalszy) — str. 98

Wielki skandal z granatami. — Żądania Frencha. — Rzeczywiste dostawy Ministerstwa Wojny. — Bitwa pod Neuve-Chapelle. — Gorzkie żale Frencha. — Wytłomaczenie sknerstwa Kitchenera. — Zgroza Kitchenera z powodu ilości zużytej amunicji.— Przyznanie się Kitchenera. — Fałszywe wrażenie, że sytuacja się poprawia. — Przemówienie Asquitha w Newcastle. — Moje wystąpienie w Izbie Gmin. — Atak gazowy pod Ypres. — Relacja Frencha spod Festubert. — Wizyta delegatów dowództwa naczelnego. — Gazeta „Times" o braku amunicji. — Konsternacja opinii publicznej. — Mój list do Asquitha z dnia 19. 5. 1915. — Atak lorda Northeliffe'a na Kitchenera. — List biskupa Furse'a. — List kpt. Fitz-Herberta Wrighta. — Listy, skonfiskowane przez cenzurę: relacja Toma Clarke'a. — Wpływ tych wiadomości na opinię publiczną.

STRATEGIA WOJNY — — — — — — str. 120

Koncepcja „wschodnia" i „zachodnia". — Atmosfera „nie przejmowania się". — Mój list do premiera z d. 31.12.14. — Bankructwo wszystkich planów wojennych. — Potrzeba nowych planów.— Koła wojskowe nie są zdolne rozwiązać problemów strategicznych. Dalekość konfliktu. — Zagadnienie, po której stronie jest słuszność, niejasne dla Amerykan. — Wrogi stosunek do Rosji i Anglii. — Odpowiedzialność mężów stanu. — Wysokie kwalifikacje nowych rekrutów. — Oczywiste fakty, dotyczące sytuacji. — Słabość frontu austriackiego. — Wielkie możliwoście bałkańskie. — Przewaga artylerii nieprzyjacielskiej na zachodzie. — Mój memoriał o strategii wojennej z d. 1. I. 15. — Kitchener aprobuje mój memoriał. — Poglądy Frencha. — Poglądy gen. Gallieni. — Błędna ocena oficjalnego historyka. — Dictum Robertsona. — Lekcja historii.

RADA WOJENNA I BAŁKANY — — — — str. 153

Ustanowienie Rady Wojennej. — Pro i contra wyprawy dardanelskiej. — Kitchener odmawia pomocy wojskowej. — Lekceważenie przez niego wojsk terytorialnych. — Możliwości w Salonikach. — Churchill uzyskuje zgodę Kitchenera na wyprawę dardanelską. — Zatwierdzenie tego projektu. — Koleje na Bałkanach mają być naprawione. — Władze wojskowe nie wykonywają

tej uchwały. — List Jerzego Trevelyana. — Żądanie pomocy wojskowej dla Serbii. — Obawy co do stanowiska Bułgarii. — Wymiana listów z Kitchenerem. — Rozporządzalne siły angielskie. — Kitchener żąda ujednostajnienia dowództwa. — Konsultacja z Paryżem. — Wizyta Milleranda w Londynie. — Mój wyjazd do Paryża. — Francuzi domagają się prawa zwierzchnictwa dla swego sztabu głównego. Mój list do Greya. — Poparcie francuskie dla ekspedycji salonickiej. — Obawy co do sytuacji Rosji. — Pogląd Robertsona. — Projekt zwołania konferencji egejskiej. — Grey utrąca tę konferencję. — Car Ferdynand urażony w swej próżnoości. — Dyskusja w Radzie Wojennej. — Słabość Rosji. — W Dardanelach trzeba więcej wojska. — Równowaga sił na froncie zachodnim. — Moja opozycja wobec wyprawy dardanelskiej.

KUNKTATORSTWO SPRZYMIERZONYCH — str. 179

Gabinet nie zna sytuacji wojennej. — Mój niepokój z powodu braku inicjatywy Aliantów. — Mój memoriał z dnia 22 lutego. — Zaciemnianie prawdy. — Sytuacja faktyczna. — Słabość Rosji. — Sprzymierzeni potrzebują posiłków. — Trzeba ściśle ustalić nasze zasoby. — Zagadnienie rezerw ludzkich. — Nasze niewyzyskane rezerwy ludzkie. — Trzeba przewidywać przeciąganie się wojny na czas dłuższy. — Przyłączenie się państw bałkańskich. — Skutki ewentualnego zwycięstwa w Dardanelach. — Środki zaradcze w razie niepowodzenia. — Żądanie przyspieszenia wyprawy salonickiej. — Propozycja wysłania misji dyplomatycznej. — Komentarz Fishera. — Raport Pageta. — Rumunia zbyt długo zwlekała. — Odpowiedź Kitchenera. — Uznanie dla wysiłku rosyjskiego. — Dwie alternatywy zwycięstwa: wygrana bitwa lub wycieńczenie. — Trzeba zorganizować produkcję amunicji. — Brak rąk roboczych. — Małe postępy w zaopatrzeniu armii. — Niepowodzenie wyprawy dardanelskiej. — Daremne ataki na zachodzie.

SYTUACJA NA BAŁKANACH I NAD SOMMĄ — str. 198

Katastrofa na wschodzie wygodna dla zwolenników koncepcji „zachodniej". — Armia w Salonikach pozostawiona bez zaopatrzenia technicznego i wobec tego bezsilna. — Siły za duże na załogę, za małe na akcję ofenzywną. — Wahania Joffre'a. — Wizyta Joffre'a w Londynie w czerwcu 1916 r. i jego elokwencja. — Cyniczny występ. — Moje stanowisko w dyskusji. — Bezcelowość ofenzywy, niedostatecznie przygotowanej. — Nikłe rezultaty ofenzywy nad Sommą. — Fałszywa koncepcja „wojny na wycieńczenie". — Rezerwy ludzkie Niemiec w dalszym ciągu obfite. —

Mój pobyt na froncie nad Sommą. — Kawaleria czeka na przełamanie niemieckiego frontu. — Śmierć Raymonda Asquitha. — Umysły zmącone żarem bitwy. — Niemcy uderzają na Rumunię.— Słabość Rumunii. — Mój memoriał. — Niebezpieczeństwo grożące na froncie rumuńskim. — Domagam się pomocy dla Rumunii. — Katastrofa Rumunii i jej znaczenie dla Niemiec. — Straty Sprzymierzonych nad Sommą większe niż straty niemieckie.

MINISTERSTWO ZAOPATRZENIA — — — str. 213

Pogląd Ministerstwa Wojny na zakres moich obowiązków. — Ministerstwo nie chce uznać zmienionych warunków. — Nowy typ wojny stawia nowe wymagania. — *Fabryki państwowe:* Zakres działania Ministerstwa Zaopatrzenia. — Rosnąca kontrola nad przemysłem. — Stosunki ze zrzeszeniami przemysłowców. — Organizacja nowych fabryk. — Rezultaty pierwszych siedmiu miesięcy pracy. — Ostateczne rezultaty pod koniec wojny. — Inne zakłady amunicyjne. — Fabryki pocisków: metoda ich organizacji. — Fabryki pocisków ciężkiego kalibru. — Działalność fabryk pocisków. *Czołgi:* Znaczenie nowej broni. — Mój związek z jej rozwojem. — Pierwsze eksperymenty. — Inicjatywa Churchilla. — Projekty pułkownika Swintona. — Ministerstwo Zaopatrzenia bierze na siebie dostawę czołgów. — Próba czołgu „Matki" w Hatfield. — Zdanie lorda Kitchenera o czołgu. — Produkcja i pierwsze użycie czołgów. — Dobrze utrzymana tajemnica. — Przedwczesne użycie — błędem. — Niezdecydowanie Rady Wojennej. — Ostateczny tryumf nowej broni. — *Ogólne wyniki działalności Ministerstwa Zaopatrzenia:* Produkcja broni i amunicji — zagadnieniem bardzo złożonym. — Wzrost produkcji pocisków w ciągu pierwszego roku. — Dostawy pocisków w czasie bitwy nad Sommą. — Produkcja dział, karabinów maszynowych, granatów ręcznych. — Świadectwa niemieckie. — Przygotowania do powiększenia produkcji — Początkowa krytyka działalności Ministerstwa Zaopatrzenia. — Zasady organizacji Ministerstwa.

SPRZYMIERZENI I STANY ZJEDNOCZONE — str. 236

Źródło dostaw amunicyjnych. — Sytuacja państw neutralnych w czasie wojny. — Przedwojenna postawa Stanów Zjednoczonych wobec Europy. — Starania pułk. House'a o utrzymanie pokoju. — Nastroje w Ameryce w pierwszych miesiącach wojny.— glii. — Korzyści płynące dla Ameryki z neutralności. — Komplikacje spowodowane przez blokadę angielską. — Sprzymierzeni nie orientują się, jakie są istotne sympatie Wilsona. — Zatarg o

III 2410.
48/12162

miedź. — Powodzenie akcji angielskiej. — Traktowanie okrętów neutralnych przez Niemcy. — Zainteresowanie wojną w Ameryce słabnie. — Nastroje środkowego Zachodu. — Incydent z *Dacią*. — Niemiecka blokada podwodna. Odpowiedź Anglii: surowce i żywność objęte blokadą. — Zatopienie *Lusitanii*: pułk. House doradza wypowiedzenie wojny. — Noty Wilsona do Niemiec. — Działalność lorda Roberta Cecila w organizacji blokady. — Teodor Roosevelt żąda wojny. — Zatopienie *Arabica*. — Zamachy niemieckie na amerykańskie fabryki. — Powodzenie pożyczki Sprzymierzonych w Ameryce.

WPROWADZENIE W ANGLII OBOWIĄZKOWEJ SŁUŻBY WOJSKOWEJ — str. 254

Wielka armia początkowo nie zamierzona. — Niechęć Anglików do poboru. — Powodzenie zaciągu ochotniczego. — Zmiana sytuacji. — Perspektywa długiej wojny. — Zaciąg ochotniczy staje się niewystarczający. — Komplikacje spowodowane przez momenty polityczne. — Moje stanowisko. — Próby poprzestania na zaciągu ochotniczym. — „Sprawozdanie właścicieli mieszkań". — Lord Haldane o sytuacji prawnej. — Rejestracja mężczyzn i jej rezultaty. — Wnioski komisji rządowej w sierpniu 1915 r. — Moje wystąpienie wobec komisji. — Stanowisko Runcimana. — Obiekcje finansowe Mac Kenny. — Lord Kitchener opowiada się za przymusem. — Pytania postawione przez komisję. — Różnica zdań w gabinecie. — Projekt lorda Kitchenera. — Żołnierze na froncie pragną wprowadzenia przymusu. — „Plan lorda Derby". — Obietnica wobec mężczyzn żonatych. — Niezadowalające wyniki agitacji. — Pierwszy krok w kierunku przymusu: powołanie mężczyzn nieżonatych. — Ustąpienie sir Johna Simona. — Zapewnienia udzielone Partii Pracy. — Drugie stadium: protesty żonatych starszych roczników. — Spory w rządzie. — Brak rezerw ludzkich w armii: sir Wiliam Robertson ostrzega. — Tajna sesja parlamentu. — Uchwalenie powszechnego obowiązku wojskowego. — Moja mowa w Izbie Gmin w sprawie zasady przymusu. — Mój udział w przeprowadzeniu obowiązkowej służby: listy Robertsona. — Wrogi stosunek do mnie części liberałów: moje przemówienie w Conway. — Hołd dla Asquitha. — Entuzjazm we Francji. — Czego dokonał zaciąg ochotniczy. — Orędzie króla.

LORD KITCHENER: CHARAKTERYSTYKA — str. 280

Sprzeczne poglądy na jego osobę. — Przebłyski wielkości. — Ustalone raz na zawsze koncepcje. — Pogarda dla demokracji. — Opozycja wobec projektu kapelanów nonkonformistycznych. —

SPIS RZECZY:

OD TŁUMACZY — — — — — — — — str. 6

WSTĘP — — — — — — — — — — „ 7

BURZA NADCIĄGA — — — — — — — — „ 10

Pierwszy kontakt z polityką zagraniczną. — Pogląd lorda Rosebery na Ententę. — Mój dawniejszy brak zainteresowania polityką zagraniczną. — Tradycyjne poglądy angielskich stronnictw politycznych. — Poglądy Gladstone'a. — Sympatie Wigów dla Niemiec. — Zmiana nastrojów, obawa przed marynarką niemiecką. — Przesilenia rządowe w związku z programami morskimi. — Obrona stanowiska radykałów. — Wyzywające plany morskie w Niemczech. — Moje spotkania z Metternichem. — Niemieckie raporty dyplomatyczne o tych spotkaniach. — Niedoszłe spotkanie z Kajzerem. — Przyjęcie u Bethmana-Hollwega. — Angielski „pierścień żelazny". — Bethmann-Hollweg o dekadencji Anglii. — Przygnębienie w Niemczech z powodu zniszczenia Zeppelina.

Rząd, jako całość, nie zajmował się polityką zagraniczną. — Rząd pochłonięty zagadnieniami polityki wewnętrznej. — Tajemniczość polityki zagranicznej. — Sprawy zagraniczne dostępne tylko niewielu wybranym. — Lord Northcliffe o ignorancji ministrów w tej dziedzinie. — Metoda prywatnej korespondencji z ambasadorami. — Gabinet nie wiedział o istnieniu układów wojskowych. — Konsternacja w rządzie po zapoznaniu się z zobowiązaniami Anglii. — Nasze zobowiązania uzależnione od pogwałcenia neutralności Belgii.

KATASTROFA — — — — — — — — str. 44

Niespodziewane pogrążenie się w odmęty wojny. — Ludność w ogóle nie spodziewała się wojny. — Odpowiedzialni mężowie stanu zaskoczeni. — Rząd angielski nie zdaje sobie sprawy z położenia. — Pierwsze wystąpienie sir Edwarda Greya. — Rosja i perspektywy wojenne.

Nikt nie pragnął wojny. — Człowiek, który pragnął wojny światowej. — Podżeganie do kampanii antyserbskiej. — Brak wielkich mężów stanu. — Grey proponuje konferencję dyplomatyczną.

Postawa wojska, partyj politycznych i ludności wobec wojny. — Wojskowość dąży do wojny. — Czynnik decydujący w Niemczech. — Wahania cesarza Wilhelma. — „Mała wojna" austriacka. — Armia niemiecka uchodzi za niezwyciężoną. — Pewność siebie kół wojskowych we Francji. — Gorączka wojenna ludności. — Demonstracje londyńskie. — Sympatie dla Belgii.

Czwarty sierpnia r. 1914. — Belgia — kamieniem probierczym. — Moja propozycja wzmożenia gotowości bojowej Anglii.— Belgia stawia opór Niemcom. — Niesłuszne oskarżenia pod adresem wielkiej finansjery. — Gabinet czeka na wiadomości. — Uprzedzenie marynarki wojennej. — Godzina wybiła. — Pełnomocnictwa nadzwyczajne dla rządu. Prace Komitetu Obrony Imperialnej. — Luki w przygotowaniach Kom. Obr. Imperialnej: finanse i sprzęt wojenny.

Nieświadomość gabinetu angielskiego co do francuskich planów strategicznych. — Lord Kitchener i rząd. — Co myślał Joffre o strategii niemieckiej? — Wiadomość o odwrocie z pod Mons. — Rząd nie ma wiadomości o położeniu na frontach.

SIR EDWARD GREY — — — — — — str. 72

Wpływ czynnika osobistego na wypadki historyczne. — Znajomość charakteru Greya konieczna dla zrozumienia przebiegu wojny. — Pozory i rzeczywistość. — Niebranie udziału w walkach partyjnych. — Wahania w przełomowej chwili. — Nikt nie słucha jego spóźnionych apelów. — Jego niepowodzenia dyplomatyczne. — Piastowanie wysokiego urzędu dzięki tradycji i pochodzeniu. — Nieznajomość zagranicy.

WALKA O SPRZĘT WOJENNY — — — — str. 82

Uwagi wstępne. — Anglia polegała wyłącznie na swojej flocie. Konserwatyzm władz wojskowych. — Wielki napływ ochotników. — Złe zaopatrzenie rekrutów. — Niedocenianie roli pocisków wybuchowych. — Brak artylerii ciężkiej. — Karabiny maszynowe i pociski. — O co można oskarżać Ministerstwo Wojny? — Wojna uczonych i inżynierów.

Biurokratyzm w Ministerstwie Wojny. — Trwanie przy tradycyjnych źródłach zaopatrzenia. — Rutyna urzędowa. — Resortowy strach przed odpowiedzialnością. — Odrzucenie pomocy, ofiarowywanej przez sfery gospodarcze. — Nieopatrzne zobowiązania firm zbrojeniowych.

Pierwsze oznaki braku pocisków. — Efekt moralny ciężkiej artylerii niemieckiej. — Szrapnele angielskie nie mogą zburzyć okopów nieprzyjacielskich. — Armia domaga się granatów. — Nie-

Szyk-ki M-ria
C-ob.
Ścięgiewy 2.

Walka o dywizję walijską. — Sprawa dywizji irlandzkiej. — Dwa irlandzkie sztandary. — Sprytny list Walijczyka z niewoli. — Talenty organizacyjne Kitchenera. — Właściwy pogląd na czas trwania wojny. — Fascynujący urok jego osoby. — Dobrze przepowiedziana strategia niemiecka. — Niezdolność zrozumienia nowych sposobów wojny. — Upadek autorytetu Kitchenera. — Wiadomość o jego śmierci wywołuje wstrząsające wrażenie.

W MINISTERSTWIE WOJNY — — — — str. 289

Dowiaduję się o utonięciu Kitchenera. — Moja sytuacja w rządzie. — Ministerstwo Wojny nie pociąga mnie. — Brulion mojego memoriału. Bezsilność ministra wojny. — Konieczność pociągnięcia do współpracy cywilów. — Niechęć wojskowych do ludzi bardzo zdolnych. — Klęska strategów z Ministerstwa Wojny. — Powodzenie Ministerstwa Zaopatrzenia. — Nie zgadzam się ze sposobem prowadzenia wojny. — Plan utworzenia opozycji, która by pobudzała rząd do działania. — Godzę się na pozostanie w rządzie. — Obejmuję Ministerstwo Wojny. — Główne zadania: transport i Mezopotamia. — Sprawa Rosji. — Propozycja, aby Robertson udał się do Rosji. — Mój list do Asquitha. — Robertson nie chce jechać: jego list. — Złe wieści z Rosji. — Rosnąca niechęć do wojny. — Skutki propagandy niemieckiej. — Za późno.

CHAOS W MEZOPOTAMII — — — — — str. 304

Dlaczego opisuję kampanię w Mezopotamii. — „Raj oficera". — Historia ekspedycji. — Zdobycie Basry. — Operacje kierowane przez władze wojskowe indyjskie. — Wysłanie posiłków. — Rząd angielski przestrzega przed rozszerzaniem operacyj. — Zdobycie Kutu. — Pozwolenie atakowania Bagdadu. — Porażka pod Ktesifon. — Turcy oblegają i zdobywają Kut. — Przenoszę operacje pod kontrolę rządu angielskiego i polecam przeprowadzenie śledztwa. — Ujawnienie niesłychanego niedołęstwa władz. — Warunki klimatyczne Mezopotamii. — Czego wymaga kampania w tym kraju. — Władze wojskowe indyjskie nie dają ekspedycji najniezbędniejszego zaopatrzenia. — Niedostateczne wyposażenie w artylerię i amunicję. — Brak środków transportu rzecznego. — Fatalne wykonanie zamówienia na statki. — Odmowa dostarczenia nowych statków. — Nieudolność marynarki indyjskiej. — Simla nie ma kontaktu z ekspedycją. — Biurokratyczna pisanina. — Chaos w porcie Basry. — Sir George Buchanan odsunięty. — Niesłychany stan służby zdrowia. — Szpitalnictwo wojskowe w Indiach w czasie pokoju. — Sytuacja jeszcze gorsza w czasie wojny. — Ranni zostawiani na placu boju. — Brak am-

bulansów. — Jak odbywało się transportowanie chorych i rannych wdół rzeki. — Jak przybywali ranni do Basry: opis majora Cartera — Carterowi grożą za jego raport represjami. — Odrzucenie przez władze pomocy z zewnątrz. — Wnioski komisji. — Władze indyjskie fałszywie informowały o posiadanych siłach.— Sir John Cowans bierze sprawę w swoje ręce. — Klasyczny dokument biurokracji. — Mój pierwszy kontakt z Cowansem. — Urodzony organizator. — Nadzwyczajna sprawność jego departamentu. — Cowans jako reprezentant generałów.

WOJNA AŻ DO „NOKAUTU"! — — — — str. 331

Próbne balony pokojowe w r. 1916. — Warunki pokoju sir Wiliama Robertsona. — Mocna pozycja państw centralnych. — Nastroje we Francji i we Włoszech. — Załamanie się Rosji i nadchodząca rewolucja. — Rosnące niebezpieczeństwo łodzi podwodnych. — Liczba zatopionych okrętów. — Postawa Francji: mowa Brianda. — Perspektywy dla Niemiec mniej pomyślne, niż jej aktualna pozycja. — Pogłoski o inicjatywie pokojowej Prezydenta Wilsona. — Moje przekonanie o konieczności dalszej walki. — Wywiad z Roy Howardem. — Niedopuszczalność postronnej ingerencji, dopóki nie odniesiemy zwycięstwa. — Podziw dla Francji. — Następstwa wywiadu. — List lorda Grey'a. — Moja odpowiedź. — Wypadki zadają kłam obawom Grey'a. — Sprawozdania Spring-Rice'a o stanowisku Ameryki.

RZĄD NIEZDECYDOWANIA — — — — — str. 357

Koszmarna sytuacja. Problemy, nie mogące doczekać się rozwiązania. — Sprawa Rosji. Lotnictwo. Memoriał Montagu. — Spory w gabinecie. — Niekończąca się gadanina zamiast decyzji.

1914—1916: REKAPITULACJA — — — — str. 363

Charakterystyka pierwszego okresu wojny. — Zmarnowana przewaga Koalicji. — Marnotrawstwo w gospodarowaniu materiałem ludzkim. — Czego obawiają się Niemcy. — Pogląd sir Wiliama Robertsona na sytuację w końcu r. 1916.



BIBLIOTEKA NAUKOWA WDP
+1
40741/2